



Danuta Noszczyńska

HISTORIA NIE MAGDALENY

I.

Kura przeznaczenia

Po jakie лихо wstałam dziś znów tak wcześnie? Nie mam przecież żadnych powodów. Właściwie mam, jeden jedyny: pójść do klozetu. Za oknem szary, paskudny dzień.

Pamiętam, jak pani w podstawówce mawiała, że jesień przyobleka świat w królewskie kolory: złota i purpury. Dla mnie są to kolory sraczki chorego na salmonellę. I jeszcze ten „mgły woal”. Jaki woal? Raczej szary popiół, pozostały z mojego dotychczasowego życia...

Jestem przekonana, że za oknami ludzi budzących się w sąsiednich domach jest zupełnie inna pogoda. Podejrzewam, że nawet całkiem inna pora roku. Idą dokądś, spieszą, drepcą, sumiennie spełniają swoje obowiązki, ciulają grosz do grosza, obrastają w sadło, potomstwo, morale, mniemanie o sobie - i tak mielą dzień z nocą, dzień z nocą, dzień z nocą, aż do tego końca, który jest też obowiązkiem. Dla mnie jak na razie jedynym i jak na ironię dość odległym. Chyba.

No tak, jest jeszcze Matyllda. Ale czy ja mam wobec niej jakieś obowiązki? Niekoniecznie. Zechcę dać jej zreć, to dam. Nie zechcę, to nie dam. Matyllda wtedy zdechnie. Skoro śmierć jest wpisana w obowiązki człowieka, to w obowiązki kury też.

Kiedy mój mąż olał domowy wikt i opierunek, odchodząc wraz z miesięcznym dochodem, zjawiła się stryjna.

- Teraz ci Magduś ciężko będzie. Bez chłopca ciężko jest. Żebyś to choć robotę jaką miała... Masz! Kuraka ci przywiozłam. Zjesz se w niedzielę rosołu z makaronem.

Od tej pory nie widziałam już stryjny. Krewni stronią od takiej, co „jej bez chłopca ciężko jest”. Kura natomiast została. Nazwałam ją imieniem stryjny na jej cześć i podobieństwo.

Uczciwie mówiąc, to właściwie na cześć. Podobieństwo ujawniło się znacznie później, kiedy Matyllda została przeze mnie częściowo oskubana. Nie z mściwości żadnej, nie. Po prostu - kiedy się czasem tak mocno zamyszę, to tak bezwiednie międlę tymi dłońmi, skubię, szarpie, ugniatam.

Kiedyś z takiego zamyslenia wyrwał mnie wrzask Matylldy. Pokój pławił się w pierzu... Miałam nawet z tego powodu niesnaskę z sąsiadką. Przybiegła do mnie zaraz rano z pretensjami:

- Pani Gomorowa! Sodomę pani wyprawia! W porządnej kamienicy nikt nie gdacze po nocach! Porządni ludzie spać potrzebują. Albowiem porządni ludzie idą rano do pracy.

Nie po raz pierwszy wytknięto mi moje bezrobocie. Społeczeństwo wymaga, by jednostka pracowała i łożyła sama na siebie. Mąż wymagał, abym nie pracowała i łożył na mnie. Wymagał, abym prowadziła dom.

Wymagał, abym orientowała się w polityce i w sporcie. Wymagał obycia i wyglądu. Kawy bez mleka, herbaty z mlekiem, serwetek pod brodą, kostek zapachowych w klozecie, zbierania włosów łonowych z mydła i sedesu. Kiedy odszedł, przestał wymagać i łożyć.

Mój mąż - moje szczęście, którego nigdy nie byłam zdaniem teściowej „odpowiednio godna” - wyprowadził się trzy tygodnie temu do kobiety w pełni zasługującej na czerpanie z tego źródła cnót i zasobów pieniężnych. Kiedy wrócił do domu owego apokaliptycznego wieczora i oznajmił mi, że zamierza odejść, przyszła mi do głowy tylko jedna, jedyna myśl: co ja teraz będę robić? Wszystko do tej pory kręciło się wokół Fryderyka. Całe moje życie, każdy dzień, każda chwila. Cokolwiek robiłam, pytałam sama siebie po stokroć: co na to powie Fryderyk, jak to oceni? Fryderyk był ogromnym lustrem, przed którym stałam przez cały czas trwania naszego małżeństwa i dopiero w jego odbiciu widziałam właściwe znaczenie każdego swojego kroku, słowa, decyzji... Nie, decyzji nie. To Fryderyk podejmował wszystkie decyzje. Decydował o wyborze marki samochodu i rodzaju podpasek dla mnie. Nie mogłam na przykład używać sanitariów ze skrzydełkami, bo Fredzio twierdził, że ranią pachwiny. Kiedy zapytałam, skąd on to może wiedzieć, spojrzął na mnie z niesmakiem i odrzekł: to przecież logiczne, Magdaleno. Powinnaś się cieszyć, że oszczędzam ci tego rodzaju eksperymentów...

No i dupa! - mruknęłam filozoficznie i poczłapałam do lustra. - Nie garb się Magdaleno, nie człap Magdaleno, po prostu suń przed siebie, jak eteryczne zjawisko!

- A gówno! - oznajmiłam, wyraźnie akcentując okrągłutkie ó. - Nie uczesałaś się dzisiaj Magdaleno! - Nie będę się czesała! I pójdę się w końcu wyszczać. Tak! Wyszszszcząć, Fryderyku.

Siedząc na desce klozetowej, zupełnie odruchowo zaczęłam myśleć samodzielnie - kwestia przyzwyczajenia. Toaleta w czasach trwania mojego małżeństwa była jedynym miejscem, w którym mój mąż nie myślał za mnie. Co więc teraz będę robić, skoro całą wiedzę o sobie, jaką posiadam, wpoił we mnie Fryderyk? Z tej wiedzy wynika jasno, że nie powinnam robić absolutnie nic... I wtedy stanął przede mną jak żywy problem mojego ja. I choć, jak tylko sięgam pamięcią, zawsze byłam na tym świecie, to istniałam chyba raczej jako *ona*, jako *ty*, jako Magdalena Gomora; czyjaś żona, czyjaś synowa, czyjaś sąsiadka... Byłam zawsze tak jakoś dokoła siebie i chyba żadnej *mnie* we mnie nie było...

W nagłej potrzebie skonfrontowania siebie z sobą rzuciłam się w stronę lustra - już po raz drugi dzisiaj - ale zobaczyłam tylko czubek skołtunionego łba. Lustro w klozecie przystosowane było do wzrostu Fryderyka.

Podążając do toaletki w salonie, pokonywałam powywalane do góry dnem szuflady, kartony, góry odzieży i kanciaste bibeloty walające się wszędzie od wyprowadzki męża. Wyrznęłam już przy pierwszej większej stercie, boleśnie waląc się w goleń. Dzwoniący w uszach ból uświadomił mi w sporym stopniu moje jestestwo. Natychmiast zaczęłam się nim delektować, umiejscawiać, kojarzyć siebie z tą bolesną golenią, bo to już tylko moja goleń - mąż porzucając mnie, zwrócił mi nie tylko rękę, ale i

goleń, która bolała mnie teraz jak diabli, ale bolała mnie dla mnie samej, z mojego własnego powodu, moim własnym bólem... Wijąc się na kupie krawatów i muszek Fryderyka, jęczałam w bolesnym uniesieniu. I tak też zastała mnie moja teściowa.

- No tak - wysapała z satysfakcją - ty pijesz, Magdaleno!

- Ty pijesz... powtórzyłam bezwiednie, bo coś zaświtało mi nagle w umyśle: popaść w alkoholizm... tak, to będzie punkt pierwszy na mojej liście pomysłów na samodzielne życie...

- TY pijesz Magdaleno, nie ja piję. Alkoholizujesz się - zaakcentowała wyraźnie.

- Alkoholizujesz - poprawiłam ją odruchowo.

- Jak śmiesz! A właściwie po co ja z tobą dysputuję? Przyszłam tylko po klejnot rodowy.

- Klejnot rodowy wyprowadził się razem z twoim synem mamó, trzy tygodnie temu.

- Zawsze byłaś wulgarna Magdaleno - powiedziała z godnością teściowa, równocześnie usiłując mi wyrwać serdeczny palec razem z pierścionkiem, po który przyszła.

- Proszę - wręczyłam jej pierścionek. Tak będzie szybciej.

- Zawsze byłaś wulgarna - powtórzyła, nie wiadomo w jakim kontekście teściowa. - Zastanawiałam się nierazkrotnie, w jaki sposób zmusiłaś Fredzia do tego małżeństwa. Jestem przekonana, że Fredziu tak sam z siebie nigdy by się z tobą nie ożenił! Ukończył albowiem studia wyższe!

- Ja też ukończyłam studia wyższe, mamó.

- No tak, ale ty jesteś kobietą!

Logika mojej teściowej, a także jej sposób wysławiania się nierazkrotnie wprawiał mnie w osłupienie. Teraz jednak nie miałam ochoty podążać zawilými ścieżkami jej rozumowania. Chciałam jak najszybciej zobaczyć się w lustrze! A mama Fredzia i tak nigdy nie była w stanie pojąć, że najnormalniej świecie zakochaliśmy się kiedyś w sobie i zwyczajnie postanowiliśmy się pobrać.

Nikt nikogo nie zmuszał - przeciwnie, pałaliśmy ku sobie symetrycznym uczuciem. Dziś, poza symetrią nic już z tamtego uczucia nie pozostało.

- Czy mama już ma wszystko, co chciała stąd zabrać? - zapytałam, chcąc maksymalnie skrócić jej wizytę.

Teściowa omiotła mieszkanie na poły wzgardliwym, na poły pazernym spojrzeniem, a jej wzrok zatrzymał się na drzemiącej w fotelu Matyldzie.

- A... to?

- A to jest moje własne. Jeżeli to już wszystko, pozwoli mama, że odprowadzę ją do drzwi.

Utykając na nogę, wypchnęłam za drzwi opierającą się coraz mocniej teściową, ponieważ - o ile ją znam - powzięła w tym momencie podejrzenie, że zamierzam ukryć przed nią jakiś bezcenny przedmiot stanowiący wspólnotę majątkową państwa M. i F. Gomorów, czyli innymi słowy absolutną własność Fredzia. Nie udało mi się jednak zamknąć drzwi, teściowa bowiem wetknęła w nie siatkę z kalafiozem.

- Jeszcze zabiorę tę kurę.

- Nie zabierze mama kury. Ona należy do mnie.

Matka Fryderyka najwyraźniej umyśliła sobie, że to właśnie Matylda jest tym, co pragnę przed nią ukryć. A skoro pragnę ukryć, to oznacza, że jest ona z jakichś względów bardzo cenna. Jeśli zaś jest cenna, to w jej mniemaniu jest wymienialna na sporą gotówkę.

- Wszystko... - wysapała z desperacją - ... wszystko w tym mieszkaniu jest połową Fredzia!

- Tak? - spytała przyjaźnie. - A, to proszę! - uchyliłam szerzej drzwi i wręczyłam teściowej nożyk do rozcinania listów - to proszę, niech sobie mama połowę oderżnie.

Korzystając z tego, że teściowa w pierwszym odruchu cofnęła się o krok, zamknęłam szybko mieszkanie na zasuwę.

- Nie, to nie! - krzyknęłam przez drzwi i ruszyłam w stronę upragnionego lustra. Omijając skrętnie wszystko, co mogłoby mnie znowu zatrzymać w drodze do celu, dotarłam w końcu do śmiesznej, mosiężnej toaletki, stanowiącej wyobrażenie Fredzia o eleganckim, stylowym umeblowaniu. Z niejakim zdziwieniem przyglądałam się teraz postaci w lustrze. Przyzwyczajenie podsuwało mi obraz eleganckiej, trzydziestotrzyletniej kobiety, starannie ubranej i uczesanej. Rzeczywistość zaserwowała mi zgoła odmienny obrazek: rozkudłane, bose stworzenie, mające na sobie jedynie przejrystą, mocno złachaną koszulę nocną. Ani tamten wizerunek, który miałam zakodowany w oczach, ani ten, który jawił mi się aktualnie, nie przekonał mnie jakoś do siebie. - To ja... Magdalena... - oznajmiłam ciągle drzemiącej w fotelu kurze.

- To jestem właśnie ja. Ja! Ja! Ja! Ja!!! - powtarzając z uporem do lustra to nic nieznaczące dla mnie słowo, chciałam zagarnąć w siebie swoje odbicie, wtłoczyć je w swoje chaotyczne myśli i zagnieść wszystko razem w jednolite ciasto. Chciałam się wyrwać z przenikającej mnie na wylot obcej przestrzeni, wypluć, wyrzygać z siebie wszystko, co nie było mną...

- Dlaczego płaczesz, Magdaleno? - zapytała zdziwiona. Usmarkana gęba w lustrze spojrzała na mnie posepnie.

Odwrociłam się od niej z niesmakiem i zapytałam raz jeszcze: dlaczego ja płaczę?

- Spieprzamy stąd Matyldo! - z lubieżną przyjemnością wytrąbiłam obrzmiały nos w kraj koszuli nocnej.

- To nie jest nasze miejsce. Pakujemy się i wyjeżdżamy!

* * *

Rytmiczny stukot kół pociągu uspił prawie wszystkich pasażerów przedziału. Niemiłosierny upał wlewał się przez otwarte okno - co zważywszy na porę roku - było zjawiskiem dość nietypowym.

- Dobrze zrobiłyśmy, Matyldo - wyszeptałam do kury upchniętej w małym, kartonowym pudełku. - Popatrz, ta paskudna pogoda została za oknami kamienicy przy Ceglanej. A my? Mknijemy sobie pociągiem na drugi koniec kraju, jakbyśmy wyjeżdżały na dawno zasłużony urlop. Nie wiem co praw-

da, jak przyjmie naszą wizytę stryjna Matylda, ale liczę na to, że jej chrześcijańskie sumienie nie pozwoli jej wyrzucić mnie za próg, a ciebie zjeść.

- A zresztą, co mi tam! Postraszymy ciotkę, że pójdziemy do hotelu. Dla ciotki hotel, to tyle samo, co burdel. Nie pozwoli na pewno, żeby córka jej nieboszczyka brata tułała się po takich niedwuznacznych przybytkach. Boimy się Matyldo? - zajrzałam przez otwór do pudełka. - Nie martw się, ja też się...

W tym momencie spostrzegłam, że otyły pasażer z naprzeciwka przygląda mi się spod uchylonych powiek. Obciągnęłam więc skromnie spódnicę i przycisnęłam leżące na moich kolanach pudełko. Facet jednak ciągle mnie obserwował.

Zagaić do niego? Wspomnę coś o pogodzie. Albo nie, to zbyt banalne. Może coś o kolejach państwowych? Państwowych, lepiej nie. To zbyt polityczne.

- Kurę tu wiozę - powiedziałam w końcu całkiem do rzeczy, bo przecież przedmiotem jego zaciekawienia było głównie moje pudełko. - Ciotka mi ją przywiozła kiedyś, wie pan? Miał być kogut, ale się okazało, że to kura, no to jadę ją odwiedzić.

- Ano widzi pani - odezwał się w końcu leniwie - bo to dziś nigdy nic nie wiadomo. Zaufać to nawet rodzinie nie można, ba, nawet dzieciom własnym! Ja pani powiem, że do sąsiada syn w zeszłym tygodniu przyjechał, bo on we Warszawie nimformatyke studiuje. Już od Wielkanocy sąsiad się chwalił, że Teoś (bo jemu Teodor jest, temu synowi) miłość swojego życia poznał i że na jesień do domu przywiezie, żeby rodzicom przedstawić. I przyjechał, tydzień temu, jak pani mówię, z drugim studentem. Dwa dni jedli, pili, grillowali, na łódce po jeziorze urządzali przejażdżki. Na trzeci dzień sąsiady nie strzymali i pytają się jego, czegóż ta miłość z nim nie przyjechała? A Teoś im na to: no jakoż nie przyjechała, kiedy przyjechała? Toż ja wam przecież Grzesia przedstawiał, nie? No i sama pani widzisz - westchnął smutno otyły - dziś płcia płci nierówna! I czegóż tu od durnej kury chcieć, że się za koguta podszywa, kiedy rozumne, boskie stworzenia same nie wiedzą, co w portkach noszą?

- No tak - próbowałam jakąś mądrą puentą zatrzeć uprzednie wrażenie - bo widzi pan, w dzisiejszych czasach seksualność człowieka jest... hm... taka bardziej... szeroko pojęta - wydawało mi się, że znalazłam odpowiednie określenie, pozwalające na wyrażenie myśli, z jednoczesnym uniknięciem słowa tolerancja.

- E tam, seksualność niczemu nie winna - zaperzył się otyły - w końcu każdy z jednym przyrodzeniem urodził się. To głowy się ludziom psują, a nie seksualność.

- Trudno nie przyznać panu racji - zastanawiałam się teraz, jakby tu niespostrzeżenie zmienić kierunek naszej rozmowy - ale widzi pan, jeżeli chodzi o moją kurę (i co dalej?) - to...

Nieoczekiwanie facet sam wybawił mnie z opresji.

- A ile ta kura, bo może ja od pani kupić? Pani się kłopotu pozbędzie, a ja na wieczór jeszcze ją sprawię, żeby na jutrzejszy obiad była. Syn przyjeżdża, z narzeczoną, wie pani. Ale jak mi Bóg miły! Zanim za próg wpuszczę, pod kieckę zajrzę!

No i co mnie podkusiło, żeby zagajać? Facet niewątpliwie chęci ma dobre, ale cóż z tego, kiedy nieustannie zmusza mnie do manewrów myślowo słownych?

Tę umiejętność opanowałam jednak całkiem nieźle, robiąc za salonowego pudła przy boku Fryderyka.

- Dziękuję panu za dobre chęci, ale skoro już powiadomiłam ciotkę, że przywiozę tę kurę, to być może i ona ma w związku z nią jakieś plany.

- Ano racja. Toż musi ją pani właścicielce zwrócić. Ja tylko od kłopotu wybawić chciałam.

- Wiem - uśmiechnęłam się prawdopodobnie sympatycznie - dziękuję panu.

Otyły skinął głową, odsunął na bok telepiącą mu się na klatce piersiowej głowę sąsiada i zamknął oczy.

* * *

Nad polami otaczającymi budynek stacji kolejowej w Rapalkach unosiły się obłoczki mgły. Nagrzane słońcem za dnia łąki i ugorne pola ziajały teraz jak złachane psy. Okręciłam się dokoła siebie niepewnie, próbując znaleźć w otaczającym mnie krajobrazie jakikolwiek znajomy punkt. Nic z tego. Wyasfaltowana obecnie droga nie szła ani w górę, ani w dół, ani też nie prowadziła w stronę ogromnej, podupadłej stodoły - a to z tej przyczyny, że jak okiem sięgnąć w okolicy żadnej stodoły nie było. Nie było także dzikiej gruszy, ani małego, wiejskiego sklepiku.

- Mogłyśmy to przewidzieć, Matyldo - szepnęłam do wnętrza kartonowego pudełka - mogłyśmy powiadomić stryjnę... Nie, no uczciwie rzecz biorąc, nie mogłyśmy, z przyczyn technicznych oraz praktycznych. To nas usprawiedliwia. - No więc... No więc... Jakby tak stanąć do stacji tyłem, trzeba by iść, o ile pamiętam, w lewo w dół. Nie ma w dół, ale w lewo ciągle jeszcze jest. A to oznacza, że jest i droga, i prawdopodobieństwo jak pięćdziesiąt do stu, że prowadzi do celu.

Wiedziona raczej uporem niż słuszością całego przedsięwzięcia i - co tu dużo mówić - raczej brakiem alternatywy - ruszyłam przed siebie. Jeżeli obrany przeze mnie kierunek okaże się właściwy, a trasa asfaltowej drogi nie odbiegnie za bardzo od dawnej, piaszczystej ścieżyny, najdalej za dwa kwadranty powinnam być na miejscu. To chyba pocieszające... Stelaż od plecaka wbijał mi w plecy zapięcie od biustonosza, a wiercąca się w pudełku Matylda, wytrwale zaburzała moją równowagę.

W mijanych przeze mnie przydomowych ogródkach jak na złość nie było żywego ducha.

Miałam ochotę zastukać do pierwszych lepszych drzwi i zapytać o drogę, pamiętałam jednak, że w Rapalkach każdy obcy budził tak wielką podejrzliwość, że właściwie mógł przejść spokojnie przez wieś wyłącznie w porze obiadu.

Postanowiłam zatem znaleźć samodzielnie dom ciotki, a z dokonanego wyboru uczynić sobie swego rodzaju wróżbę: albo idę ku dobremu, albo pcham się pod prąd...

Kiedy bywałam u ciotki w dzieciństwie, o tej porze roku odbywały się wykopki, a wieczorami od strony pól rozchodził się aromatyczny dym palonych badyli i pieczonych w ognisku ziemniaków. Na przydrożnych śliwach gałęzie uginały się od dojrzałych owoców, których nikt nigdy nie zrywał, bo było wstyd.

- Zostaw te śliwki - sarknęła stryjna, rozglądając się dokoła, czy nikt aby nie zauważył mojego aktu łakomstwa. - Nie zachowuj się, jakbyś w domu nie miała co jeść!

- Ale ciociu, spójrz jakie te owoce są apetyczne, jakie soczyste, u ciebie w ogródku w ogóle takich nie ma - próbowałam wielokrotnie pertraktować ze stryjną.

- Śliwek nie ma, ale jest chleb i kiełbasa w spizarce. I jajka, i masło, i śmietana, i szmalec ze skwarkami. Tobie takich psiarów nie potrzeba jeść.

- Ale ciociu, kiełbasa kiełbasą, ale ja bym chciała takich świeżych owoców...

- Przydrożnymi śliwkami to napychają brzuchy Latoszkowe dzieci. Jeszcze by kto pomyślał, że bieda u nas.

- Ale dlaczego, ciociu, ja bym chciała...

- Chciała, nie chciała, człowiek nie zwier i tak robić powinien, aby go drudzy w poważaniu mieli. Podrośniesz trochę, to zrozumiesz, że poszanowanie ludzkie najważniejsze jest. I tobie się może co podobać albo i nie, najpierwsza w życiu rzecz: opinia ludzka.

Nie wiedziałam wtedy, jaki związek ma jedzenie śliwek z szacunkiem u ludzi, podobnie jak nie rozumiałam sensu innych nauk ciotki, dopóki nie odkryłam sposobu pojmowania przez nią słowa „szacunek”. Wpajane mi przez nią mądrości życiowe polegały bowiem na umiejętności wzbudzania podziwu - choć może słuszniej byłoby rzec: zawiści - otoczenia oraz przekonania ludzi, iż rzeczona zawiść jest całkowicie uzasadniona.

Nie służyły temu broń Boże żadne ekscesy obyczajowe i inne, toteż jedną z doskonale opanowanych sprawności życiowych rodu Janiszów było maskowanie i zacieranie śladów. Dlatego pewnie tak trudno było mi zawsze nawiązać jakiś normalny kontakt z rodziną ojca, w której wszystko było pełne niedomówień i tajemniczości. Kiedyś wpadł mi w ucho fragment rozmowy babci z ojcem, z której wynikało, jakoby stryjna Matyllda była w młodości bohaterką haniebnego skandalu, na szczęście ponoć - wszystko pozostało w rodzinie. Do dzisiaj jednak nie udało mi się wydobyć z kogokolwiek, cóż tak strasznego nieszczęsną Matyllda uczyniła, że „na szczęście zostało w rodzinie”.

Przemykały mi przed oczami rozmaite obrazy, począwszy od kradzieży kieszonkowych, poprzez seksualne orgie, aż po bestialskie morderstwo na tle rabunkowym.

Niczego jednak nie byłam w stanie dopasować do napuszonej, aczkolwiek wątlej Matyldy. Może teraz uda mi się jakoś do niej zbliżyć? Bądź co bądź dwie samotne kobiety powinny chyba odnaleźć choćby nić porozumienia w tym misternie tkanym gobelinie pozorów i obłudy...

- Matyldo, obrałyśmy jedynie słuszną drogę! - zawołałam radośnie do pudełka, stając naprzeciwko dobrze mi znanej z dzieciństwa, kamiennej studni. - No, to jesteśmy w domu - ekscytowałam się głośno, ponieważ od tego momentu wszystko już było stare i znajome.

Tuż przed studnią kończyła się asfaltowa droga i zaczynał się piaszczysty trakt, nieco dalej ciągle jeszcze rosła gruba, przygarbiona wierzba, a w jej wielkiej dziupli znajdowała się kapliczka. W dole, częściowo ukryty pomiędzy drzewami, widniał ceglasty dach kryty starą przedwojenną dachówką, a z komina leniwie snuł się dym. Nie bacząc na odarte stopy i bolące plecy, rażno przyspieszyłam kroku, biegnąc długimi susami stromą ścieżką w dół.

Po głowie - całkiem wbrew mojej woli - plątał mi się tajemniczy skandal ciotki Matyldy.

- Czego dotyczyła ta rozmowa? - Czego... dotyczyła... ta rozmowa? - Czego... doty... czyła... rozmowa? - pytałam się bezmyślnie, a rytm moich kroków narzucał melodię wypowiedzanym słowom.

- Czego... do... tyczy... ła... ta... rozmowa?

I nagle zobaczyłam mosiężną toaletkę i odbicie mojego skudłonego łba w okrągłej, mętnej powierzchni lustra, a zaraz potem chybotliwy wizerunek tej samej gęby w okrągłej tafli studziennej wody. I te dłonie... oparte to o blat toaletki, to znów o kamienną cembrowinę i padające na nie gorące krople...

- Dlaczego płaczesz Magdaleno? - usłyszałam swój własny głos.

- Dlaczego płaczesz, Magdaleno? - zadudniło echem odbijającym się od kręgów betonowej czełusci...

Boże mój... Co się ze mną dzieje?! Coś wirowało w mojej głowie, ścisnęło mi krtań, podcinało nogi... Bez tchu dopadłam wreszcie drewnianej furtki.

- Ciociu, ciociu Matyldo!!! - wołałam przez zdławione szlochom gardło, jak w dzieciństwie, kiedy budził mnie w środku nocy zły sen. - Ciociu... wymamrotałam zdumiona, na widok stojącej w otwartych drzwiach stryjny.

- Jak ci... Jak pięknie wyglądasz w tych rudych włosach! Powinnaś od dawna tak je farbować!

- Głupoty gadasz, Magdaleno - stwierdziła ciotka z obrzydzeniem na twarzy. - Ano, wejdźże za próg, przywitać najpierw wypadałoby się.

Zamykając drzwi, ciotka wychyliła się zza mojego ramienia i bacznie zlustrowała okolicę. Pewnie - jak zwykle - uczyniłam coś niestosownego, sprawdzała więc, jak wielu świadków mogło mieć owo zajście.

- Przepraszam ciociu - wyszeptalam zawstydzona - to pewnie ta poświata zachodzącego słońca tak mnie zwiodła. Wydawało mi się, że ufarbowałaś włosy.

Czułam, że rzeczywiście palnęłam spore głupstwo, bo fryzura ciotki nie mogła wzbudzić niczyjgo zachwyty ani kolorem, ani konstrukcją. Szarosiwy warkocz owinięty wokół skroni od wielu lat w ten sam sposób „ozdabiał” jej głowę.

- A to jest ten kurczak, którego ciocia mi przywiozła - powiedziałam szybko, chcąc zmienić niezręczny temat - jakoś nie miałam sumienia go zjeść...

- Oj, Magdaleno, Magdaleno - ciocia odebrała karton z moich rąk - zawsze uczyłam ciebie, że gadzina z woli boskiej do spożywania ludziom służy, nie do zabawy.

- Ale ty zdrożona pewnie jesteś. I głodna - z przerażeniem patrzyłam, jak sięga pod przykrywkę pudełka.

- A cóż ty z tym kurakiem wyprawiała, kobieto? Rzeczywiście, na wpół goła i pół żywa Matylda wyglądała trochę... żałośnie.

- Nie można ze zwierzyną zabawiać się, ale i pastwić się nad nią nieobyczajnie. No, naści niebogo, na! - ciocia sypnęła Matyldzie w kąt garść okruszków chleba i postawiła obok spodek z wodą.

- A i ty się posil, Magdaleno - stryjna już stawiała przede mną talerze z wiejską kielbasą, serem, miseczkę kiszonych ogórków, konfitury, masło i pół bochenka razowego, żytniego chleba. - No, jedz. W tym domu gość nigdy nie ma prawa być głodnym.

Uśmiechnęłam się do siebie i z westchnieniem ulgi zabrałam do jedzenia. Otóż to! Jedyne zakątek na świecie, w którym nic się nie zmienia: ta sama kuchnia, to samo jedzenie, te same formułki. Tego właśnie było mi trzeba. Czegoś stałego w moim rozdygotanym życiu: miejsca i człowieka.

* * *

Fryderyk Gomora kończył właśnie dopijać poranną kawę w swoim gabinecie, kiedy nagle błogą ciszę, której codziennie do godziny dziewiątej miała strzec sekretarka, przerwało - jak sądził - ujadanie ratlerka i basowe poszczekiwanie dobermana. W chwili, kiedy postanowił wstać zza biurka i przywołać do porządku pannę Bożenkę, otworzyły się z impetem drzwi i stanęły w nich jednocześnie sekretarka i starsza pani Gomorowa.

- Pa... Pań...ska matka - zaanonsowała zduszonym głosem Bożenka, zaklinowana w drzwiach ciałem zażywej niewiasty.

- Dziękuję, pani Bożenko - Fryderyk zwrócił się do czerwonej jak burak sekretarki. - Proszę, mamusia wejdzie - gestem zachęcił matkę do opuszczenia futryny solidnych, dębowych drzwi.

Pani Gomorowa tak rączo skorzystała z zaproszenia, że w momencie, kiedy przekraczała próg gabinetu, na podłogę posypały się guziki z trzaskiem oderwane od bluzki Bożenki. Przez ułamek sekundy w szczelinie zamykanych drzwi zafalowały obfite, białe piersi.

- Zmień ty Fredziu tę sekretarkę, posłuchaj się matki. Już ci dawno mówiłam, że ona cię kokietuje. Nic dobrego z tej kobiety, już ja się na takich znam. Do twojej Madzi też cię uprzedzałam...

- Co mamusię sprowadza? - uciał Fryderyk obiecująco zapowiadającą się prelekcję.

- Ty synek wiesz, że ja tobie bez przyczyny w pracy nie przeszkadzam, no to rozumiesz chyba, że skoro przyszedłam, to w ważnej sprawie. Powiedz no tej twojej... sekretarce, żeby była taka kulturalna i spytała się mnie, co ja piję.

- Pani Bożenko - Fryderyk nachylił się nad blatem biurka - pani będzie uprzejma przynieść coś do picia.

- Za bardzo cackasz się z tą dziewczuchą - oznajmiła pani Gomorowa. - Ty całkiem, Fredziu nie umiesz poleceń wydawać. Taki ważny adwokat to powinien tu wszystkich pod sznurek mieć poustawianych, a nie prosić każdego o byle gówna.

- Na miłość boską, co też mamusia... - Fryderyk zachłysnął się ostatnim łykiem kawy - niechże mama czasem... przynajmniej tutaj...

W tym momencie weszła do gabinetu pani Bożenka, niosąc na tacy filiżankę z kawą. Kiedy stawiała ją na stole, Fryderyk zauważył, że bluzkę ma szczelnie pospinaną zszywaczem biurowym.

- Dziękuję, pani Bożenko - powiedział, patrząc znacząco na matkę.

- A ja, nie dziękuję pani - oznajmiła wyniośle Gomorowa.

- No więc - zapytał Fryderyk po wyjściu Bożenki - co też pilnego mamusię do mnie sprowadza?

- Magdalena uciekła.

- Co... Co? Jak to uciekła? Skąd?

- No, z mieszkania na Ceglanej. Wywiozła wszystko... ograbiła cię! Kałdowa mi mówiła, że ledwo wlokła: ogromny plecak i jakieś pudło! I gdzie ta cytra polazła? A nie mówiłam ci, że ona chłopca pewnie jakiegoś ma!

- No nie, mamusiu. W to, to już akurat nie uwierzę. Magdalena? Przecież ona się na krok z domu nie ruszała. Mama wie, jaka była niesamodzielną. Na prostej drodze się gubiła, we wszystkim zdawała się na mnie. A co do wynoszenia, to zapewniam mamę, że ja zabrałem z tego domu wszystko, co chciałem zabrać. Nie zostało tam nic, co byłoby godne mojej uwagi.

- Taaak? - zapytała Gomorowa, szukając czegoś w torebce. - O, a to?

- Zabrała jej mama ten pierścionek? Przecież to... tombak!

- Cicho bądź! - syknęła starsza dama. - A kto to o tym wie? - on rodowy. Od pokoleń my nim w rodzinie się zaręczali. I tobie pewnie jeszcze nie raz się przyda...

- Po pierwsze, mamó, to nie zamierzam się już żenić, a po drugie, gdybym jednak zmienił zdanie, to stać mnie na prawdziwe złoto. Z brylantem.

- Oj, głupiś ty synek, głupi! Jedną z tombakiem mało co nie uciekła, to druga z brylantami ucieknie jeszcze bardziej... A co do kochanka, to Magdalena komórkę miała, no nie?

- Owszem, miała komórkę. Dzisiaj każdy ma...

- No to sobie mogła kogoś przez komórkę poszukać. Albo przez komputer.

- Mamusiu - zniecierpliwiał się już teraz Fryderyk - proszę, niechże mamusia się streści, z czym właściwie przychodzi, za kwadrans mam umówionego klienta.

- A tak, klienta - wysapała urażona Gomorowa - to znaczy rodzona matka ma wyjść, kawy nie dopić i w przykuckach uciekać? Tak? Ale skoro już przyszedłam, to powiem. Ja tam nie wiem, co ona w tych tobołach z twojego domu wytaszczała, ale skoro to ciebie nie obchodzi, a mnie, matce nie wolno, to tylko tyle ci powiem, że to jest dziwne, gdzie ona tak raniusko leciała. Bo przecież Magdalena żadnej rodzonej rodziny nie miała, tak? No to jak nie do kochanka, to gdzie? Ja to bym jej na twoim miejscu szukać zaczęła. Jeszcze ci jakiego kłopotu przyczyni, pijaczyna jedna.

- Na rany boskie, mamo! Magda do ust nigdy alkoholu nie brała, no, może poza lampką szampana czasem. Czy mama się dziś uparła, żeby zepsuć mi cały dzień jakimiś niedorzecznościami?

- Tak? A bo ty nie widziałeś zalanej w sztok żonusi, walającej się po podłodze z kurą. A ja widziałam.

Fryderyk nabrał głęboko w płuca powietrza i spojrzał przenikliwie na matkę.

- Przepraszam cię mamusiu - mówił wolno i spokojnie, wypuszczając powietrze - ale, niestety, nie mam już teraz czasu. Wpadnę do ciebie wieczorem, to porozmawiamy. Zaraz przyjdzie klient, o którym ci mówiłem. To ktoś bardzo ważny.

Gomorowa głośnym mlaśnięciem dopiła kawę i ociągając się, ruszyła w stronę drzwi.

- Sama pójdę - rzuciła w stronę unoszącego się z krzesła syna.

Po wyjściu matki Fryderyk zamyślił się głęboko. Znając swoją rodzicielkę, mógł być pewien, że większością z zasłyszanych przed chwilą rewelacji może śmiało nie zaprzętać sobie głowy.

Jedna sprawa była tutaj niepokojąca: dokąd Magdalena mogła pójść? Rzeczywiście, nie miała żadnej rodziny. Matka jej zmarła jak jeszcze była mała, ojciec wiele lat później, w każdym razie i tak na długo, zanim się poznali. Nigdy nie wspominała, że ma jakichkolwiek żyjących krewnych, zresztą, gdyby tak było, Fryderyk z pewnością przez blisko dziesięć lat małżeństwa miałby okazję ich poznać. Z drugiej zaś strony Magdalena miała prawo pójść, dokąd chciała. Była teraz wolną kobietą... dlaczego więc miałby się niepokoić? Komórka... Fryderyk wybrał z pamięci telefonu numer Magdaleny.

- Przepraszamy, wybrany abonent jest czasowo niedostępny - usłyszał. - Przepraszamy, wybrany abonent...

W tym momencie odezwał się dzwonek telefonu stojącego na biurku.

- Magdalena?

- Nie, nie Magdalena. To ja, twój Ewuniek. Nie wiem jakie masz jeszcze interesy ze swoją żoncią, ale jeżeli w dalszym ciągu wolisz mnie, to chciałam, żebyś wpadł na chwilkę do centrum handlowego i mnie o tym przekonał.

- Tak, kochanie, ale trochę później, może... hm... koło południa. Czekam teraz na kogoś.

- Na żoncię?

- A gdyby nawet, to tylko, aby rozmówić się z nią w sprawie rozwodu. Ale czekam akurat na kogoś innego. No to buziaczki, Ewuniu, im szybciej się z tym uporam, tym szybciej będę u ciebie. Całuję cię mocno... pa.

Ewa odłożyła słuchawkę bez słowa. Nie lubiła sytuacji, w których Fryderyk czegokolwiek jej odmawiał. Niby wiedziała, że ma swoje różne ważne sprawy, dzięki którym mogła sobie sprawić nowe fatałaszki, kosmetyki i w zasadzie co tylko chciała. Wolałaby jednak, aby nie odmawiając sobie tego wszystkiego, mogła mieć go cały czas przy sobie.

- Trudno, maleńka - westchnął Fryderyk - żeby móc korzystać z przyjemności, najpierw trzeba się uporać z obowiązkami...

Zabrał ze sobą tylko telefon komórkowy, kieszonkowy notes i długopis. Zapowiedziawszy Bożence, że nie będzie go do godziny jedenastej, wyszedł z biura. „Ważny klient” był zawsze najskuteczniejszym wybiegiem w sprawach, których wytłumaczenie matce lub Ewie znacznie przekraczało zasoby jego cierpliwości. Zanim zbiegł ze schodów, przetaił rękawem srebrną tabliczkę wiszącą na drzwiach wejściowych gabinetu, na której było napisane, że tu przyjmuje Fryderyk Gomora, radca prawny. Robił tak niezmiennie od ośmiu lat, czyli od dnia, w którym została ona osobiście przez niego przytwierdzona do szlachetnego dębowego drewna. Traktował ją niemal jak fetysz - ten mały prostokąt niklowanego metalu miał nie tylko wskazywać właściwe drzwi, był zarazem końcem i początkiem, celem samym w sobie i drogą do celu.

- Magdalena... - myślał teraz - moja żona. Moja była żona... Sprawy potoczyły się tak szybko, że nie umiał jeszcze myśleć o niej w takich kategoriach.

Pogoda była dość marna, pochmurne niebo od czasu do czasu mżyło zimną wilgocią. Mimo to Fryderyk postanowił pójść pieszo, by na spokojnie ułożyć sobie w myślach parę spraw... Nagle w jego życiu pojawiła się Ewa: młodziutka, pełna życia i energii. Razem ze spokojną, przewidywalną Magdaleną były jak nagle dodane młode wino do wybornej, eleganckiej potrawy - podawanej codziennie i smakującej, niestety, zawsze tak samo.

W zasadzie taki zestaw Fryderykowi całkowicie odpowiadał i gdyby Ewa nie zażądała nagle uregulowania całej tej sytuacji, mogłaby bez przeszkód trwać całe lata. Wybór był trudny. Z jednej strony piękna, elegancka i inteligentna - ale cóż tu dużo mówić: dość nudna żona - z drugiej zaś młodziutka, pełna życia, ponętna Ewa. W życiu zawodowym, jako pełniąca funkcję reprezentacyjną przy boku znanego prawnika doskonale sprawdzała się Magdalena. Jeśli zaś chodzi o Ewę... Musiał po prostu zdecydować, czy ważniejsze jest dla niego życie salonowe, czy intymne.

Kiedy postawiła mu typowe w podobnych okolicznościach ultimatum: ja albo ona, wybrał ją. Być może, gdyby nie starsza pani Gomorowa, która dość szybko wyniuchała romans syna i dolewała benzyny (nie oliwy, a benzyny właśnie) do ognia, Fryderyk nie byłby tak skłonny do czynienia rewolucji w swoim uporządkowanym życiu. Racje dwojga przeciw jednemu stają się jednak zawsze słusz-

nymi racjami. Od chwili, kiedy obwieścił swój zamiar żonie, przekonanie o jego słuszości zaczęło tracić na sile. Sam fakt, że Magdalena nie płakała i nie darła szat, wytrącił go nieco z równowagi.

Zastanawiał się, czy jej spokojne przyjęcie informacji o odejściu męża do innej kobiety było wynikiem przyzwyczajenia do respektowania każdej jego decyzji, czy też może kryło się za tym coś innego? Do tej pory też nie zastanawiał się nad tym, jak jego niezaradna żona da sobie bez niego radę, teraz, kiedy Magdalena nagle odeszła nie wiadomo dokąd, znowu nasunęły mu się dwie możliwości: że był to akt niemej rozpaczki albo... szaleństwo radosnej wolności.

- A, dzień dobry, panie radco - wyrwała go z zamyślenia sąsiadka - Malwina Kałdowa, od wiek wieków mieszkająca nad Gomorami w kamienicy na Ceglanej.

- Dzień dobry, pani Kałdowa - odpowiedział bez entuzjazmu Fryderyk, choć właściwie tylko dzięki stojącej w bramie kobiecie uświadomił sobie cel i powód swojej wędrówki.

- Magdaleny nie ma - zagaiła kobieta w szczerą chęć nawiązania rozmowy. - Wczoraj rano...

- Wiem, wiem. Ja nie do Magdaleny - Fryderyk chciał sprawić na sąsiadce wrażenie człowieka spieszącego się - zabiorę tylko coś z mieszkania i uciekam do pracy.

- A może tę kurę? - krzyknęła za Fryderykiem biegnącym w górę po dwa schody. - Bo kury też już nie ma!!!

Mój Boże - westchnął, manipulując kluczem w zamku - skąd Magdalena wytrzasnęła tę kurę? I po co właściwie? Jakże to wszystko do niej niepodobne...

Mieszkanie w istocie świadczyło o pobycie w nim ptactwa domowego. Poza niezwykłym w tym domu bałaganem wszędzie wałało się pierze, na porościcielanych na podłodze gazetach leżało ziarno, okruchy chleba, stały też naczynia z wodą.

Fryderyk usiadł w skórzanym fotelu i zastanawiał się, po co właściwie tu przybiegł? Po to, żeby sprawdzić, ile w tych dziwnych pogłoskach prawdy. Po to, żeby zobaczyć, jak wygląda ten dom bez zawsze obecnej Magdaleny. Po to, żeby znaleźć cokolwiek, co pozwoliłoby mu zrozumieć jej dziwne zachowanie i dowiedzieć się, dokąd pojechała...

- I co, znalazł pan? - w półotwartych drzwiach tkwiła głowa pani Kałdowej i wykonywała kolisty ruchy, umożliwiające jak najdokładniejsze zlustrowanie pokoju. - Bo jakby co, to może ja w czym pomogę?

- Dziękuję, radzę sobie jakoś we własnym domu - odparł Fryderyk z naciskiem na „własnym”.

Otwierał teraz jedną szufladę po drugiej i upychał po kieszeniach rozmaite papiery, jakieś koperty, fotografie, w końcu przyszedł - jak oznajmił sąsiadce - po jakieś ważne dokumenty.

Ukradkiem spoglądał przy tym, czy głowa Kałdowej nadal tkwi w drzwiach. Kiedy spostrzegł, że ta wsuwa ostrożnie do środka jedną nogę, postanowił zareagować zdecydowanie.

- Pani sąsiadko, uprzejmie dziękuję za szczerą chęć pomocy, ale zapewniam, że niczego mi nie potrzeba. - Do widzenia pani - dodał, widząc, że nie zabiera się do odejścia.

- Bo może ja bym mogła coś powiedzieć - teraz w drzwiach pojawiła się jeszcze ręka, z uniesionymi w górę dwoma palcami.

- Nie dzisiaj - Fryderyk upychał wystające z kieszeni papiery - nie mam czasu pani Kałdowa, ale zapewniam... - mówił, napierając torsem na kobietę - ... że z pewnością znajdę go chwilę... - teraz używał ramienia, by odsunąć ją od zamka, w który usiłował wetknąć klucz - ... żeby sobie z panią pogawędzić - tu Fryderyk musiał zrobić zgrabny przysiad, aby przemknąć pod opartą o poręcz ręką Kałdowej - ... a tymczasem żegnam sąsiadkę. Do widzenia pani.

- Diabli cię nadali - wściekał się pod nosem, świadomy, że zmarnował całą wolną godzinę na podchody z wścibską babą. Doprawdy, wiele cierpliwości kosztowało go taktowne zachowywanie się wobec niej, była to jednak jedna z jego umiejętności wpisanych w zawód. Gdyby odkrywał się z tym, co naprawdę sądzi o większości swoich klientów, jego kariera zgasłaby pewnie znacznie szybciej, niż rozblęśla.

- A niech to, psiakość! - wytaczał najcięższe przekleństwa z zasobu swojego słownika. - Żeby człowiek się musiał skradać do własnego domu! - dając upust swojemu oburzeniu, trzasnął solidnie frontowymi drzwiami.

Ciągle jeszcze zdenerwowany stanął nad koszem na śmieci i wyjmował z kieszeni kolejno rozmaite zaproszenia, bilety do teatru, jakieś stare listy zakupów.

Już miał je podrzeć na strzępy i wyrzucić, ale po krótkim wahaniu upchnął je z powrotem. - Przejrzę je później - pomyślał - kto wie, co ona tam zbierała przez lata. Postawił kołnierz kurtki i kuląc się przed zacinającym deszczem, udał się rażnym krokiem do swojego biura.

II.

Koszmary z dzieciństwa

Oparta o kaflowy, kuchenny piec przyglądałam się spod znużonych powiek ciotce Matyldzie krzątającej się wokół stołu.

- Może ja - ziewnęłam mimo woli - stryjnie w czymś pomogę?

- Toż ty ledwo dzieciaku na nogach stoisz. Czekaj, ja raz-raz tu sprzątnę i zaraz ci łóżko rozściele w gościnnym. Nie lubię zostawiać brudnych statków.

Wiem, że ciotka nie lubi zostawiać brudnych statków. W tym domu porządek musiał być zrobiony zawsze, choćby na czworakach. Kiedy patrzyłam tak na nią, widziałam chwilami młodą, wiotką dziewczynę uwijającą się zgrabnie przy robocie. Padające przez okno ostatnie promienie słońca sprawiały, że włosy ciotki znowu były rude - i nie wiem, czy to gra cieni, czy złudzenie zmęczonych oczu -

ale nie były splecione w mysi ogonek, zwisały bujnymi lokami. Kiedy jednak zmuszałam wzrok do ostrzejszego widzenia, ciotka znowu była przygarbioną, kościstą, sześćdziesięcioletnią ciotką.

- Wie ciocia, to może ja sobie sama jakoś poradzę z tym ścieleniem. I tak już narobiłam wystarczająco kłopotu...

- Ano to weź ino i ściągnij narzutę z tapczana. Tam wszystko jest jak trzeba. Jakbyś poduszek miała mało, to mów. A o kłopotcie to ty mnie nie pleć. Ja wiedziałam, że ty prędzej czy później drogę do ciotki odnajdziesz.

Zanim wspięłam się na wysoko spiętrzone poduchy, odklepałam na klęczkach pacierz, wbijając oczy w wizerunek Jezusa w cierniowej koronie. Spojrzałam ukradkiem na drzwi, stryjna miała bowiem zwyczaj dyskretnie sprawdzać, czy nie zaniedbuję wieczornej modlitwy.

- Co ty wyprawiasz, Magdaleno - skarciłam się w duchu. - Nie jesteś już przecież małym dzieckiem!

Wyrzuciłam na podłogę połowę poduszek i wymościłam się wygodnie. Zateśniłam teraz za czasami swojego dzieciństwa i chwilami spędzonymi w tym domu. Chociaż wtedy przyjazdy do ciotki na wakacje traktowałam jak ciężkie zesłanie, dziś wiele bym dała, by móc cofnąć czas. Cały dom, a ten pokój w szczególności wyzwał we mnie bolesną tęsknotę za tym poczuciem bezpieczeństwa, za moją biedną, chorowitą mamą, apodyktycznym ojcem, brudnymi dziećmi z sąsiedztwa i całą tą wieczną krzątanią mieszkańców Rapalek, napędzaną różnego rodzaju pracami polowymi.

W domu Matyldy od tamtej pory zupełnie nic się nie zmieniło. Inna była teraz tylko cisza za ścianą...

Kiedyś kołysał mnie do snu szmer rozmów dorosłych przy kuchennym stole. Wiedziałam, że gdy obudzi mnie koszmar, wystarczy przebiec tylko przez drzwi, by znaleźć się w kojących objęciach mamy lub szorstkich ramionach ciotki Matyldy.

Śniła mi się wtedy najczęściej mała, maleńka dziewczynka, bardzo samotna i bardzo smutna. Bledziutkie policzki okalały złociste loki, a ogromne, błękitne oczy patrzyły na mnie z wyrzutem. Właściwie nie wiem, dlaczego wspominam ten sen jako koszmar. Budził mnie zawsze własny, rozdzierający płacz.

Towarzyszyły mu dziwne uczucia: rozpacz, niemocy, ogromnego, nieopisanego wręcz cierpienia. Kiedy przestałam przyjeżdżać do ciotki, skończyły się te sny.

Zamknęłam oczy. Poczułam charakterystyczną błogość zapadania się w nicość, odpływania. Zawsze lubiłam ten moment, tę cienką granicę między jawą i snem. Chciałam zatrzymać ją jak najdłużej, rozkoszować się tym stanem między bytem a niebytem. Nigdy mi się to nie udało, w końcu znajdowałam się albo po jednej, albo po drugiej stronie...

- Mamusiu - usłyszałam tuż przy swojej głowie znajomy, dziecinny głosik - mamusiu... - teraz szept przechodził w tłumiony szloch - nie odchodź, mamusiu...

Z ogromnym wysiłkiem uchyliłam nabrzmiałe snem powieki i zobaczyłam przy swoim łóżku małą, złotowłosą dziewczynkę. Mój koszmar z dzieciństwa...

- Jaka jesteś maleńka - szepnęłam - skąd się tu wzięłaś?

Dziewczynka zacisnęła drobne piąstki i przycisnęła je do piersi. Wielkie, błękitne oczy patrzyły na mnie z niemą prośbą.

- Powiedz mi malutka, kim ty jesteś? Dlaczego do mnie przysłałaś?

Dziecko westchnęło spazmatycznie, wstrząsane jeszcze niedawnym łkaniem i wpatrywało się we mnie w milczeniu. Czułam, że wzbiera we mnie fala nieznanego dotąd uczucia: tkliwości, czułości, wzruszenia... nagle poczułam ogromną ochotę, żeby złapać je w ramiona, scałować łyzy, mocno przytulić do siebie. Poczuć w tym uścisku każdą najdrobniejszą kosteczkę maleńkiego ciała...

- Jak ci na imię? - zapytałam cicho, żeby nie przepłoszyć tej drobniutkiej istotki.

- Nie pójdziesz? - spytała mała wreszcie. - Nie pójdziesz już?

- Nie pójdę - powiedziałam z najgłębszym w tej chwili przekonaniem - już nigdzie nie pójdę. Nigdzie.

- Nie pójdziesz?

Wyciągnęłam przed siebie rękę, by najdelikatniej, jak to tylko możliwe dotknąć maleńkiej twarzyczki. Moja dłoń natrafiła niespodziewanie na zimną, chropawą powierzchnię.

- Pójdziesz... pójdziesz... pójdziesz... - poniosło głuchym, dudniącym echem.

Ze zdumieniem spostrzegłam, że stoję oparta o brzeg kamiennej studni. Na dworze zaczynało świtać. Ptaki wrzeszczały radośnie w gałęziach drzew, a moje ramiona owiewał przyjemny, rześki wiaterek. Z bezdennej czeluści przede mną wyziewał stęchły chłód. Opanował mnie nagle paniczny lęk. Już od dziecka bałam się tej studni i omijałam ją z daleka. Jakkolwiek się tu znalazłam, muszę natychmiast wrócić do domu!

Próbowałam się cofnąć, ale w tym momencie moje stopy zaczęły się zapadać w miękkim gruncie. Z każdym krokiem zapadałam się głębiej i głębiej.

- Pójdziesz... pójdziesz... - drwiąco przekonywało mnie echo.

- Nie!!! - udało mi się wydobyć wreszcie ze zdławionej krtani. - Nie!!!! - w nadludzkim wysiłku rzuciłam się górną połową ciała naprzód i złapałam koniec wątej gałęzi rosnącego w pobliżu drzewa. Odłamała się z trzaskiem...

- A cóż tobie znowu! - wykrzyknęła na mój widok ciotka, odstawiając prędko na stół czajnik z herbatą.

Moje serce powoli przestawało walić jak oszalałe. Uświadamiałam sobie nagle, że stoję na progu kuchni, a w ręce ściskam kurczowo wyrwaną z drzwi mosiężną klamkę. Oszołomiona, nie byłam zdolna wypowiedzieć ani słowa. Dosłownie wrosłam w ten próg. Rozumiałam jednak niejasno, że sterząc tak z uniesioną w górę klamką i głupawym wzrokiem wbitym w ciotkę muszę stanowić szokujący obrazek.

- Wyglądasz jak... wyglądasz, jakbyś... A cóżeś ty taka mokra? - zapytała ciotka, teraz już swoim zwyczajnym głosem.

- Spociłam się. Chyba. - Coś wreszcie puściło moje struny głosowe - n... nie wiem... wydawało mi się, że śniło mi się...

Przeciagnęłam wolną od klamki dłońią po twarzy i włosach i stwierdziłam, że w istocie jestem cała mokra.

- Bałam się...

- Toż ty jeszcze nie wyrosła z tych swoich potworów?

Ciotka w dalszym ciągu wierzy w moje potwory... Bo ja właściwie nigdy, nikomu nie opowiadałam, co naprawdę mi się śni. Cóż mogłam powiedzieć? Że wpadam w histerię, śniąc o małej dziewczynce? Jakże ktokolwiek mógł to zrozumieć, kiedy ja sama nie rozumiałam? Potwory były zdecydowanie bardziej uzasadnione.

- Widać ciociu, nie wyrosłam. Jak odszedł Fryderyk, to zaczęłam mieć jakieś zwidy. To chyba... reakcja na stres!

- A nie mówiłam ja tobie, że bez chłopca ciężko jest? W szczególności, jak człowiek przyzwyczajony. Ciebie pewnie ten twój Fryderyk innego życia nauczył, to ci teraz tego brakuje.

- E tam! On to mnie raczej życia oduczył, ciociu. Jak odszedł to przez pierwszy tydzień nie wstawałam z łóżka. Nie miałam pojęcia, co mam teraz robić. Czułam się jak aktor, który nagle stanął przed pustą widownią. Właściwie mogłam nadal grać swoją rolę, dla samej siebie - ale po co? Albo mogłam nie robić nic. Czy wiesz, że nie potrafiłam zrobić najprostszych zakupów? Nie umiałam się ubrać, ani uczesać.

Ciotka obierała teraz jajka na twardo z taką energią, jakiej ta czynność z pewnością nie wymagała. Na jej twarzy malowało prawdziwe, głębokie współczucie.

- To ty musisz być bardzo nieszczęśliwa Magduś, co?

- Nieszczęśliwa? A wie ciocia? To mi akurat nie przyszło do głowy. Owszem, miały mną rozmaite uczucia: niepewność, lęk, niedowierzanie, a nawet wściekłość. Ale nie czułam się nieszczę-

śliwa. Właściwie to tylko ta kura przywróciła mnie rzeczywistości. Poczucie odpowiedzialności za kogoś, kto jest jeszcze bardziej ode mnie zdezorientowany i bezradny.

Stryjna spojrzała na mnie zdumiona.

- No jakże to? Przecież ty znienacka mężczyznę swojego życia straciłaś! Porzucił cię, odszedł na zawsze.

- Ma ciocia rację. Fryderyk był niewątpliwie mężczyzną mojego życia, ale nie całkiem w takim sensie, jak to ciocia pojmuje. I straciłam go na zawsze. Ale nie jestem nieszczęśliwa... - zawahałam się.

Wytlumaczenie ciotce moich zawiłych relacji małżeńskich i towarzyszących im uczuć wydawało mi się niezwykle trudne.

- Bo wie ciocia, ja myślę, że znalezienie tego jedyne, co to od pierwszego wejrzenia i aż po grób, to strasznie rzadko się zdarza.

Choć nawet czasem jest się pewnym jak niczego w świecie. Nie wiem, dlaczego tak to jest właśnie urządzone, bo ja jestem przekonana, że każdy człowiek tą swoją drugą połówką gdzieś tam ma...

Stryjna zamierzająca właśnie kroić chleb usiadła na brzegu taboretu i utkwiała we mnie wzrok. Miałam wrażenie, że mnie jednak nie widzi. Zaczęta kromka zwisała nieruchomo spod noża. Czulałam, że być może sprawiam jej - starej panie - przykrość tym wywodem. Uznałam jednak za stosowne dokończenie podjętej myśli.

- ... ale pewnie, gdyby tak każdy każdego zaczął szukać, to zanim by znalazł, prędzej ludzkość by wyginęła. No więc pewnie dlatego są te złudzenia i omyłki. Dla zachowania gatunku. Byle się rozmnożyć, a potem to się można rozchodzić do upojenia - i znowu szukać, rozmnażać i rozchodzić. I tak to się wszystko kręci. To loteria taka jest albo rzut do celu. Próbować można w nieskończoność, w miarę sił i ochoty. Bo niech ciocia popatrzy, gdzieś tam się rodzimy, gdzieś mieszkamy, potem gdzieś wyjeżdżamy albo i nie - i wszyscy ludzie, których w swoim życiu poznajemy są niejako narzuceni nam przez miejsca, w których postawi nas los. A jeśli ta moja druga połowa jest akurat całkiem gdzie indziej i żaden przypadek nie sprawi, że się spotkamy? To jakże ja mam go odnaleźć? Gdzie?

- A ja - odezwała się ciotka z oczami utkwionymi w chleb - ja uważam inaczej. Że tam się właśnie rodzimy, gdzie ten nasz jedyny znajduje się. A jeśli nie, to wszystkie drogi i wszystkie przypadki prowadzą ciebie ku niemu. Los tobie nie przeszkadza, ino pomaga cały czas. Trzeba tylko umieć słuchać i patrzeć. Może on długo chodzić dookoła ciebie i go nie dojrzysz. Bo to po mojemu wcale nie jest tak, że ludzie się szukają i nie odnajdują. Nieraz wpadają na siebie, a czasem i nie sto razy. Tylko, że ślepi są i głusi, i przegapiają to swoje przeznaczenie. Bo nie tak patrzą jak trzeba...

Jak powiesz sobie, wyjdę za bogatego albo za lekarza, albo za blondyna... to wtedy już zamkasz oczy i uszy, bo może on akurat nie jest lekarzem i nie jest blondynem?

I ty teraz los winisz Magduś, nie siebie, ino los. A on może tego jedyne, co tobie wpychał w ramiona, a ty jego odpychałaś. Nie los winien Magduś, ino ludzie. Ino my, sami!

Ciotka zwiesiła głowę. Nie patrząc na mnie, kroiliła sprawnie kromkę za kromką i układała na talerzu. Zapadło milczenie. Nie mam pojęcia, jakie obrazki stawały jej teraz przed oczami, ale chciałabym móc je również zobaczyć. Jakże inna jawiła mi się teraz Matylda. Zdumiał mnie bardzo jej sposób rozumowania, a przede wszystkim to, że w ogóle myślała o takich sprawach. Szczerze mówiąc, nigdy nie zastanawiałam się nad panieństwem ciotki, miałam jakieś tam o niej wyobrażenie i nigdy nie próbowałam go weryfikować. Zrobiło mi się głupio.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam w starej Matyldzie czującą, a może nawet zdolną do cierpienia istotę. Po raz pierwszy również poczułam do niej sympatię i zrobiło mi się jeszcze bardziej nieprzyjemnie.

- Jedz Magduś, posil się, to pójdziemy później na wieś - stryjna na szczęście przerwała to narastanie we mnie uczuciowego dyskomfortu - zobaczysz, ile się u nas zmieniło.

* * *

Z trudem wspinałam się w „miastowych butach” piaszczystą, stromą ścieżką. Ciotka nadawała niemiłosierne tempo.

- A bo to zobaczysz, Magduś, co się w naszych Rapałkach porobiło - mówiła całkiem bez zadyski - i domostwa nowe i ludzie jakby nie ci sami, choć ci sami.

- Tylko... ten zakątek... taki sam - usiłowałam brać równy oddech, by nie pokazać, jak fatalną mam kondycję. - Dlaczego?

- Bo to do samej studni moja parcela jest. Ja nie miałam życzenia, żeby na niej coś ruszać. Po staremu ma zostać.

- Aż do studni? To studnia też do cioci należy?

- I studnia moja.

- Nie myślała ciocia... żeby ją kiedy tak... całkiem... zlikwidować?

- Mnie tam ona nie przeszkadza. Ale choćbym i myślała, to nie da się. Ona teraz zabytkowa, pod ochroną. Nawet tabliczka na niej wisi. Podejźmy bliżej, to zobaczysz.

- To ona taka stara jest?

- Ano, sama poczujesz, ja tam na zabytkach nie rozeznaję się.

Stryj na wdrapała się na górę i czekała na mnie przy studni. Zatrzymałam się przy starej wierzbie.

- Ta kapliczka to też zabytkowa? A co to w środku za figurka?

- Zabytkowa to chyba nie, mój ojciec, a twój dziadek ją w pięćdziesiątym roku tu umieścić kazał. A w środku jest święty Antoni.

- Nie wie ciocia na jaką okazję?

- Ano nie wiem ja, nikt tego nie wie. I czemu święty Antoni, tego też nie. Może żeby woda w studni nie zaginęła? Albo żeby podróżni drogi nie gubili? Bo ja wiem? Ale podejdź ty tu teraz - Matylda skinęła ręką w stronę niewielkiej czerwonej tabliczki - poczytaj sobie.

Spojrzałam w stronę studni i poczułam bolesny kurcz w jelitach.

- Nie ciociu, ja nie podejść - wiedziałam, że sprawiam jej zawód, ale to było ode mnie silniejsze - ja... nienawidzę tej studni. Brzydzę się jej.

- Brzydzisz się studni??? Pierwszy raz coś podobnego słyszę... - ciotka patrzyła na mnie dokładnie tak, jak na to zasługiwałam - może boisz się wody? Całkiem niepotrzebnie. Chodź tu bliżej!

Chwyciłam się za okolice żołądka.

- Jak ciocia nie chce, żebym dostała sraczki pomiędzy świętym miejscem a historycznym zabytkiem, to proszę, chodźmy stąd. - Słabo mi!

- Ty rzeczywiście mocno zbladła, może wrócmy do chałupy? Ale co tobie tak nagle zaszkodzić mogło? - przestraszyła się ciotka.

- Nie ciociu, nic, już mi lepiej - poczułam że wraca mi życie, kiedy przestało mi zagrażać kurtuazyjne zagładanie do studni - ja... przepraszam, ja wiem, co ciocia sobie o mnie pomyśli, ale...

- Co ja pomyślę? Że ci nie przeszło z wiekiem, ot co! Przecie ja przyzwyczajona do twoich różnych dziwadeł i fochów. Widać taka twoja natura. Ano, nic to. Chodźmy.

Na równiutkiej, asfaltowej drodze zyskałam całkiem inne samopoczucie. Moje buty wyczuły teraz znajomy grunt i niosły mnie całkiem bez zakłóceń. Szłyśmy tak sobie spacerkiem, chłonąc bez słowa okoliczny krajobraz. Domy wzdłuż głównej ulicy były murowane, piętrowe, z plastikowymi oknami i ogródkami bez gnojownika na centralnym miejscu. Jak na niewielką, popegeerowską wieś było zadziwiająco schludnie i bogato.

- A to ciociu - zadałam w końcu pytanie, na które ciotka czekała pewnie od dobrych paru minut - to z czego się teraz w Rapalkach żyje? Bo mnie się widzi, że powodzi wam się nienajgorzej.

- Może nie wam, ino im. Tym, co się za agroturystykę chwycili. Teraz wszyscy się tą turystyką zajęli. Ale nie tak: każdy sobie, jak popadnie. Najsampierw sołtys taki biznesplan zrobił, że każdy ja-kaś w tej turystyce specjalistykę ma. Żeby w paradę nie wchodzili sobie.

Bączkowa to na ten przykład w owce i kozy poszła, Paruziki młyn mają, Stelmachy trzymają drób i piekarnię, Rózia od tego jednookiego Wicka ma krowy, a Jędrzejkowie robią kebaby. A, no i Stefanek ma żabki.

- Rany, ciociu, toż to poplątanie z pomieszaniem - ja sobie wyobrażałam, że takie gospodarstwa agroturystyczne to głównie na polską, zdrową żywność stawiają. A tu masz - kuchnia grecka i francuska...

- A nie, francuskiej kuchni to nie ma. Popytu brak - odparła ciotka, zapinając sprzączkę u sandała. - Ino tak, jak mówię.

- No to na co Stefanek te żaby hoduje?

- A... Nie żaby, ino „Żabki”. Sklepy takie. U was na południu ich nie ma?

- Są. Zdziwiał mnie ciocia. I z takiej agroturystyki tyle pieniędzy jest? Ja to widziałam, w telewizji, ale całkiem inaczej. Sama natura, wszystko proste i wiejskie. Choć wydawałoby się, że nie takie dochodowe jak tu...

- Ano i dlatego właśnie. Ty, dziecko, myślisz, że takiemu mieszcuchowi tak o tę naturę rozchodzi się? Owszem, ale trochę. Bo w zapasie to i hipermarkiet musi być, i pica. I telewizor, i prysznic. Nasi sami to wypraktykowali. Najsampierw to próbowali tak, jak ty mówisz. Ale jak taki miastowy po tej zdrowej żywności turbulencji żołądkowej zaznał i mu przyszło całą noc do sławojki latać to za dwa dni zadek w troki brał i dawaj, nazad do miasta!

- Rozumiem, więc zrobiliście taki mix: trochę wsi i trochę miasta - obejrzałam się przez ramię, słysząc, że ktoś się zbliża.

- Dzień dobry, pani Matyldo - pozdrowił ciotkę mężczyzna mijający nas rowerem.

- Ano, dobry! Bratanica mnie odwiedziła. Mężczyzna zahamował gwałtownie.

- A... Ja... nie poznałem. Dzień dobry, Ma... pani Magdaleno!

Przyglądał mi się teraz obcesowo, lustrując z góry na dół. Przyznam, że trochę mnie to denerwowało. Tym bardziej, że nie miałam pojęcia, kto to.

- No, przedstawiać was sobie chyba nie muszę - powiedziała ciotka.

- Jasne, że nie - brnęłam w mroku nieświadomości - a co tam... u... pana?

- A czegoż wy tak panować sobie będziecie? - wtrąciła ciotka. - Małoż to razem po wsi nahasali się?

- U mnie leci - odpowiedział tajemniczy i zwrócił się do ciotki - ja nie wiem, czy Magdalena życzyłaby sobie - ona teraz dama. Ale piękna, jak dawniej. A może i piękniejsza - dodał, śmiejąc się do mnie oczami.

- Jasne, że bym sobie życzyła. Mów do mnie Magda, proszę, jak dawniej.

Mężczyzna przyglądał mi się nadal, przy czym widać było, że mój widok sprawia mu zdecydowaną przyjemność. Mnie, niestety, kompletnie nic nie przychodziło do głowy.

Przebiegałam w pamięci wszystkich znajomych z dzieciństwa, ale ten facet nie pokrywał mi się z żadnym wizerunkiem. Ukazały mi się przed oczami liczne, umorusane gęby z poobijanymi i podrapanymi kończynami. Może po gruntownym umyciu ujawniłyby się jakieś indywidualne cechy fizyczne, ale ja ich takich nigdy nie widziałam. Stojący naprzeciw mnie osobnik był zaś schludnym, sympatycznym i całkiem przystojnym mężczyzną.

Na oko w moim wieku albo i młodszy - niewykluczone, że wysportowana sylwetka i modnie ułożone, kruczoczarne włosy odejmowały mu optycznie lat. Jedno było pewne, że to ktoś z ówczesnych Rapalskich elit społecznych. Inaczej stryjna nie poświęciłaby mu tyle uwagi.

- A gdybym się ośmielił zaprosić cię na kawę? Ot, tak, po koleżeńsku... Pogadaliśmy o starym i nowym, co ty na to? - zapytał w końcu i zastygł w oczekiwaniu na moją odpowiedź.

Łypnęłam ukradkiem na ciotkę, ale nie dostrzegłam ani świętego oburzenia ani gromowładnego potępienia.

- No, dobrze - odpowiedziałam niepewnie - mnie również miło będzie powspominać stare czasy.

- Świetnie! - ucieszył się tajemniczy. - To może dzisiaj wieczorem? Mamy tu teraz taką przytulną gospodę. Nie widziałaś jej jeszcze chyba? „Rapłowianka” się nazywa. O ósmej? Dobrze?

Znowu łypnęłam na ciotkę. Zero dezaprobaty. To utwierdziło mnie jeszcze bardziej w przekonaniu, że mój rozmówca wywodzi się z któregoś z szacownych rapalskich rodów.

Musi to być w takim razie Mareczek Stelmach albo może Jędrzej Jędrzejek. Widząc, że nie podpadnę ciotce przyjęciem jego propozycji, odpowiedziałam z większą pewnością w głosie:

- Jasne, może być. No to, do zobaczenia wieczorem.

Mężczyzna skłonił się szarmancko i odjechał na swoim góralu. Że też nie padło jego imię... Już bym wiedziała, z kim rozmawiam.

- Jak chcesz, to idź - powiedziała ciotka, widząc moją niepewną minę - ja tobie nie bronię. Widzę, że ty skrepowana jakaś jesteś. Ja nie mam nic przeciwko, idź! Ty pewnie dawno rozrywki nijakiej nie miałaś.

- A bo ja ciociu... Bo ja nie wiem, kto to był. Zupełnie go nie pamiętam.

Ciotka aż przystanęła z wrażenia.

- Nie pamiętasz? Toż twój kolega najulubiejszy. Latoszków Olek.

Teraz z kolei ja na moment wrosłam w ziemię.

- Od tych, co przydrożnymi śliwkami brzuchy napychali?

- Ano - odparła ciotka spokojnie - tenże sam.

* * *

Idąc do gospody „Rapłowianka” - a właściwie wlokąc się noga za nogą - rozmyślałam nad ostatnimi wydarzeniami. Olek Latoszek... Wiecznie usmarkany, czerniawy chłopak, z którym w dzieciństwie nie wolno było mi się zadawać...

Latoszkowie mieli takiego czerniawego, usmarkanego potomstwa sporo, ja w każdym razie nigdy nie umiałam się ich doliczyć. Olek był najfajniejszy z nich wszystkich: żywy, pełen zwariowanych pomysłów, zawsze skłonny wprowadzić je w czyn, nie licząc się z konsekwencjami. Był przy tym odważny i prawdomówny i jeżeli już przyszło do rozliczenia się z grzechów, zawsze rycersko mnie bronił i brał całą winę na siebie. Ciotka twierdziła, że ma na mnie zły wpływ. Ale przecież taki Jędrzek Jędrzejek nie był wcale od niego lepszy, jego ulubione wygłupy polegały głównie na robieniu innym na złość, przy czym większość z nich nie była wcale śmieszna.

Z nim jednak wolno było mi się bawić. Latoszkowie byli największą biedotą we wsi, mówiło się również, że mieli cygańskie pochodzenie i w tym tkwiło sedno sprawy. Dla ciotki stanowili symbol wszystkiego co najgorsze, a porównanie do Latoszków stanowiło formę obelgi lub przestrogi.

Od początku mojej wizyty u ciotki coraz częściej odnosiłam wrażenie, że z czasem bardzo się zmieniła, złagodniała, że była teraz bardziej wyrozumiała, wrażliwsza. Jej serdeczna rozmowa z Olkiem dzisiaj rano jeszcze bardziej mnie w tym utwierdziła. Z każdą chwilą czułam, że nawiązujemy ze sobą coraz lepszy, cieplejszy kontakt, a ja - zaczynałam czuć się tu szczęśliwa. Kiedy jednak Matylda wprowadziła mnie we wszystkie tajniki obecnego życia wsi i okazało się, że Latoszkowie, a w szczególności Olek, są teraz najbogatszymi i - rzecz jasna, bardzo szanowanymi obywatelami Rąpalek, pomyślałam sobie: ot, i cała filozofia ciotczynej przemiany!

Dochodząc teraz do gospody zastanowiłam się, o czym ja będę z tym nowym Olkiem rozmawiać? Jeżeli cały zmienił się tak bardzo, jak jego image, może być niezręcznie...

- A, tam - westchnęłam, wchodząc z impetem do środka przez dwuskrzydłowe, wahadłowe drzwi jak z Bonanzy - jakoś tam będzie. Rozejrzałam się ciekawie we wnętrzu, niezupełnie jeszcze przyzwyczajona do eklektycznego, wszechobecnego w Rąpalkach stylu. Na pobielonych ścianach wisiały rozmaite przedmioty służące ku ozdobie: chomąta, stare sierpy, przetaki, a także: lasso, kowbojski kapelusz i autentyczny na oko, winczester. Nagle wyrósł przede mną Olek we własnej osobie i stanął tak blisko, że nie mogłam ogarnąć go wzrokiem w całości.

- Hejka - powitał mnie luzacko, a ja z ulgą stwierdziłam, że ma ciągle takie same jak kiedyś, psotne oczy.

- Hejka - odpowiedziałam, mam nadzieję równie swobodnie - to jak, siądziemy gdzieś?

- Jasne, zająłem już miejsce. Tam, pod snopkiem słomy - wskazał na solidny wiecheć w kącie sali i stojący pod nim stolik.

Ruszyłam przodem, choć w tym momencie wolałabym odpuścić sobie konwenanse i móc przyrzec się swobodnie idącemu przede mną Olkowi. Rzecz się miała jednak dokładnie odwrotnie.

- No, co tam? - zapytał, siadając.

- Jezu! - jęknęłam. - Tak w ogóle? Czy chodzi ci o coś konkretnego?

- No, konkretnie o ciebie.

- To może ja pierwsza zapytam: no, co tam?

Olek roześmiał się. - Założę się, że ciotka ci wszystko zreferowała. Chciałbym, żebyś teraz wyrównała, z grubsza chociaż, poziom naszej wzajemnej wiedzy o sobie.

- Jasne, powiem ci w takim razie o sobie dokładnie tyle, ile dowiedziałam się o tobie. No więc... Nie pracuję, nie mam za dużo kasy, na stałe mieszkam w Krakowie, w leciwej kamienicy. Mieszkanie zostawił mi ojciec, ale wykupił je mój mąż. To tyle.

- Uuuu! - Olek wpatrywał się we mnie z rozbawieniem - mogłem się spodziewać, że donna Matylda zacznie od tego rodzaju informacji na mój temat. Wyznacznik poważania społecznego: stan posiadania. I tylko tyle?

- Tylko.

- A ja bym swoją biografię poszerzył o bardziej istotne wiadomości.

- Na przykład?

- No... na przykład... - mówił, wodząc oczami za kelnerką - a właściwie przede wszystkim - skinął głową w jej stronę - stan cywilny. Wykształcenie. Zainteresowania. Ogólny rys pozytywnych cech charakteru. Czego się napijesz? - zapytał, widząc nadchodzącą kelnerkę.

- Hmm... - wiedziałam przecież, że chcę się napić kawy, jednak strój obsługi tego lokalu na moment odebrał mi mowę. Pani miała na sobie, patrząc od dołu: kowbojskie buty z ostrogami, pończochy - kabaretki, kwiecistą, góralską spódnicę z haftowanym fartuszkiem, czerwoną koszulkę z napisem „Warka Strong” i wianek. Pewnie długo bym jeszcze pasła oczy tym widokiem, gdyby Olek delikatnie nie trącił mnie w rękę.

- Aaaa... kawę. Tak, kawę, parzoną, czarną i może... aaa... - właściwie chyba było mi wszystko jedno - tak! Kawę. - Dziwny trochę gust ma właściciel tej knajpy, nie sądzisz? - zwróciłam się do Olka po odejściu dziewczyny.

- Dziwny? - zapytał. - A może po prostu oryginalny? W jego oczach dostrzegłam znajome diabełki z dzieciństwa i coś mnie tknęło - Olek, a właściwie kto jest jej właścicielem?

- Tego ci ciotka nie powiedziała?

- Nie.

- Oliwier Latoszek.

- Jakiś twój krewny? Któryś z braci może?

W tym momencie Olek, stając nagle naprzeciwko mnie stworzył mi nieoczekiwaną okazję obejrzenia się w całej okazałości.

- Wygląda na to, piękna pani, że będziemy musieli zacząć ab ovo - rzekł uroczyście, wyciągając dłoń w moją stronę.

- Oliwier Latoszek, we własnej osobie.

- Magdalena Go... Miło mi.

- Słucham?

- Magdalena. Mam na imię tak samo, jak zawsze.

- Ja też. Olek to zdrobnienie od Oliwier. Mało kto o tym wie.

Odetchnęłam. W pierwszej chwili pomyślałam, że Olek po prostu zmienił imię na bardziej snobistyczne.

- Wiesz - powiedział, siadając - mój dziadek tak namieszał. Miał mnie zapisać w urzędzie, a rodzice ustalili, że mam mieć na imię Olek. Dopiero na miejscu staruszek uświadomił sobie, że nie ma pojęcia od jakiego imienia to zdrobnienie pochodzi. I tak dumali z tym urzędnikiem, dumali i wydumali Oliwiera.

- No i co potem? A dlaczego mało kto o tym wie? Kto wie?

- No i nic. Rodzice jakoś to przeboleli. Wie o tym, a właściwie wiedział mało kto, bo jak sądzę, z takim imieniem byłbym jeszcze bardziej izolowany we wsi. Teraz ono nikogo już nie zadziwia.

W tym momencie nadeszła, podzwaniając ostrogami kelnerka i postawiła przed nami dwie kawy i dwie lampki koniaku.

- Czy myśmy zamawiali koniak? - spojrzałam zdziwiona na stojący na stoliku alkohol.

- Powiedziałaś, że może być, nie używałem przemocy

- Olek uśmiechnął się przekornie.

- Tak? No to może być. No cóż, za karę wypiję, choć muszę przyznać, że nie najlepiej znoszę alkohol.

- W takim razie za nasze spotkanie - Olek podniósł swój kieliszek.

Przewróciłam się chyba po raz setny z boku na bok i nijak nie mogłam się w tym łóżku wymościć. Wywaliłam na podłogę ostatnią poduszkę stryjny, ale i to nie wiele pomogło.

- No tak - powiedziałyby teraz Matylda - trzeba było tyle nie chlać! Oj, trzeba było ciociu, trzeba! Ale co ja na to poradzę - teraz? Alkohol działa na mnie tak jakoś dziwacznie, że upijam się całkiem już pierwszym kieliszkiem, każdy kolejny natomiast ani odrobinę nie pogłębia tego stanu. W ten sposób - czy wypiję lampkę koniaku, czy skrzynkę - nie robi żadnej różnicy. Och, kurza dupa, moja głowa!

Uniesiona nad poduszkę zaczynała natychmiast żyć własnym życiem i wirowała na mojej szyi jak blaszany bąk. Wydawało mi się chwilami, że nie jestem w stanie tego przeżyć. Było mi równocześnie zimno i gorąco, jednocześnie też chciało mi się rzygać i pić. Otworzyłam na oścież okno i leżąc na wznak jak rozjechana żaba, usiłowałam oddychać regularnie. Skupianie się na oddechu niejednokrotnie pomagało mi w rozmaitych przypadłościach. W tej nie pomogło... Wiem, zmówię pacierz - pomyślałam sobie, tym bardziej że nie pamiętałam, czy odmówiłam wieczorną modlitwę - to pomoże, Bóg jest miłosierny dla grzeszników. Zaczęłam odmawiać pacierz na leżąco, ale w ten sposób odczuwałam jeszcze większy dyskomfort. Westchnęłam głęboko. Nie wstanę z łóżka, to pewne. Ale gdyby tak choć trochę, choć na jednym kolanie? Natychmiast zaczęłam wprowadzać swój zamiar w czyn. Przewróciłam się na brzuch i powoli zaczęłam opuszczać lewe kolano na podłogę. Druga noga, wbrew moim przewidywaniom - a raczej wobec braku jakichkolwiek przewidywań - zamiast zostać grzecznie na łóżku sterczała teraz pionowo przed moimi oczyma, zasłaniając obraz Jezusa w cierniowej koronie.

- Patrz na obrazek, Magdaleno - skarciłam się słowami ciotki Matyldy.

- Łatwo ci mówić, ciociu! - próbowałam się wychylić to z prawej, to z lewej strony łydki, skutkiem tego straciłam równowagę i z głośnym łoskotem wykonałam klasyczny szpagat. W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzała stryjna.

- Co ty wyrabiasz Magdaleno po nocy? Śpijże w końcu.

- Ja? Nic, ćwiczę ciociu... callanetics.

- No to przestań - powiedziała ciotka groźnie - już ja cię rano wyćwiczę. Dobranoc!

- Dobranoc - odpowiedziałam, kiedy ciotka już zamknęła drzwi. - Ano, ćwicz, batoż i katuj - łkałam skruszona - należy mi się, jawnogrzesznicy. Chyba. Bo nic nie pamiętam!

Z trudem wdrapałam się z powrotem na łóżko i próbowałam sobie przypomnieć wydarzenia poprzedniego wieczoru... Olek... Opowiadał mi o sobie.

Jest teraz chyba zamożnym facetem, ma masę różnych tam nieruchomości, ruchomości i w ogóle. Skończył zaocznie jakieś studia, ale jakie? Nieważne... Ważne jest, że nadal jest kawalerem.

On tak powiedział: „Ważne, Magdaleno, że ciągle jestem do wzięcia”. Ale czemu on mi to mówił? No, jak to czemu! Zwierzałaś mu się Magdaleno, jak pijana siksa! Tak, wisiałaś mu na torsie i wyzalałaś się z detalami na swój los... - O, mój Boże...

- O!!! Mój Ty Boże!!! Co za wstyd! Jutro rano muszę wyjechać. Nie mam wyjścia. Ciotka nie przeżyje takiej hańby, a ja, nawet jak przeżyję, to do końca życia pozostanę w ukryciu!

Teraz już całkiem zaczęłam się rozklejać nad sobą. Chlipiąc dobrą chwilę w goły siennik, poczułam, że wreszcie mogę zasnąć. Powoli uspakajałam się i zapominałam o moich haniebnych ekscesach...

- Mamuuuusiuuu! - usłyszałam nagle krzyk małego dziecka.

- Ciiiiicho!!! - odpowiedziałam, nie otwierając oczu. - Mamusia jest zmęczona. Nie krzycz.

- Mamusiu, czemu cię nie było tak długo? Ty znowu piłaś mamusiu? Proszę cię, nie zostawiaj mnie już! Nie odchodź!

- Nigdzie nie idę. Daj mi spać, proszę. Idź do siebie do łóżka, jest noc! - mamrotałam.

- Nie pójdziesz już nigdzie? Nie pójdziesz? - prosiła mała.

- No pewnie, że nie pójde. Usłyszałam tupanie bosych stópek.

- Pójdziesz? Pójdziesz? - dał się słyszeć pogłos zza okna.

- Pójdziesz! Pójdziesz! - coś ewidentnie ze mnie kpiło.

- Aha - uniosłam się ciężko na łóżku - do dupy! - krzyknęłam. - I wybij to sobie ze łba, kimkolwiek jesteś. O!!! - na wszelki wypadek wyeksponowałam wyprostowany, środkowy palec. - Paszoł won, ja śpię. A ty - jak sobie chcesz, tylko przestań drzeć ryja.

Nagle wszystko się uspokoiło i poczułam, że nadchodzi pożądaný sen.

Kiedy się obudziłam, było już południe. Serce podchodziło mi do gardła na myśl, że będę musiała stanąć oko w oko z ciotką. Uznałam, że odwlekanie tej chwili nie wiele mi pomoże - przeciwnie -

jeszcze trochę, a będę gotowa zwać oknem. Przeżegnałam się dla dodania sobie odwagi i otworzyłam drzwi do kuchni.

Ciotka siedziała, patrząc tępo w okno, na stole stał gliniany garnek z zsiadłym mlekiem, a obok cynkowe wiadro pełne pąsowych róż. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Pierwsza odezwała się Matylda.

- Twój adwokat tu był.

- Adwokat? - spytałam, nie rozumiejąc w pierwszej chwili. - Znaczą się... Fryderyk?

- E, tam. Olek. Kajał się przede mną. Całkiem jak wtedy, kiedy byliście mali. Oczywiście jak zwykle ty nie byłaś niczemu winna.

- Ja... przepraszam ciociu. Naprawdę nie chciałam się tak urządzić. Wypiłam tylko trochę koniaku, a potem... potem... no właśnie. Potem to już sama nie wiem.

- Olek cię przyprowadził - powiedziała ciotka, bełtając w garnku. - Masz, wypij - podała mi kubek chłodnego, cudownego napoju.

- Ciociu - powiedziałam cicho z oczami utkwionymi w ogromny bukiet - ciociu, ja... już nie będę.

Ciotka siedziała teraz z łokciami wspartymi na stole i twarzą ukrytą w dłoniach. Po chwili uświadomiłam sobie, że płacze. Tego się naprawdę nie spodziewałam. Czekałam raczej na jakąś awanturę, prędzej bym nawet mogła przypuszczać, że wyrzuci mnie z domu. Moim sumieniem targnęły ogromne wyrzuty.

- Ciociu, ciociusiu, nie płacz. Proszę, ja... nie wiem co mam powiedzieć. Wybacz mi...

Stryj na odsunęła dłonie od twarzy i zobaczyłam jej wielkie, błękitne oczy patrzące na mnie z ogromnym żalem.

- Nie pij, nigdy już, proszę... Obiecuj mi. Że nigdy już nie wejdiesz do tego domu pijana.

Boże mój, skąd ja znam ten wzrok? Te wielkie, niebieskie oczy... Skąd?

- Oooo... ciociu... - wyjąkałam, bo nagle coś niejasnego przyszło mi do głowy: ten mój jeden występ nie mógł być przecież powodem aż takiego dramatu!

- Czy... zbierałam się na odwagę, żeby zadać to pytanie - czy w tym domu ktoś kiedyś pił?

Ciotka wstała i odwróciła się do mnie tyłem, sięgając do kredensu po chleb.

- Tak - odpowiedziała po chwili. - Moja matka.

III.

Ewa bez gwarancji na raj

A! Mam cię - nie wiadomo skąd, wyskoczyła tuż przed Fryderykiem Ewa. - Ważny klient, tak? A my sobie tutaj spacerujemy po mieście... Nie wiadomo dokąd i po co...

- A czy ja ci powiedziałem kwiatuśku, że mam spotkanie w biurze? Właśnie od niego wracam.

- Przysięgasz? Nie okłamujesz Ewuńka? - zaglądała mu kokieteryjnie w oczy.

- No co ty. Dla ciebie okłamywałem żonę. Już taki kłamczuch to ja nie jestem.

- A, to dobrze - powiedziała Ewa, biorąc Fryderyka pod ramię. To możemy pobiegać po sklepach i skoczyć gdzieś na kawkę.

- Może nie afiszujemy się tak na razie, kochanie - Fryderyk wyplątał się z jej uścisku i włożył rękę do kieszeni. W końcu nadal jeszcze jestem żonaty.

- Wstydzisz się mnie? - prychnęła Ewa. - Powinieneś być dumny, że taka laseczka jak ja, ma życzenie defilować z tobą po mieście.

- A bo ja wiem... - droczył się teraz Fryderyk, mierząc Ewę od stóp, do głów.

Trzeba było jednak oddać jej sprawiedliwość, że prezentowała się doskonale: w króciutkim, czerwonym płaszczku przeciwdeszczowym i identycznych botkach, smukła, długonoga. Jej proste, naturalne blond włosy sięgające do pasa sprawiały, że oglądał się za nią niemal każdy przechodzący obok mężczyzna. Fryderykiem targały zupełnie sprzeczne uczucia - z jednej strony rad by wykrzyknąć do nich wszystkich, że Ewa jest jego i tylko jego, więc wara im od niej - z drugiej zaś, nie bardzo miał ochotę teraz manifestować ich związek.

- No, dobra, mała, chodź - powiedział wreszcie, chwytając ją pod rękę i wsuwając głowę pod czerwoną parasolkę - wszystko jest dopuszczalne, o ile da się to odpowiednio uzasadnić.

- Mmmm... - mruzczała Ewa zalotnie - a teraz do buticzku po kostiumik dla Ewuńka, a potem na kawunię z likierkiem.

- Z koniackiem.

- Z likierkiem.

- Fredi z koniackiem, Ewunię z likierkiem.

- Nie - oznajmiła Ewa. Fredi też z likierkiem. Skoro Fredi lubi Ewuńka, a Ewunię lubi likierek, to Fredi też lubi likierek.

- Dobrze - roześmiał się Fryderyk. - Niech ci będzie.

Była taka dziecinna... Tym swoim rozkosznym szczebiotem potrafiła przekonać go do wszystkiego.

- Może weźmiemy taksówkę? - zapytał.

- Nie - ucięła krótko. - Pójdziemy nóżkami.

Kostium Ewy był równie drogi, co skąpy. Miał zdecydowanie - zdaniem Fryderyka - za mało materiału dołem, równie mało górą, oraz sporą przerwę pośrodku.

- Ale to dla Frediego Ewunia musi być śliczna - przytuliła się do niego w przymierzalni. Fredi kupi, prawda?

Fredi kupił, wypił także filiżankę kawy z niemiłosiernie słodkim likierkiem, potem kupił jeszcze perfumy i kolczyki, bo przecież kostiumik wymagał odpowiedniego uzupełnienia.

- Zamówię ci taksówkę kochanie. Ja muszę teraz na chwilę wpaść do biura, a potem jeszcze zajść do matki.

Ewa wygięła usta w podkówkę.

- Ani mru-mru! - uprzedził ewentualne wyrzuty. - Cały dzień spędziłem dzisiaj z tobą, zaniebując obowiązkami.

Dziewczyna westchnęła dramatycznie.

- Pa - Fryderyk cmoknął ją w policzek, uprzednio dyskretnie lustrując teren - będę wieczorem.

Och, ta mała, jest taka absorbująca - pomyślał Fryderyk. - Muszę to wszystko jakoś poukładać, bo rzeczywiście, dalej tak być nie może. Wpadając do gabinetu, zapytał w przelocie Bożenkę, czy nikt go nie szukał. Uspokojony odpowiedzią zamknął za sobą drzwi i zaczął wyjmować zabrane pod nieobecność Magdaleny papiery.

- Bilety do teatru... ojej, ile tego jest - mamrotał do siebie - zaproszenia... kartka imiennowa... karnet na solarium... zdjęcia. Fryderyk przyglądał się uważnie trzem, czarno-białym fotografiom, których nigdy przedtem nie widział. Na jednej z nich była Magdalena w nastoletnim wieku, ubrana na galowo.

- Jaka ty śliczna byłaś, Magdaleno - szepnął do pozującej panienci. I nadal... chyba jesteś... - A to? - zastanowił się chwilę oglądając pod światło poźółkłą odbitkę formatu pocztówki.

Postaci uwiecznione na zdjęciu nic mu jednak nie mówiły. Odłożył je na biurko. Na ostatnim zdjęciu był ojciec Magdaleny, tego był pewien. Widział go już wcześniej na innych fotografiach. Wziął jeszcze raz do ręki wyblakły portret grupowy i podszedł z nim do okna. - To będzie... tak, to też ojciec Magdy. Kobieta obok, to jej matka. Na pewno.

Podobna sylwetka, jasne włosy i te same, mocno zarysowane brwi. Dzieckiem stojącym pośrodku będzie w takim razie Magdalena.

Fryderyk wyteżył wzrok i przyglądał się bardzo uważnie. Był już pewien, że ten kilkuletni bobas to jego żona. Patrzył teraz na kobietę stojącą po lewej stronie teścia i nie był w stanie rozeznaczyć, kim była.

Wsunął zdjęcie do kieszeni i postanowił odbębnić wizytę u matki. Wychodząc, zapowiedział Bożence, że nie wróci już dzisiaj i polecił zapisywać ewentualnych interesantów na jutro od samego rana.

Drzwi do mieszkania matki otworzył własnym kluczem, nie chcąc jej fatygować. Rzucił na wieszak wilgotną kurtkę i zdjął buty. Wydawało mu się, że słyszy dochodzącą z kuchni rozmowę. Zajrzał ostrożnie i ujrzał siedzącą przy stole... Ewę!

Na widok jego zaskoczony i chyba niespecjalnie zadowolony miny matka puściła do niego oko.

- No i przyszedł Mahomet do woza - powiedziała, trącając Ewę łokciem.

- Co mamusia ma na myśli? - spytał Fryderyk zdezorientowany całą tą sytuacją.

- Podobno że nie chciałeś zabrać swojej dziewczyny do teściowej. No i sama przyszła.

- Dobrze zrobiłaś, dziecko - zwróciła się do Ewy. Ten mój Fredziu to czasem nijakiego rozoznania nie ma. Załatany taki. A rodzina przecie najważniejsza.

Ewa rozpląwała się w uśmiechach, obdarzając nimi równomiernie Fryderyka i jego matkę.

- Usiądź sobie z nami kochany - wyszczebiotała - mamusia serwuje pychowe ciasteczko. Chcesz kawusi?

Fryderyk stał na środku kuchni i właściwie nie potrafił się zdecydować, czy cieszy go ta komitywa Ewy z matką czy wręcz przeciwnie.

- A cóż tak wrosłeś? Siadajże w końcu - ponagliła syna Gomorowa, nakładając mu na talerzyk spory kawał sernika - mieliśmy przecież pogawędzić.

- No właśnie - Fryderyk spojrział na matkę znacząco.

- Czyżbyś miał coś do ukrycia przed dwoma kochającymi cię kobietami? - spytała Ewa, marszcząc nosek.

- Nawet jak miał, to już teraz nie ma - stwierdziła beztrąsko matka - właśnie opowiedziałam Ewusi, jaki to miałeś psi żywot przy tej lucernie.

Fryderyk zastygł z kawałkiem sernika w ustach.

- Przy kim???

- Mamusia ma na myśli lampucereę chyba, tak mamusiu? - wtrąciła usłużnie Ewa. - Magdalene, znaczy.

Korzystając z tego, że ma pełne usta sernika Fryderyk jadł wolno, dając sobie czas na znalezienie właściwych słów.

- Mamusia wybaczy - odezwał się w końcu - ale to ja powinienem mówić Ewie o sobie i nikt inny. To, co sam uznaję za stosowne i tyle, ile uważam.

- A niech wie! - krzyknęła wzburzona Gomorowa. - Co, ukrywał będziesz, jaką żonusię miałeś? Przecież wszyscy to wiedzą!

- Tak, tylko skąd? Skąd wszyscy wiedzą? - Fryderyk spojrział matce w oczy. - Ja nigdy nie obnosiłem się ze swoimi prywatnymi sprawami. Ani ja, ani Magdalena.

- Czyli, że co?! To już prawdy ludziom nie wolno powiedzieć?

Ewa siedziała sztywno przy stole z malującą się na twarzy satysfakcją. Czuła się teraz panią sytuacji.

- Dobrze, mamó - Fryderyk zwrócił się do matki z wymuszonym spokojem - niech mama powie mi w takim razie, jaka jest ta prawda.

- Jaka? Jaka??? - zachłysnęła się Gomorowa.

- No jak to, jaka...

- Właśnie, jaka?

- Dajże spokój, kochanie - Ewa pogładziła Fryderyka po włosach - wszyscy wiemy w czym rzecz, więc po co nadal rozdrapywać twoje rany. Moje ty biedactwo... Ewuniek je szybciotko wyleczy, zobaczysz.

- Dobrze, nie będziemy już do tego wracać. Ale zanim zamkniemy temat, powiem wam moją prawdę - Fryderyk na chwilę zawiesił głos - największym grzechem Magdaleny, a może i jedynym było to, że stała się nudna. Beznamiętna i nijaka. Jak to się mówi, od lat już nie iskrzyło między nami. I tyle. - A tymczasem - powiedział szybko, widząc że matka zamierza coś jeszcze dodać - tymczasem możemy sobie pogawędzić. Jak w rodzinie.

Zapadło ogólne milczenie. Najwyraźniej żaden temat na pogawędkę nie był równie ciekawy. Fryderyk nałożył sobie kolejną porcję sernika i napchał nim usta, by nie czuć się zobowiązanym do podtrzymywania rozmowy. Pierwsza milczenie przerwała matka.

- Smakuje ci serniczek?

- Chfmafuje - odpowiedział z pełnymi ustami.

- Może jeszcze? - zapytała Ewa.

- Szalasz.

- To znaczy?

Fryderyk z trudem przełknął wielką kluchę nagromadzoną w jamie ustnej.

- Zaraz.

- To może jeszcze kawusi?

- Poproszę.

Właśnie podnosił filiżankę do ust, kiedy matka rzuciła się ku niemu z serwetą.

- Umażgałeś się Fredziu, o, masz na brodzie fąfel z czekolady.

- To jest rodzynka - skonstatowała Ewa, nachylając się bliżej.

Matka zamachnęła się serwetką w kierunku brody syna, strącając brązową grudkę wprost do filiżanki.

- Nie mówiłam? To była rodzynka, mamusiu. Czekolada by tak łatwo nie odeszła.

- Ja obstaję przy czekoladzie - Gomorowa wydarła Fryderykowi filiżankę z dłoni i zaczęła w niej gmerać widelcem - o, widzisz? Jakby by to był rodzynek to by był. A nic nie ma, bo się rozpuścił.

- A ja stanowczo twierdzę, że rodzynka. Widziałam przecież - Ewa wyjęła Gomorowej z ręki widelec z zamiarem zanurzenia go w kawie.

- A! I proszę bardzo! - wykrzyknęła radośnie, unosząc go w górę. - Tu jest! Wlaza mamusi między zęby!

Fryderyk od dłuższego czasu rozmyślał gorączkowo, jakby tu sprowadzić rozmowę do z grubsza chociaż, normalnego poziomu. W desperacji zdecydował się na krok, który wcześniej absolutnie nie leżał w jego zamiarach.

- Byłbym zapomniał - rzekł, sięgając do kieszeni marynarki - znalazłem w toalecie Magdaleny kilka zdjęć, ale nie mam pojęcia, kto na nich figuruje.

Podziałało. Obie panie natychmiast nachyliły się nad fotografią.

- Przecież ty wiesz synek, że ja nie znam nikogo z jej rodziny - stwierdziła Gomorowa, wpatrując się kolejno we wszystkie postaci.

- Domyślam się, że ta dziewczynka to Magdalena, a ci państwo - Fryderyk wskazał palcem na parę stojącą po obu stronach dziewczynki - to pewnie jej rodzice. Dostrzegam nawet spore podobieństwo. Ale ta kobieta? Mam wrażenie, jakbym ją już kiedyś widział, ale zupełnie nie kojarzę.

- Eee... zdaje ci się. To niemożliwe, ta małpa przecież nigdy... - Gomorowa urwała nagle i spojrzała szybko na Fryderyka.

- Mamusia ją zna?

Gomorowa wzdrygnęła się i zacisnęła usta.

- Skąd mamusia zna tę kobietę?

- A czy ja mówię, że znam? Pierwszy raz ją na oczy widzę! - mitygowała się wyraźnie rozdrażniona. - Daj ty mnie święty spokój, co mi tu wmawiał będziesz! Mówię tylko, że do małpy podobna. No popatrz Ewuś, nie mam racji?

- Czy ja wiem... - wahała się Ewa, wpatrując się w zdjęcie - ja bym powiedziała, że raczej do lamy.

- Ja ci mówię, że do małpy, popatrz na to czoło.

- No niechże mamusia lepiej się przyjrzy. Ta płaska twarz i ten wydatny podbródek, lama, jak żywa!

- Gdzież tam lama - Gomorowa zabrała Ewie zdjęcie - ty spójrz tylko na te uszy...

- Dostyc tego, miłe panie - zakończył sprzeczkę Fryderyk, chowając przedmiot sporu do portfela.

Chciał dodać, że jego zdaniem nieznamąca z fotografii jest niezwykle piękną kobietą, ale obawiał się wywoływania kolejnych idiotycznych dyskusji.

- Idziemy Ewuś, już późno. Dziękujemy mamusi za pyszne ciasto, wpadniemy niebawem - mówił, idąc w stronę przedpokoju. - Pozwól kochanie - podał jej płaszczyk - kawusia również była wyśmienita.

Fryderyk wiedział, że musi działać szybko i zdecydowanie, jeśli bowiem pozwoli teraz powiedzieć matce cokolwiek, nie wyjdą przez kolejne pół godziny i spędzą je z ręką na kłance.

- No to może... - Gomorowa uczyniła ręką gest w stronę sypialni.

- No to może pojutrze? Oczywiście, może być pojutrze, prawda Ewuś? Pożegnajcie się w takim razie - lekko popchnął Ewę w stronę matki.

- A może by... - reszta zdania została zduszona w czułych objęciach.

- Dobrej nocy mamusiu - Fryderyk ucałował matkę w rękę, ruchem znamionującym dużą wprawę zagarnął sobą Ewę i równocześnie z nią znalazł się na klatce schodowej. Kiedy usłyszał zamykające się drzwi od mieszkania, objął ją mocno w talii, jej dłoń natomiast zawiesił sobie na szyi.

- No, laseczko - powiedział ze śmiechem - teraz już możesz dowoli defilować ze mną przez miasto.

- Bo przedstawiłeś mnie matce? - spytała Ewa uroczystym głosem.

- Nie - odparł Fryderyk, chichocząc - bo jest ciemno.

- No, chodźże wreszcie - mruzczał Fryderyk, przeciągając się w satynowej pościeli - szybciuń - naglił, wodząc oczyma za krzątającą się przy wieczornej toalecie Ewą.

- Nie. Fredi dzisiaj ma karę - odparła, szczotkując włosy - i będzie spał sam.

- Karę? A za cóż to? - Fryderyk zmarszczył brwi z niejasnym poczuciem, że raczej powinno być odwrotnie.

- Bo - Ewa odwróciła się ku niemu i zaczęła wyliczać na palcach - nie chciałeś zabrać mnie do mamusi. Bo dowiaduję się za twoimi plecami rzeczy, o których dawno sam powinieneś mi opowiedzieć. Bo nabijałeś się dzisiaj ze mnie.

Fryderykowi przemknęło przez myśl, że nie trzeba wcale beczki soli, by móc poznać kobietę. Wystarczy i naparstek, byle pod jednym dachem.

- Dobrze, Ewuś - powiedział skruszony. Masz rację, byłem okropny. Myślę nawet, że ta kara jest zbyt łagodna, toteż z własnej woli odmówię sobie na jakiś czas jeszcze innych przyjemności.

- Och! To bardzo... rzetelne z twojej strony. A jakież to przyjemności?

- No wiesz - Fryderyk spojrzał jej w oczy z udawaną rozpaczą - strasznie lubiłem te wspólne wypadki na zakupy: butiki, drogerie, sklepy jubilerskie...

- Ależ nie, to zupełnie niepotrzebne - Ewa zaprotestowała gwałtownie - nie przesadzajmy!

- Ależ tak, kochanie. Jak karać, to karać. Będę się umartwiał. Cały tydzień.

Fryderyk odwrócił się do ściany. Oho - pomyślał - pojętna uczennica. Raptem jedna lekcja, a jak sumienie odrobione zadanie domowe? Ciekawe, kiedy Ewa zrozumie, że nie opłaca jej się pobierać nauk u mojej matki... A swoją drogą - zastanowił się - czy Magdalenie udzielała podobnych rad? Jeśli tak, to trafiały na niepodatny grunt, ona nigdy stosowała podobnych sztuczek. Ona nigdy...

Fryderyk przyłapał się na tym, że coraz częściej porównuje Ewę do Magdaleny: co Magdalena zrobiłaby w podobnej sytuacji, jaką kupiłaby suknię, co by powiedziała itp. Jeszcze niedawno to ona wypadła w takich porównaniach blado, dziś już nie w każdej sytuacji był tego taki pewien. Być może dlatego właśnie tak denerwowało go nagłe zniknięcie żony. Po prostu nie umiał sobie wyobrazić, że mogło by jej nie być...

Nie dlatego, że się o nią martwił - w końcu przez całe trzy tygodnie od wyprowadzki ani razu nie zainteresował się, jak sobie radzi, jak się czuje, czy ma co jeść. Wcześniej się nad tym nie zastanawiał, teraz jednak zaczynał rozumieć, że Magdalena miała być alternatywą, wyjściem awaryjnym w przypadku ewentualnej porażki z Ewą. Nie czuł się z tym dobrze i starał się nie myśleć teraz na ten temat.

Czekał go jutro pracowity dzień, trochę papierkowych zaległości, niewykluczone że także paru interesantów. Od pewnego czasu przekładał umówione wizyty, robił dłuższe przerwy na lunch, coraz wcześniej wychodził. Od jutra zamierzał to zmienić.

Budzik dzwonił od dłuższej chwili, kiedy dotarło do Fryderyka, co to za dźwięk i czemu służy. Starał się poruszać cicho po mieszkaniu, żeby nie obudzić Ewy. Nie zrobił sobie nawet porannej kawy. Do biura miał zaledwie dziesięć minut piechotę, pomyślał więc, że wypije dziś swoją pierwszą kawę o te dziesięć minut później. Wchodząc po schodach, układał sobie w głowie najpilniejsze sprawy, od których powinien zacząć. Jak zawsze przed wejściem do gabinetu przetarł rękawem niklowaną wizytówkę. Otworzył drzwi i na chwilę zatrzymał się w niewielkim hallu. Spojrzał na zegarek.

- Nie ma jeszcze ósmej, czyżby Bożenka umówiła mi kogoś na tak wczesną godzinę? - zastanawiał się, słysząc dochodzące z pokoju sekretarki głosy. Podszedł bliżej drzwi i nadstawił ucha.

- Mówię ci, kochana, że ja nie lubię tipsów. Wyglądają efektownie, ale powiem ci, że nie mogłabym sobie wtedy zrobić swobodnie makijażu. Bałabym się, że wydzgam sobie oko. No spójrz, moje nie mają takiego idealnego kształtu, ale są naturalne. Ja wszystko mam naturalne...

Fryderyk uznał, że do Bożenki przyszła po prostu jakaś koleżanka, a skoro nie jest to żaden klient, ma czas na wypicie kawy. Uśmiechnął się na myśl, że będzie miał parę minut dla siebie w zacisznym gabinecie. Radosny grymas szybko ustąpił miejsca przykremu zdziwieniu, kiedy zobaczył siedzącą przy biurku sekretarki... Ewę.

- Dzień dobry, kochany, Ewuniek zrobił ci niespodziankę, prawda? - Ewa zarzuciła Fryderykowi ramiona na szyję i przyłgnęła do niego ciałem. - Och, kochany, całą noc się martwiłam, że niesłusznie cię ukarałam. I wiesz co? Tak mi było źle samej w łóżku...

Bożenka spuściła wzrok i gumkowała intensywnie jakieś rubryki. Fryderyk poczuł, że na twarz wstępuje mu pąsowy rumieniec.

- Pozwól Ewo - wyplątał się jej z uścisku i wskazał na drzwi gabinetu - porozmawiamy w środku.

Idąc przodem, dziewczyna kręciła zalotnie kuperkiem. Usiadła za biurkiem w jego fotelu i skrzyżowała długie nogi w ten sposób, że rozcięta po bokach spódnica odsłoniła je niemal do samej góry.

- A teraz Fredi poprosi o dwie kawusie. I wyśle tę Bożenkę po dwie eklerki z ajerkoniakiem - szepnęła obiecująco.

- Jestem w pracy - oznajmił chłodno Fryderyk, mając nadzieję, że te słowa wyjaśniają wszystko.

- Ależ wiem, mój ty przystojniaku. Po prostu, zanim pójdziemy na lunch wypijemy małą kawusie z ciasteczką. O dziesiątej Ewuniek ma umówioną kosmetyczkę, będziesz miał więc całą godzinę na tą swoją nudną pracę.

- Nie - odparł Fryderyk poważnie - Ewuniek pójdzie teraz. Mam mnóstwo zaległości i zamierzam posiedzieć dzisiaj w biurze do późnego wieczora. Sam.

- Ojejku, jejku! Mój Frediczek się gniewa... No tak, muszę się przyznać, że byłam niemądra. Teraz już wiem, że nie wychowuje się mężczyzny przez łóżko. Bożenka też tak uważa...

- Kto??? - zapytał Fryderyk i poczuł że robi mu się słabo.

- No, Bożenka, twoja sekretarka. Ona też uważa, że nie powinno się karać faceta odmawiając mu seksu...

- Ewusiu - Fryderyk spojrzał na nią błagalnie - idź, kochanie do domku. Albo do kosmetyczki, albo do fryzjera, czy gdzie tam chcesz, ja jestem bardzo zajęty.

Otworzył drzwi, pomógł jej wstać i ciągle trzymając za rękę, wyprowadził na zewnątrz. Starał się być przy tym bardzo ostrożny i subtelny.

- Pa, kochanie - cmoknął ją w policzek - będę wieczorem.

Usiadł ciężko przy biurku i wyjął z kieszeni pożółkłą fotografię. Chciał choć przez chwilę nie myśleć o swoich prywatnych sprawach. Weszła Bożenka z kawą.

- Dobrze się pan czuje, szefie? - spytała, widząc jego zasepioną twarz.

- A, tak, dziękuję, pani Bożenko. Może pani prosić, gdyby ktoś przyszedł.

Mam nadzieję - pomyślał - że ta dziewczyna jest dyskretna. Inaczej już od dawna powinienem krążyć po mieście jako bohater niewybrednych dowcipów. Choćby za sprawą własnej matki...

- Pan Janusz Dobrzyński - zaanonsowała Bożenka pierwszego interesanta.

- Dziękuję, niech wejdzie. Aha, mam prośbę - wyciągnął w jej stronę rękę z fotografią. Na rogu ulicy jest zakład fotograficzny, prowadzi go Antoni Kierweć. To mój znajomy. Niech go pani poprosi,

żeby jakoś powiększył to zdjęcie, maksymalnie jak się da. I wyretuszował. Tylko żeby było gotowe najdalej za godzinę, proszę powołać się na mnie. Zapłacę podwójnie.

Fryderyk skupił się teraz na obowiązkach zawodowych. Na szczęście sprawy były proste, klienci zaś rzeczowi i konkretni. Do jedenastej uporał się ze wszystkimi umówionymi na dzisiaj osobami. Wyjmował właśnie z szafy segregatory, w które wpięte były najpilniejsze sprawy, kiedy weszła Bożenka.

- Jest - położyła na biurku odbitkę formatu podwójnej pocztówki i oryginalne zdjęcie. Zapłaci pan sam, pan Antoni nie chciał brać pieniędzy.

Fryderyk porzucił swoje segregatory i zaczął przypatrywać się odbitce. Tajemnicza kobieta wydawała mu się teraz jeszcze bardziej znajoma.

W jej twarzy był jakiś magnetyzm - nie mógł oderwać od niej wzroku. Może... - może ta kapliczka w de będzie jakąś wskazówką, gdzie było zrobione to zdjęcie - przyszło mu nagle do głowy. Chwycił za telefon i wybrał numer.

- Jacek? Gomora z tej strony. Słuchaj - mówił do słuchawki - mam taką... nietypową prośbę. Dalej szperasz w zabytkach? To świetnie, bo moja prośba jest właśnie tej materii. Czy nie spotkałeś się czasem z kapliczką umieszczoną w dziupli drzewa?

- W dziupli? - zapytał rozmówca. - Nie, na pewno nie. A jaki tam w tej dziupli jest święty?

- Chyba... Fryderyk wpatrywał się uważnie w fotografię

- Święty Józef. Ma na ręku dzieciątko.

- Łysy jest?

- Co?

- No, czy ten święty jest łysy, czy ma włosy?

- A... Fryderyk mrużył i wytrzeszczał na przemian oczy - łysy chyba... Tak, łysy. Ma włosy dookoła, a w środku nie ma.

- To święty Antoni w takim razie - stwierdził rozmówca. Ale i tak nic mi to nie mówi. Mogę poszperać, ale to trochę potrwa.

- Jak długo? - zaniepokoił się Fryderyk, widząc oczyma duszy kolegę wędrującego miesiącami po całym kraju.

- Mam nadzieję, że nie dłużej, niż tydzień?

- A, nie - usłyszał w słuchawce. - Gdzieś do piętnastej. Ja w literaturze będę szperał.

- Świetnie - odetchnął Fryderyk. - Czekam w takim razie z niecierpliwością.

Spojrzał na górę przygotowanych segregatorów i ścisnęło go w żołądku. - Dobra - obiecał sam sobie na głos - zabiorę się za nie po piętnastej.

Tymczasem usiadł przy komputerze i zaczął szukać w Internecie informacji o niezwykłej kapliczce. Zadzwoił telefon.

- Tak? - zapytał służbowym tonem, nie mając świadomości upływu czasu.

- Jacek Brzeski. To ty Fredek?

- Tak, i co? I co tam masz dla mnie? - dopytywał się niecierpliwie.

- No właśnie... Właśnie, że, niestety, nic... Nie mam takiej kapliczki w żadnym wykazie zabytków. No chyba, że nie została objęta ewidencją, bo jest za młoda... Przykro mi stary.

- No, nic... Trudno - Gomora nie umiał ukryć rozczarowania w głosie - szkoda, myślałem że może... Ale dzięki serdeczne w każdym razie. Jestem ci winien dużą wódkę za fatygę.

- Daj spokój - mitygował się Brzeski - w końcu w niczym ci nie pomogłem... A mogę wiedzieć, na co ci taka informacja?

- Szukam kogoś. Mam zdjęcie tej osoby na de kapliczki umieszczonej w dziupli.

- No cóż... Będę szperał dalej, jak się czegoś dowiem, dam znać.

- Dzięki, stary. Do zobaczonka.

Fryderyk znowu spojrzął na segregatory i z zaciśniętymi zębami wziął się do roboty. Postanowił się z nimi uporać, choćby miał tu zostać całą noc.

- Pani Bożenko - nacisnął klawisz interkomu - poproszę mocną parzoną kawę, dokładnie co godzinę.

Wskazówki szafkowego zegara odmierzały te godziny w niemiłosiernie krótkim odstępie, Bożenka przynosiła kolejne filiżanki. Za każdym razem, kiedy nachylała się nad biurkiem rzucała okiem na fotografię.

- Jeszcze raz mi tu kuknie, to ją schowam - pomyślał zirytowany Fryderyk. Denerwował się i wiedział, że niesłusznie akurat na Bożenkę. Była bardzo dobrą i sumienną sekretarką. Kiedy podniósł głowę znad papierów i dostrzegł, że zegar wskazuje za kwadrans dwudziestą trzecią postanowił zwolnić dziewczynę do domu, jak tylko przyjdzie z kolejną kawą. Weszła szybciej, niż przypuszczał.

- Jest pani wolna, pani Bożenko. Zdaje się, że wykorzystałem dziś panią aż za dużo.

Wziął do ręki zdjęcie, by zgodnie z postanowieniem schować do szuflady.

- Fajnie tam jest, prawda? Doskonały klimat, cisza, spokój...

- Gdzie? Gdzie, Bożenko? Wie pani, gdzie to jest??? - wykrzyknął, dostrzegając wzrok sekretarki wlepiony w fotografię.

- Nnno... Tak, a pan nie wie? - jękała zdumiona. - Myślałam...

- Chryste Panie - Gomora wstał i podsuwając Bożence krzesło, dopytywał się natarczywie. - Gdzie? Mów, siadaj i mów!

- To są Rapalki, taka wieś na Mazurach. Jeżdżę tam od dwóch lat na wczasy, bo tam mają świetną agroturystykę.

- Ścisłej! Gdzie konkretnie? Koło jakiego większego miasta? - zasypywał ją pytaniami.

Kiedy uzyskał już w miarę zadowalające informacje zebrał się błyskawicznie i ruszył do domu. To znaczy do mieszkania Ewy. Zastał ją z oczami zapuchniętymi od płaczu. Na nocnej szafce stała butla waleriany, druga z neospazminą i jakieś jeszcze tabletki. Oho - pomyślał - lekcja numer dwa. Stare numery mamusi.

- Czy była tu moja matka? - zapytał, patrząc na te wszystkie medykamenty.

- Tttak... Ewa nie kryła zaskoczenia - skąd wiesz?

- A, nie. Nie wiem, tak zgaduję po prostu.

- Była! - Ewa nagle odzyskała rezon. - I bardzo dobrze się złożyło. Źle się poczułam, zasłabłam, a może i zemdlałam. Bo ja mam bardzo słabe serce, ty nie wiesz, ale uznałam, że muszę ci o tym powiedzieć. Bardzo, bardzo źle znoszę przykrości. Mamusia się mną zajęła. Powinnam mieć teraz całą opiekę...

- No właśnie. Ona się rzeczywiście troskliwie tobą zajmie, bo ja muszę akurat wyjechać na dwa dni. Skoro się źle czujesz, kochanie, nie powinnaś być sama. Moim zdaniem najlepiej by było, gdyby się tu wprowadziła na ten czas.

- Jak to... Ewa wodziła oczami za pakującym neseser Fryderykiem - tak... teraz, nagle... musisz wyjechać?

- Teraz, niestety. Wiesz, moja praca czasem tego wymaga - w przelocie cmoknął ją w policzek - związałaś się z wziętym prawnikiem.

- A jak mi się coś stanie? Na przykład umrę? Jestem taka słaba...

- Ubieraj się szybciotko.

- Zabierasz mnie ze sobą? - Ewa błyskawicznie wyskoczyła z łóżka.

- Niestety, nie mogę - westchnął Fryderyk, obserwując ją kątem oka - choćbym chciał. Nie będę cię w takim stanie narażał na całonocną podróż samochodem. Jedziemy do lekarza.

IV.

Honor Janiszów

No i co ja mam teraz zrobić? - pytałam sama siebie, krążąc wokół stołu. Leżąca na nim niebieska koperta parzyła, ilekroć brałam ją w rękę. Kilka dni temu przyniósł ją listonosz. Zamierzałam oddać ją ciotce, to oczywiste, adresowana była przecież do niej. Najpierw jednak całkiem o niej zapomniałam, ale kiedy już sobie przypomniałam, nie zrobiłam tego. Z premedytacją - zaintrygowana nadawcą listu. Wieczorem wyjęłam przesyłkę spod poduszki i otworzyłam...

Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się zaglądać do cudzej korespondencji, toteż doznawałam teraz rozmaitych przypadłości: drżenia rąk, pocenia, skurczów żołądka.

- Dom Opieki Społecznej w Latkiejmach - czytałam - zaprasza Panią Matyldę Janisz na Coroczny Festyn Dobroczynny...

- Ojej, wielkie mi halo - pomyślałam - ciotką po prostu udziela się charytatywnie.

Już miałam zaklejać z powrotem kopertę, kiedy na samym dole zaproszenia spostrzegłam kul-foniasty podpis: E. Janisz

- No, nie wiem, czy takie halo - wpatrywałam się z przejęciem w swoje rodowe nazwisko - któż to może być? Dziadek miał na imię Eustachy. Ojciec był Edward. Babcia Janiszowa - Ernestyna. Tak, ale oni wszyscy dawno już nie żyją... Mogłam zapytać o to ciotkę, ale zamiast tego ukryłam zaproszenie.

Dobroczynny festyn miał się odbyć dzisiaj o szesnastej. Tak się złożyło, że Matylda o świcie udała się na pielgrzymkę do Świętej Lipki, na jakąś intencję, której nie chciała zdradzić. Ma wrócić dopiero jutro wieczorem.

- To chyba znak, Magdaleno, że powinnaś pojechać na ten festyn - coś kusiło mnie nieustannie.

- E tam, powinnaś - karciałam się na zmianę - nie rób ty, kobieto, jakiejś szczytnej misji ze zwykłego wścibstwa.

Wszystko jednak od wczoraj zaczęło się układać tak, jakby rzeczywiście los skłaniał mnie do tego wyjazdu. Wieczorem ciotka postanowiła się upewnić, o której odjeżdża jej autobus - poszłam z nią więc na przystanek PKS. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy na rozkładzie jazdy był kurs do Pierwzgórek przez Latkiejmy, o godzinie dwunastej piętnaście.

Usiadłam teraz przy stole i podparłam rękami ciężką od wątpliwości głowę. Dochodziła jedenasta. - No, dobrze - powiedziałam sobie - skoro los naprawdę chce, żebym tam jechała, poczekam na trzeci znak...

Zrobiłam sobie herbatę z leśnych owoców i usiadłam z powrotem, czekając na... właściwie nie wiadomo co. Potem wypiliśmy drugą herbatę, i trzecią... Zegar wskazywał jedenastą czterdzieści. Przenikliwa cisza dzwoniła mi w uszach.

Wstałam, żeby włączyć telewizor. Stare, czarno-białe pudło nagrzewało się długo, ale w końcu na zamazanym ekranie dostrzegłam polanę nad jeziorem i namioty. Głosu jednak nie było. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to walnąć w nie pięścią. Obraz znikł. Kiedy pojawił się znowu, serce podeszło mi do gardła... Dziennikarz referował coś bezgłośnie, stojąc na tle tablicy informacyjnej z napisem... Witają Latkiejmy!

Wyłączyłam odbiornik, złapałam za torebkę i wybiegłam z domu. Rzuciłam okiem na zegar: dwunasta pięć... - Nie zdążę - obliczałam w myślach, zamykając dom na liczne zamki i kłódki - nie ma szans. Samo wdrapanie się na górę zajmie mi z dziesięć minut... potem jeszcze przelecieć przez pół wsi, to drugie dziesięć minut. W najlepszym wypadku będę na przystanku... pięć minut po odjeździe autobusu.

Złachana i zakurzona wybiegłam zza murowanej wiaty. Zupełnie pusty autobus stał na przystanku, a kierowca drzemał oparty o kierownicę!

- Proszę pana - trąciłam go delikatnie w ramię.

Mężczyzna ocknął się gwałtownie i wyraźnie zmieszany zaczął mnie przeproszać.

- Nic nie szkodzi - przerwałam mu radośnie - gdyby pan nie zasnął, w żaden sposób bym nie zdążyła. Właściwie powinnam panu podziękować.

* * *

Dom opieki w Latkiejmach był niewielkim, najwyżej dwupiętrowym budynkiem, usytuowanym w pięknym, wypielegnowanym ogrodzie. W hallu był spory ruch, odbywała się tu loteria fantowa. I dzieci, i dorośli po kilka razy ustawiali się w kolejce po losy - z tego, co zdążyłam zauważyć, każdy z nich był wygrany. Rozejrzałam się w poszukiwaniu kogoś, u kogo mogłabym zgłosić swoje przybycie.

- Dzień dobry - zwróciłam się do kobiety, mającej na bluzce identyfikator. Właściwie nie wiedziałam, co mam powiedzieć, podałam jej więc bez słowa zaproszenie.

- A... - kobieta zlustrowała mnie ciekawie - cieszę się, że zdecydowała się pani po tylu latach odwiedzić ojca. Będzie bardzo szczęśliwy!

Ojca? - chciałam jej powiedzieć, że się myli, ale nie miałam możliwości wpaść jej w słowo.

- Proszę bardzo, o tam! - wskazała na drzwi prowadzące do niewielkiego atrium. - Proszę sobie zająć miejsce, ja zaraz tatusia przyprowadzę.

Przy ciasno poustawianych stolikach siedzieli pensjonariusze ze swoimi rodzinami. Rozejrzałam się ciekawie: w kącie ogrodu stał murowany grill, na którym w piekącym dymie smażyły się kiełbaski. Na szerokich ławach pod ścianą budynku porozkładane były haftowane serwety, obrusy i makatki. Były też obrazki malowane na płótnie i na szkle, małe rzeźby i bukietki sztucznych kwiatów. Rękodzieło pacjentów wystawione na sprzedaż - domyśliłam się. Na drewnianym podeście młody chłopak popiskiwał na elektrycznych organach. Ustawione w rzędzie mikrofony były zapowiedzią jakiegoś występu artystycznego - być może także w wykonaniu pacjentów. Poniżej podestu jakaś kobieta o woskowej twarzy wykonywała swój samotny taniec.

- Kierowniczo, można tańczyć? - krzyknął w stronę jednej z opiekunek chłopak w ciemnych okularach i bejsbolówce. - Kierowniczo, można tańczyć?

- Można, Zdzisiu - odpowiedziała, uwijając się z tacą zimnych napojów.

Zdzisiu kurtuazyjnie ucałował rękę samotnej tancerki i zaczął ją przetaczać w przód, tył i na boki.

- Spać, mamó, ja chcę spać - narzekała dziewczyna o długich, czarnych włosach. Ułożyła głowę na stole i nakryła ją rękami. - Spać...

- Elka! - skarciła ją matka. - Nie po tojechałam do ciebie tyle kilometrów, żebyś mi tu spała. Masz, zapal sobie - położyła przed nią paczkę klubowych. Elka zapaliła papierosa i zaciągała się nim zachłannie, miażdżąc filtr bezzębnymi ustami.

Zauważyłam teraz, że wszyscy pensjonariusze palili tu papierosy. Wszyscy też mieli żółte, woskowe twarze. Być może nigdy, poza tym jednym festynem w roku nie wychodzą na powietrze? - zastanawiałam się. - A może to po jakichś lekach?

- Czy życzy pani sobie kawę? - zapytała krążąca z tacą opiekunka.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam szybko i chyba zdecydowanie.

- Zimne napoje są gratis - kobieta postawiła przede mną butlę mineralnej, plastikowy kubek i odeszła.

- Chcesz zapalić? - ktoś trącił mnie w ramię. Za moimi plecami stała mocno wystrojona pensjonariuszka: cała ubrana na różowo, obwieszona licznymi koralami i naszyjnikami, z ogromną kokardą we włosach. W upierścienionej dłoni trzymała zapalonego papierosa.

- Idź - zachęcała - na portierni ci dadzą. Co godzinę dają...

- Nie, dziękuję, nie palę - odpowiedziałam i w tym momencie dostrzegłam schodzącą ze schodów kobietę, która odebrała ode mnie zaproszenie. Prowadziła ostrożnie mocno wychudzonego, siwego staruszka opierającego się na kuli.

- Boże mój - poczułam się teraz bardzo niezręcznie

- jak ja jej wytłumaczę całe to nieporozumienie? Jej?... A jak wytłumaczę się temu nieszczęsnemu człowiekowi?

Zaczęłam mu się przyglądać. I nagle... Zimny pot oblał moje plecy.

- Ta... Tatusz?! - podbiegłam do zbliżającego się mężczyzny.

Z czaszki obleczonej żółtą skórą patrzyły na mnie oczy mojego ojca.

- Magduś... - podszedł do mnie z trudem. Pielęgniarka dyskretnie się oddaliła. - Magduś... skąd ty tu... dziecko?

- Na miłość boską, tatusiu! Myślałam, że nie żyjesz! Ojciec usiadł niezgrabnie na krześle.

- Tu jestem. Tu mnie zamknęli, chory jestem, chory... Na głowę chory... tyle lat, tyle lat...

- Jak dawno tu jesteś?

- Tyle lat, tyle lat... od dziewięćdziesiątego drugiego - zastanowił się - trzeciego. Tyle lat... Wcześniej leczyli mnie, wiązali mnie, truli mnie, truli...

Tata mówił, powtarzając wyrazy, monotonna, bez zmiany intonacji głosu. Zastanawiałam się, o co tu właściwie chodzi. Nie bardzo wiedziałam, jak z nim rozmawiać.

- Jak się tu znalazłeś?

- Przywieźli mnie taksówką, przywieźli. Matylda mnie przywiozła. Zamknęła mnie w komórce, trzymała, z kurami mnie trzymała. Potem w nocy zawieźli mnie do szpitala. Tam mnie leczyli. Moja

głowa rozpadała się na kawałki, umarłem i zmartwychwstałem, i umarłem, i rozłupali moją czaszkę, i umarłem, i zmartwychwstałem... i powstałem...

- Leczyli cię prądem, miałeś robione elektrowstrząsy? Dlaczego?

- Schizofrenia... choroba...

- Ale jak do tego doszło? Kiedy zachorowałeś? Tata uśmiechnął się wstydliwie.

- Do Rapalek my jechali, z Antkiem, z tym Antkiem, z tym... Popiliśmy wódki, wódki my popili, pojechałem do Rapalek, w Gliniance my wysiedli, wódkę my pili, była noc przez las szedłem, rozebrałem się. I te drzewa na mnie... I wszyscy na mnie, na mnie mówili, bluzgali, roili mi się w umyśle, mnożyli, mnożyli... Matylda zamknęła mnie do kur i kury na mnie, i ciemno było, ciemno i te kury, i to okienko jasne na mnie, w mojej głowie...

Potem autem my jechali do szpitala. Tam mnie wiązali, truli mnie, truli, zabijali moje życie, rozłupali mi czaszkę...

Ojciec międlil w dłoni zawieszony na szyi różaniec i patrzył teraz gdzieś przed siebie bez słowa.

- Tatusiu... - spytałam, nie licząc na sensowną odpowiedź - dlaczego powiedziano mi, że umarłeś? Dlaczego ciotka ukryła przede mną, że jesteś tu, w ośrodku?

- Umarłem! Tak chciałem, umarłem i umarłem. Nie wiń Matyldy dziecko, taki wstyd, taki wstyd... dla ciebie ja chciałem umrzeć, to nie Matylda mnie pogrzebała. Nikt we wsi, nikt we wsi, żeby nie wiedział, żeby nie wiedział, nikt we wsi... Taki wstyd!

A więc to taki numer - pomyślałam. - Wstyd! Boże mój! - Ojciec w przebłysku świadomości pozwolił się zamknąć bez kontaktu ze światem, by oszczędzić wstydu rodzinie! Jakież to do Janiszów podobne! Pozory i obłuda!

- ... żeby we wsi nikt we wsi... - mamrotał ojciec.

- Ale przecież Matylda mogła się zająć tobą w domu, lato. Ja też mogłabym się jakoś tobą opiekować, przyjeżdżać na dłużej, gdybym wiedziała...

- Chory jestem, na głowę chory...

- No to co z tego! - podniosłam już teraz głos. - Na miłość boską, przecież ty masz rodzinę, tato! Ojciec jakby ocknął się z transu i spojrzał na mnie przytomniej.

- Rodzinę... Ciebie dziecko mam, a ty daleko. Na co ci taki kłopot? Taki wstyd? Mnie tu dobrze. Kotlety jem i łóżko swoje mam, papierosy mi dają i gazetę.

- Jak to: mnie masz, a Matylda? Twoja siostra? Od czasu, kiedy babcia zmarła, została sama.

- To nie była jej babcia. Ta siostra jest nie moja... - tata znowu zaczął mamrotać bez sensu - to nie siostra z krwi mojej, ino przyrodnia siostra moja, przyrodnia babcia jej to, nie jej matka ta babcia była, ino moja matka, a nie moja siostra...

- Tato - spróbowałam jeszcze raz - ja teraz mieszkam z ciocią, razem mogłybyśmy się tobą opiekować. W Rapalkach jest twój dom...

- Dom Matyldy jest. Jej ojciec dom zapisał, za krzywdy na jej matce ten dom ona dostała i za krzywdy na mojej siostrze ten dom ona dostała.

- Jakiej siostrze, tato? - poczułam zamęt w głowie. Próbowałam wyławiać z tego natłoku słów coś, co miało jakiś sens, ale już zaczynałam się gubić. - Jakie krzywdy?

- Za tych wszystkich co pomarli. Oni krążą teraz dokoła i nikt domu nie chce, tylko Matylda się ostała, ta Matylda, ta ciotka twoja i wszyscy jej pomarli, ino ta sama Matylda. Wszyscy ich zabili i ja zabiłem, i ojciec mój zabił, i jej matkę, i zabili Matyldę, i ja zabiłem... Jakże ja mogę do Matyldy, tej zabitej Matyldy?

- Tatusiu... - jęknęłam, bo ojciec zaczynał mnie przerażać - tatusiu, dobrze się czujesz?

- Co? - ocknął się z kolejnego zamyślenia. - Ja dobrze się czuję. Lepiej niż ta Matylda zabita.

- Dlaczego? Dlaczego tak mówisz?

Tata popadł teraz w jakieś odrętwienie i przestał odpowiadać na moje pytania. Przestał kontaktować. Rozejrzałam się powoli, szukając wzrokiem jakiejś pielęgniarki.

One chyba czuwają z daleka nad swoimi podopiecznymi, bo natychmiast pojawiła się przede mną ta sama kobieta, która przyprowadziła do mnie ojca.

- Proszę się nie gniewać, ale pan Edward ma już chyba dosyć na dzisiaj - uśmiechnęła się przepaszająco.

- To chyba moja wina - powiedziałam ze skrucą - może powinnam się była zapowiedzieć, a może nie powinnam poruszać pewnych tematów?

- Nie - kobieta spojrzała na mnie łagodnie - już oni tak mają. Czasem są bardziej kontaktowi, innym razem mniej. Bywają dni, kiedy są jak zupełnie zdrowi ludzie, można z nimi rozmawiać, żartować. Proszę nie brać tego do siebie.

- Muszę przyznać, że tata mnie przeraził - powiedziałam cicho - opowiada takie... horrory. Czy on ma jakieś wizje?

- Wie pani... - pielęgniarka rzuciła okiem na zastygłego bez ruchu ojca - ja myślę, że to nie są wizje. Na pewno były w jego życiu jakieś traumatyczne wydarzenia. Do pewnego momentu jakoś sobie z nimi radził, trzymał to wszystko na postronku, ale widać za słaby był ten postronek.

- Co to znaczy, proszę pani?

- To znaczy, że na choroby psychiczne, a na schizofrenię w szczególności, zapadają osoby o niskim poziomie podatności na stres. Często się zdarza, że to najbliższe otoczenie dostarcza im bodźców wyzwalających chorobę, czasem takich bodźców dostarczają sobie same.

- Nie rozumiem...

- Na przykład stawiając sobie zbyt wysokie wymagania albo przyjmując na siebie zbyt wiele obowiązków - wyliczała pielęgniarka - albo przez tłamszenie w sobie problemów, a może i wszystko naraz.

- Dziękuję pani. Mój ojciec zawsze był... hm... perfekcjonistą - nie znalazłam lepszego określenia na naszą rodzinną przypadłość. - Czy będę mogła go znowu odwiedzić?

- Kiedy tylko pani zechce - uśmiechnęła się opiekunka - nie mamy tu wyznaczonych dni na wizyty.

Patrzyłam za odchodzącym ojcem, dopóki nie zniknął za drzwiami hallu. Spojrzałam na zegarek: za pół godziny powinnam mieć autobus powrotny. Teraz nie będzie już tak łatwo - westchnęłam z myślą o czekających mnie przesiadkach. Jak dobrze pójdzie, jeszcze przed dwudziestą drugą powinnam być w domu.

Na dworze było ciemno, ale nie miałam innego wyjścia, jak tylko pokonać pieszo te trzy kilometry dzielące mnie od domu Matyldy. Autobus dojeżdżał do Glinianek i tam kończył się jego kurs. Do tych samych, do których dojechał ojciec owego feralnego dnia. Ciotka opowiadała, że tuż przed Gliniankami miał miejsce wypadek, w którym zginął mój ojciec. To było tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Pamiętam, że tata przyjechał do mnie, do Krakowa. Był jakiś dziwny, milczący... Cały czas miałam wrażenie, że zamierza mi coś powiedzieć. Wyjechał jednak na dwa dni przed wigilią, tłumacząc, że nie chce wszystkich przygotowań zostawiać ciotce na głowie. Po śmierci mamy tata przeprowadził się do Matyldy, zostawiając mi mieszkanie na Ceglanej. Byłam już wtedy na pierwszym roku studiów, mogłam się więc śmiało wykręcać od wizyt u ciotki, tłumacząc się nadmiarem zajęć.

O wypadku ojca stryjna powiadomiła mnie dwa dni po pogrzebie i był to jeden z powodów, dla którego zerwałam kontakt z nią na wszystkie te lata. Nie mogłam jej wybaczyć, że odmówiła mi możliwości towarzyszenia mu w tej ostatniej drodze. Matylda zresztą też mnie nie szukała, do czasu, kiedy porzucił mnie Fryderyk.

Za tydzień pierwszy listopada, Święto Zmarłych. Ciekawe, jak ciotka mi wyjaśni, dlaczego nie ma na cmentarzu mogiły mojego ojca? Postanowiłam, że do tego czasu nie powiem jej o swoim odkryciu.

Szkoda, że nie umówiłam się w Gliniankach z Olkiem - pomyślałam, kiedy spadły pierwsze krople deszczu. Mam nadzieję, że nie pobłądzą w tych ciemnościach, chociaż droga jest tylko jedna... Najgorsze ze wszystkiego, że będę musiała przejść koło tej upiornej studni! Brrr - wzdrygnęłam się na samą myśl. - Nie - pomyślałam teraz - nie to jest najgorsze. Znacznie gorsze jest, że będę musiała spędzić noc w domu ciotki sama!

- Że też musisz teraz myśleć o tym, Magdaleno - karciałam się w duchu. Jak na złość, narzucały mi się same okropne wątki. Uświadomiłam sobie właśnie, że od czasu, jak nabluzgałam po pijanemu moim nocnym zjawom, już się nie pojawiły.

Następnie przypomniała mi się zapłakana twarz ciotki i wyznanie, że jej matka piła. Myślałam o tym później nieraz, ale nie umiałam w żaden sposób połączyć pijaństwa z postacią babci Ernestyny.

No chyba, że... Chyba... O, mój Boże! A może ojciec mówił prawdę? Może babcia wcale nie była matką Matyldy?

Zrobiło się trochę jaśniej, zza ciemnej chmury wyłonił się księżyc. Niewiele mu brakowało do pełni. W białawej poświacie widziałam teraz za każdym drzewem czające się postaci, a poruszane lekkim wietrzykiem gałęzie wyciągały do mnie szponiaste dłonie... Przyspieszyłam kroku. Oglądając się na wszystkie strony, by nie dać się zaskoczyć żadnemu upiorowi, zaczęłam biec.

Biegłam jak szalona, przystając czasem na krótką chwilę, by złapać tchu. Zwolniłam dopiero wtedy, gdy zobaczyłam pierwsze światła rapalskich domów. Jeszcze trochę, a zacnie się oświetlona ulicznymi lampami droga - pocieszałam się. Postanowiłam iść teraz wolno, by nabrać sił i pędem pokonać ostatni odcinek drogi - od studni do domu. Obejrzałam się za siebie, ciemna ściana lasu została daleko w tyle.

Nie chciało mi się wierzyć, że odważyłam się przyjść z Glinianek na piechotę. Gdybym miała zrobić to jeszcze raz, wolałabym chyba zanocować na przystanku. Zbliżałam się teraz wolno do końca asfaltowej drogi i zbierałam się w sobie do kolejnego biegu. Przedem mną majaczył owalny kształt kamiennej cembrowiny. Zamiast jednak zerwać się z miejsca, pomyślałam - całkowicie wbrew sobie, że właśnie teraz powinnam się zmierzyć z moim prywatnym upiorem. Podchodziłam coraz bliżej i bliżej, skradając się na palcach. Jeszcze dwa kroki, a będę mogła oprzeć dłonie o kamienny brzeg i zajrzeć do środka...

Spojrzałam w stronę kapliczki i... spojrzałam jeszcze raz... Święty Antoni dawał mi wyraźny znak ręką, żebym stamtąd odeszła! Stałam jak przykuta do ziemi i czułam, jakby coś ciągnęło mnie w dwie przeciwne strony...

- Święty Antoni, idę do ciebie - krzyknęłam i nagle moje nogi nabrały nieprawdopodobnego rozpędu. W tym akurat nie było nic nadprzyrodzonego - po prostu pędziłam ze stromej góry na łeb i szyję. Zdyszana i rozpalona jak hutniczy piec dopadłam ciotczynej chałupy. Grzebałam właśnie chaotycznie w torebce w poszukiwaniu kluczy, kiedy z ciemności wyłonił się jakiś ogromny stwór.

- Umieram - wyszeptałam, chwytając się za serce - tego już za wiele... Od dawna już miękkie nogi w tym momencie całkowicie odmówiły mi posłuszeństwa. Poczułam, że lecę głową prosto w betonowy parapet...

- Witaj, Magdaleno - Fryderyk złapał mnie dosłownie w ostatniej chwili - a gdzież to tak biegasz po nocy?

Myślę, że nawet, gdyby to był najprawdziwszy duch, nie zdziwiłabym się bardziej.

- Co ty tu robisz??? Jak mnie znalazłeś? Po co właściwie przyjechałeś? - zasypałam go pytaniami, przerywanymi zadyszką.

- Tak nagle wyjechałaś - Fryderyk spuścił głowę - szukałem cię, to nie było łatwe... martwiłem się o ciebie.

Usiadłam na wysokim, drewnianym progu. Właściwie po dzisiejszym treningu byłam w stanie przyjąć wszystkie rewelacje.

- Czyj to dom? - zapytał cicho.

- Mojej ciotki. To siostra mojego ojca.

- Nie wiedziałem, że masz jakąś ciotkę. Nigdy o niej nie wspominałaś.

Nie zamierzałam się teraz tłumaczyć Fryderykowi z istnienia stryjny i z tego, że to przed nim zataiłam.

- Martwiłeś się o mnie??? I dla tego przyjechałeś po nocy z drugiego końca kraju? A nie miałeś bliżej na Ceglana? Byłam tam wystarczająco długo po twoim odejściu, mogłeś śmiało piętnaście razy zainteresować się moimi planami na przyszłość!

Fryderyk usiadł obok mnie i milczał, wpatrując się w swoje kolana.

- Coś mi się wydaje, że nie wiesz ci się z tą twoją Ewą. Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że oderwałeś się od szczęśliwego stadła i gnałeś przez pół Polski, żeby zobaczyć, jak powodzi się twojej porzuconej żonie!

- Jak ty się do mnie odzywasz, Magdaleno? - spytał Fryderyk bardziej zmęczony niż zły. - Dawniej nigdy tak nie mówiłaś.

- Bo nie miałam odwagi. Bałam się mówić czegokolwiek, z czego nie byłbyś zadowolony.

- Bałaś się? Mówisz, jakbym cię bił. A przecież nigdy nawet nie krzyknąłem na ciebie.

- Owszem, ale potrafiłeś bardzo dotkliwie karać. Ignorowałeś mnie tygodniami, traktowałeś jak powietrze. Mówiłeś: poczekam, aż zmadrzejesz, Magdaleno. Ciągle cię uczę i uczę, a ty dalej swoje... Tak, mój mężu - stwierdziłam gorzko - tak było zawsze, kiedy próbowałam przejawiać choć odrobinę indywidualności. Ale przyznasz, że byłam pojętną uczennicą. Raptem w dwa lata po ślubie przestałam mówić swoim własnym głosem i korzystać ze swojego mózgu. Okazało się w końcu, że nie podobam ci się taka...

- Magdaleno... - Fryderyk chyba nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć. Ja natomiast wiedziałam:

- Teraz nie grozi mi z twojej strony żaden sprawdzian, żadna zła ocena z zachowania. Jestem już absolwentką twojej szkoły i możemy sobie na przykład zapalić po papierosie, jak równy z równym.

- Ty palisz? - zapytał Fryderyk, jakby to z całego mojego wywodu było najważniejszą sprawą.

- Nie, nie palę, ale mogę, teraz wszystko mogę i - pozwól, że cię uprzedzę, gdybyś przypadkiem zamierzał zaproponować mi powrót - nie zrezygnuję z tego!

- Nie zaprosisz mnie do środka? - zapytał cicho. - Chciałbym poznać twoją ciotkę.

- Nie ma jej, wyjechała. Jeśli masz zamiar zanocować w Rapalkach - powiedziałam, zanim przyszłoby mu do głowy poprosić mnie o nocleg - tutaj każdy chętnie wynajmie ci pokój. Ludzie żyją tu z agroturystyki.

Fryderyk wstał ociężale i włożył ręce do kieszeni.

- No cóż, Magdaleno - odezwał się po chwili - miło było cię znowu zobaczyć. Cieszę się, że zastałem cię w dobrym zdrowiu.

- Mnie również było miło, że... zastałeś mnie w dobrym zdrowiu. Dobrej nocy.

By ostatecznie utwierdzić go w przekonaniu, że nasza rozmowa dobiegła końca odwróciłam się tyłem i wetknęłam w drzwi sporych rozmiarów klucz.

Kiedy Fryderyk odszedł, wyjęłam klucz i usiadłam z powrotem na progu. Postanowiłam poczekać tak do rana.

- No i jak? - nagle przede mną pojawił się Olek.

- Fajnie, że jesteś - stwierdziłam z ulgą, zamiast odpowiedzi. - Zmęczyłam się. Przejechałam kawał świata, chce mi się spać, ale za nic nie wejdę sama do tego domu.

- A ze mną wejdiesz? - zapytał.

- Nie wiem, czy to nie będzie świętokradztwo - zastanowiłam się głośno - ale podobno nawet kradzież dokonana z głodu bywa darowana przez sąd.

- Skoro tak... - Olek wyjął mi z ręki pęk kluczy i pootwierał wszystkie zamki, kłódki i skoble. Usiedliśmy w kuchni przy stole, zrobiłam dwie herbaty z leśnych owoców.

- Był tutaj twój mąż - powiedział Olek, grzebiąc łyżeczką w cukierniczce.

- Rozmawiałaś z nim?

- Udawałem, że szukam Matyldy. Owszem, zamieniliśmy parę słów - spojrzał na mnie pytająco - powiedział, że chciałby cię stąd zabrać.

- Zabrać, to on może sobie... Kubusia Puchatka! - zeżliłam się gwałtownie. - Co on sobie w ogóle wyobraża? Szkoda, że mnie tego nie powiedział! Prosiaczek!

- Nie wściekaj się tak - Olek ścisnął moją rękę - albo wściekaj się, byle nie na mnie. - Cieszę się, że nie jesteś Kubusiem Puchatkiem - patrzył mi w oczy, tak jakoś... wcale nie figlarnie!

- Dlaczego się tak na mnie gapisz? - spytałam podejrzliwie.

- Chcesz wiedzieć? Jesteś pewna, że chcesz to wiedzieć?

- Nie - nie wytrzymałam jego spojrzenia i spuściłam wzrok. Poczułam, że się rumienię.

- Chodź - Olek uśmiechnął się i pociągnął mnie za rękę - połóż się na kanapie, posiedzę przy tobie. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

- Nie - powiedziałam, kładąc głowę na stole - to nie może tak być, nie będziesz przecież śleczął nade mną całą noc.

- Co więc proponujesz? - spytał Olek zaczepnie. - Położymy się razem?

- Nie - odpowiedziałam pomiędzy jednym ziewnięciem, a drugim - posiedzimy razem.

Olek wstał i włączył radio. Gdzieś daleko, bardzo daleko śpiewała Beata Kozidrak...

... stałam boso na podłodze z szorstkich desek, w bardzo pięknej, jedwabnej sukni, jakby żywcem wyjętej z minionej epoki. Na gors służył mi gruby, płomienny warkocz.

- „... nosisz spodnie, więc walcz...” - słyszałam z oddali śpiewny pogłos. Natychmiast zobaczyłam przed sobą zgrzebne, pasiaste spodnie, które - patrząc od dołu - zaczynały się od bosych, męskich stóp, kończyły się zaś kędzierzawą, kruczoczarną czupryną.

Smagły, zgrabny chłopak wyciągał do mnie rękę. Chciałam podać mu swoją dłoń, ale nagle wszystko zaczęło się kręcić jak na karuzeli i zaczęliśmy się od siebie oddalać.

- Niech ktoś to wszystko zatrzyma - krzyczałam - ja muszę oddać mu rękę! Tak jest zapisane w scenariuszu!

Teraz spostrzegłam, że stoję na scenie, a widownia jest pełna. W pierwszym rzędzie ujrzałam siostrę Matyldę, Olka i Fryderyka.

- Podaj mu rękę! - darła się w niebogłosy Matylda, podskakując na krześle. - Podaj mu rękę!

Uczyliłam ostatni, rozpaczliwy wysiłek, ale chłopak był już za daleko - ruchomy podest szybko oddalał go ode mnie. Patrzyłam, jak znika za kotarą, z przykrą świadomością, że położyłam cały ten akt.

- Co ty zrobiłaś - krzyczał Fryderyk - czy zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi zawiodłaś?

- Mam tego dosyć - powiedziałam do publiczności. Dostyć tego! To jest ponad moje siły. Ja... rezygnuję! - zaczęłam schodzić ze sceny.

Matylda zaczęła się nagle robić coraz mniejsza i mniejsza, a kiedy była już całkiem mała, Olek wziął ją na ręce.

Minęłam wszystkich bez słowa i skierowałam się ku drzwiom. Kiedy byłam już w połowie drogi, stanął przede mną ogromny, wystrugany z drewna święty Antoni.

- Twój wybór, twoja wola - powiedział bez cienia gniewu - ale pamiętaj, że ten spektakl musi być zagrany do końca. Idź teraz, jeśli chcesz. Ale będziesz musiała wrócić. My wszyscy - ogarnął dłoń widownię - wrócimy tu razem z tobą.

- Nie... - jęknęłam - jestem taka zmęczona - nie! Nie chcę!

Zebrałam wszystkie siły, żeby wykrzyzczeć głośno swój bunt.

- Neeee!!! Nie chcę! Niece chcę!!!

- Magdaleno! - to Olek biegł teraz ku mnie, roztrącając stojących w przejściu ludzi. - Jestem przy tobie, jestem tu, kochanie!

Zobaczyłam tuż przy swojej twarzy jego zatroskane oczy. Rozejrzałam się dookoła. W kuchni ciotki Matyldy wciąż jeszcze panował półmrok, za oknem było już jasno.

- Która godzina? - szybko strząsnęłam z siebie resztki snu.

- Magdaleno - Olek puścił mimo uszu moje pytanie - czy ty... czy ty tak bardzo przeżywasz rozstanie ze swoim mężem? Krzyczałaś tak rozpaczliwie...

Z trudem dojrzałam godzinę na stojącym na lodówce zegarze. Dochodziła ósma.

- Nie, przeciwnie. Czasem miewam tylko jakieś dziwaczne sny. Nie chcę o tym mówić. Ale wiesz co? Jeśli masz jeszcze trochę czasu i ochoty, a może raczej odwrotnie, zabierz mnie stąd teraz. Dokądkolwiek.

- Mam jedno i drugie - Olek spojrzał na mnie tak jakoś tkliwie - a więc, dokąd, madame?

- Już mówiłam. Dokądkolwiek. Daj mi tylko pięć minut na toaletę.

Fryderyk ociągając się, wsiadł do samochodu i ruszył we wskazanym przez Magdalенę kierunku. Nie chciało mu się wyjeżdżać z Rapalek, ale też nie chciało mu się spędzać nocy w wynajętej kwarterze. Cała ta agroturystyczna wieś wyglądała jak dzielnica willowa w Krakowie. Co innego dom ciotki jego żony: całkiem inny świat! Miał w sobie jakiś taki... senny magnetyzm. Te stare drzewa, drewniana komórka w kącie ogrodu i chylący się miejscami płot...

Obejrzał sobie to wszystko dokładnie, kiedy czekał na Magdalенę. Tkwił tam na progu ładnych parę godzin, chłonał ten klimat, tę atmosferę i pragnął, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Po prostu - chciało mu się tam być. Kiedy po krótkiej rozmowie Magdalena dała mu do zrozumienia, że powinien sobie pójść, poczuł się oszukany. Jak to? Tak bardzo trudził się, żeby odnaleźć to miejsce, osiem godzin z okładem spędził za kierownicą, prawie drugie tyle przesiedział na progu, czekając na nią. Miał wrażenie, że znalazł jedyny zakątek na świecie, gdzie kończą się jego problemy i zaczyna inne, nowe życie. Magdalena uświadomiła mu jednak, że to koniec jej problemów i jej nowe życie. Mógłby próbować ją przeproszać, prosić... ale właściwie nie był pewien, czy chodzi mu o nią, czy o ten urokliwy, mały świat.

Fryderyk zatrzymał się opodal zamkniętej już gospody. Wyjął ze schowka fotografię i przyglądał się jej w nikłym świetle samochodowej lampki. Stara wierzba z kapliczką... Miał dziś okazję przyjrzeć się jej z bliska. Zrobiła na nim ogromne wrażenie.

Staruszek Antoni, przygarbiony, we wnętrzościach zmurszałego drzewa od wielu lat dzielił z nim los i korniki. Jakie było jego zadanie? Czemu miał patronować w tym właśnie miejscu?

Przyjrzał się kolejny raz postaciom na zdjęciu. Kiedy było zrobione? Przy jakiej okazji? - wszystkie te pytania nasuwały mu się naraz. Rodzice Magdaleny, poważni i dostojni, najwyraźniej zostali upozowani przez fotografa. Malutka Magda gapiła się prosto w obiektyw, skutkiem czego były szeroko otwarte oczy i bezmyślny wyraz twarzy. Tylko kobieta, częściowo schowana za teściem wyglądała naturalnie, choć wyraźnie nie była uszczęśliwiona tym rodzinnym emploi. Patrzyła zamyślona gdzieś ponad głową fotografa, jej pełne usta i wyraziste oczy dalekie były od uśmiechu. Czyżby tuż przedtem miała miejsce jaka sprzeczka? A może po prostu - figurujące na zdjęciu osoby nie darzyły się sympatią?

Fryderyk nie uzyskał odpowiedzi na to pytanie, choć z myślą o tym zabrał ze sobą zdjęcie. Ton, w jakim powitała go Magdalena nie sprzyjał pogawędce.

- Nie będę tu szukał noclegu - zdecydował nagle - zdrzemnę się w samochodzie ze dwie godziny i wrócę do Krakowa.

Kiedy się obudził, jeszcze nawet nie zaczynało świtać. Uznał jednak, że czuje się na tyle wypoczęty, by móc ruszać w drogę. Ochlapał twarz i szyję wodą mineralną, wytarł w papier toaletowy i odjechał. Po kilkunastu kilometrach miał już całkiem inne spojrzenie na sytuację.

- Niepotrzebnie tak oschle traktowałem ostatnio Ewę - ganił sam siebie. - Dziewczyna stara się jak może, trochę nieudolnie, ale w gruncie rzeczy wszystko, co robi - robi po to, aby mnie sobą zainteresować. Właściwie dlaczego z nią o tym nie porozmawiałem, zamiast stosować walkę podjazdową?

- Oj, Ewuś, Ewuś - myślał o niej z rosnącą czułością - jaka ty jesteś dziecinna!

Postanowił, że zatrzyma się w pierwszym lepszym dużym mieście i kupi jej jakiś drobiazg. Najlepiej - u jubilera. Czuł się już teraz znacznie lepiej. Jeszcze dziś będzie w domu, zaprosi Ewę do jakiejś przytulnej knajpki, nawet gdyby miał wypić ze trzy mdlące likierki.

Na odcinkach drogi pomiędzy miastami dociskał maksymalnie pedał gazu. Odległość dzieląca go od realizacji tych planów zmniejszała się w szybkim tempie. Coraz bardziej zadowolony Fryderyk włączył radio i zaczął nawet nucić pod nosem. Pogoda była niezła jak na koniec października, droga i widoczność sprzyjała dzisiaj kierowcom.

Zaczął obliczać w myślach, o której godzinie powinien być na miejscu, kiedy tuż przed nim pojawił się jakiś niekończący się korowód. Pogrzeb? - zastanowił się Fryderyk. - Nie, raczej procesja - spostrzegł teraz niesioną na przedzie chorągiew maryjną.

Ludzie powoli odsuwali się na skraj drogi i mógł teraz wolno przemieszczać się wzdłuż całego tego pochodu.

- „O Maryjo piękna Pani i Królowo całej ziemi, Proszą słudzy Ci oddani, prowadź nas swymi ścieżkami”... - śpiewali wierni.

W orszaku szli dorośli, dzieci, osoby w całkiem podeszłym wieku, a nawet kalekie, w wózkach inwalidzkich.

- „... nigdy nadziei nie rzucaj człowiecze, gdy się do Matki Niebieskiej ucieczesz”... - poważne, pełne wiary twarze przesuwały się przed oknem samochodu Fryderyka.

- Ciekawe - pomyślał - gdzie znajduje się granica tej ludzkiej nadziei? Pewnie na granicy życia - westchnął, zbliżając się do końca pochodu. - A może... jeszcze dalej?

Wtem tuż przed maską samochodu przefrunęła, wirując biała, niewielka karteczka i upadła na pobocze. Fryderyk zatrzymał samochód. W innej sytuacji z pewnością zignorowałby taki niewiele znaczący drobiazg, udzielił mu się jednak nieco podniosły, modlitewny nastrój. Pomyślał, że zgubił ją ktoś z idących w pielgrzymce.

Podniósł karteczkę i odwrócił. To był obrazek z wizerunkiem... świętego Antoniego i napisem „Pomóż odnaleźć się tym, co się zgubili, wskaż mi drogę, na której nie zbłądzę”. Mój Ty poczciwy święty - westchnął, wsiadając do samochodu - gdybym wierzył w takie czary-mary, pomyślałbym, że masz coś do mnie. Położył obrazek w schowku, obok rodzinnej fotografii Magdaleny i ruszył w dalszą drogę. Postanowił, że zrobi sobie mały postój nie wcześniej, niż w Kielcach. Tam kupi jakiś drobiazg dla Ewy i przekąsi cokolwiek, a potem będzie miał jeszcze przed sobą tylko jakieś półtorej godziny drogi. A zatem - cały niedzielny wieczór będą mieli z Ewą dla siebie!

Parkując swoje audi S6 w garażu przy Ceglanej, zastanawiał się, czy broszka z białego złota w kształcie ważki przypadnie Ewie do gustu. Matka Fryderyka była zdecydowanym wrogiem tego kruszcu. - Jak żółte, to wiadomo, że złoto - mawiała - a jak białe, to nie wiadomo.

* * *

Musiał teraz dojechać kilka przystanków tramwajem do mieszkania Ewy. Nigdy nie odważyłby się zostawić swojego samochodu na noc na ulicy. Nie było to zresztą specjalnie uciążliwe, ponieważ na tym odcinku tramwaje kursowały dość często, Fryderyk zaś zwykł poruszać się po Krakowie komunikacją miejską lub na piechotę. Wysiadając z tramwaju, spojrzął w okno na trzecim piętrze. Było ciemne. Otwierając drzwi, zastanawiał się, dokąd to mogła pójść Ewa?

- A może naprawdę źle się czuła i jest u matki? - targnęły nim wyrzuty sumienia. Lekarz z pogotowia powiedział co prawda, że nic jej nie jest...

Postanowił wziąć szybki prysznic, a potem zadzwonić do niej i sprawdzić. Miał już wychodzić z łazienki, kiedy usłyszał w przedpokoju radosny dialog.

- Wchodźcie, rozgośćcie się kochani, jak widać, mojego staruszka jeszcze nie ma. Zapowiedział, że wróci nad ranem - rozpoznał głos Ewy.

- Dawaj najpierw coś na ząb, Ewka. Wytrzymałem z siebie ostatnie siły! - to zdanie wypowiedziane zostało zapewne przez młodego człowieka płci przeciwnej.

Był jeszcze trzeci głos:

- I rzuć na stół jakieś szkło, pić mi się chce - ten z kolei ochryply dyszkant nie pozwolił się przypisać nikomu. Nie czekając dłużej, Fryderyk wrzucił na siebie szlafrok i ujawnił swój pobyt w mieszkaniu. W salonie, oprócz Ewy były jeszcze trzy osoby, z czego jedna z pewnością była dziewczyną.

- O! - Ewa odłożyła szybko na stół korkociąg i butelkę nieotwartego jeszcze wina. Wyglądało na to, że to wszystko, co ma do powiedzenia.

- Witaj, kochanie - Fryderyk postanowił nie okazywać zdenerwowania - może przedstawisz mi swoich przyjaciół?

- To my już pójdziemy - padło od strony sofy.

- To jest Krysia i jej chłopak, a to - Ewa wskazywała kolejno na swoich gości - jest Persefona.

- Miło mi - ta ostatnia dygnęła uprzejmie, przy czym okazało się, że niezidentyfikowany wcześniej głos należy do niej.

Całe towarzystwo zaczęło się teraz wycofywać z mieszkania, mniej lub bardziej wylewnie dziękując Ewie za gościnę. Kiedy zostali sami, Fryderyk usiadł w fotelu i przypatrywał się jej w milczeniu.

- A co! - nie wytrzymała w końcu. - Jestem młoda, muszę się czasem zabawić, potańczyć, pośmiać się! Zostawiłeś mnie samą na całe dwa dni!

- Wiem, że jesteś młoda - powiedział spokojnie Fryderyk - brałem to pod uwagę, kiedy porzuciłem dla ciebie żonę. Myślałem, że i ty jesteś tego świadoma. - Ewo - w jego głosie dało się wyczuć zmęczenie - ja wiem, kto kładzie ci te wszystkie mądrości do głowy. Byłem mężem Magdaleny aż dziesięć lat. A wiesz dlaczego aż? Bo ona nigdy nie słuchała nieocenionych rad mojej matki...

- Tak? Tak? - zapiszczała Ewa. - Do niedawna jeszcze byłam lepsza od twojej żony. A teraz? Teraz nagle jestem gorsza, tak?

- Nie, Ewo - Fryderyk spojrzał na nią poważnie - nie byłaś ani lepsza, ani gorsza. Jesteś po prostu inna. I taka właśnie bądź - inna niż Magda, ale w tym pozytywnym sensie.

Spójrz: pędziłem do ciebie na złamanie karku, bez przerwy na obiad, bez snu. Nie zastaję cię w domu, potem sprowadzasz jakieś wesołe towarzystwo. I to ty - zauważ - ty, a nie ja, robisz mi awanturę.

- Proszę - Fryderyk podał jej owalne, zamszowe pudełeczko. Ewa otworzyła je ostrożnie, wyjęła broszkę i bez specjalnych emocji przypięła do bluzki.

- To białe złoto, a te kamyki to szafiry - powiedział.

- Ojej - Ewa spojrzała jeszcze raz na broszkę - jest cudowna, przepiękna! Dziękuję ci kochany... i przepraszam - zarzuciła mu rękę na szyję.

- A teraz szybko włożę coś na siebie - spojrzał na swoje gołe, wystające spod szlafroka nogi - i jeśli pozwolisz, porwę cię na kolację.

V.

Każdy ma prawo do obłądu

Wieczór był bardzo udany, Ewa zabawna i milusia, a później słodka i namiętna - jak na początku ich romansu. Fryderyk spojrział teraz na śpiącą dziewczynę: pszeniczne, rozsypane na poduszce włosy, zgrabne, opalone nogi, pełne, pięknie wykrojone usta - wyglądała, jak słowiańska boginka. Nie potrafił jednak odnaleźć w sobie tej porannej, radosnej energii, jaką kiedyś dawała mu spędzona w objęciach kochanki noc.

Ucałował zarumieniony policzek i cicho wyszedł z domu. Przed drzwiami swojego biura zatrzymał się jak zwykle, ale nie przetarł tym razem błyszczącej wizytówki. Po raz pierwszy, od ośmiu lat. Przeszedł wolno przez hall, krótkim „witam” pozdrowił Bożenkę i zamknął u siebie drzwi. Ułożył przed sobą na biurku fotografię zabraną Magdalenie i obrazek z wizerunkiem świętego Antoniego.

- „Pomóż odnaleźć się tym, co się zgubili, poprowadź mnie drogą, na której nie zbłądzą” - wyrecytował z pamięci, wpatrując się w kobietę ze zdjęcia. Mogła mieć najwyżej trzydzieści lat. Bujne włosy upięte na szyi na czarno-białym zdjęciu były niewiadomego koloru. Fryderyk wyobrażał sobie, że są kasztanowe. Wymykające się z koka kosmyki okalały pełną, kształtną twarz. Jasne oczy pełne nieodgadzionych myśli patrzyły gdzieś w dal. Natomiast usta... Od tych ust Fryderyk nie mógł oderwać wzroku. One zawsze najmocniej przykuwały jego uwagę: zarazem pełne i subtelne, namiętne i niewinne. Im częściej wpatrywał się w fotografię, tym bardziej denerwował się na siebie. Zdawał sobie sprawę, że zaczyna być jego obsesją. Rozpraszała go w pracy, odrywała jego myśli od Ewy, sprawiała, że stawał się opryskliwy i niemiły dla własnej matki. Denerwowała go również własna niemoc. Wiedział przecież, co powinien zrobić: odesłać zdjęcie Magdalenie lub choćby zniszczyć, pozbyć się go jakoś - ale nie potrafił. Schował je teraz szybko do szuflady, widząc stojącą w drzwiach sekretarkę.

- Przyszedł pan Bernard Poleczka. Zechce go pan przyjąć? Nie był umówiony, ale mówi, że przyjechał z bardzo daleka, specjalnie do pana.

- Dobrze pani Bożenko, niech wejdzie - Fryderyk zgarnął jeszcze z biurka wizerunek świętego Antoniego.

Do gabinetu wszedł ogromny, rumiany mężczyzna, a wyraz jego spoconej twarzy sugerował, że ma jakiś spory problem albo sprawę o wysoce delikatnej naturze. Usiadł na brzeжку krzesła i zaczął zbierać się w sobie. Kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, ocierał czoło, wzdychał.

- Co pana do mnie sprowadza? - zapytał Fryderyk życzliwie. - W czym mógłbym panu pomóc?

- Ano, ja mam nadzieję, że mecenas by mógł - powiedział w końcu - bo wie pan, ja w mojej sprawie już i we Warszawie był, i we Wrocławiu, i wszędzie z kwitkiem: mnie odsyłają. Bo ja, wie

pan, z Warmińsko-Mazurskiego przyjechałem. Tam mieszkam, proszę pana. A tu, w Krakowie brata mam i on mnie pana mecenasa polecił. Pan jego zeszłej wiosny tak korzystnie z żoną rozwiódł...

- Miło mi, bardzo mi miło, szanowny panie - uśmiechnął się Fryderyk na wspomnienie tamtej sprawy - a zatem, czym mogę panu służyć?

- Ja, proszę mecenasa... taki cyrograf przedmałżeński spisać by chciał.

- Rozumiem, chodzi panu o intercyzę, czy tak? Ale do tego i szanowna narzeczona pańska będzie potrzebna, i parę dokumentów. To może ja spiszę panu - Fryderyk wyjął z szuflady kartkę - co trzeba będzie przygotować i wtedy umówimy się na jakiś konkretny termin.

- A, nie, wie pan - Poleczka chrząknął nieznacznie - to nie chodzi o mnie, tu o mojego synka idzie.

- W takim razie pański syn z narzeczoną będą musieli przyjechać do mnie osobiście, ale napiszę panu, co powinni dostarczyć i w ten sposób będą się fatygować tylko raz.

- Ano, właśnie, proszę pana - chrząknął znowu - ano i w tym kłopot. A bez nich, nie obeszło by się? Bo to ja, sam tak sobie umyślił i najlepiej, żeby oni nawet nie wiedzieli o niczym.

Nie dziwię się teraz - pomyślał Fryderyk, że cię gościu wszędzie z kwitkiem odsyłają.

- Obawiam się, niestety, że to nie będzie możliwe, proszę pana - powiedział głośno. - Zgodnie z przepisami umowę przedmałżeńską spisują sami zainteresowani i nikt inny za nich tego zrobić nie może...

- No bo przepisy w tym kraju to do bani są - zdenerwował się mężczyzna - zawsze przeciwko petent u! A ja zapłacić zechcę proszę pana, tyle, ile się należy!

- Rozumiem, panie Poleczka, ale co panu przyjdzie z takiej umowy, która wobec prawa jest nic nie warta? - próbował tłumaczyć Fryderyk.

- Bo i prawo do bani jest, proszę pana, to już ja, ojciec rodzony swojego dziecka przed krzywdą uchronić nie mogę? - Mężczyzna spurpurowiał na twarzy, wzbudzając w prawniku obawę, czy aby nie jest to objaw zbliżającego się wylewu.

- Bo, szanowny mecenasie tak rzecz się ma, że syn mnie narzeczoną do domu sprowadził i żenić się chce, a ja mam taką obawę... Takiego stracha, co po nocach mnie się śni. No bo co by to było, proszę szanownego mecenasa, kiedy by ona nagle mężczyzną się okazała?

- Słu... słucham? - Fryderyk w całej swojej prawniczej karierze nie spotkał się z podobnym problemem.

- A bo mnie taka jedna paniusia uświadomiła, w pociągu ja raz jechał z nią. Że niby w tych czasach to nigdy nic nie wiadomo, bo niby, że człowiek - wiadomo, kura to kura, też wiadomo - ale jakiej płci to już gorsza sprawa. U sąsiada mojego jeden młody to narzeczonego ma, w stolicy go upatrzał sobie i do domu zwiózł. Ja tę narzeczoną synka mego to sobie pod kąpielą obejrzał i niby kobieta jest, ale jakaś taka płaskata miejscami. Panie, w telewizorze to nic ino o tych związkach bioseksualnych

gadają, paradować by się one jawnie chcieli, dzieci adaptować, a ja to tak się czuję, jakby do mnie gadali. Jak mówię panu, mnie one po nocach się śnią, a synka jednego ino mam. - I tak mi coś tutaj, panie - Poleczka położył sobie dłoń na sercu, - o, tutaj mnie coś mówi, jedź ty Benek do Krakowa jeszcze i próbuj... Bo, panie, ja to już życia nijakiego przez to nie mam - mężczyźni zaszklili się oczy.

- Pani Bożenko - Fryderyk cicho uchylił drzwi - kawkę proszę i lampkę koniaczku.

- Proszę pana - postawił przed swoim klientem kawę i koniak - ja nie wiem, czy do tej pory któryś z prawników uświadomił pana, że prawo polskie reguluje kwestie małżeństwa, już z definicji traktując je jako związek kobiety i mężczyzny. Gdyby zatem - spojrzał na żywo zaciekawionego teraz Poleczkę - powtarzam: gdyby okazało się, że... że... narzeczoną nie spełnia tego warunku, małżeństwo się rzeczy staje się nieważne. Innymi słowy, panie Poleczka, gdyby pańska synowa okazała się mężczyzną, tym samym małżeństwo pańskiego syna uznane zostaje za nigdy nie zawarte.

Bernard Poleczka wpatrywał się w Gomorę z rosnącą nadzieją i odradzającym się życiem.

- Naprawdę, panie? Panie kochany, toż i na co ja te pół kraju adwokatów zjeździł? Oj, dobrze mnie brat poradził, dobrze. Mógł ja do pana najsamprzód przyjechać, moja wina! Daleko mnie było! No to wiele ja panu winien jestem?

- Nic, proszę pana - odpowiedział ubawiony w duchu Fryderyk.

Poleczka zasepił się na obliczu i rzucił spode łba:

- Ot, a w konia to mnie pan nie robisz? Mnie brat uprzedził, większy mecenas, to większa kasa. A pan co, tak ludzi za darmochę przyjmuje?

- Nic pan nie płaci za wizytę - zreflektował się prędko Fryderyk - wie pan, przez wzgląd na brata. A za poradę należy się pięćset złotych. Ta pani w sekretariacie wypisze panu pokwitowanie.

- Oj, dziękuję ja, serdecznie dziękuję panu mecenasowi, niech panu Bóg da zdrowie!

- Ja również dziękuję, panie Bernardzie - Fryderyk podał mu rękę - polecam się na przyszłość!

- Już ja tego panu nie zapomnę - zapewniał, cofając się do wyjścia - jakby ja z prawem kiedy coś miał do czynienia, to tylko do pana, mecenasie jedyny. I innym polecał będę.

Po wyjściu interesanta w drzwiach ponownie zjawiała się Bożenka.

- Gdyby znalazł pan teraz chwilkę czasu - powiedziała ostrożnie - trzeba by było sporządzić to pismo dla pana Kosińskiego. Pytał dzisiaj, kiedy zostanie przesłane do sądu.

- A, tak - przypomniał sobie Fryderyk - miałem to zrobić jeszcze przed wyjazdem... Dzisiaj je napiszę i sam je dostarczę. Proszę oddzwonić do tego Kosińskiego.

Miał teraz znowu sięgnąć po zdjęcie, ale nie zrobił tego. Usiadł do komputera, otworzył folder pod hasłem „Kosiński - spadek”, a następnie zminimalizował i wszedł w google. Wklepał hasło Rapałki i zajął się przeglądaniem wyświetlonych obrazów. Nie znalazł domu ciotki Magdaleny, ale była tam i studnia figurująca jako dziewiętnastowieczny zabytek i kapliczka - jako atrakcja turystyczna. Była knajpka, pod którą zatrzymał się w nocy i reklamujące się gospodarstwa agroturystyczne.

- Właściwie, czemu nie? - zastanowił się. - Przecież do tej wsi każdy może pojechać sobie na wczasy. Magdalena nie może mi przecież tego zabronić...

Podbudowany tym pomysłem zabrał się rażno do pracy. Napisanie pisma dla Kosińskiego zajęło mu raptem czterdzieści minut. Postanowił zanieść je do sądu w drodze na lunch. Teraz miał znowu kilkanaście minut i mógł przyjrzeć się zdjęciu. Ułożył je na biurku i zaczął przetrząsać szuflady w poszukiwaniu lupy. Gdzieś tu musiała być, kupił ją specjalnie do odczytywania drobnego druku na rozmaitych umowach.

- Jest - ucieszył się, znajdując wreszcie pożądaną przedmiot - że też wcześniej na to nie wpadłem? - mamrotał celując szkłem w wybrane fragmenty. Przyglądał się teraz najdrobniejszym szczegółom intrygującej go postaci, od włosów, po klamerkę u buta.

- Pierścionek... Ona ma na palcu pierścionek - dokonał nowego odkrycia. - Ja znam ten pierścionek! - Fryderykiem wstrząsnął dreszcz emocji. - To niemożliwe, na pewno się mylę. Niemożliwe, żeby ten sam...

- Pani Bożenko! - krzyknął, nie ruszając się z miejsca. - Pani Bożenko... ściszył teraz głos widząc, że sekretarka stoi już za jego plecami.

- Mam do pani prośbę, sam nie mam teraz czasu, ale to pilne...

- Oczywiście, słucham szefie - jak zwykle ofiarna sekretarka gotowa była do wykonania polecenia - co mam zrobić?

- Już pani widziała to zdjęcie, była pani z nim u Kierwecia. Chciałbym jeszcze bardziej powiększyć ten fragment

Fryderyk delikatnie zarysował ołówkiem interesujący go kawałek. Niech robi, jeśli będzie mógł, na dzisiaj jeszcze.

- Dobrze, szefie, zaraz się tym zajmę.

- Proszę postarać się wrócić, zanim będę wychodził na lunch. Muszę jeszcze wpaść do sądu.

Bożenka odpowiedziała mu uśmiechem i w chwilę potem usłyszał, jak zbiega po schodach. Wyjął z teczki terminarz i przerzucił kartki na grudzień. Przed świętami będzie mógł sobie pozwolić na dziesięć dni wolnego...

- Tak, tak właśnie zrobię - pojedę w grudniu do Rapalek na kilka dni. Powiedzmy... zakreślił ołówkiem datę piętnastego grudnia - że tu wyjadę, a wrócę... nie później, niż dwudziestego. Święta muszę przecież spędzić z Ewą i z matką.

To będzie trudne - pomyślał, ale nie niemożliwe... - awantura ze strony Ewy - wyliczał - awantura w wykonaniu matki, i co najgorsze - przeprawa z Magdaleną. Chociaż, może i nie? Pójdę do niej po prostu, dam jej i ciotce jakiś symboliczny upominek gwiazdkowy i najnormalniej w świecie powiem, że nie zamierzam ingerować w ich życie, chcę tylko spędzić kilka dni w tym uroczym zakątku. Nie będziemy się nawet widywać... Tak! Tak zrobię - Fryderyk uznał, że to jest dobre rozwiązanie.

Spojrzał teraz na zegarek, dochodziło wpół do dwunastej. Zaraz powinna wrócić Bożenka, spakował więc wszystkie dokumenty, które miał dostarczyć do sekretariatu sądu i czekał. Przybiegła po kilku minutach.

- Proszę, syn Kierwecia zrobił to na oczekaniu. To jest obróbka komputerowa - sapła. Po jej wyjściu Fryderyk rozerwał niecierpliwie kopertę i zastygł w bezruchu. Spodziewał się tego, ale tak wyraźne potwierdzenie jego przypuszczeń sprawiło go w osłupienie.

- Pani Bożenko - wszedł do pokoju sekretarki i położył na jej biurku niebieską teczkę - ja, niestety, nie mogę teraz wyjść. Gdyby pani była tak uprzejma...

- Mam to zanieść? - przerwała mu. - Oczywiście szefie, już idę.

- Pani Bożenko... - zwrócił się jeszcze do wyjmującej z szafy płaszcz dziewczyny - od nowego roku dostanie pani podwyżkę.

- A na Boże Narodzenie - dodał jeszcze, widząc radosne zaskoczenie na jej twarzy - specjalną premię.

Fryderyk sięgnął ręką do szuflady i wyjął z niej pierścionek, który jego matka zabrała Magdalenie. Ten sam! Nie tyle podobny, ile ten samusieńki! W pierścionku brakowało jednej ze złotych łapek przytrzymującej czerwony kamień. Na zdjęciu też było to widoczne. A więc... to nie mógł być przypadek! - „Nie możesz znać tej mały” - przypomniały mu się słowa matki oglądającej fotografię... Ona musi wiedzieć, kim jest ta kobieta, zareagowała bardzo żywo na jej widok - medytował Fryderyk - i jeszcze ten pierścionek, to za dużo jak na zbieg okoliczności!

- „Od pokoleń my się nim zaręczali w rodzinie” - powiedziała, kładąc go na biurku Fryderyka.

Od pokoleń? Boże mój, czyżby w takim razie mój ojciec kiedyś był zaręczony z tą kobietą? Nie, nie, spokojnie, chłopie... - starał się myśleć bez nadmiernych emocji - to nie ten trop. Pierścionek był zawsze w rodzinie matki. A zresztą, po co ja się zabieram za wyważanie otwartych drzwi? - wybrał numer jej telefonu.

- Mamusia? - zapytał niemądrze, słysząc głos pani Gomorowej w słuchawce. - Mamusiu, posłuchaj, muszę się z tobą zobaczyć. Dzisiaj wieczorem. Mam z tobą do pomówienia, ale chciałbym, żebyśmy byli sami.

Gomorowa coś tam mówiła do niego, ale Fryderyk kompletnie to ignorował.

- Będę u ciebie o dziewiętnastej, ale nic nie kombinuj, bardzo cię proszę. Po prostu czekaj na mnie, sama. To bardzo ważne.

Odłożył słuchawkę i spakował do dużej szarej koperty powiększoną fotografię, tombakowy pierścionek i jego komputerowy wizerunek. Włożył to wszystko do swojej teczki, by mu to nie umknęło, kiedy zajmie się umówionymi na dziś klientami.

* * *

- Chodźmy, pewnie ciotka już dawno wróciła - pociągnęłam Olka za kurtkę.

- Nie chce mi się... - odpowiedział leniwie i przyciągnął mnie do siebie.

- Chce się, czy nie chce, człowiek nie zwierz...

- ... i tak robić powinien, aby go drudzy w poszanowaniu mieli - skończył za mnie ulubioną formułkę ciotki, którą nieustannie raczyła nas w dzieciństwie.

- Otóż i to, Oliwierze - powiedziałam z powagą - przez to włóczenie się z tobą po lesie poszanowanie ludzkie mojej osoby może zostać mocno nadwątlone.

- Nie, na to nie mogę pozwolić - Olek wstał natychmiast ze zmurszałego pnia, objął mnie w pasie i ruszyliśmy wolno w stronę wsi.

- Złota, polska jesień - brodziłam w suchych, szeleszczących liściach - kolory... sraczki chorego na salmonellę - roześmiałam się głośno. - Czy ty wiesz, że jeszcze nie dalej jak miesiąc temu postanowiłam nie wstawać nigdy. z łóżka?

- Dlaczego? - Olek zasepił się wyraźnie. - Tak bardzo cierpiałś z powodu swojego męża?

- Już kiedyś odpowiedziałam ci na to pytanie. Wiesz co? - zapytałam i zrobiłam dłuższą pauzę.

- Tak? - Olek patrzył na mnie z wyczekującym napięciem.

- Muszę iść do fryzjera.

Napięcie w jego oczach nagle opadło.

- Dlaczego? Masz bardzo piękne włosy, gęste i takie... płowe. Zawsze mnie zadziwiał twój typ urody: jasne włosy i przy tym czarne oczy - Olek dotykał moich brwi, wodząc po nich palcem. - Jak narysowane, takie... kształtne! Farbujesz czasem włosy?

- Czasem... Jak były modne pasemka, to nosiłam pasemka, jak wszedł na top balejaż, robiłam sobie balejaż. Ostatnio miałam taką asymetryczną fryzurę, tu o, tak - a tu mi tak wisiało. A tu było do góry - machałam rękami, prezentując Olkowi moją najnowszą koafiurę, po której zresztą nie było już śladu. - I co?

- Jestem pod wrażeniem, naprawdę - stwierdził - ale nie wiem, czy w takim razie któryś z tutejszych salonów będzie w stanie ci dogodzić. Dlaczego zmieniłaś temat?

- Nie zmieniłam. Temat fryzjera jest jak najbardziej w temacie. Otóż - powiedziałam wolno i wyraźnie - teraz dogodzi mi każdy salon, nawet gdyby ścinał włosy siekierą. Do tej pory chodziłam do fryzjera z mężem.

On rzucał fryzjerce przed oczy przyniesiony z sobą katalog, który uprzednio studiował skrupulatnie i pilnował, aby wyszło dokładnie tak samo. Potrafił dawać bardzo hojne napiwki, ale potrafił też karczemnie się awanturować. Miałam wpisane w życiorys te wizyty na koniec każdego miesiąca.

- I jak? - spytałam. - Fryzjer jest w temacie, czy nie?

- Owszem - westchnął Olek, przytulając mnie mocno - jak najbardziej.

Kiedy wyszliśmy na polną drogę, zauważyłam dym snujący się z komina ciotczynej chałupy. Wskazałam w jego stronę ruchem głowy.

- Spoko - powiedział beztrąsko Olek - jakby było przed czym, to będę cię bronił.
- Śliwek przydrożnych nie jadłam, koniaku nie piłam, sukienki nie podarłam, roweru nie zgubiłam - wyliczałam wszystkie przewinienia z kodeksu karnego ciotki - nic mi nie grozi!
- Z chłopakami się nie włóczyłam - uzupełnił Olek.
- Z chłopakami się i owszem, włóczyłam - sprostowałam - ale zachowywałam się skromnie!
- No to - dorzucił jeszcze swoje trzy grosze - ciotka, w przeciwieństwie do mnie, będzie bardzo rada.

* * *

Drewniana furtka otworzyła się z głośnym skrzypnięciem i w tym momencie w drzwiach domu pojawiła się stryj na.

- Chwała ci, Panie - wykrzyknęła na mój widok - już myślałam, że ten twój były cię uprowadził! Bo mnie tu ludzie mówią, że był tu jakiś na krakowskiej rejestracji i cały dzień przed chałupą przesiedział!

- Nie zabrał mnie ciociu - odpowiedziałam radośnie, bo zrobiło mi się bardzo sympatycznie na sercu - żal by było cioci?

Ciotka stropiła się wyraźnie, bo niewylewna z natury, nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć.

- Ano - wydusiła z siebie w końcu - różniej tak we dwie...

Spojrzeliśmy z Olkiem na siebie porozumiewawczo. Oboje znaliśmy ciotkę dobrze. Stwierdzenie, że coś wygląda lub smakuje nienajgorzej, w jej wydaniu było nie lada komplementem... Toteż jej odpowiedź na zadane przeze mnie pytanie było jak... wyznanie miłosne!

- Ja też się cieszę, że tu jestem! - uścisnęłam ją mocno.

- Wchodźże wreszcie Magdaleno - powiedziała szorstko ciotka - toż ty widać herbatą ino żywiła się, nic nie tknięte! Ni chleb, ni kiełbasa...

- Och, bez obawy, madame Matyldo - Olek wysunął się na przód - w miarę swoich skromnych możliwości, nie chwaliwszy się oczywiście, starałem się zadbać o bratanicę pani.

- Wejdz i ty, Olek, kartoflaka zapiekam. W tej twojej „Rapłowiance” to lepsze mecyje są na pewno, ale może popróbować choć zechcesz.

- Jasne, że zechcę, madame - Olek ucałował ciotkę w rękę - dziękuję za zaproszenie!

Stryjna (po raz pierwszy dopiero) rozejrzała się dookoła i weszła szybko do sieni. Olek mrugnął do mnie porozumiewawczo i gestem zachęcił mnie do wejścia.

Z kuchni rozchodził się aromatyczny zapach potrawy, której nie jadałam nigdzie indziej. Poczulałam szczypanie w gruczołach ślinowych.

- No, myjcie ręce, dzieciaki i do stołu! - zakomenderowała ciotka.

Poczulałam się, jakby czas cofnął się o te piętnaście lat. Siedzący po mojej prawej stronie Olek - łobuz i towarzysz najokropniejszych brewerii z dzieciństwa, a dziś całkiem konkretny facet i Matylda,

niegdyś groźna i nieludzko konsekwentna - dziś wzbudzająca we mnie uczucie tkliwości i potrzeby opieki...

Odsuwałam od siebie myśl o moim ojcu i związanych z nim matactwach Matyldy. Być może postąpiła tak wiedzioną jakimś impulsem, a dziś nie umiała się już z tego wyplątać. Nie chciałam o tym myśleć teraz - było mi po prostu dobrze. W małżeństwie z Fryderykiem nabyłam kilka pożytecznych umiejętności, między innymi wypierania ze świadomości lub odsuwania na dalszy plan przykrych spraw. Jak Scarlett O'Hara.

- Mniam! - ekscytował się Olek, zaglądając przez ramię ciotce, wyjmującej gorącą blachę z paleniskowego, kuchennego pieca.

- Nie wiem, czy byłaby pani skłonna podać mi recepturę tego specyfiku, ale gdybym zaczął go serwować w gospodzie to kebaby i pizze Jędrzejków szybko odeszłyby w niepamięć! - mizdrzył się do Matyldy.

Zarumienione, aromatyczne kielbasy wypełnione farszem ziemniaczanym i skwareczkami, wyglądały rzeczywiście niezwykle apetycznie. Ciotka swoim zwyczajem usiłowała pokryć opryskliwością zmieszanie wywołane komplementami Olka.

- Weź no ty Olek, do stołu nakrywaj, zamiast pleść byle co! Ale jak by ty na serio chciał - odezwała się po dłuższej chwili - to przyślij do mnie tę swoją kucharkę. A teraz jedzcie, póki gorące.

- A jak tam, ciociu na pielgrzymce było? - spytałam pomiędzy jednym kęsem, a drugim. - Pogoda się chyba udała, prawda?

- Ano, udała się, w sam raz. I cała pielgrzymka udała się. Nalej - no, Magduś herbaty jeszcze Olkowi - ciotka umyślnie chyba zmieniła temat, żebym nie zaczęła znowu wypytywać o intencje tej wyprawy.

- Ja to też bym na taką pielgrzymkę poszedł. Z Magdą - wyrwał się niespodziewanie Olek.

- A od kiedy to ty taki kościelny się zrobił? - spytała ciotka, nie podnosząc głowy znad talerza. - Jak żyję, to cię może ze cztery razy wszystkiego na mszy widziałam. A i to chyba tylko na ślubach i pogrzebach.

- Uczciwie rzecz biorąc, muszę przyznać pani rację. Jak w tym filmie: cztery wesela i pogrzeb. Ale ja już od jakiegoś czasu myślę, że trzeba by zmienić nieco światopogląd. No, może nie tak, postępowanie raczej, bo wierzący to ja zawsze byłem.

Nie wiem, czy Olek chciał się przypodobać ciotce, czy to co mówił było wynikiem jego rzeczywistych rozterek.

- A ty, Magda praktykująca jesteś? - zapytał.

- Jestem - odpowiedziałam z powagą.

Nie chciałam o tym dyskutować. To, co myślę i czuję w kwestii wiary, jest dla mnie tematem bardzo delikatnym, intymnym prawie. Mój duchowa łączność z tym, co nadprzyrodzone opiera się nie,

jak w przypadku innych ludzi, na wierze - ale swego rodzaju wzajemnym przenikaniu, na intuicji... graniczącej z pewnością. Głośne wyrażanie moich poglądów religijnych mogłoby dla przeciętnego katolika trącić herezją.

- Co tak Magduś zasepiłaś się? Nie smakuje? - pochyliła się nade mną Matylda.

- No co też ciocia! W życiu czegoś lepszego nie jadłam - oburzyłam się przytomnie.

- No to ja już będę się zbierał - Olek widać odczytał moją zadumę jako zmęczenie - dziękuję za pyszną kolację - zwrócił się do ciotki. I za pozwoleniem, przyślę do pani moją kuchareczkę.

Odprowadziłam go do progu - i nie dalej, żeby ciotka nie pomyślała czasem, że zamierzam się z nim migdalić pod osłoną wieczoru.

- Ciociu - zwróciłam się do Matyldy, wracając pospiesznie do kuchni - chciałabym umyć włosy, ale nigdzie nie mogę znaleźć szamponu. Miałam kupić, ale kurczę blade, zapomniałam!

- A otóż i masz - stryjna sięgnęła ręką do szafki pod zlewem - ale ino taki, rumiankowy. Weź Magduś, nastaw więcej wody, to i ja włosy umyję.

W domu Matyldy, aby uzyskać ciepłą wodę, trzeba było ją podgrzać w kotle na kuchni. Wypożyczenie łazienki stanowiła natomiast sporych rozmiarów cynkowa balia i emaliowana miska na trójnogu. Przypuszczam, że gdybym miała korzystać z podobnych urządzeń w swoim mieszkaniu w Krakowie, byłoby to mocno uciążliwe - tu zaś było to tak oczywiste, że ani mi w głowie nie powstało, by narzekać z tego powodu.

- To może ciocia pierwsza? - spytałam, taszcząc parującego kocioł. - Ja mam krótkie włosy, prędzej wyschną. A może cioci polać?

- A, nie dziecko, dam radę.

Ciotka dała radę szybciej, niż mogłabym przypuszczać. Widać miała wprawę w posługiwaniu się dzbankiem. W łazience było pełno pary. Kiedy schyliłam się nad miską, spostrzegłam stojącą w kącie na podłodze flachę z fioletem gencjany.

Nieraz już natykałam się w domu ciotki na takie flachy, nigdy jednak nie miałam odwagi spytać, na co jej one. Kiedy sięgnęłam po grzebień, zaczęłam się domyślać.

Ciotka była... ruda! Była ruda i dla ukrycia tego faktu robiła sobie - najprawdopodobniej przez całe życie - płukanki z roztworu gencjany! Zdjęłam z grzebienia kosmyk rudych włosów i schowałam do kieszeni.

- Boże mój - myślałam, układając fryzurę - ileż w tej Matyldzie tajemnicy! Kusiło mnie, aby zapytać ją o te parę niejasnych spraw: o matkę, która piła, o rzekomą śmierć mojego ojca, o te rude włosy wreszcie...

Właściwie nawet nie brakowało mi odwagi. Jeśli się bałam, to raczej popsuć czegoś między nami, a może... po prostu bałam się poznać odpowiedzi na te pytania. Jednak kiedy stanęłam z ciotką oko w oko, coś we mnie wstąpiło.

- Ciociu - spytałam niewinnie - niedługo Wszystkich Świętych, pójdziemy na cmentarz?

- A jakże, pójdziemy - odpowiedziała bez mrugnięcia powieką.

- Bo wiesz, ja bym chciała jakiś taki... jakiś okazały znicz mojemu ojcu na grobie zapalić. A nie wiem, czy w Rapałkach taki dostanę.

- A pewnie, że dostaniesz. W „Żabkach” u Stefanka pełno zniczów.

Patrząc na niczym niezmacony spokój Matyldy, zastanawiałam się, czy to aby mnie nie miesza się w głowie. A przecież byłam, do cholery w tych całych Latkiejmach i rozmawiałam z moim własnym, najwłaśniejszym ojcem!

- A kogo tam jeszcze mamy z rodziny na tym cmentarzu?

- No, twoja babcia Ernestyna pochowana jest... I dziadek Eustachy i jego brat, ale ty go na oczy nawet nie widziałaś, on na wojnie zginął. No i tyle... bo Jola, matka twoja, w Krakowie przecież leży.

A jeśli Ernestyna rzeczywiście nie była matką Matyldy, to gdzie więc jest jej matka? Może także w jakimś zakładzie dla obłąkanych? Miałyby już w takim razie co najmniej osiemdziesiąt lat. Prawdopodobnie już nie żyje, a skoro tak, to gdzie jest pochowana? Wszystkie te myśli nie dawały mi spokoju. Siedziałam przy stole podparta na rękach i kiwałam się bezmyślnie.

- Idź Magduś spać - stryjna trąciła mnie w ramię - bo mnie się widzi, że ty zaraz zaśniesz na tym stole.

Wdrapałam się na kopiaście łóżko i jak zawsze wywaliłam na podłogę połowę puchowych poduszek. Po głowie nadal plątały mi się różne, niespójne wątki, przypominały mi się urywki rozmów, pod powiekami przesuwały się rozmaite postaci, które pamiętałam z dzieciństwa: babcia, dziadek, stary listonosz, niemowa żebraczka... Czułam, że jeśli zasnę, natychmiast pojawią się moje zmary. Chciałam czuwać, ale byłam na to zbyt senna...

* * *

... wyskoczyłam z łóżka, słysząc kroki zbliżające się do drzwi. Drżąc z zimna i ze strachu, stałam boso na zimnej podłodze, w samej tylko cienkiej koszuli.

- To ja z pola teraz dopiero schodzę, a jaśnie pani już w łóżku! No proszę - wysoki, barczysty mężczyzna szarpał mnie za rękaw - koroneczki, falbaneczki! Nie chcę widzieć w moim domu tych dworskich frajcymerów! A jutro zaraz ze świtem do wykopków, moja paniusiu!

Serce waliło mi jak młotem, ochrypli, budzący we mnie grozę głos mężczyzny wbijał mi się boleśnie w mózg. Zamknęłam oczy.

- Poszedł - pomyślałam z nadzieją. - Boże, spraw, żeby poszedł!

- Tfu - odwrócił się nagle i splunął mi pod stopy - tfu! Zrozumiałaś, wywłoko?

- Cho... chora jestem - wyszeptalam cicho. Poczulałam teraz ostry ból w piersiach i nadchodzący atak kaszlu.

- Chora? - szydził mężczyzna. - Chora? Takie wielkie paniusie zawsze chore na robotę są. A i masz całą przyczynę swojej choroby - otworzył z impetem szafę i spod sterty bielizny wyciągnął butelkę alaszu. Trzasnął nią o podłogę, a z sąsiedniego pokoju rozległ się głośny płacz dziecka.

- Szmata jesteś, barachło, już ja karierę z tobą zrobił! Nic mnie ty dobrego nie przyniosła! Ni posagu, ni sławy, ni szacunku u ludzi! Gdzie ja rozum miał, jak się z tobą zenił! Patrzeć na ciebie nie mogę, bodaj cię ziemia pochłonęła!

- I ja patrzeć na siebie nie mogę - ruszyłam wolno w stronę drzwi - nic ci ja, mężu, dobrego nie przyniosłam. No to zejść cię z oczu i jak przyszłam, tak pójdę... Tylko to wezmę z sobą - podeszłam do małej, nocnej szafki i sięgnęłam po ukrytą za lustrem butelkę.

Mimochodem dostrzegłam w nim swoje odbicie: bladą postać w batystowej koszuli i długie, splątane, rude włosy...

- Twoje zdrowie, mężu - podniosłam butelkę do ust.

Zaskoczony mężczyzna stał bez ruchu na wprost drzwi i jakby czekał, czy naprawdę zamierzam opuścić jego dom. Minęłam go bez słowa, pociągając długie łyki z butelki. Teraz było mi już wszystko jedno, co mi zrobi...

- A idź! - odezwał się wreszcie. - Idź, ty łachudro ostatnia, szmato, idź!

- Pójdę! - odpowiedziałam bardziej do siebie, niż do niego, spokojnie oddalając się od progu.

- Mamusiu! - płakało coraz głośniejsze dziecko. - Gdzie ty idziesz, mamusiu! Nie odchodź!

Kątem oka dostrzegłam drobną, przyklejoną do okna twarzyczkę i małe, rozpostarte na szybie paluszki.

- Pójdiesz, pójdiesz - coś wołało do mnie z ciemności.

- Pójdę - odpowiedziałam w jego stronę i ruszyłam przed siebie, wlewając w usta piekący, słodkawym płyn. Nie wiedziałam, dokąd idę, wiedziałam tylko, że muszę się zatrzymać. Że nie powinnam zrobić ani jednego kroku więcej. Wiedziałam, że muszę... się obudzić!

* * *

Usiadłam na łóżku i przeciągnęłam dłonią po mokrych włosach. Niemal nie czułam władzy we własnym ciele - te koszmary wysysały ze mnie całą życiową energię. Wstałam i na drżących nogach weszłam do kuchni, zapaliłam światło i usiadłam przy stole.

- Co tam znowu, Magduś? - ciotka cicho stanęła za moimi plecami. Drgnęłam gwałtownie.

Nie chciało mi się nawet otwierać ust: zmuszać myśli do formułowania zdań, artykułować, wyduszać z siebie słowo za słowem, tłumaczyć, więc się w poszukiwaniu wykrętnych odpowiedzi... Siedziałam więc z oczami utkwionymi w stół, z rękami ułożonymi bezwładnie na kolanach. Ciotka wolno usiadła naprzeciwko.

- Ja nie wiem, dziecko... - odezwała się w końcu - może ty do jakiego lekarza powinnaś iść? Jakies leki on by cię na nerwy może dał... - Bo to nerwowe, po mojemu, te twoje strachy...

- Boi się ciocia, że popadam w obłąd? - spytałam z ironią w głosie.

- A niechże Bóg broni! - przeraziła się ciotka nie na żarty. - Nie, ino martwię się o ciebie.

Miałam nieodpartą ochotę zapytać ją teraz o mojego ojca i o te niezwykle, realistyczne postaci z mojego snu. Kojarzyłam niejasno pewne rzeczy: i kobieta, która bywała mną we śnie i ta mała, ciągle zapłakana dziewczynka - obie miały rude włosy. Byłam pewna, że nie były tylko wytworem mojej wyobraźni. Kim były? Czy miały jakiś związek z tym domem? A rude włosy ciotki, które odkryłam na grzebieniu? Czułam, że to w jakiś sposób wszystko łączy się z sobą, ale jak? A mój obłąkany ojciec? A głos przemawiający do mnie ze studni?

Wszystko razem plątało mi się po głowie, nie umiałam tylko znaleźć jakiegoś wspólnego wątku... Fabuła moich snów robiła się coraz bardziej rozbudowana. Teraz, oprócz dziecka pojawiła się również matka i jej straszliwy małżonek. Siedziałam naprzeciw ciotki bez słowa i coś we mnie rosło, kotłowało się... Cały ten senny kryminał w odcinkach, mój były, ale ciągle jeszcze aktualny mąż i jego boginka, teściowa, grasująca na zgliszczach mojego domu w Krakowie, wysuszony ojciec w domu opieki społecznej...

- Ciociu - złapałam Matyldę za rękę - dlaczego życie jest takie trudne?

- Dlaczego? - westchnęła smutno. - Ano, najprędzej dlatego, że ludzie sami sobie takim życie czynią. Pewno, że czasem krzyże los zsyła, wypadki, choroby - i na to nic już nie poradzisz. Ale jak tak popatrzeć dokoła, to najwięcej sami sobie ludzie krzywd przyczyniają. Tak sobie, jak i drugim.

- To prawda, ciociu. Tyle jest teraz na świecie zła, nienawiści, chciwości...

- Czasem można - ciotka zamyśliła się, ignorując moją banalną konkluzję - i bez nienawiści drugiego ukrzywdzić. Jak się chce komuś czynić dobrze i mu się tą dobroć po swojemu w życie wciśka. Jakby każdy żył tak, żeby miał na uwadze innych, szanował drugiego jak człowieka, razem z jego życiem - dużo mniej byłoby nieszczęścia we świecie.

- A jak człowiek nieszczęśliwy jest - ciągnęła dalej - to też tak się umie w te swoje nieszczęście zapatrzeć, że nawet nie dojrzy, iż drugiego krzywdzi.

Słuchałam tego wywodu ciotki i nie umiałam pojąć, jak mogła się tak bardzo zmienić.

- To co według cioci w życiu jest najważniejsze? - spytałam z ciekawością jej nową filozofią.

- Szczęście, Magduś. Nie można bez końca odrzucać tego, co ci los nadarza, wybrzydzać, bo i on granice swojej cierpliwości ma. A życie krótkie jest, tak się nieraz wydaje, na to masz czas, na tamto przyjdzie czas, ale on może już nie przyjdzie i kiedyś zostanie ci ino patrzenie w okno, i te paciorki różańca na palcach... Jak mnie...

- Ciociu - chciałam powiedzieć jej coś ciepłego, coś serdecznego, ale głos wiązał mi w krtani - moja ty kochana... Matyldo - wykrztusiłam tylko.

- Nie masz się co nade mną użalać, Magduś. Patrz ino teraz, żebyś ty swojego czasu nie zmarnowała. Mnie się zdaje, że przy tym twoim Fredku to ty wiele dobrego nie zaznała. Dlatego ja nic nie mówię, że ten Olek tak koło ciebie zachodzi. Ty nie myśl, że ja zła o to jestem albo co...

- Na miłość Boską, ciociu, co się z tobą przez te wszystkie lata stało? Ja nic już nie rozumiem, kiedyś głosiłaś, że najważniejsze w życiu jest poważanie ludzkie. I choćby nie wiem co, ono zawsze było u ciebie na pierwszym miejscu. A teraz mi to mocno koliduje z tym, co mówisz. Bo i miłość, i szczęście czasem wymyka się poważaniu ludzkiemu, a to, co czyni nas szczęśliwymi czasem bywa przedmiotem kpin lub wręcz potępienia...

- A niechby! Niechby kpili i potępiali! - ciotka spojrzała gdzieś daleko, za okno. - Szacunek, poważanie... i ja takie przekonanie miałam, u nas wszyscy w rodzinie według takiego myślenia żyli. I ojciec mój tak mnie wpajał zawsze i twój ojciec, a mój brat... Ale kiedy ich Magduś zabrakło, kiedy ja sama w tym domu zostałam, zaczęłam ja myśleć inaczej...

- To tak jak ja, po odejściu Fryderyka - wtrąciłam cicho, ale ciotka nie słuchała.

- Z początku to tak mnie na sercu było - mówiła - jakbym ja rodzonym swoim wiarę wypowiedziała. Przepędzałam to wszystko od siebie, ale wracało i wracało... Cały żywot mój przed oczami kołem mi przebiegał i czasem żalność taka... taka tęsknota, boleść mnie ogarniała. Tylko ta modlitwa żarliwa lekarstwem dla mnie się stała... I tak od dawna proszę już, żeby mi ten święty Antoniczek życie moje pogubione pozbierać pomógł. Żeby mi jeszcze na tyle czasu dał Wszechmogący, abym ponaprawiać wszystko, poprostować zdążyła...

Ciotka zamilkła i zwiesiła głowę, miała mocno zaciśnięte usta i ściągnięte boleśnie brwi. Mogłam się jedynie domyślać, że jakiś wielki dramat rozgrywa się teraz pod jej zamkniętymi powiekami.

- Idź, Madziu, połóż się - powiedziała cicho, nie otwierając oczu - już świtać zaczyna, teraz już żadne strachy przystępu do ciebie nie mają.

Rzeczywiście, za oknem zaczynało jaśnieć, dochodziła siódma rano.

- To ja pójdę ciociu - powiedziałam, przypominając; sobie, że na dwunastą umówiłam się z Olkiem.

Postanowiłam zrobić jakieś odzieżowe zakupy i on miał mi w tym pomóc, chociaż jeszcze o tym nie wie. Odsłoniłam zasłony w moim pokoju i ułożyłam się w łóżku. Wkrótce poczułam, że nadchodzi zdrowy, normalny sen.

Obudziłam się rześka, jak skowronek. Ciotka także rażno krzątała się po kuchni, zupełnie jakby nasza nocna rozmowa nie miała miejsca.

- Dzień dobry - złapałam ją wpół i ucałowałam soczyście w oba policzki. Ciotka o dziwo wcale nie wzbraniała się przed tym nagłym aktem czułości. Drobna i delikatna, z dnia na dzień budziła we mnie coraz większą tkliwość.

- No, ja nie wiem, czy do śniadania, czy do obiadu powinnam ciebie teraz zapraszać - uśmiechnęła się pogodnie.

- A, nie, niech ciocia nie robi sobie kłopotu. Ja... to właściwie umówiona jestem z Olkiem. Już nawet spóźniona trochę.

- No to biegaj, ale na obiedzie obydwu chcę was tu widzieć. Kołdunów więcej narobię. - A pieniądze ty masz? - krzyknęła jeszcze za mną.

- Mam kartę do bankomatu, a... właśnie, ciociu...

- Bankomat jest koło poczty - wpadła mi w słowo.

- Olek już czeka, zaraz pewnie trąbić zacznie.

- Trąbić? - zastanowiłam się, wybiegając z domu. - Ciekawe na czym?

Chwilę potem zobaczyłam Olka za kierownicą zielonego samochodu. Był to mały, dwudrzwiowy mercedes. Nie znam się na samochodach, ale taki sam model miał Fryderyk w zeszłym roku.

- Dokąd pani Magdalena sobie życzysz? - zapytał, otwierając mi drzwi.

- Do bankomatu, a potem do sklepu z konfekcją damską. Święta idą - wyjaśniłam. - W czym za zwyczaj występuje się w Rapąłkach we Wszystkich Świętych?

- A... występuje się... A bo ja wiem? Słyszałaś przecież, że ja za bardzo kościelny nie jestem.

- Kościelny kościelnym, ale to święto ma akurat zupełnie inny charakter. W tym dniu na cmentarz chodzą nawet zdeklarowane bezbożniki - stwierdziłam z pozorowanym niesmakiem. Olek uruchomił samochód i wypalił bez zastanowienia:

- Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że w tej sportowej kurteczce wyglądasz rewelacyjnie.

- Nie osłabiaj mnie, Oliwierze. We Wszystkich Świętych nie można się ludziom na oczy pokazać w niczym, poniżej futra z nutrii.

- Jeśli jeszcze pogoda dopisze - stwierdził logicznie - na razie zanoszą się na to, że trzeba będzie sięgnąć do szaf po letnie ciuchy.

Spojrzałam na niego z wyraźnym politowaniem.

- Dzień pierwszego listopada stanowi tradycyjne otwarcie sezonu na wszelakie, zdarte uprzednio ze zwierzaków odzienia, jak: futra, kozuchy, skórzane płaszcze na podpince, a także na kołnierze i czapki z lisa, futrzane etole i mufy. Bez względu na pogodę.

Oliwier nie wyczuł ironii w moim głosie, skutkiem czego miał teraz mocno zasepiony wyraz twarzy.

- Ale w Rapąłkach nie ma sklepów futrzarskich...

- No i chwała Bogu - uradowałam się głośno - bo inaczej czułabym się w obowiązku nabyć coś z tego asortymentu.

Kiedy zappełniłam już niewielkich rozmiarów bagażnik Olkowego samochodu, poprosiłam, żeby zabrał mnie na przejażdżkę. Do obiadu u ciotki było jeszcze trochę czasu, a ja bardzo chciałam z nim

porozmawiać. Do tej pory - poza moimi pijackimi wynurzeniami - nie odkrywałam się przed nim specjalnie. Teraz potrzebowałam jednak wdzięcznego ucha. Postanowiłam opowiedzieć mu o moich snach, o metamorfozie Matyldy i moim odkryciu dotyczącym jej koloru włosów. Zamierzałam przemilczeć jedynie to, że mój ojciec żyje. Na razie. Olek nie wiedział, po co pojechałam wtedy do Latkiewmów. Powiedziałam mu, że zamierzam odwiedzić dawną przyjaciółkę i zobowiązałam do zachowania tajemnicy przed ciotką.

- No to dokąd chciałybyś pojechać? - zapytał.

- Nie wiem... W jakieś ładne, spokojne miejsce - na łono natury.

- Jasne. Znam takie miejsce - Olek ruszył wolno z miejsca. Na tyle wolno, że mógł od czasu do czasu gapić się na mnie, nie narażając nas na wypadek.

- Dokąd jedziemy? - spytałam po dłuższej chwili.

- W miejsce, które całkowicie spełni twoje oczekiwania - odpowiedział tajemniczo - a tak w ogóle, to mów coś, bo włączę radio!

- A proszę cię bardzo, albo ty coś mów. Mnie się nie chce. Nie wyspałam się.

Olek spojrział na mnie z ukosa. Zbierał się chyba w sobie, aby o coś zapytać, ale w końcu westchnął tylko i na tym poprzestał.

- Nie dlatego, że cierpię z powodu odejścia męża - odpowiedziałam mu na to niezadane pytanie.

- Słucham?

- Przyczyną mojego niewyspania nie były bynajmniej katusze sercowe, spowodowane porzuconiem mnie przez małżonka - wyjaśniłam pełnym zdaniem - odpowiadam ci właśnie.

- Ale ja o nic nie pytałem.

- Owszem, pytałeś. A przynajmniej zaciekawileś się ewidentnie.

- Taaak? - zaśmiał się. - Czytasz w moich myślach?

- Na szczęście nie. Obserwuje jedynie objawy i właściwie je interpretuję.

- O! A jakież to były objawy?

- Robiłeś tak oczami - zademonstrowałam - a ustami robiłeś, o tak! I wzdychałeś.

- Chyba będę musiał się bardziej kontrolować - stwierdził Olek i położył mi rękę na kolanie.

- Chyba będziesz - strąciłam ją natychmiast.

- A ty doszlifuj jeszcze trochę swoją umiejętność interpretacji. To był czysto przyjacielski gest.

Przemilczałam to kłamliwe wytłumaczenie. Za Gliniankami Olek odbił z głównej drogi w lewo i teraz już trasa prowadziła leśnym duktem. Po chwili zobaczyłam szeroką, kutą w metalu bramę. Olek zatrzymał samochód. Przeszłam przez nią wolno i dostojnie, jakbym wchodziła do jakiegoś sanktuarium.

- Gdzie jesteśmy - zapytałam szeptem.

- W najbardziej ustronnym miejscu na świecie - odpowiedział również szeptem - to stary park pałacowy. Pałac też jest, tylko trochę... podupadły.

Szliśmy w milczeniu kawałek zaniedbaną alejką, ocienioną starymi, liściastymi drzewami. Nie chciało mi się mówić, choć właściwie głównie po to chciałam wyciągnąć Olka gdzieś na ubocze.

- No, słucham, co cię trapi? - zapytał właśnie w tym momencie. - Jedno wiem na pewno, że nie jest to twój mąż. Powtarzałaś mi to wielokrotnie. A skoro nie on, to co? Albo kto?

- Poczekaj - westchnęłam - zbiorę myśli, to nie jest takie proste. Dojdziemy do tej kamiennej ławki i tam ci wszystko opowiem.

Olek zatrzymał się i spojrzał na mnie zaskoczony.

- Skąd wiesz, że tu jest taka ławka? Byłaś tu już? Myślałem, że zrobię ci niespodziankę...

- Nie, skąd, nie byłam tu nigdy - tłumaczyłam się zmieszana. - To przecież oczywiste, że musi być ławka. W końcu to park...

Właściwie nie wiem, skąd przyszła mi do głowy ta ławka. Szurzałam butami w grubej warstwie suchych liści i teraz już zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Popadam w obłęd. Jestem właśnie w trakcie dziedziczenia schizofrenii, z pierwszej ręki - powiedziało mi się, jakoś tak samo... - czy ta ławka wygląda jak ogromna, kamienna sofa z wielkimi kulami po bokach?

- W schizofrenii nie miewa się proroczych wizji. Spójrz - wskazał dłonią w stronę masywnego, betonowego siedziska. Wyglądało dokładnie tak, jak je opisałam. Usiadłam ostrożnie na brzeżku, a następnie przesunęłam się ku środkowi, by umościć się wygodniej w wyłobionym z czasem zagłębieniu. O nim też nie miałam prawa wiedzieć, tym bardziej, że było ukryte pod warstwą liści.

- Ja... naprawdę nigdy tu nie byłam. Olek... - spojrzałam na niego bezradnie - ja nie wiem, co to jest, ale miewam tu Jakieś sny, jakieś dziwaczne historie snują mi po głowie...

Olek patrzył na mnie z powagą, a jego postawa świadczyła o tym, że zamierza wysłuchać mnie cierpliwie do końca.

- Już w dzieciństwie, wiesz? Zawsze, zawsze tylko w domu ciotki miewałam te sny. Najpierw przychodziła do mnie nocami malutka, zapłakana dziewczynka, która czegoś ode mnie chciała... Jakby miała o coś pretensje. Kiedy byłam w jej wieku, nie lubiłam jej. Bałam się jej. Potem zaczęłam dorastać, a ona nie - wciąż była taka malutka. I wciąż przychodziła... Stopniowo zmieniał się mój stosunek do niej, było mi jej żal. Potem zaczynałam mieć jakieś niejasne wyrzuty sumienia, czułam się tak, jakbym robiła jej krzywdę. Moja niemoc... Kompletna ignorancja w stosunku do tego dziecka, rozumiesz? Ona mnie potrzebuje... Co noc wyciąga do mnie ręce, a ja ją odtrącam, zajęta swoim życiem... Kiedy przestałam przyjeżdżać do ciotki, te sny się skończyły. Teraz wróciły znowu, ale... Są coraz bardziej skomplikowane, choć niby wszystko zaczyna mi się układać w jakąś całość, ale nie wiem

jak... Brakuje mi jakiegoś elementu... Teraz w tych snach występuję też ja sama, ale nie jako ja, Magdalena. Jestem jakąś inną kobietą, ale czuję i myślę jak ona. Rozumiesz?

Olek skinął głową, w jego oczach nie było cienia ironii, ani zdziwienia. Słuchał uważnie, czekając na dalszy ciąg.

- Ostatnio pojawiła się w nich postać małżonka, który najprawdopodobniej znęca się nade mną. Innym razem śniłam siebie na scenie, grałam w teatrze przy pełnej widowni. Byłeś tam też i ty, i Matylda, i Fryderyk... I ta mała płacząca dziewczynka. I jakiś amant, którego nie potrafiłam dogonić. Wszyscy mieli mi to za złe... Jestem przekonana, że postaci z moich snów naprawdę istniały, tu, w Rapalkach. Gdybym miała kogo zapytać...

Olek przez chwilę myślał intensywnie, próbując się połapać w całej tej koszmarnej układance.

- Wszystko to takie... zawile i... niezwykle - odezwał się w końcu - może i coś w tym jest, jakaś zagadka... Na razie nie wiem jeszcze, jak się do tego zabrać. Mógłbym zapytać w rodzinie, może ktoś z najstarszych coś pamięta, zna ze słyszenia, ale... - spojrzał na mnie niepewnie - nie wiem, czy byłby to dobry pomysł.

- Masz rację - westchnęłam - to nie jest dobry pomysł, choć przyznam, że trochę na to liczyłam... Ale jeśli w to wszystko jakoś uwikłana jest Matylda?

- Myślę jednak, że trzeba będzie...

- Posłuchaj! - gwałtownie weszłam mu w słowo, bo coś zaczęło mi się lęgnąć w umyśle. - Matylda! No jasne! Oni wszyscy mają rude włosy: i ta dziewczynka, i ta ja, i ciotka. Stryjna była w młodości bohaterką jakiegoś haniebnego skandalu. Nie wiedziałeś o tym? No przecież, jak miałaś wiedzieć - odpowiedziałam sama sobie - ja też niewiele wiem. Ale...

- O! - wykrzyknęłam zdumiona nagłym odkryciem.

- Może Matylda była niegdyś aktorką? Ta ruda dziewczyna na scenie... to ona? I to był ten rodzinny skandal? Olek - szarpałam go w podnieceniu za rękaw - kiedyś komediantki bywały przeklinane przez rodziny, no nie? I... i... - zachłystywałam się teraz tłoczącymi mi się w głowie pomysłami - ona miała nieślubne dziecko. Tą małą, rudą dziewczynkę... I potem... Chryste Panie... te głosy ze studni, bo... bo ciotka utopiła to dziecko jako owoc swojej hańby i nagle zaczęła sobie robić płukanki z genjany żeby nikt nie kojarzył ją z tą rudowłosą aktorką i z tą rudowłosą dziewczynką. Z tego wszystkiego oszalał mój ojciec... A ten amant ze sceny? On uciekał! Uciekał przede mną bo nie chciał się przyznać do ojcostwa i wszyscy mieli mi to za złe. To znaczy stryjnie Matyldzie! Widzisz to??? Rozumiesz??? Spojrzałam na Olka podekscytowana. On jednak jakby nie podzielał mojego entuzjazmu...

- Ja myślę, Magdaleno, że sami nie damy rady. Trzeba będzie jednak poszukać kogoś, ale nie w mojej rodzinie, nie tu, w Rapalkach, ale może... jakiegoś jasnowidza? Hipnotyzera?

- Znasz kogoś takiego? - pomysł wydał mi się sensowny. - Kiedyś zamierzałam odbyć taką wizytę, jak jeszcze byłam panienką, ale potem ustały te sny i nie było już takiej potrzeby.

- Nie, nie znam, ale jakoś się rozejrzę.

- Nie przekonuje cię moja wersja, prawda? - odgąłłam, sądząc z jego miny.

- Nie bardzo. Pomijając już takie rzeczy, że młodość twojej ciotki przypadła na lata sześćdziesiąte, a wtedy bycie aktorką nie przyczyniało kobiecie hańby, raczej przeciwnie. Z twoich relacji wynika przecież, że akcja tych snów dzieje się znacznie wcześniej. Ale to są wszystkie wątpliwości drugorzędne.

- A jaka jest ta pierwszorzędna? - spytałam, a emocje związane z dokonanymi przeze mnie odkryciami zaczęły stopniowo opadać. Olek spojrzał mi uważnie w oczy.

- Topienie przez twoją ciotkę nieślubnego dziecka w studni - powiedział.

Zrobiło mi się straszliwie głupio. Jakże ja, jej własna bratanica mogłam wymyślić coś podobnego? Przecież to oczywiste, że Matylda nie byłaby do tego zdolna! Ba! Nie sądzę, że byłaby zdolna do nabawienia się nieślubnego potomstwa!

- Wiem. Wstyd mi teraz okropnie, ale poniosło mnie - patrzyłam na Olka, starając się wyrazić oczami to, co teraz czuję.

- Nie wiń się, Magdaleno - wziął mnie za rękę - za dużo tego wszystkiego. Za dużo po prostu na ciebie jedną. Ale na mnie zawsze możesz liczyć, wiesz? Cokolwiek by się działo, bo ja... - podniósł moją dłoń do ust - ja... już od dawna, jeszcze, kiedy byliśmy dziećmi...

Patrzyłam w te czarne jak węgle, błyszczące oczy, a one wwierały się w moją duszę, raniły umysł i rozrywały serce. Wirowało mi w głowie, zdawało mi się, że za chwilę przestanę oddychać. Rozpacz i niemoc obejmowały powoli całe moje ciało: czułam się tak, jakbym w tej właśnie chwili traciła coś najważniejszego, jedyne... kogoś... Na zawsze. Ja... już to kiedyś słyszałam! Tu, na tej ławce!

- Magdaleno... Ja ciebie...

- Nie! - wstałam gwałtownie. Nie zważając na szok, jaki funduję teraz Olkowi obiegłam ławkę od tyłu i uklękłam, żeby móc zajrzeć pod kamienne oparcie. Wodziłam po jego krawędzi opuszkami palców, aż wyczułam kilka płytkich rowków. Pośliniłam chusteczkę do nosa i przetarłam kilka razy to miejsce. Olek uklęknął obok mnie. Zobaczyłam niewyraźne, wyryte w kamieniu litery.

- Tu jest napis - powiedziałam do Olka - przeczytaj. Usiadłam na ziemi, tyłem do ławki i zamknęłam oczy. - Ty przeczytaj, a ja ci powiem, co tam jest.

- Przeczytałem - wpatrywał się z napięciem w moją twarz, jakby teraz chciał czytać z niej.

- Rossi i Gawo. I jeszcze data. Tak? - zapytałam szeptem.

- Tak. Tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty rok? - zapytał teraz Olek mnie.

- Tak. Rossi i Gawo, tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty rok. - Nic nie mów - poprosiłam cicho, nie otwierając oczu. Ciągle siedziałam na ziemi, oparta plecami o chropawy kamień.

- Mogę usiąść obok ciebie? - zapytał Olek. Skinęłam głową i podałam mu rękę. Chwyciłam ją kurczowo. - Musimy już jechać. Ciotka czeka z obiadem.

Pomógł mi wstać i ruszyliśmy wolno w stronę bramy. Obejrzałam się jeszcze i rzuciłam okiem na ledwo widoczny między drzewami pałac.

- Chciałabyś obejrzeć sobie ten budynek? Nikt tego nie pilnuje, można swobodnie zwiedzić każdy kąt.

- Nie dzisiaj, ale możemy tu przyjechać jeszcze raz. Może... w Zaduszki?

- Dobrze - Olek przytulił mnie mocno - co tylko zechcesz.

- Przepraszam cię, Oliwierze - czułam teraz najprawdziwszego, moralnego kaca - za cały dzisiejszy dzień. Od samego południa wycinam ci paskudne numery. Przypuszczam, że wolałbyś inaczej spędzić ten czas. Ja zresztą też...

- Nieprawda - roześmiał się swobodnie - nieważne jak, byle z tobą.

- Nieprawda, ale miło mi, że tak mówisz. Wiesz - uznałam, że należy mu się ode mnie w końcu jakieś ciepłe słowo - ja też cię bardzo lubię, od bardzo dawna. Lubię być z tobą.

W odpowiedzi Olek uściśnął mnie mocno.

- Nie martw się Magda, mnie nic nie jest w stanie do ciebie zrazić - w jego oczach figlowały znajome diabliki. - Zresztą, ja wierzę, że coś w tych twoich snach jest, wierzę w życie nadprzyrodzone, w Ufo i Wielką Stopę, ale przede wszystkim: wierzę w ciebie!

Dałam mu potężnego kuksańca pod żebro i cała uprzednia atmosfera zaczęła nabierać innego klimatu.

- Włącz radio - poprosiłam, wsiadając do samochodu.

Kiedy weszliśmy do domu, ciotka wyławiała cedzakiem kołduny z wielkiego gara.

- W samą porę - ucieszyła się - aby raz!

- Oj, w samą porę ciociu, mój żołądek jest tego samego zdania - spojrzałam łakomie w stronę parującego półmiska.

Nałożyłam sobie na talerz dwie, ogromne kluchy i okrasiałam suto skwareczkami.

- Tobie w ogóle udało się w Rapałkach jakieś zakupy zrobić? - spytała Matylda, zasiadając do stołu.

- Nawet całkiem przyzwoite, ciociu. Później poprzymierzam, to zobaczysz. A właściwie, to... Mogliśmy dzisiaj jeszcze... - spojrzałam na Olka.

- Co? - zapytał, ponieważ utknęłam w pół zdania. Wbiłam wzrok w uniesiony na widelcu kawałek kołduna, uświadamiając sobie nagle, że zażeram się ulubioną potrawą mojego ojca, podczas gdy on spożywa kleiki i sucharki w domu opieki społecznej.

- No co, Magduś? - zaniepokoiła się ciotka.

- ... znicze kupić - dokończyłam. - Nie mogę tak, jak ostatnia świnia! - powiodłam wzrokiem po zdumionych twarzach współwinowajców i odsunęłam od siebie talerz z ledwo zaczętymi kołdunami.

- Jak najgorszy cham - pokrzykiwałam - padalec i zwyrodnialczynie! Znicze należy kupić! Znicze! Dla mojego biednego nieboszczyka ojca! Pojutrze Wszystkich Świętych.

Po raz pierwszy udało mi się doprowadzić do tego, że na wzmiankę o ojcu ciotka spuściła wzrok i zaczęła nerwowo ścierać stół.

VI.

Rodowy klejnot mamusi

Fryderyk wyszedł dzisiaj wcześniej z biura, nie poszedł jednak od razu do matki, jak uprzednio planował. Najpierw postanowił zajść do domu, z dwóch powodów: po pierwsze, nie chciał tam iść bez wiedzy Ewy, bo - jak uznał po ostatnich zajściach - gwarancją udanego związku jest przede wszystkim rzetelna informacja, a przy tym zaufanie i tolerancja. Po drugie: chciał się upewnić, czy nie czeka go z jej strony jakaś kolejna, nieprzewidywalna niespodzianka.

- Cześć, Ewuniu - krzyknął od progu, słysząc rozbrzmiewającą z sypialni muzykę, służącą jej zazwyczaj jako podkład do ćwiczeń gimnastycznych.

- Cześć - Ewa ukazała się w drzwiach zdyszana i lekko spocona. Miała na sobie tylko morelowy ręcznik frotte. - Ale mnie zaskoczyłeś - uśmiechnęła się zalotnie - idę w takim razie pod prysznic!

- A, nie! Nie przeszkadzaj sobie, jestem umówiony z matką. Skoczę do niej najwyżej na godzinę.

- Idę z tobą - oznajmiła Ewa - będziesz musiał tylko troszeńkę poczekać, bo muszę umyć i ułożyć włosy.

- Nie mogę, Ewuś. Obiecałem matce, że będę u niej o dziewiętnastej. Teraz jest - spojrzął na zegar w salonie - wpół do siódmej. A ty potrzebujesz na toaletę najmniej dwie godziny.

Fryderyk urągał sobie duchu na siebie, bo nie potrafił jej powiedzieć normalnie, że chce iść do matki sam.

- No to co? Mamusia poczeka. Pamiętasz przecież, że kazała ci zawsze zabierać mnie ze sobą?

- Nie mam czasu kochanie - próbował teraz z innej beczki - nie idę dziś do matki z wizytą towarzyską. Mam z nią do omówienia pewne kwestie rodzinne. Zajmie mi to najwyżej godzinę. Zanim zdązysz się ubrać, będę z powrotem. A potem - ucałował ją w policzek - wyskoczymy gdzieś razem. Dobrze?

- Nie. - Ewa zmarszczyła nosek po dziecinnemu, jak zawsze, kiedy chciała coś od niego uzyskać - Fredi siada i czeka. I zabiera Ewuńka ze sobą.

- Chodź, porozmawiamy - Fryderyk wziął ją za rękę, posadził w salonie na sofie i sam usiadł na przeciwko. - Posłuchaj, Ewo...

Ewa zatkała uszy dłońmi, zamknęła oczy i zaczęła tupać, jak mała dziewczynka.

- Nie! Nie! Nie! - Ewa nie słucha. Ewunia idzie z Fredim do mamusi!

Otwierała przy tym od czasu do czasu jedno oko i obserwowała jego reakcję. Widząc, że nie zamierza zmięknąć, zaczynała od nowa. Fryderyk przyglądał się tej scenie i próbował wyobrazić sobie teraz w miejscu Ewy Magdaleny. Wizja tuptającej i popiskującej Magdy rozbawiła go do tego stopnia, że nie potrafił się pohamować i w końcu roześmiał się w głos. Ewa znieruchomiała.

- Dlaczego się śmiejesz? Bawi cię, kiedy ja cierpię? - zapytała, usiłując nadać swojej twarzy dramatyczny wyraz.

- Posłuchaj - Fryderyk ujął jej dłonie w swoje ręce - ostatnio powiedziałaś mi, że jesteś młoda i masz prawa czasem wyjść i zabawić się z przyjaciółmi.

- Bo tak uważam, mam prawo mieć swoich znajomych i spędzić czasem z nimi wieczór.

- No właśnie - Fryderyk mówił wolno i spokojnie - nie powiedziałem przecież, że ci tego nie wolno, ani też, że zamierzam towarzyszyć ci w tych spotkaniach. Nie sądzisz zatem, że ja również mogę mieć swoje prawa w tym związku, jak na przykład spotkanie z własną matką sam na sam?

- Ja przypuszczam, że ty masz przede mną jakieś tajemnice - powiedziała Ewa z pretensją w głosie - a tak, Fryderyku! Jeżeli się kogoś kocha, to nie powinno się mieć przed nim żadnych sekretów. W ogóle!

- Moja droga - Fryderyk zerknął dyskretnie na zegar - w życiu każdego człowieka jest taki obszar, którym nie chce się dzielić z nikim, nawet z tymi najbliższymi. Nie dlatego, że kryją się tam jakieś niecne postęпки czy skłonności. Po prostu, każdy potrzebuje choć kawałeczka siebie... dla siebie. A tak dla przykładu, czy ty - rzucił od niechcienia - nie masz przede mną żadnych tajemnic? Nie ma w twoim życiu niczego takiego, co chciałabyś zachować w sekrecie?

- Ach! - Ewa zamrużyła gwałtownie powiekami. - Ktoś ci na mnie nagadał, tak? I co? I ty w to wszystko uwierzyłeś, tak? O, już ja się...

- Przestań. To był tylko przykład - wołał jej przerwać, niż żałować, że tego nie zrobił.

- Nikt mi niczego nie nagadał - dodał, zakładając płaszcz.

Ewa siedziała na brzegu sofy i oglądała uważnie paznokcie, kolejno, u rąk i u stóp.

- Jak te lakiery teraz nietrwałe - powiedziała w końcu.

- Będę za jakąś godzinę - zatrzymał się jeszcze w progu - a ty zastanów się proszę nad naszą rozmową. Nie możesz przecież całe życie zachowywać się jak mała dziewczynka.

- Zawsze podobałam ci się taka. I czego teraz nagle ode mnie chcesz? - zapytała zaczepnie.

- Tego, czego zazwyczaj oczekuje się od małych dziewczynek - rzucił już zza drzwi - że kiedyś dorosną.

Rozdrażniony Fryderyk biegł prawie ulicą, roztrącając przechodniów. Było już kilka minut po dziewiętnastej i choć nie miało to większego znaczenia, był zły na siebie, że nie umiał sobie poradzić z Ewą w tak prostej sprawie. Ciągle jeszcze zależało mu na niej, dlatego postanowił popracować w najbliższym czasie nad ich wzajemnymi stosunkami. Jednak ustalenie nieprzekraczalnych zasad na samym początku związku ma swoje dobre strony - myślał - ta metoda doskonale sprawdziła się w małżeństwie z Magdaleną. Zachciało mi się spontaniczności - mamrotał do siebie - pora jednak tę spontaniczność ująć w okowy.

Tym razem nie próbował się dostać do mieszkania matki za pomocą własnego klucza, lecz naciśnął dzwonek.

- Wejść! - usłyszał z wewnątrz. - Otwarte!

Fryderyk zastał matkę w wałkach na głowie, nad rozłożonym na kuchennym stole pasjansem.

- Usiądź synu - nie odrywając wzroku od kart, machnęła ręką w stronę kosza na bieliznę - zaraz skończę, to pogadamy. Tu same ważne rzeczy się klarują. - Osz, ty! Znowu pikowa! I gdzie ja cię paniusiu wsadzę teraz? A paszoł ty, dzwońcu jeden! - przemawiała matka do kart. - A ty Fredziu, cicho bądź! - skarciła milczącego od samego wejścia syna. - Ty sam zobacz, jak to się cholery pchają. Wszystkie, tylko nie te co trzeba. A! Jessst!!! - złapała upragnioną kartę i ułożyła w odpowiednim miejscu.

- Nic ty Fredziu nie mów, jeszcze tylko trzy karty, a od nich wszystko zależy!

Fryderyk z zapartym tchem obserwował zmagania matki z kartami, choć sam się kompletnie na tym nie znał. Wiedział jednak, że stawiała sobie karty w określonych sytuacjach życiowych i traktowała je niezwykle poważnie.

- A niech to szlag! - zdenerwowała się, dokładając ostatnią kartę. - A niechby ją pomór miłośnierny trafił, cytra jedna!!! - wyklinała jakiegoś tajemniczego wroga. - Niechby ty końskich parchów na ciele dostała, a bodaj się tobie nogi w kolanach zrosły, pasieko cholerna ty!!!

- Nie wyszedł mamie pasjans? - odważył się w końcu zapytać Fryderyk. - A na jaką okoliczność sobie mama stawiała, jeśli można zapytać?

- A tak ino, dla sportu - burknęła Gomorowa - kawy napijesz się?

- Owszem, proszę. Coś mamie na nerwy szkodzi chyba ten sport - dodał, widząc poczerwieniałą z gniewu twarz matki.

- A daj ty mnie spokój. Nie przyszedł ty chyba do mnie o kartach rozmawiać. A Ewa to gdzie? - Gomorowa postawiła przed synem kawę i ciasto.

- Chciałbym z mamą porozmawiać o pewnej delikatnej sprawie, dlatego przyszedłem sam.

- Ewa to prawie jak żona twoja, trzeba było i ją do mnie zabrać. Jak będziesz tak samą dziewczynę zostawiał, to tyle będziesz miał, co nic. Ktoś ci ją w końcu sprzed nosa sprzątnie, bo ładna jak ta lalka!

- Są jednak takie sprawy, mamó, w które nie zamierzam jej wtajemniczać. Tylko między mną i tobą.

- Jak ty masz zgodną rodzinę z nią stanowić, to nie powinieneś mieć przed nią żadnych tajemnic - skwaszony humor Gomorowej dawał o sobie znać w każdym słowie - ja tam nie mam nic do ukrycia, choć ona dla mnie bardziej obca.

Fryderyk zacisnął usta i postanowił nie dać się sprowokować. Identyczną pogadankę przerabiał przed chwilą w domu.

- To może ja powiem mamie, z czym przychodzę, dobrze? To dla mnie bardzo ważne i mam nadzieję, że mama zechce to w taki sam sposób potraktować.

- Nie mów ty do mnie jak do tych klientów swoich: „zechce mama”, „ze sprawą przychodzę” - przedrzeźniała go. - Ja matka twoja Fredziu jestem, a nie podsądna jakaś. Mówię ci zresztą, że Ewę należało wziąć ze sobą, to by ty przyjemniejszy w obejściu był. Twój nieboszczyk ojciec to nigdy sekretów przede mną nie chował.

- Bo nie miał nieboraczek okazji - nie wytrzymał w końcu Fryderyk. Mamusia przecież jak cię wszędzie za nim chodziła.

- A chodziłam, tak! Bo szczęścia małżeńskiego pilnować sobie trzeba. I dzięki Bogu trzydzieści lat my w zgodzie przeżyli.

- No, jakby i mamusia tę zasadę wyznawała, której wymagała od ojca i którą mnie teraz wpaja, to nie wiem, czy tak by było. Pamięta mamusia, jak całe oszczędności taty w jakiejś piramidzie utopiła i upozorowała potem napad na mieszkanie? Albo, jak mama na wczasy do Grecji z Kałdową pojechała, a ojcu żeście wmówiły, że do sanatorium do Rabki jedziecie? Mam więcej takich przykładów mamusinięj szczerości w małżeństwie przypomnieć?

- Tak... lżyj swoją starą matkę, poniewieraj - rozsłochała się Gomorowa - kiedy ja krew z żył wypruwałam sobie, żeby cię wykształcić, na ludzi wykierować, to wtedy ci matką byłam, a teraz ino niewdzięczność i poniewierka, doczekałam się ja na starość...

- Nie jestem niewdzięczny, mamó. Przeciwnie, zawsze pamiętam o tym, jak się dla mnie starałaś. Dajmy temu spokój. Naprawdę, daleki jestem od tego, żeby robić mamie jakiegokolwiek wyrzuty. Nie mam zresztą powodu.

Fryderyk starał się jak mógł załagodzić starcie z matką, tym bardziej, że z potyczek na argumenty zawsze wychodził jako przegrany i w niczym nie pomogło mu nawet wykształcenie prawnicze. Ani jemu, ani ojcu. Ojciec Fryderyka był niegdyś znanym i cenionym adwokatem, błyskotliwy, skrupulatny i nieprzejednany w sądzie - w domu całkowicie poddawał się rządóm matki. Roman Gomora

był o okragłe dwadzieścia lat starszy od swojej żony. Podobno planował pozostać do końca życia kawalerem - czasem gwarzyli sobie po przyjacielsku z synem i to od niego Fryderyk wiedział, jak wyglądały początki ich znajomości z matką. Młoda, czerstwa i energiczna Jadzia zjawiała się w jego życiu jak erupcja wulkanu: zanim spostrzegł, że coś się dymi, tkwił już po szyję w parzącej lawie. W ten sposób rozprzestrzeniła się błyskawicznie dookoła jako pani adwokatowa Gomorowa. Kiedy Fryderyk zapytał ojca, skąd u niego taki stoicki spokój wobec - co tu dużo mówić - ekspansywnej i konfliktowej żony, ten puszczając do niego oko, odpowiedział: jestem jako ten skamieniały Pompejczyk, co się ostał, kiedy wszyscy inni zdążyli uciec...

- No jaką tą pilną sprawę masz do mnie? - spytała nieco uspokojona Gomorowa.

Fryderyk wyjął kolejno z portfela dwie fotografie: czarno-białe zdjęcie rodziny Magdaleny, jego powiększony fragment z „rodowym” pierścionkiem matki, oraz tenże pierścionek. Wszystko to ułożył bez słowa na stole. Gomorowa najpierw przyjrzała się zdjęciu i z wyraźnym obrzydzeniem odłożyła je na stół.

- A na co ty mnie tu tego wszystkiego naznosił? - spytała, spoglądając na pierścionek.

- Niech się mamusia przyjrzy temu - Fryderyk podsunął jej powiększenie uzyskane z fotografii.

- Poznaje mama?

- No, toż to pierścionek jest - przyznała. - To i ty chyba widzisz.

- Ale ten sam, czy nie ten sam? - podsunął jej teraz „rodowy klejnot” pod oczy.

- No... - wahała się - niby jakby ten sam. Ano... - przyglądała się przez chwilę - ten sam, i co? A czyj to palec na tym zdjęciu jest?

- Tej damy - Fryderyk postukał palcem w fotografię jednocześnie z uwagą obserwując matkę.

- A, to nie ten w takim razie - Gomorowa nagle nabrała pewności w głosie - zresztą na tym zdjęciu koloru nie ma, on całkiem inny może być.

- Kolor tu nie ma żadnego znaczenia, niech mamusia popatrzy na inne podobieństwa - tłumaczył łagodnie - o tu brakuje jednej takiej łapki przytrzymującej oczko i tu też. Widzi to mama?

- Abo ja wiem? Nie za bardzo widzę, coś oczy mnie ostatnio szwankują...

- No to proszę - Fryderyk wyjął z kieszeni lupę - teraz niech mamusia spojrzy.

Gomorowa przyłożyła lupę do fotografii, potem obejrzała przez nią pierścionek, a następnie zaczęła długo i systematycznie przecierać szkło, obudowę, a na końcu trzonek. Po zakończeniu tej operacji chuchnęła w przyrząd z obu stron i podjęła całą czynność od nowa.

- Brudne to jakieś, wymazane - mamrotała pod nosem - może ja ten okular płynem do szyb przetrę...

- Mamusia siada - Fryderyk przytrzymał za rękę wrywającą się zza stołu kobietę - lupa jest czysta. Proszę, niechże mama się skupi na chwilę.

- A co ja się tu skupiała będę. Nie ten sam i basta - matka zaczęła przejawiać wyraźne zniecierpliwienie.

- Nawet mama nie spojrzała.

- A bo nie! Lekarz mnie zabronił oczy nadwyręzać.

Fryderyk poczuł przez chwilę całkowitą bezsilność, ustępującą powoli miejsca wściekłości. Zrobił dwa głębokie wdechy, które pozwoliły mu zrównoważyć trochę oba uczucia i postanowił zacząć z innej beczki:

- W porządku, mamusiu, nie będę już narażał twoich oczu na wysiłek, powiedz mi tylko, kim jest ta kobieta na zdjęciu i dlaczego ma na palcu nasz pierścionek?

Gomorowa nie spodziewała się widać tak bezpośredniego pytania, skutkiem czego najpierw otworzyła szeroko usta, a zaraz potem zacisnęła je mocno.

- No? No więc? - wypytywał Fryderyk, tracąc powoli cierpliwość. - Kim ona jest? Ja wiem, że mama ją zna. Jestem tego pewny. To było widać po reakcji mamy, kiedy zobaczyła to zdjęcie. I wie mama także, skąd ten pierścionek na jej palcu. Ja też chcę to wiedzieć! Słyszysz mama? - napierał na milczącą uparcie Gomorową. - Tak? Dobrze! - zgarnął jednym ruchem przyniesione ze sobą przedmioty. - W takim razie sam jej poszukam. Jadę po niedzieli do Rapalek!

- G... Gdzie... ty pojedziesz? - wydusiła z siebie zdumiona.

- Ano, do Rapalek, mamusiu - Fryderyk zaczął udawać, że zbiera się do wyjścia. Wrażenie, jakie ta informacja wywarła na matce mogła być zapowiedzią, że w końcu zacznie mówić.

- Bo tam przecież było zrobione to zdjęcie, prawda?

- dodał, sięgając po płaszcz.

- Ja wiedziałam... wiedziałam, w pasjansie mi wyszło - zaczęła wolno - że ta wampirzyca znowu zacznie pić naszą krew... Mało jej, że ze Stasia życie wyssała, z takiego młodego... takiego zdatnego chłopca... utrupiła...

- Mamo! - Fryderyk usiadł z powrotem naprzeciwko niej. - O co tu właściwie chodzi? Co się stało? Kto to jest? - pytał szybko, póki skłonna była odpowiedzieć.

- To jest... - wzięła do ręki fotografię - to była... narzeczona mojego brata. Twojego wujka Stasia.

Gomorowa mówiła teraz zmęczonym, apatycznym głosem, wkładając wiele wysiłku w każde słowo.

- Parę lat się z tym kryli, że mają się ku sobie. Nikt się nie domyślał, ani w mojej rodzinie, ani w jej. Oni oboje wiedzieli, wiedzieli dobrze, że jakby się ojciec tej włościanki o tym ich pokumaniu dowiedział, skórę by jej złożył i ze wsi przepędził, a Staśko to by już całkiem życia nie miał, Bo my wtedy... Bo widzisz, synu, ty całkiem wszystkiego nie wiesz...

Matka spojrzała zmieszana w twarz syna i umilkła na chwilę, ważąc słowa. Fryderyk nie chciał jej ponaglać, ani przerywać, czekał w napięciu na ciąg dalszy.

- Bo my wtedy - podjęła znowu - kątem u krewnych mieszkali. Kiedy nas z rodzinnej wsi wysiedlili, to my tam u nich przytulenie znaleźli, niedaleko Rapałów, w Sadliskach. Dzieciaków drobnych było trochu, a i starsze były też, to te w polu wyrabiały u co bogatszych gospodarzy. Tak i Staśko trafił do tej swojej... pudliszki! I rozkochał się tak, że czasem nawet całe noce na górcie przed jej chałupą spędzał i w okno się gapił. A jej ojciec to gospodarz był bogaty i dumny jak ten paw i na naszego Stasia to ani kiedy spojrział.

Groszem ino sypnął za robotę, czasem nawet wędzonki jakiejś w tobolek wrzucił i tyle. Ani mu pewnie w głowie powstało, że Stasio się z jego jedynaczką ukradkiem prowadzi - Gomorowa westchnęła przejmująco i umilkła.

- No dobrze, mamusiu - wtrącił się w końcu Fryderyk - ale gdzie w takim razie wina tej kobiety? Ona tego Staśka nie chciała, czy jak? Wujek zginął tragicznie w wojsku, o ile wiem.

- A chciała i nie chciała, jak przyszło co do czego, to się tatusiowi pod spódnicę schowała! Nie powiem, tak samo ona w niego jak w obrazek patrzyła, jako i on w nią. Nawet niebrzydka to była para, ale i co z tego? No sam ty mnie powiedz, Fredzik, co z tego, kiedy Stasio tą miłość wielką swoim życiem przypłacił? A wszystko to w jej rękach było, od jednego jej słowa zależało życie mojego brata!

Gomorowa zwiesiła głowę, Fryderyk miał wrażenie, że zaraz się rozplacze. Matka jednak, zamiast żalu dała upust złości.

- Już wtedy, cytra jedna pierścionek od Staśka nosiła! Na tym palcu serdecznym, jako narzeczona! Kiedy się ojciec jej jakoś tego wszystkiego dowiedział, to w chlewku ją zamknął, a przystępu do niej we dwóch, z synem pilnowali - a z miesiąc chyba albo i dłużej. Z tego wszystkiego Staśko do wojska się zgłosił i kiedy ona o tym posłyszała, to uciekła. Pamiętam, przyleciała w samej halce płóciennej do nas po nocy. Staś wyleciał do niej i tak chyba do świtu na progu przesiedzieli, a wyjeżdżać to chyba miał za jakieś trzy dni już. Ja słyszałam, na własne uszy moje, jak on ją prosił, jak błagał, żeby z nim uciekła. Tak jak stała, w tej halce chciał ją brać, ale ona nie i nie! On tak płakał, tak płakał... - Gomorowa przetarła kciukiem kąciki oczu - a ona... że nie! Że nie może, bo coś tam i srośtam i tak w koło Macieju całą noc: on - jedź! Ona - nie mogę! No i tak to się zakończyło, że w końcu ojciec z bratem po nią przylecieli. Staśka nawet chcieli bić, ale we dwóch go nie z mogli, a ją to całą drogę za włosy do domu wlekli, bo ona takie długie, rude kudły miała!

Gomorowa podparła rękami skronie i zaczęła cicho szlochać.

- Miesiąc, synu nie utrwało, kiedy Stasia w zapłombowanej trumnie do domu przywieźli.

- A właściwie, to jak wujek zginął? - zapytał Fryderyk.

- Wiadomo to, jak trumny otworzyć nie wolno było? Czterech mundurowych go przywiozło i pilnowało.

- No ale jakąś oficjalną wersję przecież podali?

- Ano, podali - Gomorowa uśmiechnęła się sceptycznie - że prąd go zabił. Podobno reperował jakieś urządzenie, czy coś takiego.

- A ona? Wiedziała o tym? Była na pogrzebie? - wypytywał.

- Nie, jej nie było. Ją wywieźli wcześniej do jakiejś rodziny w Poznańskie, może z pół roku ją tam trzymali. Ja nie mam pojęcia, kiedy się ona o śmierci Stasia dowiedziała, ale na pewno nie prędko. Zaraz po pogrzebie to my się wyprowadziliśmy i pod Krakowem zamieszkaliśmy...

- Bardzo jej mama nienawidzi, tej kobiety?

- Ja... myśleć o niej bez nerwów do dziś nie umiem, synu. Mój Stasio, mój brat najukochańszy, najstarszy z jej przyczyny zginął. On mi był jak ojciec i jak przyjaciel.

- A nie pomyślała mama nigdy o tym, że i ona ukochanego straciła? Że i ona dosyć się naciępiła? - Fryderyk próbował ogarnąć całą tę sytuację z obu stron. Dla niego wina nieznanym nie była aż tak oczywista i jednoznaczna. Zginął brat matki, jego wujek, choć pewnie można było tej śmierci uniknąć - takie były fakty. Z drugiej zaś strony nie można było jej też przewidzieć. A jeśli chodzi o cierpienie spowodowane tą stratą, na pewno było udziałem tak jednej, jak i drugiej strony. Tak rozmawiał.

- A niechby i cierpiała, należało się jej! Niechby oślepiła, ogłuchła i zaległa w niemocy! Przez te wszystkie lata niczego innego jej nie życzyłam! - przez Gomorową znów przemówiła od dawna zapiekła nienawiść.

- Niech mi mama jeszcze powie, skąd ona na tym zdjęciu z rodziną Magdaleny?

- To jest jej ciotka. Siostra jej ojca, Matylda.

- Ciotka Magdaleny... Matylda... - powtarzał Fryderyk - Ona jest ciotką mojej żony...

- Czy ja ją mogłem kiedykolwiek poznać? - zapytał, gdy ochłonął nieco z pierwszego wrażenia.

- Nie, synek, na pewno nie mogłeś - odpowiedziała kategorycznie Gomorowa - nigdy my już potem nie jeździliśmy w tamte strony. A i ona tutaj, w Krakowie nie bywała. Ja myślałam nawet, że jej się pomarło, bo przecież Magdalena opowiadała, że żadnych żyjących krewnych nie ma. Ale jak dowiedziałam się, że twoja żoncia uciekła, to rozpytałam się tu i tam, i wiem, że Matylda żyje. Z tego by wychodziło, że ona tam do niej pojechała.

- Sam już nie wiem... Ona taka mi się wydaje znajoma! Taka jakaś... bliska!

- A cóż tobie, synek, po głowie łązi? Ja ci mówię, że ty jej nawet na oczy nigdy nie widział, bo niby jak? No, sam powiedz?

- Ja wiem, mamusiu. To niemożliwe, ale...

- Poczekaj no - Gomorowa wstała zza stołu i ruszyła w stronę sypialni - ja tu jeszcze jedno takie zdjęcie mam. Ino znaleźć muszę - wróciła ze sporą, drewnianą kasetką.

- Tu mam... przerzucała szybko rozmaite papiery - różne takie... szpargały. Co to wiesz, niby nie potrzebne, ale szkoda wyrzucić. - O, mam! - podała Fryderykowi niewielką fotografię. - W rzeczach Stasia znalazłam, nie wiem nawet, gdzie i kiedy to było zrobione.

Fryderyk złapał ją chciwie i wpatrzył się uważnie. Przedstawiała młodą, radosną dziewczynę w letniej sukience i wysokiego, jasnowłosego mężczyznę. Oboje sprawiali wrażenie szczęśliwych i zakochanych. On obejmował ją ramieniem, ona wtulała się w niego, mrużąc oczy w uśmiechu.

- Jestem chyba podobny trochę do wujka... stwierdził, patrząc na zdjęcie - chciałbym...

- Czego, synku? - spytała matka, kiedy urwał nagle w pół słowa.

- A, nie nic - powiedział głośno, a w duchu dokończył - ... być na jego miejscu. Westchnął głośno, przypatrując się dziewczynie.

- Co mówisz, Fredziu? - spytała Gomorowa, patrząc na niego w skupieniu.

- Nic, nic, mamusiu. Tak tylko, wzdycham...

- Powiedz mi, synek, co ty się tak zaparł na tą całą... Matyldę? Nic, ino kto to jest i kto to jest! A mnie się naprawdę myśleć o niej nie chce! Tyle czasu utrwało żebym ja zapomnieć o niej umiała, a ty mnie to wszystko we dwa dni do umysłu przywrócił!

- Nie wiem - Fryderyk podparł dłońmi boleśnie pulsujące skronie - sam nie wiem, mammo. Może to zwykła ciekawość? Gdybyś mi od razu powiedziała, kto to jest, może nie rozbudziłbym jej w sobie tak bardzo... Nie wiem... Przepraszam, mammo.

- Teraz to ty wreszcie zrozumieć mnie powinieneś, synek. Że ja tej Magdy tak dla ciebie nie chciałam, że polubić jej nijak nie mogłam.

- To mamusia wiedziała, że ona jest krewniaczką tej... Matyldy? Od początku?

- A jakże. Janiszowa przecież z domu. Ale od początku, lo nie, w końcu nazwiska takiego wiele na świecie. Od Kałdowej ja wszystkiego wywiedziałam się, ona przecież ich sąsiadka, jak ino się wprowadzili na Ceglaną. Jak ty się żenić z nią umyślił, no to ja... wiesz... języka trochę zaciągnęłam.

- No i co to mamie dało? I tak się z nią ożeniłem! - obruszył się Fryderyk, bo tego typu zachowania matki zawsze wywoływały w nim protest, a nawet motywowały do postępowania na przekór.

- A dało! Teraz przynajmniej już z nią nie jesteś!

- Widzi mama w tym swoją zasługę? - zapytał zaczepnie.

- Widzę! Wymodliłam to, tyle ino! Synek - głos Gomorowej złagodniał nagle - jednego cię mam... Taką to winą moja, że chcę dla ciebie jak najlepiej? Już ja brata przez złą kobietę utraciłam, a ja bym tobie rada nieba przychylić! Ty nieraz zły jesteś o to, że się wtrącam do ciebie, myślisz, że ja tego nie wiem? A ja cię ino ustrzec, chronić próbuję... Wiesz - spojrzała na niego z wahaniem - ja to się dawniej modliłam, żebyś ty powołanie na księdza dostał. A tak! - dodała, widząc niedowierzanie w oczach syna. - Gdybyś ty oddał się posłudze boskiej spokojna bym była o ciebie!

- Mamo - Fryderyk spojrział na matkę nerwowo skubiącą serwetkę i uściśnął mocno jej rękę - nie wiem, co powiedzieć. Ja wierzę, że ty zawsze chcesz dla mnie dobrze, ale weź czasem pod uwagę, że mam już trzydzieści trzy lata! Cokolwiek zrobię i jakiegokolwiek popełnię w życiu błędy, to sam będę ponosił ich konsekwencje! Każdy miewa jakieś porażki i jakieś sukcesy. Nie ma innej możliwości, w życiu człowieka wpisane jest zarówno szczęście, jak i nieszczęście. I ty tego nie zmienisz, mamo, choćbyś nie wiem jak się starała. Poza tym - zawiesił na chwilę głos - ja wierzę w przeznaczenie. Nie zawrócisz rzeki kijem, mamo, Tak uważam.

Gomorowa wolną ręką zdążyła już spruć całą serwetkę i patrząc gdzieś ponad głową syna, przeżuwała intensywnie jego słowa.

- To ja już pójdę, Ewa pewnie martwi się o mnie - spojrział na zegarek - już dziesiąta, dawno powinienem być w domu!

- No to, dobranoc, mamusiu - pochylił się nad wciąż zadumaną Gomorową. - Hej, wszystko w porządku? - potrząsnął ją lekko za ramię.

- Idź, idź - poklepała go uspakajająco po ręce - wszystko dobrze. Ja też się zresztą zaraz położę.

Fryderyk zabrał ze stołu wszystkie zdjęcia, nawet to jedno, które do niego nie należało. Wyszedł w pośpiechu z mieszkania matki, płaszcz i szalik nakładając już po drodze. W głowie miał dziwną pustkę. Natłok tych wszystkich informacji, Ewa i zaczynające się z nią problemy, nawał zajęć w pracy - walczyły teraz o pierwszeństwo w jego myślach. Było tego tak dużo, że w efekcie nie potrafił się nad niczym skupić.

Maszerował rażno, patrząc w dół na czubki butów. Wbiegł po schodach na trzecie piętro i oparł się zdyszany plecami o drzwi. Szukając klucza w kieszeni płaszcza, uświadomił sobie, że najchętniej przestałby tak do rana. Nie miał już dzisiaj siły wystawiać swoich emocji na jakąkolwiek próbę. Zmęczenie wzięło jednak nad nim górę, otworzył jak najciszej wszystkie zamki i wszedł do środka. W kuchni paliło się światło. Ewa siedziała z nogami na stole i jakby nigdy nic, malowała paznokcie u nóg.

- Chwała Bogu - pomyślał - wygląda na to, że obejdzie się bez awantury.

Jeszcze do niedawna nie mógł zrozumieć swoich kolegów, obawiających się po powrocie do domu wyrzutów ze strony swoich żon, od pewnego czasu jednak doskonale wiedział, jakie to uczucie.

- I jak? - zapytał. - Trwalszy ten lakier będzie niż ten poprzedni?

- Powinieneś zapytać, jak sobie wyobrażam - powiedziała Ewa, nie przerywając malowania.

- Co? Jak co sobie wyobrażasz - Fryderyk nie zrozumiał w pierwszej chwili, o czym mówi.

- Nasz związek. Kazałeś mi o tym myśleć, to myślałam - nakładała teraz na paznokieć szpileczką jakiś misterny ornament.

- A może porozmawiamy o tym jutro? Zmęczony jestem - zasugerował delikatnie.

- Jak chcesz - Ewa odłożyła na stół buteleczkę z lakierem i spojrzała na Fryderyka z powagą - ale po co w takim razie kazałeś mi myśleć? Zajęło mi to całe dwie godziny.

- No, skoro tak - uśmiechnął się mimo woli - to oczywiście muszę dzisiaj wysłuchać, do jakich doszłaś konkluzji.

- Że ci wolno - stwierdziła Ewa, upychając tampony waty między palcami.

- Że wolno mi... co? - pozwolił sobie dociec Fryderyk, uznając zdanie za nie skończone.

Ewa odłożyła na bok pojemniczek z wacikami i spojrzała na niego z politowaniem.

- No, jak to co? To ty już sam nie wiesz, czego ode mnie wymagasz? A może już nie pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

- Pamiętam doskonale. Rozmawialiśmy o granicach swobody w naszym związku, oraz o tym - chciał jej przypomnieć, że głównie chodziło mu o jej dziecinne zachowanie, nie chciało mu się jednak wywoływać nowej dyskusji na ten temat - o wzajemnym zaufaniu - dokończył dyplomatycznie.

- Właśnie o tym mówię, przemyślałam to sobie i uznałam, że wolno ci od czasu do czasu chodzić samemu do matki - powiedziała Ewa dobitnie.

- No co? - zapytała całując go w policzek. - Zadowolony?

- Każdy byłby zadowolony na moim miejscu - odparł z ironią w głosie. Jak będziemy w tym tempie dochodzić do konsensusu, to jest szansa, że będziemy stanowić idealnie zgodną parę. Za sto lat - mruknął do siebie.

- To znaczy, że co? - Ewa wpatrywała się w niego z uwagą, z ciągle jeszcze malującym się zadowoleniem na twarzy.

- Nic - Fryderyk przytulił ją do siebie. - Fajnie. Idziemy spać? - pociągnął ją za rękę w stronę sypialni.

- Jak mi paznokcie wyschną.

- W takim razie ja wezmę kąpiel i w ten sposób dam trochę czasu twoim paznokciom.

- No i widzisz? Jak ty potrafisz czasem dochodzić do... koncertu? - uśmiechnęła się zalotnie.

- Ja tak. Jeśli i ty się tego nauczysz, to będzie między nami miód - malina! - podsumował Fryderyk, wkraczając do łazienki.

* * *

Kiedy budził się rano obok śpiącej spokojnie, zarumienionej Ewy, a poprzedni wieczór nie był zakończony sprzeczką, życie zaczynało wyglądać zupełnie inaczej. Znowu czuł, że nie ma na świecie rzeczy niemożliwych, są tylko takie, za które jeszcze się nie zabrał. Dziś znów przysiedzę trochę w biurze - myślał przy goleniu - i z pomocą Bożenki ze wszystkim szybko się uporam. I niech tam - zrobię sobie dłuższą przerwę na lunch. Z Ewą.

Wchodząc do gabinetu, miał już z grubsza ułożony plan pracy na dziś.

- Witam, pani Bożenko, nieoceniona moja asystentko! - zakrzyknął wesoło od progu. - I co tam?

- Wszystko dobrze, szefie. Kawkę? - spytała zadowolona z komplementu sekretarka.

- A, proszę, proszę, jeśli wypije pani ze mną. Omówimy przy okazji parę rzeczy, dobrze?

- Oczywiście. Przygotować coś jeszcze?

- Umówmy się tak: ja zrobię listę najpilniejszych spraw na dziś, pani w tym czasie zaparzy kawę, a potem razem powalczymy z tym wszystkim - mrugnął do niej przyjaźnie,

Ledwie zdążył zalogować się w komputerze, kiedy weszła Bożenka, niosąc na tacy dwie kawy i dwie porcje ciasta z galaretką.

- Może szef zechce spróbować? - zapytała nieśmiało. - Sama piekłam.

- A, bardzo chętnie, moja droga, jeśli nie boi się pani ryzyka... Że wejdzie to w pani obowiązki zawodowe - pospieszył z wyjaśnieniem, widząc jej niepewną minę.

- Och - roześmiała się z ulgą - nie ma sprawy, ja lubię piec. Mogę to robić nawet codziennie!

- Byłbym tyranem, gdybym jeszcze i tego od pani wymagał. Proszę spojrzeć, jaką mamy górę roboty przed sobą - kliknął w folder pod tytułem „Pilne” i na ekranie komputera wyświetliło się kilkanaście podfolderów.

Bożenka usadowiła się na przeciwko swojego pryncypała z notatnikiem w rękę i czekała na polecenia. Fryderyk z minuty na minutę zyskiwał coraz lepszy humor - nie dość, że praca szła szybko i sprawnie, to jeszcze odbywała się w doskonałej atmosferze.

- Może jeszcze trochę kawy? - zapytała asystentka, kiedy drukarka wypuła kolejne, starannie zredagowane pismo.

- Dobrze, parę minut przerwy na kawę, a potem - Fryderyk rzucił okiem na zegar - jeszcze sprawa pana Onyżka i tego gościa od małej gastronomii... jak mu tam...

- Zniewierski - podrzuciła sekretarka.

- Pana Zniewierskiego, tak właśnie, a później wyskoczę na jakąś godzinkę na lunch.

- No to ja pójde zaparzyć kawę - Bożenka pospiesznie zniknęła za drzwiami gabinetu.

Kiedy weszła ponownie z tacą, oznajmiła, że przyszła poczta. Fryderyk nie miał teraz ochoty zapoznawać się z korespondencją, poprosił więc sekretarkę, żeby przypomniiała mu o tym później.

- No, a jak tam po weekendzie? - zagaił, wlewając mleczko do filiżanki.

- Byłam w kinie na seansie trójwymiarowym „Życie oceanów”. Brrr! Meduzy włożyły mi za dekollet, a kałamarnica chciała mi się dobrać do popkornu! - śmiała się Bożenka.

- To ciekawe. A wie pani, że ja nigdy nie widziałem trójwymiarowego filmu? Będę musiał wybrać się kiedyś z Ewą.

- Polecam - powiedziała Bożenka z przekonaniem - ale raczej nie ten film. Myślę, że nie podobalby się pani Ewie. Ona jest taka... - spojrzała niepewnie na szefa - taka wrażliwa!

- Z pewnością dobiorę wtedy starannie repertuar. Przede wszystkim zapytam Ewę, co chciałaby obejrzeć. Szczerze mówiąc - Fryderyk zamyślił się na chwilę - to ja nawet nie wiem, jakie ona lubi filmy! - dokończył zaskoczony tym odkryciem.

- A pan, przyjemnie spędził weekend? - Bożenka przytomnie zmieniła temat.

- O, właśnie, Bożenko - ożywił się Fryderyk - byłem w tych Rapałkach. Rzeczywiście, urokliwy zakątek. Znasz tam może kogoś z miejscowych?

- Nie, nie bardzo. Może właściciela sklepu, ale tak raczej z widzenia. Wie pan, jeździmy tam już od paru lat ze stałą paczką i spędzamy czas raczej we własnym gronie.

- No dobrze - Fryderyk uznał, że pora skończyć tę rozmowę, zanim wtajemniczy sekretarkę w swoje powiązania z tym miejscem - może wrócimy tymczasem do pracy?

- To jeszcze chyba zostało by nam... zostało by nam na dziś - Bożenka spojrzała do swojego notesu, a potem jeszcze na ekran monitora - przejrzeć całe akta sprawy pana Gregorczyka, bo to będzie panu potrzebne na pojutrze w sądzie. To nam zajmie akurat czas do pańskiego lunchu, a na czternastą ma pan umówionego klienta. I chyba tyle?

- Świetnie, Bożenko, w takim razie dziś zapowiada mi się wolny wieczór. Pomyślę w takim razie o tym kinie.

Fryderyk uznał, że być może będzie to dobra okazja do podreperowania jego związku z Ewą. Postanowił starannie dobrać film, taki, który tchnąłby w ten wieczór odrobinę romantyzmu, ale żeby też mówił coś głębszego o życiu, a w szczególności o życiu we dwoje.

Zaraz zadzwonił do niej, żeby dać jej czas na przygotowanie się do wyjścia na lunch, o kinie na razie jednak nie wspomniał. Kwadrans po jedenastej był już gotowy do wyjścia,

- Może rzuci pan jeszcze okiem na pocztę? - zasugerowała niepewnie Bożenka. - Ma pan jeszcze pół godzinki...

- Dobrze. Albo nie - zmienił nagle zdanie Fryderyk - zrobię to zaraz po powrocie. Nie chcę nabijać sobie teraz niczym głowy. No chyba, że jest tam coś pilnego.

- Nie, raczej nie, nic takiego nie rzuciło mi się w oczy.

- W takim razie ja już pójdę. Kupię może po drodze jakieś kwiaty mojej damie.

Gdyby można było powiedzieć, że kroki bywają radosne, to takim właśnie radosnym krokiem maszerował Fryderyk do umówionej kafejki. Był zadowolony, że wszystko w pracy tak zgrabnie mu poszło, ale przede wszystkim był rad, że wczorajsza sprzeczka z Ewą oraz przeprawa z matką nie odbiły się negatywnie na jego dzisiejszym samopoczuciu. Właściwie od samego rana ani razu o tym wszystkim nie pomyślał.

Kiedy wszedł do kawiarni, Ewa już tam była. - Jak to miło - pomyślał, znając jej skłonności do nieliczenia się z czasem.

- Kwiatek dla Ewy - wręczył jej natychmiast wiązankę z kremowych róż.

- Och, cudowne, dziękuję kochany - wtuliła w twarz w wonny bukiet - już dawno nie dostałam od ciebie kwiatów.

- No cóż, przyznaję, że może trochę zaniedbywałam cię ostatnio, ale teraz to się wszystko zmieni. Od tej chwili.

- To znaczy? - spytała Ewa zaciekawiona.

- Na początek dobrowolnie wypiję kawę ze słodziutkim likierkiem i spożyję eklerka.

- Tak? - roześmiała się Ewa. - A na koniec?

- A, to za chwilę, najpierw zjedzmy - odpowiedział, bo kelner właśnie zrealizował zamówienie.

Ewa oblizywała łąpczywie puszysty krem ze swoich różowych, lśniących ust i wypielegnowanych paluszków.

- Ciekawe - pomyślał Fryderyk - czy ona jest w tej chwili świadoma, jaki rozkoszny stanowi obrazek? Robi to w starannie wystudiowany sposób, czy jest całkowicie naturalna?

- Czemu mi się tak przyglądasz? - zapytała, przerywając na chwilę jedzenie. Jej uśmiech świadczył o tym, że jednak wie.

- Podoba mi się pani, proszę pani - Fryderyk dotknął kącika jej ust, gdzie jeszcze została resztką kremu.

- Skoro tak, to może pan powie wreszcie, jaką ma dla mnie niespodziankę?

- Już teraz? - droczył się Fryderyk. - Byłbym nietaktowny. Pozwolę pani najpierw dokończyć ciastko i wypić kawę.

- A w czym to panu przeszkadza?

- Będzie przeszkadzało, ale raczej pani. W swobodnym wydaniu radosnego okrzyku!

- W takim razie udławię się i połknę wszystko naraz! - zagroziła Ewa.

- No to powiem - Fryderyk zrobił krótką pauzę, żeby jeszcze na chwilę utrzymać Ewę w napięciu - powiem tak: zapraszam panią dziś wieczorem do kina!

Uśmiech na twarzy Ewy zaczął stopniowo gasnąć, by ustąpić w końcu miejsca niemiłemu zdarzeniu.

- Do kina? - zapytała w końcu. - Do kina... a ja myślałam... myślałam, że...

- Tak? - spytał lekko skonsternowany. - O czym?

- Że kupiłeś mi to futerko, no wiesz, to z ocelotów, które oglądaliśmy tydzień temu na wystawie.

- A ja myślałem, że sprawię ci przyjemność - westchnął ponuro - futerko futerkiem, ale czasem trzeba sprawić sobie też jakiś duchowy upominek.

- No tak - zreflektowała się powoli Ewa - oczywiście, ja też jestem za tym, tylko, że akurat kina to ja nie lubię. Filmy mnie nudzą.

- W porządku, kochanie, oczywiście, masz takie prawo. Powinienem cię być zapytać o zdanie, a nie stawiać przed faktem. Przyznaję - moja wina. Zaproponuj coś w takim razie sama: teatr? Filharmonia? A może operetka?

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda? - Ewa niepewnie spojrzała mu w oczy - to jakiś kawał tak?

- Mam wolny wieczór, Ewuś, niczego nie będę ci narzucał - optymizm Fryderyka zaczął stopniowo przygasać - powiedz, co chciałabyś robić, a ja się dostosuję.

- Świetnie - ucieszyła się nagle - w takim razie pójdziemy na kręgle albo do salonu gier! Co wybierasz?

- To może... teraz już nie mógł się wycofać - na kręgle.

Wracając do biura Fryderyk nie był już w takim niefrasobliwym humorze. - Na kręgle! - sarkał do siebie. - Czy moja wybranka ma w ogóle jakieś kulturalne zainteresowania, jakieś pasje - poza zakupami? Magdalena kochała teatr, dużo czytała, nie mogła żyć bez muzyki. Magdalena... czemu ja ciągle porównuję z nią Ewę? - po raz kolejny zezłościł się na siebie. - No tak, to oczywiste - myślał - kiedy Ewa robi coś ewidentnie głupiego, wtedy automatycznie przychodzi mi na myśl moja żona. Oto przyczyna i skutek. Pierwszy lepszy psycholog wyjaśniłby mi, że w takich sytuacjach podświadomie próbuję weryfikować słuszność swojej decyzji. A niech tam - próbował się pocieszyć - może te kręgle nie będą takie złe?

W poczekalni swojego gabinetu zastał już umówionego na czternastą klienta, a raczej klientkę. Była to bardzo młoda dziewczyna, sprawiła nawet na Fryderyku wrażenie niepełnoletniej. Poprosił ją od razu do środka. Zapoznanie się z jej sprawą zajęło mu aż trzy godziny. Już na wstępie oznajmiła, że przychodzi w sprawie rozwodu i ma względem niego określone oczekiwania. Dotyczyły one przede wszystkim korzyści materialnych, jakie mogła uzyskać od swojego męża. Jeszcze do niedawna tego typu sprawy były specjalnością Fryderyka. Po ustaleniu honorarium, które wynosiło najczęściej określony procent od wartości wysadzonych dóbr, zabierał się do ustalenia taktyki działania - bez szczególnych skrupułów względem metod i środków. Dziś jednak odpytał swoją potencjalną klientkę szczegółowo, chcąc najpierw poznać obiektywny aspekt całej sprawy. W końcu podjął się zostać pełnomocnikiem dziewczyny, dlatego tylko aby nie stracić ustalonej opinii w środowisku prawniczym.

Jego klientka, mimo młodego wieku była przebiegłą, kutą na cztery łapy osobką, daleką od kierowania się sentymentami. Fryderyk zalecił jej na następne spotkanie sporządzenie listy osób, mogących świadczyć na jej korzyść i ustalił termin kolejnej wizyty.

Po wyjściu klientki rozważał jeszcze przez chwilę przedstawioną mu przez nią wersję swoich małżeńskich perypetii. Przyłapał się w końcu na tym, że od rozstania z Magdaleną wszędzie szuka odniesień do swojego małżeństwa lub do swojego związku z Ewą, przy czym te dwa ostatnie porównuje jeszcze dodatkowo do siebie.

Zdziwił się teraz i trochę zaniepokoił tym nietypowym dla siebie podejściem do rzeczy. Nigdy przedtem nawet przez myśl mu nie przeszło, by próbować zrozumieć sytuację, w której znaleźli się jego klienci - niegdyś sobie bliscy, a teraz zazwyczaj zajmujący miejsce po obu stronach sali sądowej. Najczęściej przychodzili tu w asyście najbliższych: rodziców, rodzeństwa - gotowych w każdej chwili skoczyć do oczu drużynie przeciwnej. Fryderyk do tej pory podchodził do podobnych wydarzeń z chłodnym dystansem, w kwestiach małżeńskich wyznawał bowiem zasadę: jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz. Przekładając ją na język szczegółów można by rzec, że Fryderyk żywił niezachwiane przekonanie w możliwość zaplanowania życia w każdym detalu, a życia małżeńskiego zwłaszcza. Służył temu swoisty kodeks, ustanowiony przez niego niedługo po ślubie z Magdaleną, nowelizowany i uzupełniany przez cały czas ich wspólnego pożycia. Określał on głównie obowiązki i przywileje obu stron, przewidywał konsekwencje ewentualnych przewinień, ale także regulował życie rodzinne, towarzyskie i obchody ważniejszych świąt i rocznic.

Jeszcze przed chwilą wierzył, że jego bezkolizyjne, dziesięcioletnie pożycie z żoną oboje zawdzięczali tymże właśnie ustaleniom.

Rozmowa z jego nową klientką zaczęła mu teraz nastroczać pewną myśl, której uparcie nie chciał dopuścić do siebie... Nie chciał o tym myśleć, byłoby to zbyt duże i zbyt kosztowne przewartościowanie. Bezlitosna pamięć akurat teraz podsuwała mu słowa Magdaleny, które wypowiedziała, kiedy spotkał się z nią w Rapalkach: „Byłam pojętną uczennicą, już w dwa lata po ślubie przestałam mówić własnym głosem”.

- A może... ten mój pozorny sukces małżeński był wyłącznie zasługą Magdy? - zadał sobie w końcu błąkające mu się po głowie pytanie. - A jeśli tak, to czy będę potrafił ułożyć sobie życie z inną kobietą? Jakie życie? - przeraził się na myśl, że musiałby na stałe zrezygnować ze swoich przyzwyczajzeń i prawa do świętego spokoju od czasu do czasu.

Ilona Miąsko - bo tak nazywała się jego nowa klientka - tak bardzo przypominała mu Ewę, że nie mógł przestać teraz analizować tego wszystkiego...

- Pani Bożenko - Fryderyk uznał, że najlepiej będzie po prostu wyjść teraz z pracy i zostawić w czterech ścianach podjęte rozważania - to ja już pójdę. Skoro mam na to pani przyzwolenie, to znaczy, że już naprawdę nie mam na dziś nic do zrobienia - uśmiechnął się do sekretarki.

- Jasne, proszę pana. Życzę udanego wieczoru, proszę wykorzystać go jak najintensywniej!

- Ach... poczta! - rzuciła jeszcze w stronę zamykających się drzwi. Obejrzała jeszcze raz cztery przyniesione przez listonosza koperty. - A, to jutro - powiedziała już sama do siebie - to nic pilnego.

* * *

Fryderyk obudził się przed świtem z ciężką głową i poczuciem niezadowolenia, zanim jeszcze przywołał w pamięci wspomnienie ubiegłego wieczoru.

Nadzieje na miłą atmosferę i dobrą zabawę runęły już po wejściu na kręgielnię. Na miejscu okazało się, że ten sport w formie czynnej jest Ewie całkowicie obcy. Właściwie jedyne co ją tu naprawdę interesowało, był znajdujący się na terenie kręgielni drink bar.

- Kiedyś bardzo lubiłam chodzić z przyjaciółmi na kręgle - powiedziała Ewa, moszcząc się na wysokim, barowym krześle. Czasem bywaliśmy tu nawet co wieczór! Cieszę się Fredi, że i ty lubisz ten sport! Może z czasem znajdziemy więcej wspólnych zainteresowań?

- W takim razie jesteś pewnie niezłym graczem? Może rzeczywiście odkryliśmy właśnie wspólną pasję, będziesz musiała tylko trochę mnie podszkolić, bo ja niespecjalnie się na tym znam - wyznał Fryderyk, spoglądając na zręcznie uwijających się przy torze graczy.

- No coś ty! - Ewa spojrzała na niego rozbawiona. - Naprawdę chcesz się w to bawić? Zamierzasz latać z tą dziurawą kulą jak dziki jakiś? A wiesz, ile to waży? Raz miałam to w ręku, to mówię ci! Ledwo podniosłam!

- To w takim razie... Nie rozumiem? - Fryderyk poczuł się całkowicie zbity z tropu. - Po co tu właściwie przyszliśmy?

- Och, tu można świetnie się bawić, zaraz zobaczysz - pełna entuzjazmu Ewa rozglądała się dookoła. - O! spójrz! Widzisz tę grubą babę? - wskazała ruchem głowy puszystą niewiastę podchodzącą do toru. - Zaczekaj tylko, niech się schyli - zachichotała, przysłaniając dłonią usta.

- O! O! Teraz! - trąciła go łokciem. - Widziałeś kiedyś w życiu takie wielkie dupsko???

Fryderyk przyglądał się rozbawionej do łez Ewie i wydawało mu się - a może po prostu życzył sobie tego bardzo mocno - że śni... Nie odezwał się ani słowem, siedział po prostu i gapił się w okno. Ewa zamawiała kolejne drinki i bawiła się coraz lepiej.

- Popatrz! Zobacz teraz - potrząsała go od czasu do czasu za ramię - jaki łysy palant, no nie, nie mogę! - krztusiła się ze śmiechu.

- Obiecałem i wytrzymam... Obiecałem jej ten wieczór i będę konsekwentny - mamrotał przez zęby. Kiedy jednak po którejś z kolei „Lagunie rozkoszy” Ewa zaczęła w głos komentować wygląd i poczynania graczy, a także rzucać pod ich adresem niewybredne uwagi, zamówił dla siebie podwójny koniak i wypił jednym haustem.

- Idziemy - powiedział, a ton jego głosu sugerował, że nie przewiduje żadnego sprzeciwu. Ewa już zdążyła poznać ten ton, dlatego zrobiła tylko mocno nadąsaną minę i posłusznie zeszła ze stołka.

- Ty naprawdę nie masz poczucia humoru? - zapytała, kiedy wyszli na ulicę.

- Mam - Fryderyk spojrzał na nią chłodno - tylko nieco inne.

- No to po co... - ziewnęła szeroko - ... upierałeś się, żeby iść na te kręgle?

Kiedy budzik w sypialni pokazał godzinę siódmą, Fryderyk wyskoczył łóżka i na początek wziął zimną kąpiel. Pół godziny później wymknął się cicho z mieszkania i w spacerowym tempie udał się do biura. Chciał odwlec ten moment, w którym uprzejma Bożenka zagai, jak udał się wieczór. Od-

wlec - albo dać sobie czas, by na jego twarzy mógł pojawić się wyraz głupkowatego zadowolenia - z rodzaju tych, o które nie wypada pytać.

Kiedy więc po wejściu do gabinetu sekretarka pytająco spojrzała mu w twarz, spuścił oczy i uśmiechnął się z błogim zażenowaniem.

- Wczorajsza poczta, proszę pana - podsunęła mu na biurko nieprzeczytaną korespondencję i wycofała się dyskretnie. Wyobraziła sobie pewnie, że szef będzie chciał teraz w samotności porozpamiętywać wczorajsze uniesienia. Po chwili zapukała znowu, bez słowa postawiła przed nim kawę i szybko zniknęła za drzwiami.

- Rachunek za telefon - Fryderyk rozrywał kolejno przyniesione przez Bożenkę koperty - oferta kupna kserokopiarki, zaproszenie na prezentację pościeli antyreumatycznej, list od... odwrócił kopertę nadawcą do góry - od pana Bernarda Poleczki!

- A cóż tam u pana Bernarda ciekawego? - przedarł kopertę tak energicznie, że róg znajdującego się wewnątrz kartonika zastał mu w ręce. W środku był list i zaproszenie na ślub. - Lucyna Maleszczuk i Jakub Poleczka mają zaszczyt zaprosić - czytał głośno - ... na ślub... dnia czwartego listopada... w kościele pod wezwaniem... - A to ci dopiero! Widać nasz pan Poleczka uwolnił się wreszcie od swoich chromosomowych dylematów!

- *Niech będzie pochwalony!* - czytał Fryderyk w liście. - *W pierwszym zdaniu jeszcze raz podziękować Panu Mecenasowi chciałbym za wyświadczoną mi sprawiedliwość, oraz synowi i synowej niedoszłej mojej. Druga sprawa taka jest, i że na wesele Pana Wielmożnego zaprosić się ośmielam, choć Pan nienawykły pewnie na takie uroczystości do prostych ludzi chadzać. Gdyby Mecenas zaszczyt taki zechciał wyrządzić mnie i dzieciom moim, byłoby to łaska i radość dla nas wielka.*

Teraz jednakowoż radością swoją podzielić się muszę! Otóż, kiedy przyjechał ja od Pana z dobrą nowiną do domu, okazało się, że i tam dobre wieści mojego powrotu czekały. A bo to pod moją nieobecność synowa moja niedoszła, dziękować Bogu, w niepożądaną ciążę zaszła! Ot co! I jak tu nie wierzyć w Opatrzność Boską, kiedy mnie natenczas Miłosierny ode dwóch stron wysłucha, i z wątpliwości wyzuł całkowicie!

Z uszanowaniem, kłania się Panu mecenasowi Poleczka Bernard z rodzinką.

Fryderyk raz jeszcze odczytał adres nadawcy: 234 Płoszków, województwo warmińsko-mazurskie. Otworzył w internecie mapę Polski i poszukał tego Płoszkowa.

- Czwarty listopada - przeczytał jeszcze raz w zaproszeniu. Wybierał się co prawda do Rapalek tuż przed świętami Bożego Narodzenia, a tu nagle pojawia się okazja wcześniejszego wyjazdu na Mazury, w dodatku z absolutnie wiarygodnym alibi! Dodatkowym plusem ewentualnego przedsięwzięcia było to, że Ewa zamierzała wyjechać na Wszystkich Świętych do Rzeszowa, do swoich rodziców.

Fryderyk obliczył, że Płoszków dzieli od Rapalek zaledwie piętnaście kilometrów. Jak to dobrze - pomyślał - że nie przeczytałem tego listu wczoraj. Jestem prawie pewny że wylądowałby w koszu na śmieci. Ha! - ucieszył się głośno z takiego obrotu sprawy.

- Pani Bożenko - krzyknął w stronę drzwi.

Niemal natychmiast ukazała się w nich sekretarka, od dawna gotowa pewnie na przyjęcie polecień szefa.

- Pani Bożenko, mam prośbę. Proszę sprawdzić, czy byłbym w stanie wykroić z terminarza kilka wolnych dni w okolicach czwartego listopada?

Bożenka przyniosła notatnik i kalendarz. - Hm... - powiedziała po chwili - jak najbardziej, szefie. Nawet cały tydzień, bo to jakoś tak w środku długiego weekendu wypadnie. Właściwie wystarczy tylko przesunąć panią Miąsko, a wcześniej załatwić pana Kosińskiego. Nie powinno być problemu, zajmę się tym, jeśli pan każe.

- Bardzo proszę, Bożenko - uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. - Jest pani...

- Tak? - zapytała, gdy urwał w pół zdania.

- Jest pani nieoceniona. Naprawdę, czasem nie wiem, jak wyrazić pani moje uznanie.

- Dziękuję, szefie - zarumieniła się Bożenka - pańska pochwała jest dla mnie wystarczającą gratyfikacją.

- W takim razie - uśmiechnął się do niej ciepło - proszę przygotować mi notatki ze sprawy Gregorczyka, pójdę teraz do sądu. Nie będę już dzisiaj wracał, Ewa jutro wyjeżdża do rodziców - wie pani, pojutrze Wszystkich Świętych, trzeba odwiedzić groby swoich bliskich.

- A pan nie pojedzie z narzeczoną? Myślałam... o, przepraszam - zamilkła zmieszana.

- Nic nie szkodzi. Ja także wyjeżdżam, tyle, że nieco później. Najpierw jednak muszę pójść z matką na grób ojca, ale tu, w Krakowie.

Już po godzinie piętnastej Fryderyk biegł pospiesznie do domu, zastanawiając się po drodze, co też teraz porabia Ewa. Zastał ją szykującą się do wyjazdu. Stała w zadumie nad sporych rozmiarów walizką.

- Cześć, kochanie - Fryderyk cmoknął ją w policzek. Co ty tak wcześniej się pakujesz, wyjeżdżasz przecież dopiero jutro wieczorem?

- Ach, bo ty myślisz że to takie proste - powiedziała rozdrażniona - trzeba spakować tyle rzeczy, żeby nie było za dużo, ale też żeby niczego nie zabrakło: i wersję na zimno i na ciepłej, stroje wizytowe, bieliznę, biżuterię, kosmetyki, buty do tego wszystkiego! Tak się waham, czy...

- A ja się nie waham! Chodź - przerwał jej Fryderyk.

- Wrzuć na siebie cokolwiek, byle szybko, do osiemnastej niedaleko!

- Ale... gdzie idziemy? Dlaczego do osiemnastej? - wypytywała, wkładając jednak pospiesznie kurtkę i botki, ponieważ ta godzina kojarzyła się jej z porą zamykania sklepów odzieżowych.

- No jak to, gdzie? Po futerko z ocelotów!

- Mówisz serio? Naprawdę chcesz mi je kupić? - Ewa zaglądała mu w oczy z wypiekami na twarzy.

- No... - Fryderyk zatrzymał się w połowie schodów

- chyba, że nie chcesz?

- Chcę, chcę! Ależ bardzo, bardziusio! - objęła go mocno za szyję. - Ojej, jaki ty kochany jesteś!

Fryderyk wracając z pracy, zdecydował się na ten kosztowny gest, po to tylko, żeby mieć gwarancję, że Ewa na pewno wyjedzie. Mając takie futro, nie darowałyby sobie zaprezentowania się w nim rodzinie. Poza tym znał ją na tyle, by przewidzieć, że do samego wyjazdu będzie mocno zajęta nowym ciuchem. Nie był specjalnie zadowolony ze swojego postępków ani z jego motywu, jednak cel, jaki mu przyświecał, pozwolił mu się trochę rozgrzeszyć. Dla własnego komfortu psychicznego podrasował go nieco i przeniósł środek ciężkości z chęci poznania Matyldy - na altruistyczną zgoła, potrzebę uczestniczenia w weselu młodego Poleczki. Przy takim postawieniu sprawy poczuł się znacznie lepiej.

- Hej, gdzie ty pędzisz? - złapała go za rękaw Ewa. - To już ten sklep, nie pamiętasz?

- Och, rzeczywiście - Fryderyk zatrzymał się przed wystawą - całkiem zgrabne to futerko.

- Zgrabne, to ono będzie dopiero na mnie - Ewa niecierpliwie pchnęła szklane drzwi.

Cętkowany, puchaty płaszczyk rzeczywiście doskonale prezentował się na niej. Fryderyk bez mrugnięcia powieką zapłacił za niego zawrotną sumę. Przez moment zastanowił się, czy nie zaprosić jej jeszcze na kawę, ale nie chcąc stwarzać okazji do niewygodnych rozmów szybko zrezygnował z tego pomysłu. W domu - tak jak przewidział - Ewa do późnego wieczora mierzyła nowy nabytek, zakładając do niego różne wersje dodatków.

- Tak będzie dobrze? - pytała co jakiś czas. - A może tak lepiej? - stawała w wyszukanych pozach przed Fryderykiem.

Wiedząc, że jego odpowiedzi nie mają tu żadnego znaczenia, pozwalał sobie za każdym razem na automatyczne skinienie głową. Obmyślał teraz własny wyjazd i organizację związanych z nim czynności.

- Nie jesteś głodna? - zapytał w końcu, czując lekki ucisk w żołądku.

- Nie, nie - odpowiedziała Ewa, przechadzając się po przedpokoju - ja nie będę już dziś jadła. Weź coś sobie kochanie i zjedz beze mnie.

- W porządku, nie przeszkadzaj sobie, Ewuś - krzyknął, zaglądając po raz trzeci do pustej lodówki. W końcu znalazł w szafce pół razowej bułki, zupkę pomidorową typu „Gorący kubek” i zasiadł do tej postnej kolacji.

- Ojej! - nie zauważył nawet, że Ewa obserwuje go stojąc w drzwiach. - Ojejku, kochany, ja nie miałam pojęcia...

- Że co? - zapytał Fryderyk.

- No... że to futro - powiedziała wskazując palcem na czerstwy kawałek pieczywa, miazdzonego z chrzęstem w zębach Fryderyka - że ono było aż takie drogie!

Fryderyk byłby parsknął śmiechem, zdusił jednak w sobie tę przemożną potrzebę i powiedział z powagą: - Nic to, Ewka! Na pociąg do Rzeszowa jeszcze mi zostało!

VII.

Modlitwa nad własnym grobem

Nie gniewaj się, ciociu - wydusiłam z siebie w końcu, skubiąc złoconą kalię na świerkowym stroiku - tak mnie jakoś... poniosło! Uświadomiłam sobie, że tata tak bardzo lubił kołduny, a tu teraz Wszystkich Świętych i... wiesz... - Ja muszę ci coś powiedzieć, ciociu!

Nagle odechciało mi się odgrywania na cmentarzu podstępnej scenki, mającej na celu skruszenie Matyldy i doprowadzenie do wyznania całej prawdy o moim ojcu.

- Nic nie musisz, Magduś - ciotka spojrzała na mnie dobrotliwie - ja rozumiem, że ty przecież nie chciałaś mnie na złość. To wszystko nerwy, ale to minie - poklepała mnie po ręce - zobaczysz, na wiosnę już śladu po twoich zmartwieniach nie będzie.

- Ale ja muszę cioci powiedzieć, że ja już wiem...

- Zbierajmy się, Olek podjechał - ciotka poprawiła firankę w oknie i złapała za karton ze zniczami - ty weź te wianki, a Olek poniesie te dwa największe lampiony.

Podreptałam za nią posłusznie ze stertą stroików na rękach.

- A zapalek nie zapomnij - krzyknęła, dobiegając do furki - o zapalkach Magdalenie przypomnij - poleciła wchodzącemu na podwórko Olkowi.

- Witam, łaskawą panią - Olek skłonił się ciotce w przejściu - bez obawy madame, ja mam i zapalki i zapalniczkę.

- Co ty taka bez humoru? - spytał, odbierając ode mnie kłujące naręcza.

- Przeciwnie - burknęłam pod nosem - tryskam radością! Jak w Święto Zmarłych przystało!

- A, sorry... Nie pomyślałem - Olek zmieszał się trochę.

- W domu są jeszcze lampiony, czekaj, pomogę ci - odebrałam mu z powrotem stroiki, kiedy otwierał bagażnik.

- A to już ja się po nie zawrócę, zamknąć chałupę przecież trzeba - zaoferowała się ciotka.

- Wspieraj mnie na tym cmentarzu jakoś, mam z ciotką do pogadania - szepnęłam do Olka. - No chyba, że nie będzie chciała przy tobie mówić, to wtedy oddalisz się na chwilę, dobra?

- Dobra - powiedział tylko, bo Matylda zdążyła wrócić już z lampionami.

Jakoś tak się złożyło, że nigdy dotąd jeszcze na Rapalskim cmentarzu nie byłam.

Szłam teraz za ciotką brukowaną alejką i usiłowałam odczytywać po drodze nazwiska zmarłych, daty urodzenia i śmierci.

- O, tam! - ciotka wskazała na okazały, lastrиковy nagrobek, a mnie serce zaczęło podchodzić do gardła. - To nasz rodzinny grobowiec. Na początek zaczęłam udawać, że się modłę, nie mając odwagi podnieść głowy i spojrzeć na wyryte w nim napisy.

- No, Magduś - trąciła mnie w końcu Matyllda - ułóżże w końcu te znicze, modlić się będziesz potem. Świecek trzeba zapalić.

Właściwie spodziewałam się tego, co tu ujrę, jednak w obliczu realnej konfrontacji z domnieniami, mój organizm rzucił mną brutalnie na pobliską ławeczkę.

- Edward Janisz, 12 III 1951 r. - 21 XII 1992 r. Zmarł śmiercią tragiczną. - Czytałam coraz słabiej, odczuwając łączność z otaczającym mnie światem.

- Magda! Magda! Co ci jest? - potrząsał mną Olek, a ciotka polewała moją twarz wodą zaczerpniętą z nagrobnego wazonu. - Już! Niech pani już nie leje, otwiera oczy - usłyszałam całkiem wyraźnie.

- Nie wiedziałem, że byłaś tak bardzo związana z ojcem

- Olek kuczał przede mną i pocierał dłonią mój policzek - przykro mi...

- Nadal jestem, bo... mój ojciec żyje - spozrzałam na Matylldę. Powiedz mi ciociu, jakim cudem zdołałście załatwić mu fałszywy pogrzeb? Pochowaliście tu pustą trumnę, czy... jakiegoś obcego nieboszczyka?

Matyllda usiadła wolno obok mnie i zwiesiła bezradnie ręce. Olek patrzył zdumiony na przemian: na mnie i na ciotkę, która międlila w ustach jakieś niewypowiedziane słowa.

- To on tak kazał - skinęła wreszcie głową w stronę czarnej, błyszczącej tabliczki. Twój ojciec... - szukała odpowiednich słów - zachorował. Nagle, kiedy wrócił od ciebie zaczął mówić od rzeczy i zachowywać się jak pomyłony. Doktora mu przywiozłam, leki wykupiłam, ale on brać ich nie chciał. Wreszcie do szpitala go skierował i tam *my* pojechali, taksówką, po nocy, żeby nikt go nie widział. Ale to on tak życzył sobie! Kiedy chwilami normalny rozum miał, zaprzysiągł mnie przed krzyżem, że tę jego chorobę w tajemnicy zachowam do śmierci.

Ciotka spojrzała na mnie, jakby chciała wyczytać z moich oczu, czy wierzę jej słowom. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo niewiarygodne jest to, co mówi.

- W tym szpitalu - mówiła dalej - Edward zdecydował zostać na stałe. Jeździłam do niego często, odwiedzałam, namawiałam, żeby wrócił do domu. Ale on mnie któregoś razu powiedział... - ciotce łamał się głos - że to ja przyczyniłam się do jego wariactwa i że jak będzie codziennie mnie oglądać, to jeszcze bardziej mu się pogorszy... Kazał mi się pochować i zapomnieć o sobie. Ja przysięgam... Przysięgam, Magduś! - A tu - Matyllda wskazała drżącą ręką na nagrobek - to nikt pochowany nie jest. -

Pogrzebu żadnego też nie było, ino... - głos znowu zaczął więznąć jej w krtani - ludziom my... powiedzieli, że była es... eskumacja zrobiona. Że niby w Krakowie najspierw pochowany był.

Wierzyłam ciotce, wierzyłam i nie miałam ani cienia wątpliwości. Ona nie wiedziała przecież, że rozmawiałam z ojcem. Obie te wersje pokrywały się ze sobą dość spójnie, a poza tym to wszystko było takie podobne do ojca! Poważanie ludzkie! Przecież tylko o to chodziło. Ktoś, kto postradał zmysły musiał utracić także ludzki szacunek! Spojrzałam na stryjną. Zdawała się teraz jeszcze bardziej krucha niż zwykle: z oczami utkwionymi w ziemię i głową wtuloną w ramiona, czekała teraz na mój werdykt - gotowa dobrowolnie poddać się karze.

Objęłam ją mocno bez słowa.

- Zapal te wszystkie znicze - zwróciłam się do Olka - dla ojca postaw ten czerwony, największy.

- Skoro sobie tego życzył, to niech już tak zostanie - powiedziałam cicho - a my - zwróciłam się do ciotki - będziemy żyły dalej. Razem. Wszystko jest dobrze, ciociu! Wszystko dobrze - chwyciłam ją za rękę.

- A ty skąd, Magduś, dowiedziałaś się? - spytała, nie podnosząc na mnie oczu.

- Byłam u niego.

- Widziałaś Edwarda? Byłaś tam? Ale... jak? Kiedy?

- Jak byłaś w Świętej Lipce, przyszedł list, a właściwie zaproszenie. Myślałam i myślałam, zastanawiałam się, któż z naszej rodziny może być w tym ośrodku. No i w końcu pojechałam tam.

- A to... - powiedziała ciotka. - Na festyn pewnie. Ja też tam jeżdżę co roku, chociaż Edward mi zakazał. Nie odzywa się nigdy do mnie ani słowem, a ja opowiadam mu wszystko, co we wsi słyhać, kto zmarł, kto się pożenił... Mówił coś do ciebie?

- Mówił. A właściwie - zawahałam się - gadał od rzeczy. Chwilami był jakby bardziej świadomy, ale najczęściej w ogóle go nie rozumiałam. Poznał mnie od razu, ucieszył się chyba nawet, ale sam bardzo się zmienił. Wychudł bardzo, postarzał się... Powinnam ci była powiedzieć...

- A, tam! - ciotka machnęła ręką. - Może to ja... powinnam była powiedzieć tobie.

- Przepraszam ciociu, za wszystko, za te moje głupie i bezpodstawne żale, za te lata zawziętego milczenia. Przecież to wszystko inaczej mogło być - i z tobą, i ze mną.

- Nie mów tak, Magduś, nie ma co wyszukiwać, kto kogo za co przepraszać powinien. To teraz nieważne wszystko. A najmniej ważne jest przepraszanie. Żyć trzeba i patrzeć przed siebie - ciotka uśmiechnęła się do mnie i wolno wstała z ławeczki.

Poczułam się w tym momencie o wiele lżejsza i silniejsza. Rozejrzałam się dookoła, ale nigdzie nie mogłam dostrzec Olka.

- On pewnie na groby dziadków poszedł - powiedziała stryjna, widząc, że szukam go wzrokiem.

- To tam, na dole, przy starym cmentarzu. Możemy się przejść wolno w tamtą stronę, pewnie go spotkamy.

Stara część rapalskiego cmentarza znajdowała się niedaleko bramy wejściowej, jednak na tyle na uboczu, że wchodząc tu, nie zauważyłam tych chylących się, w większości kamiennych nagrobków. Niektóre z nich ozdabiała sporych rozmiarów rzeźby wykonane z piaskowca, przedstawiające głównie anioły, postać Matki Boskiej lub Jezusa na krzyżu. Przed jednym z takich nagrobków stał Olek. Podeszłam do niego cicho i dotknęłam jego ramienia.

- Tu leżą moi dziadkowie, Kornelia i Antoni Latoszkowie. Niewiele już da się odczytać - wskazał ręką na niewyraźny, wyryty w kamieniu napis.

- Dawno zmarli? - spytałam.

- Ja ich w każdym razie nie pamiętam - powiedziała Matylda. - Chyba jeszcze przed moim urodzeniem.

- Tak, oboje zmarli jeszcze w czasie wojny. Mój ojciec miał wtedy dziesięć lat.

- Oboje? - zapytałam. - To znaczy zginęli jakoś, tragicznie, czy jak?

- Nie, normalnie zmarli, w tym samym roku - Olek spojrzał na mnie z uśmiechem - czasem tak się zdarza, podobno, kiedy ludzie bardzo się kochają. Kiedy jedno odchodzi, drugie idzie za nim...

- To piękne. Chciałabym tak bardzo kochać kogoś, aż po grób - westchnęłam w natchnieniu.

- Ja też bym chciał... żebyś kogoś tak bardzo kochała - szepnął mi do ucha.

- A co wtedy, jak cię śmierć nie zabierze razem z ukochanym? - spytała ze smutkiem Matylda.

- Nie wiem... - odpowiedziałam nieco zbity z tropu. - To znaczy, że nie kochałam wystarczająco mocno?

- I ja nie wiem... - powiedziała ciotka - albo że miałaś tutaj coś jeszcze do zrobienia...

- Chciałabym obejrzeć te wszystkie stare groby. Możemy przejść się tutaj trochę? - spytałam.

Zawsze lubiłam spacerować po takich starych cmentarzach, obliczać wiek, w którym zmarli odeszli ze świata, oglądać nagrobne fotografie, wyobrażać sobie, jak żyli i kim byli... Poza tym ciągle szukałam pewnego grobu, który przyśnił mi się dwukrotnie, jeszcze w Krakowie. Pamiętam z detalami, jak wyglądał i gdzie był położony, sen jednak nie mówił, na którym cmentarzu. Nigdy dotąd nie spotkałam takiego, który by w stu procentach mu odpowiadał. Nie traktowałam nawet tych moich poszukiwań specjalnie serio, raczej jako swego rodzaju grę, by nie rzec: zabawę.

W odpowiedzi na moją propozycję ciotka i Olek ruszyli wolno ścieżką w górę cmentarza.

- Tam, wyżej pochowani są niewierni, samobójcy i dzieci, co pomarły bez chrztu - Matylda wskazała ręką na miejsce pod murem. - Tych grobów nikt już nie odwiedza, właściwie to już dawno mogły być przekopane, ale tu nikt nie chce swoich chować. - O, tu leży nawet ksiądz. Powiesił się zaraz po wojnie, mówią, że wydawał Niemcom Żydów i sumienie go do samobójstwa pchnęło. A tu - opowiadała dalej ciotka - pochowana jest cała rodzina. Nie wiem, jak to tam było, ale jakaś wielka tragedia podobno. Sami się pozabijali, czy ktoś ich zabił...

- A tam? - weszłam ciotce w pół zdania, bo zaintrygował mnie niewielki, skromny nagrobek w samym załamaniu kamiennego ogrodzenia. - Tam kto jest pochowany, ciociu?

- A tego, to ja nie wiem, dziecko - powiedziała, kiedy podeszliśmy wszyscy do wskazanego przeze mnie miejsca. Może coś się będzie dało przeczytać?

- Olek... - chwyciłam go za rękę - ja wiem, kto tu leży.

- Kto?

- Muszę... - usiłowałam zebrać goniące mi po głowie myśli i mętne wspomnienia z moich snów - zaczekaj chwilę.

To właśnie był ten grób. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Przeraziła mnie jedynie myśl, która z coraz większą pewnością sadowiła się we mnie.

- No, więc kto tu jest pochowany - ponaglił mnie Olek półgłosem.

- Ja.

Ciotka oddaliła się od nas dyskretnie, biorąc widać nasze szeptanie za deklaracje miłosne.

- Magda - Olek spojrział na mnie niepewnie - teraz to już raczej przesadzasz. Ja... wierzę w twoje sny, sam widziałem, jak potwierdzają się twoje wizje, ale... teraz to sam już nie wiem, co o tym myśleć.

- To nie myśl nic. Nie wymagam od ciebie, żebyś mi wierzył. Obiecałeś mi, że nie stracisz do mnie cierpliwości i tylko tyle bym od ciebie chciała. Po prostu bądź przy mnie - chwyciłam go mocno pod ramię, by nie sprawiać wrażenia, że robię mu w tej chwili wyrzuty. Olek oddał mi uścisk, a potem schylił się i zaczął szukać napisów.

- Wiesz może, co tu powinno być napisane? - zapytał dotykając tablicy opuszkami palców.

- Nie, tym razem nie wiem. Rzecz w tym, że pojęcia nie mam.

- Kraft - odczytywał wolno - Paola chyba. Albo nie, nie Paola, nie ma „l”. Imię zaczyna się na „pe”. Nie wiem...

- Są tam daty?

- Jakies piątki - Olek pomagał sobie palcami - w dacie urodzenia i w dacie śmierci. Wyraźny jest tylko miesiąc. Wrzesień. W każdym razie rok urodzenia kończy się piątką, to może być piętnaście albo dwadzieścia pięć. W dacie śmierci piątka jest przedostatnia, może być pięćdziesiąt osiem, sześć albo równe pięćdziesiąt. - Mówi ci to coś? - zapytał wstając z klęczek.

- Nie, nic...

- Skąd wiesz w takim razie... dlaczego myślisz, że...

- Właśnie. Wiem, to jest dobre słowo. Ja nie myślę Olek, ja to wiem. Nie wiem skąd. Mam taką pewność, ona jest we mnie. Taką, jak to, że... słońce świeci na niebie!

Nie umiałam mu tego wytłumaczyć. Po prostu, nagle opanowało mnie przeświadczenie, że ten bez przepychu zwieńczony nagrobek należy do mnie. Nie wiem, kim byłam i jak wyglądałam. Za-

mknęłam oczy, licząc na to, że pojawi mi się jakaś wizja. Wsłuchiwałam się w siebie coraz bardziej i bardziej, i... nic!

Nie miałam żadnego emocjonalnego stosunku do tego czegokolwiek, co spoczywało w tej mogile. Nic! Po prostu pustka!

- Chodźmy stąd - poprosiłam. - Nic nie mów - dodałam widząc, że Olek chce coś powiedzieć. - Nic na ten temat w każdym razie. W ogóle!

Dogoniliśmy idącą wolno w stronę bramy ciotkę. Każde z nas szło w milczeniu, przerzucając w myślach swoje własne obrazki. Dopiero w samochodzie Olek zapytał:

- Jutro jesteśmy umówieni na przejażdżkę, pamiętasz?

- A, tak.

Przypomniałam sobie, że mieliśmy w Zaduszki pojechać jeszcze raz do tego zrujnowanego pałacu.

- Dobrze, możemy jechać - zgodziłam się, choć już nie miałam na to szczególnej ochoty.

Te wszystkie parahistorie, które coraz częściej spadały na mnie jak grom z jasnego nieba, zaczynały mnie męczyć, ale przede wszystkim - zaczynały mocno bruździć w moim życiu. Od przyjazdu do Rapałek minął już ponad miesiąc, powinnam czuć się coraz bardziej wypoczęta, smakować daną mi przez Fryderyka wolność lub uwikłać się w kolejną zależność damsko-męską. Zawsze jednak - dokładnie wtedy, kiedy pojawiała się nadzieja, że wreszcie zyskam coś tylko dla siebie - wyciągały do mnie pazury koszmary senne lub zwidy na jawie. Jakby chciały utrzymać mnie w świadomości, że moje potrzeby zupełnie się tu nie liczą!

- Jeśli panie pozwolą, dzisiaj ja zapraszani na obiad do „Rapałowianki” - Olek zwrócił się bardziej do ciotki niż do mnie. - Nie będą to co prawda żadne lokalne pyszności, ale coś tam może się znajdzie w karcie godnego waszej uwagi. Stryjna spojrzała na mnie pytająco.

- A ja tam nie wiem, czy nam uchodzi po lokalach stołować się. My nie turystki.

- Jak ciocia chce. Uchodzić to uchodzi, ale ja nie jestem głodna. Jakoś tak się czuję niewyraźnie, chociaż mogę wam towarzyszyć, jeśli chcecie.

Ciotka spojrzała na mnie zaniepokojona.

- To w takim razie wieź nas do domu - zarządziła. - Do zjedzenia też coś się znajdzie, wczorajszego bigosu odgrzeję.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedział Olek, zajeżdżając pod samą furtkę - dam paniom odpocząć na dziś od siebie. Spojrzał na mnie uważnie - w porządku?

- W porządku. Dzięki za wszystko.

- A zajedź jutro do nas - dodała ciotka. - Już ja się Magdą zajmę, zaraz uszykuję jej herbaty z miodem i będziecie mogli się wybrać, gdzie tam planujecie, choćby na cały dzień.

Zaraz po wejściu do domu, nie zdejmując nawet palta, ciotka nastawiła czajnik. W chwilę potem dała mi kubek parującej herbaty z jej tylko wiadomymi domieszkami, a ja wgramoliłam się do łóżka. Nie chciałam zostawić ciotki samej po tych dzisiejszych wrażeniach, nie miałam jednak kompletnie siły na cokolwiek. Od stóp aż po szyję czułam narastające dreszcze, oczy łzawiły mi i piekły, jak przy gorączce.

- Dwie godzinki - mruczałam do siebie - poleżę tak sobie dwie godzinki, a potem posiedzę z tobą ciotciu - obiecywałam w myślach.

* * *

Obudziłam się silna i zdrowa. Spojrzałam w okno - nawet jeszcze nie zmierzchało!

- Genialna ta mikstura ciotki - pomyślałam, czując, że jestem głodna jak wilk.

- Ciocia powinna to na receptę sprzedawać - wtargnęłam z impetem do kuchni. - A... co ty tu robisz? - ze zdumieniem spojrzałam na siedzącego przy stole Olka. Natychmiast też wycofałam z kuchni obleczone w koszulę nocną ciało, w drzwiach pozostawiając jedynie rozczochraną głowę.

- Jak to co? - spytał rozbawiony. - Umawialiśmy się przecież!

- I owszem, umawialiśmy się. Na jutro.

- Jeśli o mnie chodzi, to na dziś. Choć z twojej, wczorajszej perspektywy może ono jeszcze nie nadeszło.

Spojrzałam na stojący na lodówce budzik. Wskazywał godzinę pierwszą i nie była to bynajmniej pierwsza w nocy.

- Ale numer - spojrzałam z niedowierzaniem na ciotkę - to ja tak długo spałam? Całą dobę? Czemu mnie ciocia nie obudziła?

- Raz chociaż należało ci się pospać porządnie. A zresztą - dodała, krojąc chleb - sen na wszystko najlepszy. Teraz szybko zjedz i się ubierz. Olek czeka już ze dwie godziny. Już mu nawet ciężko udawać, że mu się moje towarzystwo podoba - mrugnęła do mnie.

- No co też pani opowiada - mitygował się Olek - wspominaliśmy sobie dawne czasy. Doszliśmy raptem do tego, jak stary Leszczuk całą noc wygodki po ogrodzie szukał, co mu ją dla kawału Jędrzek Jędrzejek rozebrał. A było na nas, pamiętasz?

- No, nieraz żeśmy za Jędrka pokutę odbyli. Z ciotki to kiepski śledczy był... - krzyknęłam zza drzwi, wciągając dzinsy na tyłek. - A pamięta ciocia, jak ktoś kota Maryśce Wolikowej na różowo ufarbował? - spytałam, wchodząc do kuchni. - Też było na nas. A wie ciocia, kto to zrobił?

- Też Jędrzejek?

- A, nie! Nigdy by ciocia nie zgadła! Dżadet Małyszki, ształy Łolik! - zdradziłam w końcu, łykając w całości kanapkę.

- Dziadek Maryśki, stary Wolik - przetłumaczył Olek.

- A wiecie wy może detektywy, kto listonoszowi motorower w stawku utopił?

Spojrzeliliśmy z Olkiem po sobie zdziwieni. To był właściwie jedyny wygłup, o który ciotka nigdy nas nie oskarżyła i jedyny, którego sprawca pozostał nam nie znany do dzisiaj.

- Nie, a pani wie?

- Ano, wiem! - powiedziała ciotka ze śmiechem.

- No to niechże ciocia powie! - domagałam się ciekawie.

- Sami zgadnijcie! - droczyła się.

- Pewnie któryś z moich braci - zaproponował Olek.

- O, kurde... wymknęło mi się, patrząc na stryjnę - O!!! Kurde!!! - wysnęło mi się ponownie. - Ciocia! Ciocia to zrobiła, czy tak?

- A ja! Żeby pijanica jeden krzywdy sobie albo i komu tym komarkiem nie zrobił. A na piechotę to on mógł sobie pić do woli. Wiele sobie nie wyrządził, jak się z no uwalił do rowu.

- To ci numer - wykrzyknął Olek, patrząc z fascynacją na ciotkę - to nas pani pobiła na głowę!

- W życiu bym nie przypuszczała! - dorzuciłam w tonie uznania. - A nie gryzło ciocię potem sumienie, że listonoszowi strat na mieniu przyczyniła?

- W pierwszej chwili to i trochę gryzło, ale potem jak ja życie jego albo cudze naprzeciw tej maszynie postawiłam, to przestało...

- A może ciocia pojedzie z nami? - spytałam, wstając od stołu. - Pogawędzimy sobie po drodze, powspominamy...

- Nie, nie, jedźcie sami. Ja do kościoła przejdę się na trzecią, a potem zakupów jakichś zrobię. Jedźcie, bawcie się dobrze.

Niemal przez całą drogę wahałam się, czy nie poprosić Olka, żeby zawrócił. Miałam ogromną ochotę spędzić dzisiejsze popołudnie całkiem inaczej - gdzieś wśród ludzi, w jakimś sympatycznym, gwarnym miejscu. Coś jednak jakby mnie blokowało. Za każdym razem, kiedy otwierałam usta, żeby mu o tym powiedzieć, w ostatniej chwili zmieniałam zamiar i mówiłam coś zupełnie innego. A to zagajałam o pogodzie, to znów wracałam do wspólnych ekscesów z dzieciństwa. Sztuczny luz prowadzonego przez nas dialogu dawał się wyczuć na kilometr.

Olek też zresztą nie potrącał o sedno sprawy, choć sprawiał wrażenie, jakby chciał tam pojechać bardziej niż ja. Kiedy zatrzymał samochód, bez słowa przeszliśmy przez metalową bramę i ruszyliśmy w stronę pałacu. Z każdą chwilą moje kroki stawały się coraz bardziej miarowe i coraz bardziej zdeteminowane. W pewnym momencie wyprzedziłam Olka i zdecydowanie skierowałam się ku szerokim, zmurszałym schodom. Wbiegłam na nie swobodnie i przeszłam przez ogromny, pusty hall. Gołe, odrapane z tynków ściany i szczątkowy parkiet na podłodze wywarł na mnie bardzo przykre wrażenie. Weszłam na szerokie, drewniane schody prowadzące do czegoś w rodzaju galeryjki umieszczonej na półpiętrze i skręciłam na prawo, w stronę wysokich, dwuskrzydłowych drzwi. Szybkim krokiem przemierzyłam cztery ogromne, puste sale i znalazłam się u wejścia do wąskiego, ciemnego korytarza.

Kolejny odcinek pokonywałam po omacku, by po chwili bezbłędnie trafić na pierwszy stopień następnych schodów.

W miarę wspinania się w górę robiło się coraz jaśniej - u szczytu schodów znajdowało się niewielkie, mansardowe okno bez szyb. Znajdowałam się teraz na poddaszu. Było tu troje dość niskich drzwi, z których bez wahania wybrałam te z lewej strony. Oślepił mnie nagle snop jasnego światła, padającego nie tyle z okien, co z licznych dziur w dachu. Niewielki pokój o ukośnym suficie był zupełnie pusty. Dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Podeszłam do rogu i włożyłam dłoń w wąską szparę pomiędzy listwą podłogową, a ścianą. Nie wyczułam pod palcami niczego. Zmurszałe drewno dawało jednak szansę na łatwe powiększenie szczeliny. Rozejrzałam się dookoła, ale nie znalazłam niczego, co mogłoby mi posłużyć za odpowiednie narzędzie. Nie zastanawiając się zdjęłam z nogi skórkowy botek i włożyłam w otwór podkuty metalową skuwką obcas. Szarpnęłam tylko jeden raz, kiedy spory kawałek listwy odskoczył z chrzęstem, dość znacznie powiększając dziurę w podłodze. Bez trudu wsunęłam w nią całą rękę i wyjęłam drobny, błyszczący przedmiot. Było to pięknie oszlifowane, rubinowe serduszko na cieniutkim, złotym łańcuszku. Ledwie zdążyłam rzucić na nie okiem, kiedy w drzwiach ukazał się Olek.

- Tu jesteś! - ucieszył się. - Nie mogłem cię dogonić, a potem zginęłaś mi gdzieś w tych labiryncach!

- Zwiedzam wszystko po kolei - poinformowałam go, chowając ukradkiem naszyjnik do kieszeni. - But mi utkwiał w podłodze - wyjaśniłam widząc, że przygląda się mojej bosej stopie.

- I jak? - zapytał, podając mi rękę.

- I nijak, możemy już iść - uśmiechnęłam się do niego.

Zmierzając do wyjścia, Olek popatrzył na mnie podejrzliwie, jakby domyślał się, że coś przed nim ukrywam. Ścisnęłam mocno schowane w kieszeni kurtki znalezisko i postanowiłam nie zastanawiać się nad nim dłużej. Uznałam, że jeżeli zacznę podobne zjawiska traktować jak oczywiste, zwyczajne wydarzenia, będą musiały w końcu rozwiązać się same. Skoro jakieś nadprzyrodzone siły wymagają w nich mojego udziału, to ja na tymże udziale poprzestanę. Ta odkrywcza myśl tchnęła we mnie nieco optymizmu, w przypływie którego uszczypnęłam Olka w rękę.

- No co jest? - spytałam. - Rozmowny jesteś, jak wieloletni mąż.

- I nawzajem - odparł Olek. - Podrzuc może jakiś temat w takim razie.

- Powinniśmy się zacząć dorabiać jakichś nowych wspólnych tematów, bo te z dzieciństwa wyczerpały nam się akurat dzisiaj.

- Z tego wniosek, że aby mieć jakieś wspólne tematy, to najpierw trzeba mieć jakieś wspólne, ekscytujące przeżycia.

- Co... masz na myśli? - spytałam z obawą.

- A, nie moja droga! - chyba właściwie rozszyfrował moją minę. - Na myśli to ja mam na przykład razem obejrany film. A co ty sobie wyobraziłaś?

- Lepiej się mnie zapytaj, na co ja miałam nadzieję, że ty nie!

- Na co?

- Na to, co ty myślałeś, że ja przypuszczam.

Olek nagle przystanął na środku alejki i wbiwszy oczy w niebo, przez chwilę poruszał bezdźwięcznie ustami.

- Aha - powiedział po chwili - rozumiem. Mogę wiedzieć, tak przy okazji, skąd takie nieładne domniemanie pod moim adresem przyszło ci do głowy?

- A, tak... - gmatwałam się w tłumaczeniach - asekuracyjnie. - Bo... skoro już przy tym jesteśmy, to raz a porządnie wyjaśnię ci, że masz do czynienia z kobietą... że tak powiem... mało elastyczną pod pewnymi względami, rzekłabym nawet... oporną. Mówię ci to - zakończyłam szybko, odwracając się do niego tyłem - zanim zrobisz cokolwiek - po czym zwyczajowo... walę w pysk!!! - pojechałam na skróty i odetchnęłam z ulgą.

- Naprawdę? Mówisz serio? - ucieszył się idiotycznie Olek. - W każdym razie... - spojrzał gdzieś ponad moją głowę - w każdym razie kobieta z kozą przynosi szczęście - dokończył bez sensu.

W tym momencie spostrzegłam starszą babinę, pasącą wychudłą, szarą kozę na pałacowych chwastach. Kobieta wyraźnie zmierzała w naszą stronę.

- Skąd wiesz? - spytałam.

- Bo nigdy nie słyszałem, że przynosi pecha.

- Co państwo tam robiło? - spytała kobieta podchodząc bliżej. - W tym pałacu? Może wy właściciele jacy? - na jej twarzy wyraźnie malował się niepokój.

- Oglądaliśmy sobie tylko - odpowiedział jej Olek. Nic więcej. - A pani? Pani tu pilnuje?

- Ja tu mieszkam, póki co.

- W pałacu? - zapytałam zdziwiona, bo nie spotkałam wewnątrz żadnych śladów życia.

- Tam, z tyłu. W przybudówce - kobieta skinęła głową w stronę parku. - A wy to na pewno nie spadkobiercę jakie? - przyglądała mi się nieufnie.

- Nie, proszę się nie obawiać. Tak tylko, z ciekawości sobie oglądamy - starałam się ją uspokoić - zastanawiamy się, kto tu kiedyś mieszkał, jak żył i takie tam. Rozumie pani?

- A, turysty? - spytała z ulgą. - No, to akurat, to ja wam powiedzieć mogę. Urodziłam się tutaj, w tej przybudówce. Kiedy państwa z pałacu pognali, miałam siedem lat. To było w czterdziestym szóstym.

- Kim byli ci państwo? - zapytałam.

- Niby że Niemce to byli, choć ja tam nie wiem, bo normalnie, po naszymu mówiły. Może dlatego tak na nich gadali, bo cały ród ich ryżawy był? Właściwie kobiety ino, bo to jaśnie pani i panienki miały takie ryże fryzury.

- A gdzie oni teraz są? I kto ich właściwie wygnał z pałacu?

- Tego to nie wiem, może żołdacy ruskie? A może nasze? Przyszli raz kiedyś jacyś, zaplombowali drzwi, państwo spakowało się i ujechało, nie wiadomo gdzie. Nam się nie tłumaczyli, ani ci, ani tamci... Panienska starsza to już mężatką była, to się ostała. Ona nie mieszkała już w pałacu, bo do męża poszła. Piękna była, oj piękna, jak malowana!

- Żyje jeszcze ona, ta... panienska? - spytałam obliczywszy, że „panienka” miałaby dziś jakieś osiemdziesiąt lat z okładem.

- Gdzie tam, pani! Ona jakoś niedługo po ślubie zmarła. Ze zgryzoty pomarła. Tak mówili.

- Znaczy, z tęsknoty za rodziną? - domyśliłam się.

- E, tam, za rodziną! - zdenerwowała się staruszka. - Kiedy ona przez tą rodzinę przeklęta została! Przeklęta na cztery wiatry!

- Za co? Za co została przeklęta? - zapytał Olek

- A, no bo, panie, zakochała się nieboraczka nie w kim potrzeba. Takie to czasy dawniej były, moi drodzy! Ona, panna wysokiego urodzenia, a on bieda z nędzą, a co najgorsza, Cygan z wędrownego tabora. Grał pięknie na skrzypkach naszej panience, a tańczył, aż iskry leciały - westchnęła staruszka. Od samej wiosny aż do zimy w kolorowych budach pod lasem mieszkali.

- I pani to wszystko pamięta? - zapytał z powątpiewaniem Olek.

- Gdzie tam, panienkę trochę ino pamiętam. Wszystko to od matki mojej wiem. Jak ją za mąż wydali, to ja miałam sześć lat. Widywałam ją czasami w ogrodzie i mnie się wtedy zdawało, że to wróżka z bajki między drzewami chodzi taka śliczna była.

- No i co dalej było? - zapytałam.

- Jak się państwo o tym dowiedziało, to ją za mąż wydało szybko postanowiło, ale się ten jej romans po okolicy rozszedł i nikt godny o rękę panienski ubiegać się nie chciał. Chłop się wtedy majątny jakiś naraił i za tego chłopca ją dali. On się podobno zlakomił na jej bogactwa, a ona całkiem wydziedziczona była. Jak się rozeznał, że tyle z niej będzie miał co mu na sobie do chałupy wniosła, to tak się wściekł, że życia ona przy nim nie miała. Pomarła niedługo. Taki to żywot hrabianka miała, ot, co! - zakończyła opowieść kobieta.

- Zostaw nas same na minutkę - poprosiłam Olka

- Chcę jeszcze o coś zapytać, ale sama.

Odszedł niechętnie, aczkolwiek posłusznie.

- Czy... ta hrabianka... - z trudem dobierałam słowa - miała na imię... Rossi?

- Takż właśnie, a skąd pani wie? - zaniepokoiła się znowu kobieta.

- Nie wiem, czytałam gdzieś o tym - skłamałam. - Ale nie jestem pewna, czy to ta sama. A czy ci państwo z pałacu nazywali się może Kraft?

- Ano, tak. Państwo Kraft się nazywali. A gdzież to pani wyczytała o nich?

- W jakimś... przewodniku historycznym... chyba...

A proszę mi jeszcze powiedzieć... - w tym momencie zaczęło brakować mi już odwagi - proszę mi powiedzieć - nabrałam tchu, uświadamiając sobie, że być może jest jedyna okazja do skonfrontowania jawy ze snem - czy ta... Rossi... miała jakieś dziecko?

- Podobno miała, z tym swoim mężem - chłopem. Słyszałam, że mieli córeczkę.

- A ten Cygan... co się z nim stało?

- Przyjeżdżał tu cały tabor co roku, jeszcze wiele, wiele lat potem. Cygany to nawet taką pieśń śpiewały:

„Tutaj ja czekał będę, gdzie serce me się smuci, gdzie kropla krwi mej spadnie, tam Rossi moja wróci, Gdzie księżyc srebrny zaklnę Włos mój z jej włosom splecę Gdziekolwiek Rossi moja Znów z nią się tu połączę.”

Staruszka zanuciła na rzewną, cygańską melodię.

- Jemu na imię Gawo było - rzuciła jeszcze za mną, kiedy nie dziękując nawet za informacje, ruszyła przed siebie.

- Olek - zawołałam nieswoim głosem. - Masz może przy sobie jakieś drobne? Proszę, daj tej kobiecie, ja nie mam ze sobą portmonetki.

Patrzyłam teraz na wracającego od koziej pasterki Oliwiera i kontemplowałam jego zgrabną, sprężystą sylwetkę, kruczoczarne włosy, czarne oczy i śniadą cerę...

- Czy to możliwe? - zapytałam sama siebie. - Ja... i Oliwier? Nie, to jakiś nonsens - myślałam. Chociaż...

- Dowiedziałś się czegoś ciekawego? - zapytał, biorąc mnie pod rękę.

- Czy ja wiem? Wysłuchałam jakieś tutejszej ballady o wielkiej miłości tych dwojga. Posiedzi-
my tu jeszcze trochę? Na tej starej ławce, chcesz?

- Pewnie, że chcę. Sprawiasz wrażenie jakiejś... spokojniejszej, stało się coś? Coś się wyjaśniło?

- Postanowiłam po prostu podchodzić do tego mniej emocjonalnie - stwierdziłam swobodnie. -
Doszłam do wniosku, że szarpanie się z tym wszystkim nic nie daje.

Olek zgarnął z ławki grubą warstwę liści i dał mi pierwszeństwo w wyborze mojego kawałka. Usadowiłam się w niewielkim zagłębieniu przy samym środku. Podobnie jak poprzednio, poczułam głęboki, niczym nie uzasadniony smutek.

- O czym myślisz? - zapytałam Olka. Uznałam, że jeżeli kierunek mojego rozumowania jest słuszny, to i on powinien odczuwać w tym miejscu coś niezwykłego.

- O tobie - odpowiedział bez wahania.

- No, ale co konkretnie?

- Że mnie fascynujesz, że jesteś piękna, że miałem wielkie szczęście, bo wróciłaś do Rapalek. Że... łączę z tym twoim powrotem ogromne nadzieje. Wystarczy?

- Nie. Wierzysz w przeznaczenie?

- No, tak ogólnie to wierzę, wierzę, że każdy ma do odegrania jakąś rolę na tym świecie, ale wierzę też w możliwości człowieka. No, wiesz, że mimo wszystko wiele od nas zależy. Możesz mi powiedzieć do czego właściwie zmierzasz? - zapytał. - Wtedy będę mógł udzielić ci bardziej konkretnej odpowiedzi. Chodzi ci... o nas?

- Załóżmy.

Olek westchnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz dużego skupienia.

- Właściwie, to mógłbym teraz uznać za wielce prawdopodobne, że jesteś mi przeznaczona - powiedział po chwili - na skutek rozmaitych symptomów: coś tam nas pchało ku sobie już w dzieciństwie, potem wyjechałaś, wyszłaś za męża, ale wróciłaś jako wolna kobieta. Tak się złożyło, że ja do tej pory z nikim się nie związałem. To mogłoby wskazywać, że nasze drogi zeszły się nie przypadkowo. Ale z drugiej strony - Olek zamyślił się na moment - co my z tym wszystkim zrobimy, to już nasza sprawa. Wybór należy do nas. Tak uważam.

- To znaczy, nie wierzysz w przeznaczenie jako fatum? - drażyłam dalej ten temat. - Czyli, że jeśli człowiek w jakiś sposób wymknie się przeznaczeniu to i tak będzie musiał wypełnić swój los, choćby nawet... umarł?

- Nie wierzę - roześmiał się Olek - nawet, jeśli oczekujesz ode mnie innej odpowiedzi. Oczekujesz?

- Nie. Chcę tylko wiedzieć, co ty o tym myślisz. Ludzie różnie podchodzą do tych rzeczy. - A powiedz mi jeszcze... - chciałam zapytać, czy to prawda, że jego rodzina ma cygańskie pochodzenie, ale w tym samym momencie zrezygnowałam i umilkłam. Tę informację postanowiłam wyciągnąć od ciotki.

- Tak?

- Wracamy? - tylko tyle przyszło mi do głowy.

- Dobrze - Olek mocno uściśnął moją rękę - jak tylko powiesz, o co na prawdę chciałaś zapytać.

- Czy nie znudziły cię jeszcze te moje dziwactwa? - wymanewrowałam szybko. - Nie wiem... Ja... Zdaję sobie sprawę, że bywam dla ciebie uciążliwa chwilami, a może nawet więcej niż chwilami. Wiem, że czasem sprawiam wrażenie pomyłonej i miewam nawet wyrzuty sumienia, że angażuje cię w to wszystko - mówiłam dalej całkiem zgodnie z prawdą.

- No coś ty, Magda! Wiesz przecież, że hecowny ze mnie facet i wszystko, co niezwykle zawsze mnie pociągało. Powiedziałem ci kiedyś, że na mnie możesz liczyć i nie zamierzam więcej tego powtarzać. W porządku?

- Dobrze, że jesteś - przytuliłam się do niego. - Zaczekaj... zaczekaj na mnie cierpliwie!

- Zaczekam, Magda. Tego możesz być pewna.

Olek objął ramieniem. Trzymałam go za rękę i starałam się poczuć w niej coś znajomego, coś bliskiego...

Wierzyłam, że kiedyś, przesiadywałam na tej samej ławce, z kimś... Z kim? Dotykałam w skupieniu szczupłych ciepłych palców Olka, wierzchu jego dłoni, kostki na przegubie, paznokci. Kiedy on najwyraźniej traktował moje gesty jak czułą pieszczotę, ja... badałam go jak świnkę morską! Zrobiło mi się głupio.

- Chodźmy stąd - powiedziałam, nie chcąc dalej stwarzać fałszywej sytuacji.

- Pójdziemy jeszcze dokądś? Może pozwolisz się zaprosić na kolację, z kufelkiem piwa?

- Pewnie powinnam, zawsze w końcu chodzimy tam, gdzie ja sobie życzę - spojrzałam na niego niepewnie - ale chciałabym pobyć trochę z ciotką. Wiesz, zafundowałam jej wczoraj dość trudne przeżycia.

- A jutro?

- Jutro tak, z przyjemnością.

Kiedy wróciłam do domu, Matylda jak zwykle krzątała się po kuchni. Miałam wrażenie, że dołączyć nie miała dla kogo gotować i od mojego przyjazdu wręcz wyżywa się kulinarnie. Już od podwórka roznosił się smakowity zapach.

- Co tam ciocia za pychoty znowu szykuje? - spytałam, zaglądając jej przez ramię.

- A, dziś będzie kura pieczona z prawdziwkami.

- Kura?! - rzuciłam się w stronę rondla. - Chyba nie ta... moja!

- A pewnie, że nie ta. Tamtej się nie zabije, toż ona mi ciebie do domu przywiozła - roześmiała się ciotka.

- Ja jej w hołdzie za to krewniaczek nawet pożerać nie powinnam. Ale - stwierdziłam, nakładając sobie spory kawał na talerz - sama sobie winna. Bo czemu tak apetycznie pachnie?

Matylda zasiadła obok mnie przy stole nad znacznie skromniejszą porcją.

- Ciociu, a to prawda, że Olek od Cyganów pochodzi? - zapytałam z mety w obawie, że potem mogę się rozmyślić. - Kiedyś tak po wsi się mówiło.

- Ano, mówiło się - ciotka spojrzała na mnie jakoś tak dziwnie - tobie to nagle przeszkadzać zaczęło?

- Ależ nie, skąd - jak najszybciej starałam się wyprowadzić ją z błędu - no co też ciocia! Tak tylko, z ciekawości pytam.

- Ja tam nie wiem. Ludzie różne rzeczy opowiadają, a co jest prawdą, a co nie, to kto tam tego dojdzie! Czemu Olka samego nie spytasz?

- A temu, żeby on tak samo jak ciocia nie pomyślał. Myślałam, że wiesz.

- Nie wiem. A nawet jakby on był z Cyganów, to i co z tego. Mówisz, że tobie nie szkodzi.

- Nie, no nie szkodzi mi, tylko... cioci kiedyś szkodziło.

- Już ci mówiłam Magduś, że ja teraz inne myślenie mam. Mnie ono już na nic, ale może tobie albo i komu drugiemu się przyda. Mnie tam za jedno, czy on Cygan, czy Japoniec. Jak się tobie podoba, to na niczyje gadanie nie patrz. Nie mówię, że ty bez rozwagi postępować powinnaś, ino abyś serca swojego słuchać się odpowiednio umiała.

Teraz mnie ciotka zaskoczyła. Dopiero co rozmawiałam z Olkiem na ten temat.

- Co to znaczy, ciociu? - spytałam zaintrygowana.

- To znaczy, że serce czasem zwodzi człowieka i wtedy trzeba dobrze patrzeć na różne znaki od losu. Wtedy się dowiesz, czy sercu i przeznaczeniu po drodze ze sobą, czy nie. Ale zresztą można i odwrotnie: tymi znakami się kierować, a serca pytać się, czy dobrze czynisz. Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedziałam w zadumie. - A jeżeli jedno z drugim nie gra?

- To trzeba szukać dalej - stwierdziła ciotka, zabierając mi pusty talerz sprzed nosa.

Ta moja Matyllda, to mądra kobieta - pomyślałam. - Dlaczego ja do tej pory tego nie wiedziałam? Chociaż... ją też jestem mądra, a mój mąż nie spostrzegł tego przez dziesięć lat mieszkania pod wspólnym dachem! Nigdy nie słuchał tego, co miałam do powiedzenia, podobnie chyba, jak nikt nigdy nie słuchał ciotki...

* * *

Dzisiaj, wyjątkowo kładłam się do łóżka ochoczo i bez obawy przed nieproszonymi snami. Przeciwnie - postanowiłam rozmyślnie je sprowokować. W tym celu zamierzałam przeanalizować dokładnie wszystko, co do tej pory roilo mi się w moich koszmarach, w odniesieniu do zdobytych ostatnio informacji.

- No to - mamrotałam do siebie, wyglądając poduszkę - zaczniemy od Rossi. Całkiem możliwe, że dziewczynka z moich snów była jej córką. Rossi zmarła, jak mała... - obliczałam w myślach - miała zaledwie kilka lat. Nie potrafiłam dokładnie ustalić ile, ale „odejście” matki tłumaczyłoby jej wieczny płacz. Facet, który znęcał się nad nią w moim śnie, to w takim razie jej mąż, ten zamożny chłop, co to liczył na jej majątek. Do tego małżeństwa została zmuszona przez rodzinę, na wskutek pohańbienia się z Cyganem. Dziecko jednak było chłopca.

Kurczę, że też nie znam jakichś konkretnych dat! - pożałowałam teraz, że nie wypytałam kobiety z kozą bardziej szczegółowo. - Ale nic to! Jeszcze mamy ten sen, co się dzieje w teatrze. Tam właśnie Rossi wyciągała rękę do Cygana, ale nie była w stanie go dosięgnąć. A co tam robił w takim razie Fryderyk, Olek i Matyllda? Dlaczego oni wszyscy tak gorąco temu związkowi sekundowali? To już chyba zwykła senna konfabulacja - doszłam do wniosku, nie mogąc ich do niczego dopasować.

Rossi została pochowana na cmentarzu w Rapałkach - snułam dalej swoje domysły. Najprawdopodobniej Cygan swoją ogromną miłością i tęsknotą, a może jeszcze dodatkowo jakimiś gusłami,

sprowadził ją z powrotem na ziemię. Gdyby urodziła się... jako ja, Magdalena Janisz, miałyby od razu powiązania z tymi okolicami. Cygan byłby teraz siedemdziesięcioletnim staruszkiem, zatem jest mała szansa na nawiązanie ze mną ponownego romansu. No chyba - rozważałam inną możliwość - że on też umarł albo się powiesił, czy coś w tym rodzaju i urodził się ponownie. Jako Olek...

- Już w dzieciństwie coś nas ku sobie pchało" - powiedział i była to szczerą prawdą. Cokolwiek bym więc potem robiła - wychodziła za męża lub przeciwnie, zamknęła się w klasztorze - i tak musiałabym tu wrócić i wypełnić swoje przeznaczenie, czyli dokonać żywota po długim i szczęśliwym życiu w ramionach przypisanego mi przez los Cygana.

Cały czas czułam wyraźnie, że sposób mojego rozumowania jest słuszny. W momencie jednak, gdy dochodziłam do Olka, moja pewność zniknęła. - Przecież to wszystko jest takie logiczne! - mówiłam sobie. Według filozofii Matyldy ten trop był fałszywy, ponieważ nie potwierdzało go moje serce. Mimo całej, najlogiczniejszej logiki nie potwierdzało i kropka!

- A gdzie w tym wszystkim mieści się upiorna, gadająca studnia? - zaczęłam powątpiewać powoli w swój spryt.

- A gdzie się podział chłop i dziewczynka? To przecież byłyby... moja córka! - odkryłam nagle. Jeśli żyje, jest z pewnością ładnych parę lat starsza ode mnie. Może jednak nie żyje? A jeżeli tak, to gdzie jest? - poczułam, że wszystko znowu zaczyna mi się wymykać. Zamknęłam oczy i ułożyłam się wygodnie. Czekałam...

* * *

... Drzwi od kuchni otwierały się wolno i bezszelestnie.

- Wejdz - powiedziałam szeptem. Kimkolwiek jesteś. - To ty, dziecko? - czekałam, wpatrując się w ciemną szczelinę, ale nikt się nie zjawiał. - Kto tam? - zapytałam. - No wchodźże, skoro już tu jesteś!

Drzwi otworzyły się jeszcze szerzej i stanął w nich... Fryderyk! Był blady i smutny, włosy miał w nieładzie, a jego jasna, skórzana kurtka była mocno zabrudzona i miejscami podarta. Przez chwilę wydawało mi się, że to wcale nie sen.

- Owszem, to jest sen, Magdaleno - odpowiedział Fryderyk, choć o nic go nie pytałam.

- Co w takim razie robisz w moim śnie?

- Przyszedłem, żeby pomóc ci rozwiązać twój problem.

- Chcesz rozwodu? Teraz, po nocy? - zdziwiłam się z niesmakiem. Dla Fryderyka jego sprawy były zawsze najważniejsze i niecierpiące zwłoki.

- Nic nie rozumiesz Magdaleno i nie zrozumiesz, jeśli będziesz tak się kręcić w kółko. Chcesz przecież wiedzieć... - spojrzał na mnie smutno.

- A co ty masz z tym wszystkim wspólnego? - spytałam niemal agresywnie.

- Dużo - Fryderyk złapał się oburącz za głowę, a na jego twarzy pojawił się bolesny grymas. - Pomyśl czasem i o mnie.

- Pójdę już... Magdaleno... - mówił urywanym głosem - pamiętaj...

Zanim wyszedł z pokoju, podszedł do mojego łóżka i na chwilę położył dłoń na poduszce, tuż przy mojej głowie. Nie dotknął mnie jednak. Wyszedł bezszelestnie, tak jak wszedł, a zaraz za nim równie cicho zamknęły się drzwi.

* * *

- Ależ durnowaty sen miałam - było moją pierwszą myślą po przebudzeniu. - Koszmar, a jakże! Z moim koszmarnym małżonkiem w roli głównej... No cóż, pora chyba skapitulować - przeciągnęłam się z chrzęstem - poproszę dzisiaj Olka, żeby jednak rozejrzał się za jakąś wróżbitką.

Lepszy byłby pewnie hipnotyzer, ale gdzie tu takiego znaleźć - dumalam, zsuwając się łóżka na kolana, by odmówić poranny pacierz. Zamknęłam oczy i oparłam czoło o poduszkę, aby lepiej skupić się na modlitwie. Po raz trzeci zaczynałam od słów: „Ojcze nasz”, kiedy dotarło do mnie, że coś nie pozwala mi się skoncentrować. Wyraźnie czułam... zapach wody kolońskiej Fryderyka! - Skąd u licha... - zastanawiałam się, obwąchując poduszkę - ten zapach?! To... nie mo... - niuchałam dookoła - zliwe... przecież!

- O, w mordę kataryniarza! - zerwałam się na równe nogi. - Ten sen! On w tym miejscu położył rękę!

Nie mogłam tego zapachu pomylić z niczym innym. Fryderyk zawsze używał tej samej wody. Próbowalam mu nawet czasem sugerować, by zrobił sobie jakąś odmianę, ale on twierdził, że nie ma powodu zmieniać czegoś, co w zupełności mu odpowiada. Wstałam wolno z podłogi, czując pojawiającą się na całym ciele gęsią skórę.

- Ciociu! - krzyknęłam słabo. - Ciociu!!! - tym razem mój głos spisał się jak należy.

Stryjna natychmiast pojawiła się w progu.

- Fryderyk nie żyje!!!

- A cóż tobie się znowu roi! Magduś... Idź ty, dziecko do jakiego lekarza, choćby dziś... - mówiła zatroskana. - To przecież tak nie może być dalej. Boże mój, jaka ty blada jesteś - dotknęła ręką mojego czoła.

- Nie, nie ciociu, żadnego lekarza, nie, nie! - powtarzałam nerwowo. - Muszę w końcu skombinować ładowarkę do tej choleralnej komórki! - przetrząsałam nerwowo torebkę. - Jest! - wywaliłam wreszcie całą zawartość na podłogę. - Jasne! Wyładowana, na amen! A czego się spodziewałam właściwie?

Ciotka z niepokojem obserwowała moje poczynania, miętosząc bezradnie w rękach moką ścierkę.

- Olek! On na pewno ma zawsze telefon przy sobie. Jasna dupa! Nigdy go nie ma, jak jest potrzebny! - wyklinałam coraz śmielej. W tym samym momencie usłyszałam stukanie w szybę i zobaczyłam za oknem jego roześmianą twarz. Ruszyłam biegiem w stronę drzwi, ciotka podążyła za mną.

- Wchodź! - krzyknęłam rozkazująco.

- Ale... Olek zrobił w moją stronę dwa kroki i przystanął - nie wiem czy powinienem... Panie dziś takie... sauté!

W tym momencie uświadomiłam sobie, że obie z ciotką ciągle mamy na sobie stroje nocne. Matylda spowita w barchany nadal ugniatała w dłoniach ścierkę, ja natomiast zaprezentowałam się Olkowi w bawełnianej piżamie w wielbłądy.

- Trudno, twój zmysł estetyczny będzie musiał to jakoś wytrzymać - złapałam go za rękę i niemal siłą wciągnęłam do środka. - Masz przy sobie telefon? - zapytałam, sadzając go w kuchni.

Olek posłusznie wyjął z kieszeni srebrną motorolę i położył przede mną.

- Dzwon! - zarządziłam. - Zadzwoń, proszę do mojego męża - dodałam łagodniej. - Podam ci numer do jego biura, chcę tylko sprawdzić, czy jest. Nie mogę zrobić tego sama - zaczęłam tłumaczyć się mętnie - bo muszę się tylko dowiedzieć... Potem ci wyjaśnię. Podszyj się najlepiej pod jakiegoś klienta, dobrze?

Wybrałam numer i kiedy w słuchawce rozległ się sygnał, podałam ją Olkowi.

- Dzień dobry, czy ja mógłbym rozmawiać z... panem prawnikiem? - zdaje się, że nie wiedział nawet, jak mój mąż się nazywa.

- Daj na głośno mówiący - szepnęłam.

- ... mi przykro, pan mecenas jest dzisiaj nieobecny - rozległo się z telefonu damskim głosem.

- Zapytaj, gdzie jest!

- A może mi pani powiedzieć, gdzie przebywa obecnie pan radca?

- Niestety, nie jestem upoważniona do udzielenia takiej informacji. Czy zechce pan może zostawić jakąś wiadomość? Przekażę panu mecenasowi, jak tylko wróci.

- Czy w takim razie mogę zapytać, kiedy mecenas wróci? - dorzucił z własnej inicjatywy.

- W poniedziałek, szóstego. Przyjmuje codziennie, od godziny dziewiątej.

- Spytaj, czy będzie na pewno - odpowiedziałam.

- Proszę mi jeszcze powiedzieć - kontynuował niechętnie Olek - czy pan mecenas będzie na pewno?

W słuchawce dało się słyszeć niecierpliwe westchnienie.

- Tak, proszę pana. Będzie, z całą pewnością.

- Dziękuję - powiedział Olek i prędko się rozłączył.

- Zadowolona? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziałam w zamyśleniu.

Ciotka przyglądała mi się spod zmarszczonych brwi, jedną ręką ściskając koszulę pod szyją, a drugą w okolicy kostek. Olek siedział spokojnie, licząc chyba na jakieś wyjaśnienia z mojej strony.

- Miałam sen - powiedziałam do nich obojga. Śniło mi się, że Fryderyk umarł. To znaczy, śnił mi się żywy, ale przyszedł chyba jako nieboszczyk. Sprawiał wrażenie nieboszczyka - poprawiłam się. Był taki jakiś... sfatygowany. Musiałam to sprawdzić!

- Ja myślę, że jakby on rzeczywiście umarł, to by cię o tym powiadomiono - powiedział Olek.

- Pod warunkiem, że ktokolwiek wie, gdzie mnie szukać.

- No przecież on wie, był tutaj we własnej osobie - dodała ciotka.

- On tak. Ale gdyby nie żył?

- Jak ta jego matka taka ciekawska jak mówisz, to już ona z niego wydobyła, gdzie jesteś - całkiem logicznie wykoncypowała stryjna. - Bo na pewno wiedziała, że wyjechałaś, nie ma dwóch zdań. No i ta sekretarka by nie mówiła, że będzie, jakby był nieżywy no nie? - spojrzała na Olka, jakby szukając potwierdzenia dla swoich słów.

- Pani Matylda ma rację, Magdaleno. - Hej - potrząsnął mnie delikatnie za ramię - obudź się wreszcie, wszystko jest w porządku! Może napijemy się razem kawy? - zaproponował.

- Może najspierw to my się ubierzmy - stwierdziła rzeczowo ciotka.

- Jasne - powiedziałam ze sztucznym entuzjazmem. - Ja tymczasem nastawię wodę.

Przy kawie postanowiłam podreperować atmosferę i już nie zawracać nikomu głowy swoim burzliwym życiem wewnętrznym. Przynajmniej do wieczora, zanim poproszę Olka o poszukanie jakiejś wróżki.

VIII.

Co się stało z Fryderykiem?

Bożenka już po raz drugi w ciągu kwadransa wyszła do hallu.

- Najmocniej państwa przepraszam w imieniu szefa, naprawdę, nie mam pojęcia, co się stało! - spojrzała na zegarek, dochodziło wpół do dziesiątej. - Z pewnością coś pilnego musiało go zatrzymać, mecenas jest z natury bardzo punktualny.

- Ależ proszę się nami nie przejmować, my poczekamy

- powiedziała z uśmiechem starsza pani, która przyszła dziś do kancelarii razem z mężem w sprawie testamentu.

- Spóźnienia się zdarzają, nawet najsolidniejszym - dodała, żeby uspokoić skonsternowaną sekretarkę.

- Co się u licha mogło stać? - medytowała wsparta na biurku Bożenka. - Czyżby szef aż tak za-balował na tych Mazurach? To do niego niepodobne...

Kolejny raz wybrała numer jego komórki. Głucho. Ani nawet informacji, że abonent znajduje się poza zasięgiem. Kiedy zegar pokazał dziesiątą, postanowiła zadzwonić do mecenasa do domu. Nigdy dotąd tego nie robiła, ale też nigdy nie było takiej potrzeby. Po czterech sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka. Spojrzała jeszcze przez okno i podjęła decyzję.

- Przykro mi bardzo, ale kancelaria będzie dzisiaj nieczynna - poinformowała czekających nadal, starszych państwa. Jak tylko pan Gomora się pokaże, skontaktuję się z wami i ustalimy nowy termin.

- No cóż, dobrze - powiedziała kobieta, wstając. - Przyjdziemy innym razem. - Chodź, Zbyszku - zwróciła się do męża.

Do południa w podobny sposób Bożenka odprawiła jeszcze jednego klienta. Teraz zaczęła się już całkiem poważnie niepokoić. Najgorsze było to, że nie miała pojęcia, co robić. Przejrzała terminarz, żeby się zorientować, jakie jeszcze ważne sprawy zostały dzisiaj niezakończony. Nie było tego wiele. Jutro, jak wróci szef, wszystko się wyjaśni i nadrobi - uspokajała się. Tymczasem przygotowała wszystkie potrzebne na rano dokumenty, łącznie z wypisami z ksiąg wieczystych i aktami własności dzisiejszych, niedoszłych interesantów. Najwyżej - kalkulowała - umówię mecenasa u tych państwa w domu, żeby zrekompensować im dzisiejszą fatygę.

O siedemnastej, nie mając już nic do roboty zamknęła biuro i wyszła do domu. Miała nadzieję, że szef odezwie się do niej później. Przed dwudziestą drugą spróbowała jeszcze raz dodzwonić się do niego na komórkę, ale również bez skutku. Nazajutrz, kiedy Gomora nie pojawił do godziny dziewiętej, Bożenka wywiesiła na drzwiach informację, że biuro radcy prawnego będzie nieczynne, aż do odwołania i zamknęła się od wewnątrz. - To niemożliwe - myślała. - Przecież miał wrócić w poniedziałek!

Sprawdziła jeszcze raz notatkę w swoim kalendarzu. - No tak, szóstego, czyli wczoraj!

Co robić? Co ja mam mówić tym wszystkim ludziom

- myślała z rozpaczą - przecież... w wielu przypadkach ważą się tu ich życiowe sprawy! Pani Ewa! - olśniło ją nagle,

- Miała wrócić w niedzielę, a skoro jej nie ma, to pewnie są gdzieś razem. Ona... jest taka wymagająca, może przekonała pana Fryderyka, żeby pojechał z nią do rodziców?

Bożenka powoli przestawała myśleć racjonalnie, dlatego nie przyszło jej teraz do głowy, że w każdym przypadku Fryderyk powiadomiłby ją o planowanej nieobecności i wydał odpowiednie dyspozycje. Wykręciła ponownie jego domowy numer telefonu i po czterech sygnałach odłożyła słuchawkę. Numeru komórki Ewy nie знаła, znalazła natomiast telefon do jego matki.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Gomorowa odezwała się w słuchawce.

- Przepraszam najmocniej, że niepokoję panią, ja... bardzo przepraszam, mówi sekretarka pana Fryderyka - pomyślała, że być może za chwilę przyprawi starszą panią o spory szok - ale czy pani wie może, gdzie on się podziewa? Od wczoraj nie ma go w pracy, o niczym mnie nie uprzedził i ja nie wiem...

- Jak to go nie ma? A gdzie jest? - przerwała jej Gomorowa.

- No właśnie, ja tego nie wiem - Bożenka uświadomiła sobie teraz, jak trudna bywa rozmowa z matką szefa. - Myślałam, że może pani...

- Ja? - przerwała jej znowu. - On dorosły jest, chodzi, gdzie chce!

- Owszem, tylko że pan Fryderyk zawsze mnie w takich przypadkach uprzedzał, a teraz nie! Mówił, że będzie na pewno w poniedziałek. Nie było go i dziś też go nie ma. To takie do niego nie podobne, szef zawsze był punktualny i rzetelny... Halo? Halo, słyszy mnie pani? - krzyczała do słuchawki, kiedy łączność nagle została przerwana. - Boże mój - pomyślała - mam nadzieję, że nie zabiłam jej tą informacją!

Była to jednak płonna obawa, zanim bowiem Bożenka zdążyła umyć szklanekę po kawie, pani Gomorowa stanęła w drzwiach we własnej osobie.

- Gdzie Fryderyk? - zapytała od progu.

- Nie wiem, proszę pani. Nie mam pojęcia. Od dwóch dni nie ma go w pracy, nie wiem dlaczego - usiłowała tłumaczyć, najjaśniej, jak potrafiła. We wtorek, przed Wszystkimi Świętymi wyszedł jak zwykle do domu, mówiąc, że będzie w pracy w poniedziałek, szóstego, to jest wczoraj. Ale go nie było. Dziś też go nie ma. Czy pani... widziała się może z synem ostatnio? - zapytała ostrożnie.

- Nie widziałam się! Widziałam się w środę, we Wszystkich Świętych, na cmentarzu. Potem kolację u mnie zjadł. Pewnie za Ewą pojechał, do Rzeszowa.

- Ja też tak myślałam, proszę pani, ale gdyby zamierzał przedłużyć sobie weekend, na pewno by mnie o tym powiadomił. Zresztą mecenas raczej nie pojechał z panią Ewą. Tak mi się zdaje.

- Już on się tłumaczyć nikomu nie musi - Gomorowa spojrzała na Bożenkę z góry - jakby nie było, to on tu rządzi!

- Zgadza się, ale tu nie chodzi o mnie, tylko o interesantów, z którymi był na wczoraj i na dziś umówiony. Pan radca nigdy nie zawodził swoich klientów.

- A, tam - machnęła ręką Gomorowa - nie będą te, to będą inne! Taki mądry adwokat to zawsze klientów znajdzie. Tym się nie ma co przejmować.

Bożenka nie zamierzała polemizować z matką szefa w tej kwestii. Liczyła na to, że wspólnie uda im się jakoś wyjaśnić jego nieobecność.

- Proszę, niech pani usiądzie. Może ja zrobię pani kawy?

Gomorowa z kwaśną miną rozsiadła się w fotelu, jakby chciała dać do zrozumienia Bożence, że jej propozycja była sporym nietaktem. Od zawsze bowiem uważała, że to ona jest tu panią.

- Ze śmietanką? - zapytała sekretarka, wnosząc na tacy filiżankę z kawą.

- Powinna chyba wiedzieć, jaką ja piję - skrytykowała ją bezosobowo Gomorowa.

- A tak, przepraszam - szybko doniosła dzbanuszek śmietanki. - Pozwoliłam sobie zadzwonić do pani - zaczęła od początku, zastanawiając się jednocześnie, czy może usiąść w fotelu obok - bo myślałam, że może pani wie, co się dzieje.

- Co niby ma się dziać? A skąd wie, że za Ewą nie pojechał? - Gomorowa spojrzała na Bożenkę podejrzliwie.

- Bo - sekretarka usiadła ostrożnie na brzegu fotela - szef w tym czasie zamierzał pojechać gdzie indziej.

- Jak... gdzie indziej? Znaczy się gdzie?

- Na Mazury, dostał zaproszenie na ślub jakiegoś wdzięcznego klienta. Specjalnie na tę okazję wziął dodatkowy dzień wolnego.

Gomorowa zaczęła wiercić się niespokojnie i skubać leżącą na stoliku serwetkę.

- A to, gdzie na te Mazury miał jechać, nie mówił?

- No, dokładnie to nie mówił, ale proszę poczekać, może znajdę to zaproszenie - Bożenka zaczęła przerzucać pospiesznie papiery leżące na biurku. - Jest, jest kawałek koperty. Spróbuję coś tu przeczytać. - Pło...sz...ków - przeliterowała w końcu. - A, to ja wiem, gdzie to jest, jeżdżę w te okolice na wczasy! - ucieszyła się. - To może tam nam się pan Fryderyk zapodział? Jemu też się bardzo podobała ta okolica!

- Lepiej, żeby nie - mruknęła ponuro Gomorowa.

- Słucham? Przepraszam, nie dosłyszałam...

- A, nic! Mówię, że ja też wiem, gdzie to jest! - kobieta nagle wstała, zostawiając niedopitą kawę. - Dobrze, że mnie o tym powiedziała - poklepała Bożenkę po ramieniu i skierowała się do wyjścia.

- Ale... to znaczy, że pani wie gdzie jest pan Fryderyk? To co ja właściwie mam robić?

- A niech robi, co chce - powiedziała apatycznie Gomorowa. - Ja mam teraz ważniejsze rzeczy na głowie.

Idąc wolno ulicą, matka Fryderyka zaczynała uświadamiać sobie całą beznadziejność tej sytuacji. Była przekonana, że w zniknięciu jej syna w jakiś sposób maczała pazury jego była żona, a może nawet i ta czarownica Matylda! Coś jej mówiło, że tam właśnie pojechał.

- Toż mnie w kartach wyszło - myślała - że jeszcze nasza rodzina naprzeciw Janiszowej stanie. Po jakiego czorta się Fredek tą małpą tak zainteresował? Nic, ino urok jakiś musiały na niego rzucić, opętać. - I ty się mnie pytasz, co masz robić? - sarkała pod adresem nieszczęsnej Bożenki. - A kogo ja się mam zapytać, ha? Aj, durna ja, durna! Trzeba było go ostrzec jakoś, powstrzymać! Zbrzydzić!

Pierwszym pomysłem, jaki przyszedł jej do głowy, było pójść do kościoła na mszę, a potem po radę do księdza. W ostatniej chwili zmieniła jednak zamiar i skręciła w Ceglana. Doszła do wniosku,

że ani ksiądz, ani nawet sama Opatrzność nie jest tak dobrze zorientowana w sprawie, jak Malwina Kałdowa. Już z daleka dojrzała ją, gdy wyglądała przez okno oknem.

- Jadzia! Jadzia, a zajdź do mnie na kawę! - zawołała Kałdowa z góry.

- Właśnie do ciebie idę - odkrzyknęła Gomorowa. - Nie ino na kawę, ale i na wiśniówkę - zastrzegła.

- No, wejdźże, wejdźże - nagliła Kałdowa, podsuwając jej pod nogi filcowe kapcie. - Tyle czasu cię nie widziałam, już myślałam, że chora jesteś.

- Są na świecie rzeczy gorsze od choroby - wystękała pani Jadzia, zmieniając obuwie. - Takie, co na nie recepty nie ma! - dodała, prostując się z trudem.

- No co tam? Kłopoty jakieś? A synowa ci się nie odnalazła czasem?

- Ano, nie odnalazła się, a na dodatek jeszcze syn mi przepadł!

- Jak... jak to: przepadł? Ale chodźże do kuchni, woda już się zagotowała. - No i teraz mów prędko, co to się porobiło, bo ja nic z tego nie rozumiem - Kałdowa postawiła na stole flaszkę z wiśniówką i dwa kieliszki.

- Tak właściwie to nie wiadomo, ale ja jakąś pewność, o tu! - Gomorowa walnęła się pięścią w obfity biust. - Tu mam, że on za Magdaleną pojechał.

- No a Magdalena gdzie się podziała?

- A u tej gnidy siedzi, niechby jej kołtun w ten rudy łeb wstąpił!

- U siostry nieboszczyka Janisza, znaczy się?

Gomorowa jednym haustem wychyliła swoją wiśniówkę i w nerwach jeszcze raz napełniła kieliszek.

- Kawę miałaś zrobić - powiedziała zdławionym głosem - przepić nie ma czym!

- Całkiem mi jakoś uszło - zerwała się z miejsca Kałdowa - ale ty mów, ja słucham.

- No bo... - jak tylko kobieta się odwróciła, pani Jadzia pospiesznie wychyliła drugi kieliszek i otarła rękawem usta - ... no bo jak Magda zniknęła, to mnie później do głowy przyszło, że do niej pojechać musiała. Fredek to nawet nie wiedział, że ona taką ciotkę ma. - Tfu! Jaka ja głupia byłam wtedy, że polecałam z tym do niego, on sam może i do dziś by się o jej wyjeździe nie dowiedział. Tfu!

- Nie pluj no mi po stole! Pluj na podłogę, jak już musisz - skrzywiła się Kałdowa, podając kawę.

- Tfu! - splunęła posłusznie na podłogę pani Jadzia. - Darować sobie tego nie mogę.

- No a skąd wiesz, że Fryderyk za nią pojechał? I po co właściwie, przecież on z tą... Ewą teraz siedzi.

- Przeze mnie tam pojechał, ot, co! - walnęła się znowu w piersi Gomorowa.

- Nie grzmoć się tak po tych cyckach, bo jeszcze raka dostaniesz - zatroskała się pani Malwina o przyjaciółkę.

- Z tobą to żadna rozmowa! - zdenerwowała się pani Jadzia. - Tu mi nie pluj, tam mi nie grzmóć! Do słowa człowieka nie dopuścisz, ino jak ten zandarm pilnujesz!

- Nie złość się Jadzia, no masz, napijmy się jeszcze - poląła Kałdowa na zgodę - ja nie umyśli- nie, tak tylko mi się wyrwało. No, mówże dalej!

- A bo ja do Fryderyka zaraz poszłam, jak ona się stąd wyprowadziła. Jeszcze ty mi nagadałaś, ile to z mieszkania powynosiła, no to i wystraszyłam się, że majątek Fredziowi zagrabia. On tu widać też potem przyleciał i przeszukanie zrobił, bo zdjęć mi jakichś naznosił.

- A owszem, był, sama widziałam. Papiery tylko jakieś pozbierał i tak się spieszył, że ani słowem nie zagadał - potwierdziła Kałdowa.

- No właśnie. A na tych zdjęciach to rodzina Magdaleny była, matka z ojcem i ta ryża lamperia.

- Lampuceria.

- A jakże, ona!

- Fredek mnie flaki w brzuchu potem parę dni wywraçał, że kto to jest, i kto to jest!

- Powiedziałaś mu?

- Skądże! - zaperzyła się Gomorowa. - Znaczy się... nic mu nie mówiłam, aż on sam coś kapować zaczął. Że do Rapałków pojedzie, straszyl. No to miałam inne wyjście? No sama powiedz - wychyliła nerwowo kieliszek i wzdrygnęła się. - A na zakąskę czegoś nie masz? Ostre, cholerstwo!

Kałdowa ruszyła w stronę lodówki i po chwili postawiła przed koleżanką rolmopsiki śledziowe z wiśniami.

- Co ty mnie tak tymi wiśniami raczysz dzisiaj? - spytała Gomorowa z niesmakiem. - Darmo dawali czy jak?

- Pod wódeczkę śledzik najlepszy. Innych nie mam. Jak nie lubisz, to sobie wydłub - obruszyła się pani Malwina. - No i mówże wreszcie, potem powiesz, że ja ci w słowo wchodzę.

- No i on się tak rozciekawil tym wszystkim, że pewnie tam pojechał, posprawdzać, jak to się wszystko miało - dokończyła Gomorowa, grzebiąc widelcem w rolmopsie. - W końcu tam o jego wuja rozchodziło się. Ja myślę, że nawet nie do Magdaleny go tam ciągnęło, ino z tej ciekawości. Prawnicy to lubią tak dociekać wszystkiego. Jego ojciec nieboszczyk też tak miał.

- To ja nie rozumiem w takim razie, o co ty taka nerwowa jesteś? Pojechał, to i wróci, no nie? Skoro już wie o wuju i Matyldzie, to dopyta tu i tam, zaspokoi się i przyjedzie.

- Przyjedzie albo i nie przyjedzie - warknęła Gomorowa. - A jak sobie umyśli tam zostać? Ty nie wiesz, jaka ta pudliska wpływowa na ludzi jest. Mógł chociaż powiedzieć, co i jak, adwokaturę samopas zostawił! Sekretarka do mnie wydzwania, o radę się bez przerwy prosi, bo klienci oknami się pchają. Komórkę wyłączył, nie ma mu nawet jak do rozumu przemówić!

- A do tych Rapałek nie możesz zadzwonić?

- Ciekawe czym! Dzwonkiem chyba! U nich tam jak za króla Ćwiczka, ja nie wiem, czy elektryka jest chociaż.

- No to rzeczywiście masz kłopot - zadumała się Kałdowa. - A ta jego Ewa, to gdzie?

- Do swoich pojechała, nie ma jej. Pani Malwina zamyśliła się głęboko.

- Wiesz co? - powiedziała po dłuższej chwili. - Chodźmy tam, do tej Ewy. Może już wróciła? A może jej Fryderyk jakąś wiadomość zostawił? Albo wcale nigdzie nie wyjechał, tylko nie daj Boże chory leży...

Gomorowa uznała, że pomysł jest niezły. W końcu wszystko jest lepsze, od bezczynności.

- Ziąb taki na polu - pani Jadzia spojrzała wymownie na butelkę z resztką wiśniówki. - Nalej no jeszcze po jednym i możemy iść!

Na klatce schodowej bloku, w którym mieszkała Ewa panował półmrok.

- Zaświeć! - zażądała Gomorowa.

- Sama zaświeć! - obruszyła się Kałdowa. - Ja nie wiem, gdzie tu się świeci, nigdy tu nie byłam.

- Słucham panie? - w drzwiach drzwi mieszkania po prawej stronie stanął nagle młody, sympatyczny mężczyzna.

- My nie do pana - powiedziała mało uprzejmie pani Jadzia.

- Nie do mnie? - zdziwił się. - To dlaczego panie do mnie dzwoniły?

- Nikt do pana nie dzwonił, omamy pan masz jakieś!

- Przepraszamy najmocniej, koleżanka chciała zaświecić... Chyba niechcący nacisnęła dzwonek - Kałdowa przytomnie zorientowała się w sytuacji.

- Nic nie szkodzi - młody człowiek nacisnął włącznik - światło jest tutaj.

Kiedy kobiety dotarły na trzecie piętro, okazało się - jak zresztą przypuszczały - że w mieszkaniu nikogo nie ma.

- No to tyle wiemy, cośmy wiedziały i bez wyłączenia na ten Babel! - oznajmiła Gomorowa z pretensją w głosie.

- A gdzie skrzynka na listy? - zignorowała wyrzuty koleżanki Kałdowa. - Może tam coś jest?

- No i co z tego, że jest, kiedy nie wyjmiesz, bo zamknięte!

- Zobaczmy. To gdzie ta skrzynka?

- Na pierwszym piętrze są.

W boksie z numerem jedenaście rzeczywiście dało się dostrzec jakąś kopertę. Gomorowa włożyła palec przez niewielki otworek i bezskutecznie próbowała przysunąć ją bliżej drzwiczek.

- Czekaj no - Kałdowa włożyła rękę do torebki i pogmerała w niej chwilę - mam tu obcęgi. Odegniemy blachę i wyjmiemy to.

- Tak na oczach? - zaniepokoiła się pani Jadzia. - Jeszcze kto zobaczy i pomyśli, że się włamujemy...

- To idź na dół i zgaś światło. Ja to jakoś po omacku oderwę.

Gomorowa posłusznie zaczęła schodzić ze schodów, po chwili jednak wróciła.

- A ty po co nosisz w torebce te kleszcze? - zapytała.

- Później się będziesz głupio pytała. Zgaś w końcu to światło, zanim ludzie się zlecą!

Po chwili Kałdowa usłyszała jakąś rozmowę. Na wszelki wypadek schowała obcęgi i zaczęła nasłuchiwać.

- Pani do mnie? A, to pani...

- Nie do pana. Niechcący mi się nacisnęło.

- Wyłącznik jest tutaj, z drugiej strony drzwi - wyjaśnił młody człowiek - ale... przecież się świeci.

- Ja teraz zgasić przyszedłam.

Czy tobie na mózg Jadźka padło? - denerwowała się w duchu Kałdowa. - Jeszcze mu powiedz, że zamierzamy obrabować skrzynkę!

Po chwili jednak na klatce zapadła ciemność. Malwina Kałdowa jednym mocnym szarpnięciem wyrwała metalową klapkę, złapała list i po omacku rzuciła się do ucieczki. Chrząst i łoskot towarzyszący tej czynności mógł bowiem wywabić z mieszkań wszystkich lokatorów.

- To ja! - szepnęła, przyciskając do ściany zmierzającą w przeciwnym kierunku Gomorową. - Mam list, uciekajmy, póki nikogo nie ma!

Zaniepokojony hałasem lokator mieszkania na parterze wyjrzał na korytarz i zaświecił światło. Nie dostrzegł nikogo. Podszedł do drzwi wyjściowych.

Ani śladu blokowych chuliganów. Jedyłą, niecodzienną rzeczą, jaka ukazała się jego oczom były, dwie pędzące na oślep korpulentne starsze kobiety.

- Nie leć tak, Malwina, nikt nas nie goni - wycharczała Gomorowa.

- Rzeczywiście - sapała Kałdowa, oglądając się za siebie. - Możemy zwolnić.

- Pokaż teraz ten list, może to coś ważnego! Kobiety usiadły na przystanku tramwajowym i pani Malwina wyjęła zza pazuchy sfatygowaną kopertę. - Masz!

- To do Fryderyka - oznajmiła Gomorowa, oglądając przesyłkę - od Ewy.

- Przeczytaj! - domagała się Kałdowa. Skoro dokonała już tej desperackiej kradzieży, uważała się teraz za jej współwłaścicielkę.

Kochany Fredziu! - czytała pani Jadzia na tyle głośno, że stojący na przystanku ludzie zaczęli przysłuchiwać się z zainteresowaniem. - *Będąc u rodziców, a w szczególności na cmentarzu, wiele rozmyślałam o życiu i o nas. Doszłam do wniosku, że nie mogę być z tobą za wszelką cenę i po tak zwanych trupach. Fryderyku! Jeśli kogoś kocha się tak bardzo, jak ja kocham ciebie, to trzeba czasem dokonać tego strasznego wyboru i odejść w cierpieniu dla dobra drogiej sercu osoby. Tak też ja właśnie powyższym czynię, tylko po to, byś mógł żyć spokojnie bez tego ciężaru, jakim byłam dla ciebie.*

Nie zaprzeczaj! Teraz z oddali uświadomiłam to sobie, jak wiele wyrzeczeń i samozaparć kosztował cię ten nasz związek! Kiedy zrozumiałam, że wydałeś na moje futerko ostatnie oszczędności, serce zaczęło krwawić mi z żalu. Byłabym potworem, gdybym w obecnej sytuacji nadal obciążała twój skromny budżet. Jako kobieta wrażliwa i czuła postanawiam więc poświęcić się i odejść. Żegnaj Fryderyku i pamiętaj, że zawsze będę cię kochała!

Twoja Ewa.

PS Zwrotem klucza od mojego mieszkania nie przejmuj się. Po powrocie zmienię zamki.

- No to mnie już coś świta - powiedziała w zamyśleniu pani Malwina. - Twój syn nabawił się po prostu kłopotów finansowych, a jeszcze do tego opuściła go narzeczona! A swoją drogą, dobre z niej dziecko. Tak się poświęcić!

- Co ty mi tu inscenizujesz! - obruszyła się Gomorowa. - Fredziu mógł się nabawić wszystkich kłopotów, ino nie finansowych. On w szacunku do pieniądza wychowany był i już taki skory do wydawania grosza to nie jest! Jeszcze on by kupił ciebie, razem z twoją kamienicą!

- Ale ty popatrz tylko, jak to wszystko by pasowało! Najpierw kłopoty, a potem to zniknięcie. Może on przed fiskusem uciekał? No i ta Ewa dołała mu do kielicha goryczy na koniec.

- Na jaki koniec? Zgłupiałas? Taka niby cwana, do skrzynki się włamywać i listy okradać to ty może umiesz.. Ale myśleć na logiczny rozum, to ani za grosz - krytykowała Gomorowa koleżankę podniesionym głosem.

Dyskretnie przysłuchujący im się do tej pory ludzie teraz już całkiem otwarcie zaczęli interesować się rozwijającą się scenką.

- No, bo popatrz - kontynuowała - skąd Fredzik miał wiedzieć, że go narzeczona zostawiła, skoro list nieruszany w skrzynce leżał? Jak ja ci mówię, gdzie on pojechał i po co, to ty mi tu będziesz kryminał jakiś wymyślać!

- Przepraszam panie najmocniej, że się wtrączę, ale czy brały panie może pod uwagę porwanie przez kosmitów? - usiłował przyłączyć się do rozmowy lekko nietrzeźwy mężczyzna. - Takie rzeczy się zdarzają - ciągnął z powagą - łapią człowieka, a potem budzi się u siebie na łóżku i taką, o! - nachylił w stronę Kałdowej łysawe ciemię. - Blaszkę potem wstawioną ma!

- Panie! - odezwała się młoda, bardzo szczupła kobieta. - Co pan tu plecie za bzdury! Mojego byłego też złapali i mu wstawili, ale nie kosmici, nie blaszkę i nie na łbie! Ale mu koledzy od kieliszka wypruli...

Pani Jadzia pociągnęła koleżankę za rękaw i wymknęły się niezauważone z samego centrum rozgorzałej nagle dyskusji. Bez słowa przeszły na przystanek po drugiej stronie ulicy.

- No i co ja mam teraz robić? Myślałam, że pomożesz jakoś, poradzisz... - pani Jadzia wyglądała na coraz bardziej zrezygnowaną.

- Tak biorąc pod uwagę całkiem wszystko, to nie masz chyba innego wyjścia, tylko albo czekać, aż syn wróci, albo... - Kałdowa spojrzała na Gomorową z obawą - pojechać po niego!

Wbrew oczekiwaniom pani Malwiny, koleżanka tym razem nie zezłościła się na nią. Opuściła głowę i ważyła coś przez chwilę w skupieniu.

- Pojechać mówisz... Pojechać? A wiesz ty, że ja ten sztres mogę życiem przypłacić? Ale... - spojrzała koleżance hardo w oczy - matka, to matka! Matczyne serce przed niczym się nie cofnie!

* * *

Całą podróż pociągiem Jadwiga Gomorowa twardo przespała. Resztę poprzedniego wieczoru obie panie spędziły w mieszkaniu Jadwigi przy układaniu pasjansów i nalewce Black Curant. Sprawdziwszy uprzednio na dworcu godzinę odjazdu pociągu do Rapalek uznały, że do godziny pierwszej w nocy Jadzi nie oplaca się kłaść do łóżka. Spakowała zatem do podręcznej torby najpotrzebniejszy bagaż i w towarzystwie przyjaciółki oczekiwała na odpowiednią godzinę, by udać się na dworzec. Malwina Kałdowa odprowadziła ją, a jakże! W dzisiejszych czasach niebezpiecznie jest płatać się nocą po mieście samemu. Podbudowane szlachetnym zamiarem ratowania Fryderyka, a bardziej jeszcze spożytymi trunkami, parę minut po północy wyruszyły z domu na piechotę.

Kiedy Jadwiga usadowiła się w końcu wygodnie w przedziale - przemaszerowawszy uprzednio cały pociąg w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca - uznała, że był to bardzo długi i wyczerpujący dzień. Zasnęła niemal natychmiast. Na końcowej stacji któryś ze współpasażerów potrząsnął ją za ramię i uprzejmie poinformował, że pociąg dalej już nie jedzie. Stojąc teraz na peronie, pani Gomorowa miała początkowo niejake trudności ze zrozumieniem, gdzie się właściwie znajduje i dlaczego. Powoli zaczął jednak docierać do niej cel tej podróży, przygotowując ją o nieprzyjemny skurcz w żołądku.

Kręcąc się w kółko przed drzwiami dworca, podobnie, jak kiedyś Magdalena - nie potrafiła rozpoznać, w którym kierunku powinna pójść. Było jeszcze na tyle wcześnie, że nie miała nawet kogo zapytać o drogę. Ruszyła zatem niepewnie przed siebie, licząc na to, że spotka po drodze jakąkolwiek żywą istotę rodzaju ludzkiego. Szła i rozglądała się ciekawie, nie takie bowiem wspomnienia wsi przez te wszystkie lata hołubiła w swej pamięci. - Całkiem tu teraz... do rzeczy - musiała przyznać, raczej wbrew sobie. Najchętniej widziałaby Rapalki nędzne i podupadłe, a jeszcze chętniej - zupełnie zrównane z ziemią. Dla Gomorowej to miejsce nie wiązało się z niczym dobrym. We wspomnieniach kojarzyło jej się wyłącznie z biedą, pracą ponad siły i... piękną, majątną Matyldą, która nigdy nie musiała odmawiać sobie niczego. Nie dosyć, że miała wszystko, to jeszcze wyciągnęła łapę po jedyną, drogą sercu Jadzi osobę: najstarszego brata. On tylko umiał ją wysłuchać, pocieszyć, nie natrząsał się nigdy z jej marzeń, wspierał i dodawał otuchy. Pozostałe rodzeństwo, a nawet i sami rodzice, mieli jej ciągle coś za złe. Tłuściutka, pretensjonalna Jadwiga bywała zazwyczaj w rodzinie przedmiotem lekceważenia i kpin. Kiedy wszyscy myśleli jedynie o tym, czy kolejnego dnia będzie co włożyć do garnka, ona ukradkiem robiła sobie biżuterię, wycinając z nakrętek od słoików rozmaite elementy, z których póź-

niej sporządzała naszyjniki, kolczyki i bransolety. Nocami zaś - czym się dało - ozdabiała swoje tańskie sukienki.

Pierwszym „prawdziwym” klejnotem, jaki wszedł w jej posiadanie był ów tombakowy pierścionek, który odebrała Matyldzie po wyjeździe brata do wojska. Kiedy rodzina Jadwigi wyprowadziła się z Sadliszek aż pod Kraków, postanowiła sobie wtedy solennie zrobić karierę poprzez odpowiednie małżeństwo. Takie, dzięki któremu zyska prestiż w społeczeństwie, będzie nosić prawdziwą biżuterię i prawdziwe futra. W ten sposób trafiła do kancelarii Romana Gomory jako rzekoma klientka, naprawdę jednak został on przez nią starannie wyszukany jako kandydat na małżonka. Kiedy została wreszcie panią adwokatową, odcięła się całkowicie od rodziny, nigdy nie zapominając upokorzeń, jakich od nich niegdyś zaznawała... Jadzia nie należała do osób łatwo wybaczących rzeczywiste i domniemane krzywdy, toteż teraz w żaden sposób nie umiała sobie wyobrazić spotkania z Matyldą.

- Gdzie to ja jestem? - niepokoila się od czasu do czasu, wciąż niepewnie podążając przed siebie. Kiedy doszła do „Żabki” Jędrzejków, rozpoznała w niej niegdysiejszy budynek wiejskiej świetlicy.
- A, to już ja wiem - ucieszyła się. - Teraz już trafię!

Mając dobrą orientację w terenie, Gomorowa skierowała się na azymut. Idąc od przeciwnej strony, niż kiedyś Magdalena, miała zdecydowanie lepszą widoczność na dolinę, w której leżało gospodarstwo Matyldy. Po kilkunastu minutach różnego marszu spostrzegła wreszcie jej dom i wielką ulgą skonstatowała, że przez te wszystkie lata pozostał dokładnie taki sam. Oznaczało to bowiem, że w przeciwieństwie do wszystkich innych domostw Matylda nie wzbogaciła się zbyt drastycznie.

Dochodziła siódma dwadzieścia. Gomorowa przez moment zastanowiła się, czy nie powinna zaczekać na trochę przyzwoitszą godzinę dla swojej wizyty, ale ponieważ nie przyjechała tu w gościnę, natychmiast odpuściła sobie te kurtuazje. Zastukała mocno w drzwi.

- Proszę - usłyszała w odpowiedzi.

Weszła ostrożnie do środka i... po trzydziestu czterech latach stanęła ponownie oko w oko z Matyldą.

- Gdzie jest mój syn? - zaczęła bez żadnego wstępu.

Jednocześnie ze sporą satysfakcją lustrowała stojącą naprzeciw kobiecie: ubraną w prostą, kretonową sukienkę, niemodnie uczesaną - w niczym nieprzypominającą tamtej piękności sprzed lat. Jej niegdyś bujne, płomienne loki były teraz uplecione ciasno w jakiś nieokreślonego koloru, upięty wokół głowy warkocz. Pani Jadzia uświadamiała sobie z każdą sekundą, jak bardzo odmieniła się sytuacja ich obu. Bo oto ona, adwokatowa Gomorowa stoi teraz naprzeciw samotnej, starej panny, oto futro z najprawdziwszych karakułów naprzeciw skromnej płóciennej sukieneczynie, gruby złoty wisior przeciw rzemieennemu szkaplerzykowi, skórkowe botki firmy Bata przeciw włóczkowym kapciom.

Wobec tych wszystkich niezaprzeczalnych faktów Jadwiga uniosła wysoko głowę i ponowiła pytanie.

- Gdzie jest mój syn, ja się pytam?

Zaskoczona i zdezorientowana Matylda nie miała pojęcia, o co chodzi i czego chce od niej ta obca kobieta.

- Przepraszam bardzo, ale ja nie rozumiem, czego pani sobie ode mnie życzy - powiedziała wreszcie.

- Czego sobie życzy tak? Pani, tak? Otóż nazywam się adwokatowa Gomorowa, de domo Jadwiga Wołek.

Matylda zaczęła przyglądać się teraz spod zmrużonych powiek nieoczekiwanemu gościowi.

- Ja... Jadzia... nie poznałam... Siądź, proszę - podsunęła jej kuchenny taboret. - Skąd ty... tu?

- Ja siadała u ciebie nie będę. Nie przyjechałam, jak się pewnie domyślasz z koleżeńską wizytą. Pytam się ciebie po raz trzeci: gdzie jest mój syn?

- Ale jaki twój syn, Jadzia? I dlaczego ty go u mnie szukasz?

- Jaki mój syn? A Magda to gdzie? Skoro ty głupią udajesz, to ona się go chyba zaprzeć nie będzie mogła!

- Magdalena? - Matylda ugięła się w końcu pod ciężarem tych, coraz bardziej niepojętych dla siebie żądań i usiadła na podanym Jadwidze taborecie. - Magdalena wyjechała z samego rana, do Świętorogów. Wróci wieczorem dopiero. Ale czego ty chcesz od Magdaleny?

- Czego i dlaczego! - zdenerwowała się Gomorowa. - Może przestań się w końcu wypytywać i zacznij odpowiadać, nie po to tyle kilometrów jechałam, żebyś ty mnie tu przesłuchanie urządziła!

- Próbuję, Jadzia, ale najpierw musiałabym wiedzieć, o co się tobie rozchodzi!

- O Fryderyka Gomorę, mojego syna, a męża twojej Magdusi! Tydzień będzie, jak z domu wyjechał i ani słychu, ani dychu! Tu - zrobiła nieokreślony ruch ręką - wybierał się. Miał wrócić w niedzielę, no i nie ma jego.

- Mąż Magdaleny? Mąż Magdaleny to twój syn??? - nie mogło pomieścić się Matyldzie w głowie. - Boże jedyny! Magdalena wyszła za męża za twojego syna? I ja nic o tym nie wiedziałam, tyle lat?

- Że tyle lat, to i możliwe. Magdalena przecież nie przyznawała się do ciebie przed nami - stwierdziła Gomorowa nie bez przyjemności - ale myślałam, że teraz może już wiesz.

- Owszem, rozmawiałymy o jej małżeństwie i o tym jej mężu, ale dla mnie to był zawsze jakiś tam Fryderyk Gomora. Na oczy nawet go nie widziałam. Wszystkiego bym się spodziewała, ino nie tego, że to może być twój syn... Usiądźże, Jadzia, pogadamy.

- Nie przyjechałam ja siedzieć do ciebie!!!

- Ano, to jak sobie chcesz. Skoro syna tu przyjechałaś szukać, to ja tobie powiem, że tu go nie ma. Był raz, pod koniec października Magdalenę do powrotu namawiać, ale ona go odprawiła i jeszcze tego samego dnia wyjechał. - Matyldę zaczął drażnić już władczy ton Gomorowej i postanowiła nie dać się jej zdominować we własnym domu. - Później już go nie było.

Na czoło Jadwigi wystąpiły grube krople potu. Do tej chwili była absolutnie pewna, że znajdzie Fryderyka tutaj. Rozpięła futro i zdjęła apaszkę. Chętnie by usiadła, ale teraz już honor jej nie pozwolił poprosić o krzesło.

- Gorąco tu u ciebie...

Matylda podparła głowę na dłoni i zamyśliła się. Nie widziała teraz stojącej na środku kuchni adwokatowej Gomorowej, przed oczami przebiegała jej Jadźka Wołkowa, w różnych konfiguracjach: zdzierająca jej z palca pierścione od Stasia, wyzywająca Matyldę od najgorszych, zaraz po mszy, pod kościołem. Widziała Jadźkę przemykającą się chyłkiem koło domu, by nasmarować na drzwiach napis „Matylda to k...” lub inne, o podobnej treści. Wyobraziła sobie ją donoszącą ojcu Matyldy o jej roman-sie z najemnym parobkiem. Bo to Jadzia poinformowała Janisza o spotkaniach córki z jej bratem...

- Na próżno się fatygowałaś taki kawał, Jadwiga - powiedziała chłodno. - Ja ci tu nic nie pomo-gę, bo nic nie wiem. Musisz szukać gdzie indziej - Matylda ostentacyjnie stanęła tyłem do gościa i za-jęła się przygotowaniami do obiadu.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi i po chwili zobaczyła oknem idącą wolno wzdłuż płotu adwoka-tową. Kobieta przystawała co jakiś czas i po chwili ruszała dalej. Jej beżowe botki na cienkim obcasie zapadały się w błotnistej mazi. Mżący, drobny deszcz zaczął zamieniać się powoli w pierwszy w tym roku śnieg.

Matylda zabrała się energicznie do zarabiania ciasta na racuchy.

- Nie wiem, gdzie jest twój syn. Ani ja nie wiem, ani Magdalena - mówiła do siebie, spogląda-jąc w okno. - Kiedyś ja cię pytałam, gdzie Staśko do tego wojska wyjechał... A ty wiedziałaś!

Matylda miotała się po kuchni bezładnie. Przynosiła jajka z komórki i odnosiła z powrotem, przesiewała mąkę po raz trzeci, myliła sól z cukrem. Kiedy Jadwiga wyjaśniła, że jej syn jest mężem Magdaleny, natychmiast przypomniał jej się dziwaczny sen bratanicy i jej nagły niepokój o Fryderyka. - To nie jest moja sprawa - mówiła sobie teraz. - Ani Magdaleny. On nie jest już jej mężem, porzucił ją. Sama go do tego namawiałaś, to go sobie szukaj! A co mnie to wszystko obchodzi! - krzyknęła Ma-tylda w głos, wycierając fartuchem, spływające po policzkach łzy. Rzuciła wreszcie fartuch na stół i tak, jak stała, wybiegła z domu.

- Jadźka! - zawołała za oddalającą się kobietą. - Jadźka, wracaj tu zaraz!

Gomorowa odwróciła się i zaczęła wolno schodzić ścieżką w dół.

- Chodź - pociągnęła ją za mokry rękaw, kiedy ta wreszcie dotarła z powrotem. - Siadaj! - roz-kazała.

Matylda zdjęła z zupełnie bezwolnej kobiety ociekające wilgocią futro i zawiesiła je przy piecu. Postawiła przed nią szklanekę herbaty i drożdżowe ciasto.

- Posil się i obeschnij trochę. Pójdziemy w południe do sołtysa, niech podzwoni, gdzie się da, czy kto go nie widział w okolicy.

Gomorowa drżącą dłonią podnosiła szklanke do ust i łąpczywie łykała gorący płyn.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! Będzie dobrze! - Matylda z wahaniem ucisnęła jej zmarzniętą rękę.

IX.

Wizja wróżki Sabiny

A tak w ogóle, to jak daleko jest do tych Światłorogów? - zapytałam Olka, obserwując przez okno samochodu monotony krajobraz.

- Świątorogów - poprawił mnie - jakieś trzydzieści kilometrów.

- Taka wiejska wróżka to skuteczna chociaż będzie? - powątpiewałam. - Bo mnie się współczesne wróżki kojarzą z taką, jak ta... David Harklay. Wiesz, co się w Internecie i różnych babskich piśmiech reklamują.

- David to chyba ten, a nie ta?

- A właśnie, że ta. To jej pseudonim. A ta twoja, jak się nazywa?

- Sabina Pytia.

- Żartujesz?

- Nie, i to nie jest pseudonim. Nieźle rokuje, co?

- Boję się - powiedziałam z przejęciem. - Wiesz? Teraz zaczynam się bać.

Olek spojrział na mnie z ukosa i westchnął.

- Wiem... Rozumiem to, w każdym razie. Ale tak czy inaczej, albo będziesz się do końca życia borykała z tymi swoimi sennymi zagadkami, albo ta wróżka podsunie ci jakiś klucz i podejmiesz próbę ich rozwiązania. W drugim przypadku istnieje jakaś szansa na ułożenie tych puzzli, w pierwszym niestety, niewielka. Poza tym pani Sabina to nie tylko wróżka, jest też jasnowidząca. Możesz mi wierzyć, że starannie ją wyszukałem!

- Wierzę ci - powiedziałam z przekonaniem - co nie zmienia faktu, że flaki mi się zaczynają przewracać ze strachu.

- Może zatrzymamy się gdzieś na chwilę? Na kawę? Chcesz?

- Nie, chcę być tam jak najszybciej.

Odwróciłam się w stronę bocznego okna i starałam ułożyć sobie jakoś w głowie tę rozmowę. Od czego zacząć? Jak opowiedzieć wróżce to wszystko w miarę wyczerpująco i jednocześnie klarownie? Lepiej zacząć od początku, czy od moich ostatnich wniosków? A może nie sugerować jej niczego?

- Nie jedź tak szybko - poprosiłam, kiedy spostrzegłam, że przydrożne drzewa szaleńczo śmigają mi przed oczami. - Jest ślisko.

- Nie jadę zbyt szybko, Madeleine. Mam na liczniku znacznie poniżej dozwolonej prędkości. - Hej! Głowa do góry! - Olek puścił do mnie oko. - Zobaczysz, najdalej za dwie godziny będziemy wracać tą samą drogą, a ty będziesz już w posiadaniu całej, interesującej cię wiedzy.

- Oby! - uśmiechnęłam się do niego mizernie. - Obym tylko nie życzyła sobie wtedy cofnąć czasu, by pozostać w niewiedzy. Bo wiedzieć to jedno, a mieć satysfakcję z tej wiedzy to drugie. No nie? To jest właśnie jedna z tych rzeczy, których się obawiam, że ona powie mi... wiesz, że powie mi coś takiego, że... świat mi się zawali!

- Magdaleno - Olek uścisnął moją rękę. - Powiedz jedno słowo, a zawrócę. Uważam jednak, że cokolwiek by ci powiedziała, z pewnością niczego nie zmieni to w twoim życiu. A wiesz, dlaczego? - spojrzał na mnie śmiejącymi się oczyma. - Bo twoje życie jest teraz związane ze mną. A tego nikt nie jest w stanie zmienić, nawet sam David Coperfield!

- Czyli, że co? Widzisz mnie u swojego boku jako panią Latoszkową, w domku z ogródkiem, z gromadką dzieci zwisających u spódnicy?

- Czemu nie? - uradował się Olek. - A ty? Chciałabyś inaczej? Szczerze mówiąc, nie myślałem nigdy dotąd: jak? Zawsze myślałem po prostu: z tobą. I ponad to nie zamierzam niczego planować.

- A dzieci? - spytałam zaczepnie, czując niejasno, że Olek mógł odziedziczyć po rodzicach zamiłowanie do rozmnażania się.

- No wiesz... o tym też nie myślałem. Kiedyś pewnie chciałoby się mieć jakiegoś dziedzica, ale na początek nie życzyłbym sobie żadnej konkurencji do twojej osoby.

- A gdybyś wiedział, że ze mną nie masz co liczyć na potomstwo, to co?

Olek spojrzał na mnie, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie zrobił tego. Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu. Dawałam mu czas na zadanie tego pytania, ale widać było dla niego za dużo niezręczne.

- Wiem, co myślisz - powiedziałam wreszcie. Byłam żoną Fryderyka przez dziesięć lat. Nie mamy dzieci, bo... mniej więcej połowę tego czasu zajęło mi wykręcanie się od macierzyństwa. Kiedy Fryderyk „ustawił się w branży” od czasu do czasu wspominał o powiększeniu rodziny... Współczuję ci!

- Słucham? - zapytał Olek, kiedy po chwili do niego dotarło, że to ostatnie skierowane jest pod jego adresem.

- Współczuję ci!

- Czego?

- Siebie...

Oliwier spojrzał na mnie z politowaniem.

- Gdybym się nie bał, że cię obrażę na amen, powiedziałbym to, co ciśnie mi się teraz na usta: ty durna kobieto! Czy ja wyglądam na gościa, który miałby trudności w znalezieniu kandydatki do obarczenia jej licznym potomstwem? Rzecz w tym, że ja zawsze szukałem kobiety, która potrafiłaby mnie intrygować, zaskakiwać... Przy której nie groziłaby mi rutyna, ani nuda. Niechby była nawet kompletnie szalona, ale przy tym lojalna i uczciwa, wrażliwa, ale i dumna. Mój problem przez całe lata polegał na tym, że znałem tylko jedną taką... A co do dzieci, to wyznam ci w sekrecie, że kiedy tłukliśmy się z braćmi w ośmiu o jedną dojrzałą gruszkę, przyrzekłem sobie... Zgadniesz?

- No to ja, jako jedynaczka powinnam przeciwnie. Nie chciałabym, żebyś myślał, że nie lubię dzieci albo że mi się nie chce gotować kaszek... Postanowiłam nigdy nie zostać matką dla dobra tego ewentualnego nieboraka, który zrodziłby się z mojego łona.

- To znaczy? - spytał Olek, najprawdopodobniej nie dostrzegając sensu w moim wywodzie.

- To znaczy - zaczerpnęłam tchu - odpowiem ci przystępniej, w jednym zdaniu i to będzie ostatnie zdanie na ten temat: wiem, że mam zadatki na wyrodną matkę. Tyle.

- Mówiłaś o tym Fryderykowi?

- Fryderykowi? Coś ty! Nigdy nie odkrywałam przed nim większości prawd o sobie, poglądów, myśli, fobii... Gdym pozwoliła mu choć na chwilę wejrzeć w siebie, zamknął by mnie u czubków! On w przeciwieństwie do ciebie nigdy nie lubił być zaskakiwany. Był taki, wiesz: maksinormal z nieprzepuszczalną powłoką i w dodatku całkiem bez skrzydełek!

- Boże jedyny, Magda! - roześmiał się Olek. - W życiu czegoś podobnego nie słyszałem! - A swoją drogą - dodał całując mnie w rękę - to musiało być straszne.

- I było, ale ja jeszcze wtedy... O! Spójrz! - wskazałam na stojącą przy drodze wielką drewnianą głowę z rogami, i przytwierdzoną do niej tablicę z napisem: „Witamy w Świątorogach”.

- No to jesteśmy na miejscu! Teraz musimy znaleźć dom z numerem czternaście.

- A tu jest dwieście czternaście akurat - zauważyłam.

- Aha. Tu mamy sto dziewięćdziesiąt osiem, sto dziewięćdziesiąt sześć... i czterysta czterdzieści dwa!

- O! A tu jest sześćdziesiąt dwa i zaraz potem sto szesnaście! - stwierdziłam ze zdziwieniem.

- Jedno jest pewne, że po tej stronie są numery parzyste i tu gdzieś musi być nasza czternastka - wykoncypował Olek.

- Jest! Jest! O, tam, pomiędzy siedemdziesiąt i trzysta dwadzieścia dwa! - pokazałam palcem na nieduży domek z czerwonej cegły. Olek podjechał niemal pod same schody...

- Jest tu jakiś dzwonek? - zastanawiałam się głośno, przyglądając się zielonym, dwuskrzydłowym drzwiom. - Może trzeba zastukać? Co? - zwróciłam się do Olka, zamykającego samochód.

- Kto tam? - odezwał się ktoś z wewnątrz dziecinnym głosikiem.

- Olek - ponagliłam go szeptem, wskazując na drzwi - bo mnie się coś pyta: kto tam. Chodź szybciej i odpowiedz.

- Oliwier Latoszek, z Rapalek. Byliśmy umówieni na dzisiaj, na dziewiątą.

Po chwili dał się słyszeć chrzęst otwieranych zasuw i zgrzyt klucza w zamku. Na progu pokazała się maleńka, czarnowłosa kobietka. Wróżka Sabina Pytia była... karlicą.

- Witam, proszę, wejdźcie. Pana posadzę w kuchni, bo to pani mam przepowiadać, czy tak?

- Tak, na imię mi Magdalena.

- Siadźcie państwo na chwilę, zrobię kawy, bo Magdalena jest mocno zdenerwowana. Odpocznie trochę po podróży, to pójdziemy do pokoju.

Meble i cały sprzęt kuchenny przystosowany był do wzrostu pani Sabiny. Nie było tu ani jednego zwyczajnego krzesła.

- Skąd pochodzi nazwa tej miejscowości? - spytał Olek siadając na maleńkim zydelku. - Nie wiem, czy dobrze myślę, ale ten drewniany wojak w rogatym hełmie sugeruje pamiątkę po jakiejś historycznej bitwie. Może z czasów potopu szwedzkiego? W końcu tu gdzieś niedaleko miała miejsce słynna bitwa pod Prostkami?

- Ho, ho! - wróżka uśmiechnęła się pod nosem. - Możesz pan myśleć i nic nie wymyślisz!

Widząc nasze zaciekawienie, postanowiła bliżej wprowadzić nas w temat.

- Legenda mówi, że setki lat temu w tym właśnie miejscu leżała Nieszczęsna Wieś, a nieszczęsna dlatego, że mężczyzn było w niej jak na lekarstwo. Jakby na złość jeszcze, rodziły się tu same córki. Ani im samym w świat iść i mężów szukać, ani też ich zwabić nijak do siebie. Tym bardziej, że poszła po świecie wieść, że w Nieszczęsnej Wsi pomór na chłopów pada. Kiedyś jednak, wieczorową porą czterech jeźdźców do wsi zjechało, bogato odzianych, z sutymi kiesami przy bokach! I panny, i wdowy zakreśliły się wokół nich przedziwnie, ucztę bogatą wyprawiły, karmiły i poiły gości trzy dni i trzy noce, a w niedługo potem zaludniły wioskę malutkimi chłopaczkami. Od tej pory we wsi wszystkim dobrze się wiodło, zmieniono nawet jej nazwę na Świętorogi. Bo ci mężczyźni, to byli czterej kupcy, którym w czasie wyprawy handlowej zmarły żony. Uciekając od hańby, jak stali, tak zawrócili się i odeszli. Ot, co! Ani to Szwed, ani Tatarzyn, tylko zwyczajny chłop, któremu baba rogi przyprawiła.

- No, to jak? Możemy zaczynać? - Sabina zwróciła się do mnie. - A pan tymczasem wypije sobie spokojnie kawę i porozmyśla o nazwie naszej wsi.

Trochę już spokojniejsza, ruszyłam za wróżką do sąsiedniego pokoju. Tutaj umeblowanie stanowił całkiem zwyczajny sprzęt: owalny stół z czterema krzesłami, pluszowa kanapa i szafa. W kącie stała toaletka z wysokim, prostokątnym lustrem, na ścianach wisiały obrazy: pejzaże, kwiaty w wazonie, portrety. Na centralnej ścianie zawieszony był wzorzysty dywan, a na nim umieszczony był naj-

większy obraz, przedstawiający Świętą Rodzinę. Staralam się rozglądać w miarę dyskretnie, ale bystremu wzrokowi wróżki nie umknęło moje zdziwione spojrzenie.

- Jestem normalną katoliczką, jak i ty, dziecko. Nie uprawiam czarnej magii, jak niektórzy sądzą. Mam dar jasnowidzenia i uważam, że korzystanie z niego nie ubliża Panu Bogu. - Usiądź tu sobie - wskazała mi wyściełane krzesło z wysokim oparciem, a sama wdrapała się na krzesło obok.

- Szczerze mówiąc, to nie wiem, co powiedzieć, jest tego tak dużo... próbowałam jakoś zacząć.

- A, nie! Ty nic nie będziesz mówić, chyba że cię o coś zapytam. Ja będę mówić, a ty pokaż mi swoją prawą rękę. Prawą! Jesteś mężatką - zaczęła, a ja poczułam mrowienie od samej dłoni, aż po bark - ale nie jesteś z mężem szczęśliwa. To zły, chciwy człowiek. Ożenił się z tobą wyłącznie dla majątku. Czy o niego przysłaś się dowiedzieć?

- Nie, nie o męża, chociaż...

Wróżka zamknęła oczy i potrząsnęła głową, żebym się już nie odzywała.

- Masz dwadzieścia pięć lat i... - spojrzała na mnie jakoś dziwnie, zamknęła swoją dłoń i odsunęła się na bok. - Jak nie chcesz mnie pytać o męża, to właściwie nie mam ci o czym mówić.

- Co pani tam widzi? Proszę pani, proszę powiedzieć, choćby to było, nie wiem co! To dla mnie bardzo ważne! - gorączkowałam się przestraszona, że wróżka odprawi mnie teraz z powrotem. - Pani Sabino, mnie właśnie o to chodzi, o to, czego pani nie chce mi powiedzieć!

- Na pewno? Nie wydaje mi się... Skąd możesz wiedzieć?

- Ja wiem, co pani tam zobaczyła. Śmierć! Prawda? A ściślej, nie zobaczyła pani nic, żadnej przyszłości.

- Zgadza się - westchnęła smutno - nic dalej przed tobą nie ma.

- Rzecz w tym, pani Sabino, że tu nie chodzi o mnie. Ja przeżyłam już trzydzieści trzy lata. Ćwierćwiecze, dzięki Bogu dawno mam za sobą. Ale nie ulega wątpliwości, że jest to moja dłoń i to co jest na niej zapisane, z pewnością nie jest pomyłką. Ja już kiedyś żyłam na tym świecie! Ja to wiem! - powiedziałam z naciskiem, patrząc jej prosto w oczy. - To poprzednie życie ciągle daje mi znać o sobie, podsuwa mi jakieś wizje, sny...

- Daj rękę - wróżka zmarszczyła brwi i popatrzyła na mnie z uwagą. - Tu dużo nie ma...

- Mów! Mów, wszystko! Od początku! - podałam jej dłoń bez najmniejszego wahania.

- Urodziłaś się w wielkim dobrobycie, żyłaś w wielkim szczęściu, jako dziecko, jako panienka i jako młoda dziewczyna. Dalej, mężczyznę tu koło ciebie widzę: piękny młody mężczyzna, bardzo zakochany. I ty go kochasz. Ale on nie dla ciebie, zaraz potem wielkie cierpienie, rozstanie, boleść ogromna! Wiele łez, kochana, morze, morze łez! Potem znowu mężczyzna, inny. Starszy, bez miłości, bez uczucia... Niedobry! - Sabina spojrzała na mnie ze współczuciem. - Bardzo niedobry! I... dziecko maleńkie widzę między wami, dziewczuszkę. To jego dziecko i twoje. Ale on nigdy całkiem nie był pewny, czy to jego, czy tamtego... Płacz i cierpienie widzę, dużo nieszczęścia! Zły to ojciec, zły to

mąż! Którejś nocy... na jesieni, wiatr zimny wiał... miało się na burzę... zakończyło się życie twoje...
Magdaleno...

Pani Sabina podniosła głowę i jak po wielkim wysiłku otarła ręką czoło.

- Tyle z dłoni jestem w stanie wyczytać. Czy to właśnie chciałaś wiedzieć?

- To wszystko, to ja już wiedziałam, proszę pani. Z moich snów. Pozbierałam do kupy różne kawałki i tak mi się właśnie ułożyło. Wiem też, jak się nazywałam, kim był mój ukochany i wiem... gdzie jest mój grób. Tyle wiem. To niewiarygodne, prawda? - spytałam w obawie, czy pani Sabina nie uzna mnie za pomyloną. - Chociaż mam nadzieję, że nie dla pani!

- Jak chcesz wiedzieć więcej, to będę musiała wejść w trans. Dobrze by było, gdybyś miała coś, co należało wtedy do ciebie.

- Ależ mam! - wykrzyknęłam uradowana. - Nawet przy sobie! - wymknęłam się cichutko do kuchni i z kieszeni, kurtki wyłuskałam złoty wisiołek znaleziony w pałacu.

- Proszę!

Wróżka zacisnęła go mocno w dłoni i zamknęła oczy. Czekałam w napięciu, bez jednego ruchu, niemal nie oddychając. Pani Sabina pobladła, jej twarz stężała, jak we śnie, oddychała równo i spokojnie - jak dla mnie, to trwało w nieskończoność. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, wyglądała jak ktoś, kto obudził się z głębokiego snu.

- I co? - zapytałam z przejęciem. - Nie udało się? Nic pani nie mówiła do mnie...

- A co ty chcesz wiedzieć? - spytała powoli.

- Chcę wiedzieć, kto i czego ode mnie chce? I dlaczego? Co ja mam zrobić z tymi wszystkimi koszmarami, czy to wszystko jest tak sobie, czy jest w tym jakiś cel?

- Do tej pory jest tak, jak ci czytałam z ręki. Ale dalej... najważniejsze w tym wszystkim jest to, że nie dopełniłaś swojego przeznaczenia. Uczyniłaś najgorszą rzecz, jaką człowiek może uczynić przeciw swemu Stwórcy.

- Popełniłam samobójstwo? - spytałam z ogromnym przejęciem. - Zabiłam się? Jak? - Wiem! - powstrzymałam panią Sabine. - Utopiłam się! Prawda?

- Tak - potwierdziła - utopiłaś się w studni.

- W takim razie jestem tu... za karę? Mam odpokutować targnięcie się na swoje życie, czy tak?

- Nie - westchnęła wróżka, patrząc gdzieś przed siebie - to wszystko nie jest takie znowu proste, jak my, ludzie sądzymy: za dobre uczynki nagroda, za złe: kara. Każdy człowiek dostaje w życiu nieskończoną ilość szans, tyle, ile jest mu potrzebne, żeby godnie wypełnił swoje ziemskie zadanie. To, co my rozumiemy jako kara, jest po prostu najczęściej... kolejną szansą. Ale najważniejsza jest miłość. Ona jest początkiem i końcem wszystkiego, jest dążeniem i celem człowieka, największym darem i największą siłą. To właśnie miłość ściągnęła cię tu z powrotem.

- Domyśliłam się tego. To ten Cygan, prawda? Wiem, że bardzo go kochałam i on kochał mnie. Ślubowaliśmy sobie. Wróciłam, żeby dopełnić przeznaczenia... Z nim?

Wróżka spojrzała na mnie w milczeniu, dostrzegłam w jej oczach coś jakby wahanie, niepewność. A może smutek.

- Nie, to nie Cygan - powiedziała w końcu. To ktoś kto kochał cię znacznie bardziej niż on, bezinteresownie i z oddaniem, całym sercem i całą duszą.

Spojrzałam niecierpliwie na panią Sabinę, czekając, co powie dalej. Ale ona milczała, chcąc najwyraźniej zmusić mnie, do samodzielnego rozwiązania tej zagadki.

- I? - spytała. - Już rozumiesz?

- Tak - powiedziałam cicho - to... moja córeczka. Rozumiem, Sabino. Teraz wszystko mi się ułożyło, ona wołała mnie... całe życie mnie wołała. Byłam jej potrzebna!

- Jesteś jej potrzebna! Jesteś jej potrzebna teraz. Możesz jeszcze wszystko naprawić!

- Ale gdzie ona jest? Co ja mam zrobić? Gdzie jej szukać?

- A tego to musisz dokonać sama. Będiesz wiedziała, jak ją już znajdziesz. Pamiętaj, najważniejsza jest miłość. To wszystko - powiedziała, wstając od stołu.

- Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła - ruszyłam ociężale w stronę drzwi. - Proszę powiedzieć, ile się należy?

- A, to już załatwione. Z tym młodym człowiekiem

- wskazała ręką na drzwi.

- Właśnie, Olek. A co z nim? - zatrzymałam ją jeszcze na chwilę. - Przecież on jest... On jest tym...

- Nie, dziecko - Sabina położyła mi rękę na ramieniu.

- Olek, to Olek. On nie ma z tym nic wspólnego. Z całą pewnością.

Wyszłam stamtąd z uczuciem, jakbym obudziła się nagle z jednego z moich sennych koszmarów, nie bardzo wiedząc, czy to co mam przed sobą to już rzeczywistość, czy nadal jeszcze sen. Nie chciało mi się mówić... Wsiadliśmy w milczeniu do samochodu. Olek, najwyraźniej szanując mój stan, nie pytał o nic. Właściwie to, co powiedziała mi wróżka nie było jakoś szczególnie straszne. Większości z tych rzeczy domyśliłam się sama, zaskoczył mnie jedynie brak udziału Olka w tym wszystkim. Byłam przekonana, że jest moim Gawo, że to on gra tu główną rolę! Tak naprawdę, nie miało to dla mnie większego znaczenia, a w każdym razie nie powinno mieć. W końcu Olek, to Olek - jak powiedziała Sabina. Jest ze mną, zależy mu na mnie, nie jest mi obojętny i to, czy poznałam go w poprzednim, czy w obecnym życiu nie ma tu nic do rzeczy.

- Duszno tu, uchyl trochę okno - poprosiłam, bo poczułam się jakoś tak słabo.

- Źle się czujesz? - zaniepokoił się Olek.

- Nie, nie, wszystko w porządku - uśmiechnęłam się na siłę.

- Powiesz mi coś? Czy było aż tak strasznie.

- Nie, nie było. Ale wszystko, czego się dowiedziałam dotyczy tylko mnie. Muszę się sama z tym uporać. To bardzo... osobiste. Wiesz?

- To znaczy, mam o nic nie pytać, czy tak?

- Tak by było najlepiej, ale chciałabym, że byś wiedział, że to niczego nie zmienia.

- A ja chciałbym, żebyś wiedziała...

- Wiem.

Po tych niedopowiedzianych deklaracjach znowu zapadło między nami milczenie. Dojechaliśmy tak do samych Rapalek.

- A teraz co? - zapytał Olek, kiedy podjechaliśmy już prawie pod dom ciotki. - Pójdziemy dokądś na obiad, czy wolisz pobyć sama?

- I jedno, i drugie. To znaczy, najpierw proponuję zajść do domu i sprawdzić, co tam dziś ciekawego upichciła Matylda, a potem, jeśli nie masz nic przeciwko, trochę odpocznę.

- Dobrze, jasne, jeżeli tak chcesz - zgodził się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Boże mój, czy on choć raz w życiu nie mógłby mi się przeciwstawić? Albo choćby objawić jakoś swoje niezadowolenie? - pomyślałam trochę zbita z tropu. - Przecież ja też mogłabym się jakoś nagiąć do jego potrzeb, musiałby mi je tylko jakoś zasygnalizować.

- Olek? - zapytałam po chwili. - A może chciałbyś, żebyśmy wyskoczyli dokądś wieczorem? Może potańczyć? Chciałbyś?

- Jasne, jeżeli tylko masz ochotę, to oczywiście.

- A może wolałbyś pójść do kina, co? - wypytywałam podstępnie. - Jeżeli jest oczywiście w okolicy jakieś kino.

- Może być kino. W okolicy nie ma, ale możemy pojechać do Ełku, na przykład na jakiś seans o dwudziestej.

- A może...

- Tak?

- Dlaczego ty się zawsze tak ze mną zgadzasz? Tobie naprawdę jest wszystko jedno, czy pójdziesz do kina, na dyskotekę, czy poskakać na bungee?

- O bungee nie mówiłaś...

- A gdybym miała takie życzenie?

- Wydaje mi się, że w Dubeninkach skaczą, z tego starego mostu kolejowego...

- Olek!!! - nie wytrzymałam wreszcie. - Zlituj się! Chciałabym, żebyśmy spędzili ten wieczór w sposób, który nam obojgu sprawi przyjemność. Nie chodzi o to, żebyś zawsze i wszędzie dogadzał mnie!

- Ale - Olek wydawał się teraz nieco zbity z tropu - mnie jest naprawdę wszystko jedno. Sam fakt, że ty będziesz ze mną, jest już dla mnie gwarancją świetnej zabawy. Magda, ja się staram, żebyś była szczęśliwa, tu i ze mną. Chcę, żebyś miała możliwość decydowania, korzystania ze swojej wolności, a nie jak...

- Do tej pory? - dokończyłam za niego.

- Przepraszam, jeżeli cię uraziłem - powiedział, nie patrząc na mnie.

- Nie uraziłeś mnie! - objęłam go za szyję i uściśnęłam tak mocno, że aż jęknął. - No coś ty, jasne, że mnie nie uraziłeś... Fajny jesteś, wiesz? - tylko na tyle było mnie stać w tej chwili. - Chodź, wysiadźmy wreszcie - pociągnęłam go za rękaw - ciotka pewnie od dawna przygląda się nam zza firanki.

Wbrew moim przypuszczeniom ciotka wcale nie czekała na nas przy oknie, z tej przyczyny, że nie było jej w domu. Nie tylko jej nie było, nie było także obiadu, mimo śladów szeroko zakrojonych przygotowań kulinarnych: na stole leżała dzieża do zarabiania ciasta z wbitymi jajkami i mąką, z kubka kipiały rozpuszczone w mleku drożdże. Podłoga nosiła liczne ślady stóp z błota i mąki.

- Gdzie jest ciotka? - zapytałam bez sensu. - Wyszła dokądś? Tak nagle?

Olek kręcił się po domu, zaglądając w każdy kąt.

- O! Zobacz! - podetknął mi pod nos wyjętą spod stołu granatową, podróżną torbę. - Wygląda na to, że pani Matylda dokądś się wybiera.

- Ciotka? Coś ty! Prędzej można by było podejrzewać porwanie, ona bez koniecznego przymusu nigdzie by się nie ruszyła. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Może ja tu trochę uprzątnę - zaczęłam chaotycznie zbierać wszystko ze stołu. - Napijesz się kawy?

- Kawy to może nie, ale herbaty i owszem. Posłuchaj, a może czegoś jej zabrakło do tego ciasta i pobiegła do sklepu? - domyślił się Olek.

- To brzmi, hm... całkiem sensownie. Tak, to jedyne prawdopodobne wytłumaczenie - zgodziłam się z nim, prawie uspokojona. - Tylko... czyja ta torba?

- Możemy ostatecznie zajrzeć do środka - zaproponował Olek - może to coś wyjaśni.

- Nie, lepiej nie. Myślę, że nie ma takiej konieczności - zawahałam się - przynajmniej na razie. Zaczekamy na ciotkę.

Ledwie to powiedziałam, kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich Matylda. Bez słowa przemierzyła kuchnię i podeszła do szafy. Pieczołowicie ułożyła w niej szal, beret i powiesiła na wieszaku płaszcz. Patrzyliśmy na te wszystkie czynności z Olkiem w milczeniu, licząc na to, że sama powie, co się stało. Bo co do tego, że coś tu pod naszą nieobecność zaszło, nie miałam najmniejszych wątpliwości. Wyraz twarzy ciotki mówił o tym ewidentnie. Matylda jednak najpierw złapała za ścierkę i umyła starannie blat stołu, a następnie zaczęła zamiatać podłogę. Kiedy zaczęła powtarzać tę czynność po raz drugi, wyjęłam jej miotłę z ręki i siłą niemal posadziłam przy stole.

- A teraz niech ciocia mówi - zażądałam. - Co się stało?

- Była tutaj... Twoja teściowa.

- Mamcia Gomorowa? - zdumiałam się. - No co ciocia? A po co?

- Bo... twój mąż zginął. Szukała go tutaj. Ale już się znalazł, to znaczy wiadomo przynajmniej, gdzie jest - dodała szybko, widząc rosnące na mojej twarzy przerażenie.

- Jak to? - nie mogło mi się pomieścić w głowie. - Znaczy się, zginął, czy zaginął? Ale czemu tutaj... Boże mój, jakiś wypadek miał? Mój sen... A więc to prawda! Z drugiego na trzeciego, nad ranem! Tak ciociu? - domagałam się potwierdzenia moich domysłów.

- Tak, Magduś, tak właśnie było. Twój mąż wybrał się do nas, nic nikomu nie mówiąc. Wyjechał w Zaduszki, późnym wieczorem. Za Ełkiem miał wypadek, nie wiadomo, jak to się stało. Auto leżało w rowie, doszczętnie rozbite.

- Ale czemu nikogo nie powiadomiono, a w ogóle to jak się tego wszystkiego dowiedziałyście?

- Poszliśmy najspierw do sołtysa, ale on nam kazał iść na posterunek, że to niby sprawa dla policji jest. Akurat na dyżurce Meleszko był, wiesz, syn Antka Meleszki. Raz ino gdzieś zadzwonił i okazało się, jak ci mówię, że był taki wypadek pod Ełkiem, a kierowca tam w szpitalu leży. Jak go znaleźli, to nie mogli dojść do tego, kto to jest, bo jakieś zwyrodnialce mu całe auto okradły. Wszystko! Ani portfela nie było, ani bagażu nijakiego, ani radia. Nawet koło, co się jedno dobre zostało, też odkręciły! A on nieprzytomny był, to nie było się go jak spytać, co on za jeden...

- No ale... To już tydzień prawie. I do dziś nie mogli nikogo powiadomić?

- Bo on do dziś nieprzytomny jest, Magduś - westchnęła ciotka. - Tyle ino wiadomo, że to na pewno on. Taksówką my tam pojechały.

- Boże mój, Boże! - jęknęłam z przejęciem.

Nie mogłam sobie darować, że nie uparłam się bardziej przy tym moim śnie i nie sprawdziłam wszystkiego porządniej. A jeżeli... on umrze? - pomyślałam z przestachem. W jakiś sposób czułam się za ten wypadek odpowiedzialna i nie potrafiłam w sobie stłumić tego irracjonalnego poczucia winy.

- Ciociu - spytałam zdławionym głosem - a jak on... wygląda? Czy jest bardzo... poszkodowany?

- Ja nie widziałam go, Magduś. Jadzię ino wpuścili i ona zeszła mi powiedzieć, że to on, i że przy nim zostanie. Ja tą samą taksówką wróciłam zaraz.

- Jadzię? Widzę, że jesteście już z moją teściową w niezłej komitywie!

- Nie już, Magduś, ino od dawna. Bo widzisz, jak ona tu przyszła, to okazało się, że my się znamy. A że do teraz nie może mi to dojść do głowy! Jadźka, to znaczy się jej cała rodzina, kiedyś mieszkała w Sadliskach.

- Serio? - zdumiałam się. - Nigdy o czymś takim nie słyszałam! Żeby pani adwokatowa, teściowa pochodziła z Sadliszek? Tego to nawet i Fryderyk mógł nie wiedzieć, ona zawsze się podszywała pod jakąś kresową arystokrację!

- Arystokrację to na pewno nie, ale rzeczywiście, oni przyjechali tu jako przesiedleńcy. Skąd, to nie wiem za bardzo, ale z Sadliszek to ona też się nie wywodzi. Tu ino czas jakiś przebywali. Do śmierci Stasia...

- A ten Staś to kto taki?

Ciotka spojrzała kątem oka na Olka i umilkła. Pomijany do tej pory w rozmowie wstał powoli od stołu i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Myślę, że w tej sytuacji moje towarzystwo nie jest paniom potrzebne - powiedział, patrząc na mnie z powagą.

- Pójdę już w takim razie.

Wybiegłam za nim do sieni. Bez słowa przytuliłam się do niego. Nie umiałam zebrać myśli w choćby jedno, sensowne zdanie - właśnie wyniknęła kolejna sytuacja, dzięki której znowu był na drugim planie.

- Pamiętasz, obiecałeś mi kiedyś, że na mnie zaczekasz? - zapytałam szeptem.

- Właśnie byłbym zapomniiał - powiedział, szukając czegoś w kieszeni. - A, jest! Przyniosłem ci ładowarkę. Teraz przyda ci się jeszcze bardziej. Dasz mi swój numer? - zapytał, podając mi długopis.

- Odpowiem ci przez telefon - szepnął mi do ucha, kiedy zapisywałam mu go na dłoni.

- Przepraszam, ciociu, musiałam zamienić z Olkiem słówko - powiedziałam, siadając za stołem i zarumieniłam się po samo czoło - nie chciałaś zdaje się przy nim mówić.

- Nie chciałam, bo Staś... O niego mnie pytałaś. Staś to był Jadźki brat, a mój narzeczonny - powiedziała cicho.

Zrobiło mi się jakoś dziwnie mdło na żołądku. A więc jednak... Ciotka kochała kiedyś kogoś! Na domiar wszystkiego jej luby był bratem mojej własnej teściowej! Co tu się dzieje, u jasnej Agatki? - poczułam w głowie spory mętlik. Tak czy inaczej, to musiała być wielka miłość, skoro do dziś została sama...

- Och, ciociu, ja nie wiedziałam! - próbowałam ją objąć za szyję.

- Daj spokój, dziecko - wyswobodziła się z moich ramion - wiem, że nie wiedziałaś. - Tyle ci ino powiem, że nie ucieszyłam się ja na jej widok, ani ona na mój. W życiu na myśl by mi nie przyszło, w najgorszych snach nawet, że ty wyjdiesz za mąż za Jadźki syna! Gdyby nie to nieszczęście... na cztery wiatry przepędziłabym ją. A i jej noga by tu własnowolnie nie powstała.

- Dlaczego? Co ona ci zrobiła? - próbowałam dociekać.

Nagle przyszedł mi ma myśl zasłyszany w dzieciństwie „skandal” związany z ciotką. Czyżby chodziło o tego jej Stasia?

- A, tam! Nie chce mi się o tym mówić. Nie dzisiaj, Magduś.

Matylda wstała od stołu i zaczęła układać na nowo wszystkie produkty przygotowane uprzednio do wyrobienia ciasta.

- Te jajka to już na nic. Przynieś no nowych ze spizarki - zwróciła się do mnie, wyraźnie kończąc temat.

- A to się porobiło! - stwierdziłam bardziej do siebie, niż do ciotki.

- Ano, porobiło się, Magduś - westchnęła.

Ciotka sprawnie zagniotła ciasto i odstawiła do wyrośnięcia. Usiadłyśmy przy herbatce z leśnych owoców i każda z nas zajęła się swoimi myślami. Zamierzałam dziś wieczorem przeanalizować wszystkie wskazówki wróżki Sabiny, ale jakoś nie potrafiłam się na tym skupić. W mojej głowie uparcie pojawiały się obrazy związane z Fryderykiem: nasza pierwsza randka, ślub, otwarcie jego kancelarii prawniczej, rozmowy o dziecku, wreszcie nasze ostatnie spotkanie pod domem ciotki i mój dziwny sen...

- ... dżemu będziesz, ino równo.

- Słucham? - zapytałam, kiedy dotarł do mnie jakiś strzępek zdania, najwyraźniej skierowany do mnie.

- Ja będę lepila racuchy - powtórzyła ciotka - a ty nakładaj dżemu do środka, ino równo. Możemy mieć gościa na kolacji.

- Ma ciocia na myśli moją teściową czy Olka?

- Myślałam o Jadźce. Wszystkie rzeczy swoje tu ma, a i chyba zanocować będzie chciała. Nie do pomyslenia przecież dojeżdżać co dzień z Krakowa do tego szpitala.

- Boże mój, ciociu, ale ona nie zamieszka chyba z nami, co? - przeraziłam się perspektywą współżycia pod jednym dachem z teściową. - Nie jestem świnią, ale nie widzę takiej konieczności we wsi, w której w każdym domu wynajmują pokoje.

- No to podeślemy ją do Wasylków. To przecie parę kroków stąd - Matylda uśmiechnęła się nieznacznie, widząc malującą się na mojej twarzy ulgę. - A zresztą - dodała - nic się nie bój. Ona teraz całkiem inna, przycichła, spokorniała, sama zobaczysz!

Kiedy ciotka wyłowiła z rondla trzecią porcję racuchów, pod dom zajechała taksówka i wysiadła z niej mama

Fryderyka. Obserwowałam ją dyskretnie zza firanki. Rzeczywiście, nie dostrzegłam w jej postawie ani odrobiny dawnej buty. Szła wolno w stronę furtki, przygarbiona, z potarganymi włosami, jakaś taka żółtawa na twarzy.

- Witaj, Magdaleno - powiedziała krótko, podczas gdy ja spodziewałam się lawiny wyrzutów i posądzeń.

- Dzień dobry, mamó - odpowiedziałam niepewna, czy powinnam nadal tak się do niej zwracać.

Matylda nałożyła na półmisek rumianych placków i postawiła wodę na herbatę.

- Siadaj, Jadzia, posil się i mów, co tam u syna.

- Nie wiem... Nie wiem - powiedziała teściowa, siadając w futrze za stołem. - Lekarze też nie wiedzą. - Popatrzyła na mnie bezradnie - a bo to, Magdaleno, on nieprzytomny jest cały czas. Cały czas nieprzytomny! Leży nieboraczek, bladziutki taki, ino tych rurek wszędzie pozapinanych ma, urządzenia jakieś bzyczą koło niego, migają... Ja mówię do niego: synek, zbudź się, odezwij się choć słówkiem do matki, za rękę go trzymam! A on nic...

Po policzkach teściowej, jedna po drugiej, potoczyły się łzy. Nie ocierała ich nawet. Zamknęła oczy i siedziała bez ruchu, bezwiednymi dłońmi wrywając kępki włosów ze swoich karakułów. Milczałyśmy obie z ciotką. Bo i cóż mówić w takiej chwili? Owszem, różne okolicznościowe banały cisnęły mi się na usta, wszystkie kompletnie bez sensu.

- Masz - ciotka wcisnęła jej w dłonie szklankę z herbatą. - Wypij, to z malinami. Uspokoisz się trochę.

- Może mama najpierw da to futro - pomogłam się jej rozebrać i podałam kapie. Teściowa, jak automat poddała się naszym zabiegom, wypila herbatę i zjadła jeden placek.

Po chwili zasnęła na siedząco. Staraliśmy się zachowywać jak najciszej, po godzinie jednak ciotka postanowiła ją obudzić.

- Chodź Jadzia - przemówiła łagodnie do półprzytomnej kobiety - tu ci niewygodnie. Połóżysz się w pokoju Magdaleny.

- Nie, nie, pójdę już - wymamrotała teściowa - taksówkarz znalazł mi tu kwatere. Niedaleko, drugi dom, tam na górze - mówiła coraz bardziej świadomie.

- Odprowadzę mamę - zaoferowałam się - pewnie ciężki ten bagaż.

- Nie trzeba - odmówiła kategorycznie. - Trafie sama. - Zresztą - dodała łagodniej - chcę się pomodlić przy świętym Antonim.

Odprowadziłam teściową tylko do furtki i umówiłam się z nią nazajutrz. Postanowiłam również pojechać do Fryderyka.

- Magda! - ciotka wychyliła się przez okno i nawoływała mnie głośno. - Chodź no tu prędko! Torebka ci piszczy!

Wbiegłam szybko do domu i usłyszałam sygnał mojej komórki.

- To telefon, ciociu - poinformowałam ją w przelocie, kierując się do „mojego” pokoju.

- Może ze szpitala? - zapytała przez drzwi.

- Nie, to Olek - odpowiedziałam, odczytując SMS.

Czekałem na ciebie całe lata. Teraz, kiedy tu jesteś, każda kolejna godzina, dzień, czy miesiąc nie ma już znaczenia. Jeżeli jesteś moja... Olek.

Poczułam przyjemne drganie w okolicy żołądka. Oliwier - pomyślałam z czułością - mój dobry, mądry, wyrozumiały... Mój!

Jestem bardziej twoja, niż czyjkolwiek. Dziękuję, że jesteś - odpisałam.

Poczułam się teraz bardzo zmęczona. Miałam wrażenie, że to był najdłuższy dzień w moim życiu.

- To co ciociu? Kładziemy się spać? - spytałam, wchodząc do kuchni. Oczy mnie już pieką z tego wszystkiego.

- Ty się kładź, musisz wstać wcześniej. Ja tu jeszcze uprzątnę. Na którą jedziecie do tego szpitala?

- Umówiłam się z teściową o siódmej. Ma tu podjechać taksówką.

- A nie lepiej, żeby was Olek zawiózł? Sporo pieniędzy na taką taksówkę trzeba. Jadźka to ze sto złotych dziś zapłaciła.

- No co też ciocia - zniesmaczyłam się. - Jeszcze tego by brakowało, żeby mnie absztyfikant do męża do szpitala woził. Szczególnie razem z teściową!

- Ano, racja - zmieszała się Matylda. - Ja to już taka przyzwyczajona do niego, że nawet nie pomyślałam, co i jak.

- A swoją drogą - dodałam, całując ją ze śmiechem w policzek - dość mocno się cioci moralność odmieniła.

- Nie moralność, dziecko, ino głupota - odparła ciotka, machając mi ścierką przed nosem. - Najgorzej, jak ktoś różnicę między jednym i drugim nie widzi. Pełno na świecie takich... fałszywych świętych - zakończyła dobitnie.

- No to lecę się myć - oznajmiłam radośnie, kierując się ku łazience.

- A co ty taka zadowolona? - spytała ciotka ze zdziwieniem.

- A bo - zawróciłam piruetem na środku kuchni - coraz lepiej się wokół mnie dzieje. I z Fryderykiem też będzie dobrze, zobaczy ciocia! - powiedziałam w przyływie nagłej pewności.

* * *

Mimo że do siódmej było jeszcze sporo czasu, siedziałam już przy oknie w pełnym rynsztunku, czekając na taksówkę z teściową. Moje nocne upiory przeszły dziś same siebie, jakby się uparły, że bym ani na minutę nie zmrużyła oka. Jak tylko poczułam, że nadchodzi sen, zza okna zaczynało się nawoływanie: „Pójdiesz? Pójdiesz, pójdiesz! Pójdiesz? Pójdź! Pójdź! Pójdź!” - i mniej więcej na tę samą modłę powtórzyło się kilkakrotnie, zawsze w momencie, kiedy zaczynałam zapadać w sen. Głos, jak zwykle był głuchy i dudniący, raz głośniejszy, raz cichszy, powtarzany wielokrotnym echem. Tym razem jednak zmieniał się ton wypowiedzianych słów: od błagalnego jęku, aż po zastraszające warczenie. Coś podobnego jeszcze do tej pory mi się nie zdarzyło. Ten sen nie przekazywał niczego,

po prostu nawoływał mnie, naglił! Kiedy nad ranem się zbuntowałam i jak już kiedyś, nabluzgałam nocnej marze, przestała wrzeszczeć, ale za to zaczęła stukać w okno.

Kiedy zegar pokazał piątą, postanowiłam wstać. Bez pośpiechu umyłam i ułożyłam włosy, wyprasowałam spodnie i zrobiłam makijaż. Starłam się przy tym zachowywać jak najciszej, żeby nie obudzić ciotki. Godzinę później siedziałam gotowa do wyjścia, nasłuchując nadjeżdżającej taksówki. Od czasu do czasu odchylałam zasłonę i spoglądałam za okno, ale kiedy wskazówki zegara były już bliskie pokazania siódmej, jednym szarpnięciem odsłoniłam grube, lniane story. To, co zobaczyłam sprawiło, że moje ciało od góry do dołu pokryła gęsia skórka: na szybie odbite były liczne, porozmazywane ślady dłoni...

- Co jest, u licha?! - pytałam sama siebie z niedowierzaniem. - A może to nie był sen i ktoś naprawdę walił nocą w okno? Może... teściowa? Coś się stało Fryderykowi i chciała mnie powiadomić? Rozmaite przypuszczenia i wątpliwości przebiegały mi przez głowę, kiedy dostrzegłam zatrzymujący się koło furtki samochód. Ciotka jeszcze spała, złapałam więc kurtkę i wybiegłam z domu.

- Dzień dobry mamó, były jakieś wieści ze szpitala? - spytałam, otwierając z impetem drzwi.

- Nie, nie było żadnych. Siądź ty może Magdaleno przy panu kierowcy - poprosiła teściowa - ja bym tu chciała natenczas na modlitwie skupić się.

Z ochotą zajęłam miejsce z przodu, co zwalniało mnie, a przynajmniej ograniczało obowiązek podtrzymywania konwersacji z mamą Fryderyka. Kierowca także nie był specjalnie rozmowny, dzięki czemu mogłam spędzić czterdzieści minut jazdy w błogiej bezmyślności. Mój mózg odpoczywał, delektując się jedynie cichym pomrukiwaniem silnika.

Po przybyciu na miejsce teściowa umówiła się z kierowcą na drogę powrotną, dając mu dwie godziny wolnego czasu.

Szpital był ogromnym, nowoczesnym gmachem, a właściwie kompleksem gmachów. Bijące po oczach nieskazitelną bielą ściany, zwieńczone od góry krwistą czerwienią płaskich dachów sprawiały wrażenie sterylności i absolutnego, medycznego profesjonalizmu.

- Budzi zaufanie, nie? - szepnęłam do teściowej.

- Ano, jakby inaczej - wskazała parasolką na ogromny napis przed głównym wejściem: „Pro Medica. Mazurskie Centrum Zdrowia ZOZ w Ełku”.

- Mam nadzieję, że mama potrafi znaleźć Fryderyka w tym labiryncie... podreptałam za nią z obawą.

- No pewnie, byłam tu przecież wczoraj.

Dla teściowej było to oczywiste. Ja, nawet gdybym była tu wczoraj, przedwczoraj i codziennie przez cały poprzedni miesiąc, za każdym razem musiałabym pytać o drogę.

Moja orientacja przestrzenna była do tego stopnia upośledzona, że potrafiłam się zgubić w obcym mieszkaniu, nie mówiąc już o obcym mieście. Idąc krok w krok za teściową, starałam się ani na moment nie spuścić jej z oka.

- To tu - zatrzymała się w końcu po pokonaniu kilku zawiłych odcinków. - Zaczekaj na mnie, ja wejdę na chwilę do dyżurnego.

- Mogę pójść z mamą? - zapytałam niepewnie.

- Stój! - rozkazała teściowa. - I nigdzie się nie ruszaj, bo się zgubisz.

Mamcia Gomorowa знаła moje możliwości w terenie, upewniwszy się zatem, że stoję w miejscu, zniknęła mi z oczu za pierwszymi drzwiami.

Kiedy chwilę potem w asyście pielęgniarki weszliśmy do pokoju Fryderyka, już na progu serce podeszło mi po same migdały. Podpięty do niezliczonej ilości rurek i przewodów mężczyzna był niewątpliwie moim mężem. Jakże bezradnie, krucho i mizernie wyglądał teraz! Widok bladych, zapadniętych policzków, półotwartych powiek i tych jego dłoni: pięknych, smukłych i całkowicie bezwładnych sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Nie płacz - strofowała mnie teściowa, pociągając nosem - nie wolno przy nim płakać! Trzeba do niego mówić!

- Czy... mogłabym zostać z nim na chwilę sama? - zapytałam nieśmiało.

Teściowa spojrzała na pielęgniarkę, a następnie udzieliła mi odpowiedzi:

- Możesz, ino nie wolno go denerwować. Usiadłam ostrożnie przy łóżku Fryderyka i zaczęłam mu opowiadać, jak sobie teraz radzę, co porabiam i takie tam. Trudna to była rozmowa, zważywszy że musiałam darować sobie wszystko, co mogło trącić jakimikolwiek wyrzutami z powodu jego odejścia, a także to, co wiązało się z osobą Olka. Opowiadałam mu więc jakieś mało znaczące kłamstwa o moich nowo odkrytych pasjach: hafcie krzyżykowym i rzeźbie w szarym mydle. Tylko takie bzdety przyszły mi na myśl, inaczej nie miałabym kompletnie o czym mówić. Kiedy doszłam do kulinarnego szaleństwa, którym zaraziła mnie ciotka Matylda, przez moment odniosłam wrażenie, że Fryderyk się poruszył. Celowo poszerzyłam więc temat kulinariów, ale już nic takiego się nie wydarzyło.

- Magdaleno - teściowa weszła cicho do pokoju - pielęgniarka mówiła, żeby go długo nie męczyć. Przysiadę ja teraz przy nim na chwilę i pójdziemy.

- Dobrze, mamó - powiedziałam, wstając. - Do zobaczenia, Fryderyku. Byłabym zapomniąca - szepnęłam, pochylając się nad nim - ciotka Matylda przesyła ci pozdrowienia.

Uścisnęłam jego chłodną dłoń. Tym razem byłabym nawet skłonna przysiąc, że Fryderyk zareagował! Wyraźnie poczułam, jak jego dłoń zaciska się na mojej ręce...

Wyszłam jednak, o niczym nie mówiąc teściowej, by w razie omyłki nie budzić w niej fałszywej nadziei. Podczas gdy ona pozostawała w środku, postanowiłam zadzwonić do jego kancelarii. Nie wyglądało na to, by mógł prędko zająć się pracą.

- Dzień dobry, pani Bożeno, tu Magdalena Gomorowa - przedstawiłam się sekretarce.

- Pani Magdaleno! - dał się słyszeć mocno uradowany głos. - Jak dobrze, że pani dzwoni, ja już kompletnie nie wiem, co się dzieje, co mam robić...

- Proszę posłuchać - przerwałam jej - nie bardzo mogę teraz mówić, jestem w szpitalu. Fryderyk miał wypadek i pewnie nieprędko wróci.

- Ale... jak? Co się stało?

- Naprawdę, nie mogę się teraz rozgadywać, zresztą w tej chwili to najmniej istotne. Niechże pani nie płacze! Pani Bożeno, niech pani uważnie słucha - starałam się zapanować nad roztrzęsioną sekretarką - wszystkie sprawy, nad którymi aktualnie pracuje mój mąż proszę przekazać panu mecenasowi Jabłowi. Proszę powiedzieć mu, jaka jest sytuacja. Musi pani zrobić to jak najszybciej, niech pani zajmie się też cofnięciem wszystkich pełnomocnictw. Zrozumiała pani?

- Tak - chlipnęła do słuchawki pani Bożenka. - Jeśli zaś chodzi o panią... Proszę zamknąć kancelarię do odwołania. Pani nadal jest tam zatrudniona. Dopóki Fryderyk nie wróci, będę wysyłała pensję na pani konto.

- Dzień... kuje! Dziękuję pani! - wyartykułowała zmienionym głosem.

- I niech się pani trzyma jakoś, do widzenia - zakończyłam szybko i wyłączyłam komórkę.

- Lekarz powiedział - nagle za moimi plecami pojawiła się teściowa - że jego stan jest stabilny. Że teraz trzeba tylko modlić się i czekać...

Przez całą drogę powrotną ściśle trzymała się wytycznych lekarza i przesuwała z cichym szelestem paciorki różańca na palcach. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zapłaciłam za taksówkę i wysiadłam razem z teściową pod domem Wasylków. Postanowiłam pójść dalej na piechotę, ścieżką koło studni. Na myśl o tym, co sobie postanowiłam, mój układ trawienny podjął intensywną pracę przerobową. Wiedziałam, że tym razem to zrobię. Jeśli się już na coś uparłam, nie było przebaczenia.

Spokojnym, ale różnym krokiem doszłam do miejsca, z którego widać już było studnię. Stałam jakieś trzy metry od cembrowiny i w sekundę obmyśliłam taktykę działania: nie będę ani biec, ani się skradać, podejść po prostu i zajrzeć do środka. Rozejrzałam się dookoła, w pobliżu nie było nikogo. Przeżegnałam się i ruszyłam przed siebie.

Nie dając sobie czasu na najmniejsze nawet wahanie, oparłam dłonie o kamienny brzeg i pochyliłam się w dół. Spodziewałam się absolutnie wszystkiego: upiora, topielca, samego diabła nawet, tylko nie tego, co zobaczyłam. Studnia była zasypana! Zaledwie jakieś pół metra poniżej krawędzi spokojnie rosła sobie trawa. To niemożliwe! - gderałam sama do siebie. - Przecież tu była woda! Jak byłam ostatni raz u ciotki, to była!

Zbiegłam szybko w dół i jak szogun wpadłam do domu.

- Co... Co się stało? Coś z Fryderykiem? - zapytała przestraszona Matylda.

- Nie, ciociu, nic. To znaczy nieprzytomny jest nadal, ale jego życiu nic nie zagraża. Będzie dobrze.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, dziecko? - spytała z powagą.

- Nie wiem, ale myślę, że stamtąd, skąd wiedziałam, że miał wypadek.

- Oby. Oby tak było - westchnęła Matylda, wstając od stołu.

- Ale ja co innego chciałam - przytrzymałam ją za rękę. - Usiądź jeszcze na chwilę. Dlaczego studnia jest zasypana? Kto to zrobił?

- Zagładałaś do studni???

- Zagładałam.

- Ojciec twój zasypał, niedługo przed tą... chorobą.

- Ale dlaczego?

- A, tam! To długa i durnowata historia. Musisz to teraz wiedzieć? Natychmiast? - zniecierpliwiała się ciotka. - Gołąbki mi się przypała.

- Muszę ciociu, teraz, natychmiast!

- A wiesz ty co, dziecko? - Matylda spojrzała na mnie z niesmakiem. - Ja to już przyzwyczajona powinnam być. W tej rodzinie już niejednemu ta studnia na umysł rzucała się. I twojemu dziadkowi, i ojcu i teraz tobie. Przekleństwo to jakieś, czy co? Najpierw twój dziadek, a mój ojciec opowiadał, że go studnia woła po nocach. Wtenczas świętego Antoniego przy niej postawił. Później, jak ty już za mąż wyszłaś, ojca twojego wołać zaczęła. Ino, że jemu ciągle kazała ciebie do Rapalek sprowadzać. No to i któregoś razu Edward się zebrał i pojechał. Ja jemu mówiłam, odradzałam, bo co niby miał tobie powiedzieć? Co? Że studnia z tobą pogawędzić życzy sobie? Ale on się uparł.

To wtedy było, co widział się z tobą ostatni raz, przed Bożym Narodzeniem, w dziewięćdziesiątym drugim. No i później, to już wiesz. Normalny do domu nie wrócił. Jeszcze jak do Glinianek autobusem dojechał, to z Antkiem Meleszką wódkę razem w barze pili. Potem poszedł do domu przez las i nie wiadomo, co się stało. Przyleciał w kalesonach samych, a to przecież grudzień był. Zanim jeszcze do szpitala go odwiozłam, zażyczył sobie, żeby studnię zakopać. Dla świętego spokoju ludzi najęłam, ziemi nawieźli i zasypali. No i tyle.

- O ranyście! - ciotka zerwała się z krzesła. - I widzisz? Jeszcze chwila, a byłyby się spaliły - wyrzucała mi, mieszając w rondlu. - A ty co? - spojrzała na mnie z ukosa. - Ciebie też studnia wołała?

- Ach, nie! - skłamałam. - Chciałam wiedzieć tylko, czemu zasypana jest. - Ciociu - postanowiłam zadać jej ostatnie, ale najważniejsze pytanie - czy w tej studni się ktoś kiedyś utopił?

Stryjna spojrzała na mnie szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Ano, cożeś ty! Nikt się nie utopił! Co ty mnie takie jakieś... pytania zadajesz?

- Ale może dawniej, jeszcze przed cioci urodzeniem, albo i jeszcze wcześniej? - dociekałam. - Bo może tam ktoś wpadł, utonął i teraz straszy?

- Nic tam nie straszy i nie straszyc - odparła ciotka ostro. - Twój dziadek twojemu ojcu od małego herezje o tej studni opowiadał, no to i nabił mu nią głowę. - A jakby się tam kto utopił, choćby i sto lat temu, to by całe Rapalki o tym wiedziały. - Masz, jedz! - Matylda posunęła mi pod nos gołąbka w sosie z suszonych borowików.

- Niech się ciocia nie gniewa - przytrzymałam jej dłoń. Ja taka... ciekawska czasem jestem.

- Nie gniewam się Magduś, ino się boję o ciebie. W tej rodzinie gadanie o studni zawsze złe zapowiadało.

- E tam, ja nie jestem zabobonna - stwierdziłam z pozorną wesołością. - Zapomniałabym! Muszę zadzwonić do Olka - wybiegłam z kuchni, porzucając na wpół zjedzonego gołąbka.

- Olek! - szeptałam możliwie najgłośniej do słuchawki. - Muszę się z tobą zobaczyć. Wieczorem? Dobrze, to wieczorem. Na cmentarzu! Weź ze sobą łopatę!

Nie tłumaczyłam mu wiele. Wiedziałam w każdym razie, że na pewno przyjdzie. Po obiedzie ciotka wybrała się z teściową do kościoła, ja zaś z niecierpliwością czekałam nadejścia godziny dziewiętnastej. Wyszłam z domu znacznie wcześniej i dla zabicia czasu spacerowałam po Rapalkach. Od czasu do czasu ktoś mi się kłaniał, ale w większości przypadków nie miałam pojęcia, kto zacz. Wolnym krokiem doszłam do cmentarza i mimo że do siódmej brakowało jeszcze co najmniej dwudziestu minut, dostrzegłam w bramie Olka, opartego o nowiutki, czerwony szpadeł.

- Hej - uśmiechnął się szeroko - będziemy kogoś zakopywać, czy raczej wręcz przeciwnie?

- Nie stój tak z tą łopatą, jeszcze cię ktoś zobaczy! - pociągnęłam go za rękaw w stronę cmentarza. - Wręcz przeciwnie, wykopywać będziemy - wyjaśniłam. - Chodź! Pójdziemy na mój grób! Ja tu nie leżę! - oznajmiłam, kiedy byliśmy już na miejscu.

- Tak? - zdziwił się. - To gdzie leżysz teraz?

- Nie żartuj sobie ze mnie, proszę - przysiadłam na brzeжку kamiennej płyty. - Usiądź tu!

Olek odsunął na bok oblegające nagrobek, wysokie badyle i przycupnął koło mnie.

- W studni ciotki Matyldy - odpowiedziałam. - I chcę się o tym teraz upewnić.

- Z całym szacunkiem, Magdaleno - zaczął Olek ostrożnie - ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się w tej studni utopił.

- A gdyby się utopił, to byś o tym wiedział?

- Jasne, cała wieś by wiedziała - powiedział z przekonaniem.

- Tak właśnie powiedziała ciotka. A jeśliby ktoś, kto o tym wiedział, chciał zachować to w tajemnicy i gdyby nikt nigdy nie wyłowił tych zwłok?

- No, to już gorzej - zastanowił się Olek - ale przecież ta osoba musiałby nagle zniknąć, ludzie by się zastanawiali, szukali...

- Ho, ho! - zaśmiałam się cynicznie. - Już jeden fikcyjny pogrzeb w Rapalkach urządziła sama stryjna Matylda. No i co? Takie to trudne? Posłuchaj! - postanowiłam wprowadzić go na tyle, ile to

konieczne w moje domysły na ten temat. - Dziewczyna, dla której przeznaczony był ten nagrobek nazywała się Rossi Kraft, to wiem od tej baby z kozą, tej od pałacu. Ale ona nie zmarła normalnie, popełniła samobójstwo, skacząc do studni. To z kolei wiem od wróżki Sabiny. Skoro zaś - wywodziłam - nikt w Rapąłkach nie słyszał nawet o podobnym incydencie, z tego wniosek, że ktoś zataił go przed wioską, urządził Rossi fałszywy pochówek, a jej szczątki muszą do dzisiaj pozostawać w studni. Jeśli się nie mylę - stuknęłam łopata w kamienną tablicę - to ten grób jest pusty!

- Teraz ty posłuchaj, Magdaleno - odezwał się Olek po dłuższym milczeniu - powiedziałem ci kiedyś, że zawsze możesz na mnie liczyć i ja w każdej sytuacji uważam to za zobowiązujące. Nie wiem jednak, czy... - zawahał się chwilę - ...czy demolowanie tego grobu mieści się w ramach dobrze pojętej chęci pomocy. To trochę jakby... wbrew prawu.

- Tak? - zapytałam rozgoryczona. - To już we własnym grobie kopać mi nie wolno?

- We własnym chyba wolno, tylko ciekawe, jak to wytłumaczysz posterunkowemu Meleszce. Zresztą - spojrzał na mnie poważnie - to jest chyba nawet niewykonalne. Sam nie dam rady, ziemia jest zmarznięta, nawet do rana bym się z tym nie uporał. Możesz poczekać z tym do jutra? - spytał po chwili namysłu. - Tak gdzieś do południa?

- No coś ty! W biały dzień chcesz tu ryc? Teraz się nie da, a jutro się da? Tak? - spojrzałam na Olka podejrzliwie.

- Owszem, jutro się da. I to w dodatku zupełnie legalnie. - Chodź - zmusił mnie do wstania - idziemy na piwo!

X.

Nie jestem matką mojej ciotki!

Nazajutrz z wizytą do szpitala wybrała się razem z teściową ciotka Matylda. Nie wiem, co teściowa naopowiadała lekarzowi, ten w każdym razie na wieść, że jesteśmy w trakcie rozwodu zalecił, abym tymczasowo powstrzymała się od odwiedzin. Stryjna miała przekazać mi to delikatnie, po powrocie z kościoła. Dlaczego delikatnie i czemu nie powiedziała mi tego sama mamcia Gomorowa, mogłam się jedynie domyślać: pewnie oczerniła mnie dokładnie przed personelem medycznym i bała się teraz konfrontacji. Po wyjściu ciotki zabrałam tacę z kawą i ciastem i wpakowałam się z powrotem do łóżka. Zamierzałam czytając, zabić czas do południa, kiedy to Olek obiecał mi powiadomić o wynikach przekopania grobu.

Znalazłam na półce moją ulubioną lekturę z dzieciństwa „Wielka, większa, największa” i zabrałam się za czytanie. Kiedy byłam mniej więcej w połowie, rozległo się stukanie do drzwi. - Czyżby to

był już Olek? Tak wcześniej? - Spojrzałam na zegar, dochodziła jedenasta. Wrzuciłam na siebie pluszowy szlafrok ciotki i ostrożnie wyjrzałam na zewnątrz. Na progu stała we własnej osobie... panna Ewa Pyrciówna, narzeczona mojego męża!

- Dzień dobry - zmierzyła mnie od góry do dołu. - Czy mogę wejść? Wydaje mi się, że powinnyśmy porozmawiać.

- Skoro się pani tak wydaje, to proszę - otworzyłam szerzej drzwi. - Niech pani siada - wskazałam na krzesło w kuchni i usiadłam naprzeciwko. - Słucham, o czym pani chciała ze mną rozmawiać?

- No jak to o czym? O Fryderyku, to chyba oczywiste.

- Tak, tylko że temat jest, hm... że tak powiem, obszerny. A tak bardziej konkretnie?

- Dowiedziałam się, że Fredi miał wypadek, podobno jest w ciężkim stanie. Czy to prawda? Jest aż tak źle?

- Jeżeli chce się pani dowiedzieć o jego stan zdrowia, to polecam się udać do szpitala. Oni udziela pani najbardziej rzetelnych informacji.

- Tak, tylko że widzi pani, ja jestem za bardzo wrażliwa. Szpital na mnie źle działa.

- Przyszła więc pani do mnie, aby zapytać, jak on się czuje, czy tak?

- No... tak!

- Z tego, co dowiedziałam się wczoraj, był dwukrotnie operowany, miał jakiś uraz głowy i złamany bark. Od chwili wypadku nie odzyskał przytomności. To tyle. Jakby pani chciała wiedzieć więcej, to proszę pytać lekarza.

Wstałam od stołu, licząc na to, że pani Ewa zrobi to samo, ona jednak nie ruszyła się z miejsca.

- Czy coś jeszcze? - zapytałam chłodno. - Zamierzam właśnie się ubrać, spodziewam się gościa.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, ja zaczekam - powiedziała.

Szybko wrzuciłam na siebie dżinsy i miękkie, moherowe blezerek. Po chwili zastanowienia zrobiłam jeszcze lekki makijaż i nacapierzyłam grzebieniem włosy. Że też nigdy nie robiłam podobnych wygibasów dla Olka - przemknęło mi przez myśl - wystarczyło, że zjawiała się w tym domu pierwsza lepsza baba, i o, proszę! - prysnęłam na dekolt obfitym strumieniem „Pani Walewskiej”.

- No więc? - spytałam, wchodząc do kuchni.

W tym momencie pod dom podjechał mercedes Olka. Byłam wściekła. Oto teraz, kiedy wreszcie doczekałam się upragnionej informacji, rozsiadła mi się za stołem flama mojego męża i zabiera mi czas!

- Wejdz! - krzyknęłam w stronę drzwi. - Pozwól, to jest... przyjaciółka Fryderyka, pani Ewa Pyrc, a ten pan to jest mój przyjaciel. Z dzieciństwa - dodałam.

- Olivier Latoszek - uzupełnił Olek, podając jej rękę. Bardzo...

Odwrociłam się tyłem do Ewy i w straszliwy sposób wyszczerzyłam do niego zęby.

- ... ładna pogoda - dokończył z refleksem.

- Mnie również - odpowiedziała Ewa, w jednej sekundzie całkowicie zmieniając sposób bycia. - Bo widzi pan, najprawdopodobniej potrzebny nam będzie przy tej rozmowie mężczyzna - oznajmiła Olkowi z dziecięcą bezradnością w głosie.

- A, chętnie! - Olek rozparł się pomiędzy nami na krześle. - Jeśli panie potrzebują mediatora, to przyznam, że ja bardzo się do tego nadaję. - No więc? Słucham? - spojrzał na mnie przeciągle, łypiąc w bok oczami.

- No, właśnie... - zwróciłam się w stronę Ewy.

- No bo ja, proszę pana - od tej pory Ewa zwracała się już wyłącznie do Olka - dopiero co dowiedziałam się, że Fryderyk miał ten straszny wypadek. Martwiłam się o niego, dowiadywałam wszędzie - wdzięcznie pociągnęła nosem - a okazało się, że on wybrał się w te strony. Nie wiadomo po co i do kogo - tu wymownie spojrzała na mnie. - Więc ja nie będę dociekać, kto jest temu wszystkiemu winny, że nieboraczek teraz, z dala od najbliższych żegna się z życiem, a ja, jedyna osoba na świecie, która naprawdę go kocha, nie mogę być przy nim w tych strasznych chwilach i trzymać go za pokrwawioną dłoń. Gdyby on tylko wiedział, że tu jestem... W końcu dla niego porzuciłam studia, dom, przyjaciół! A jeżeli coś mu się stanie? Czy w tej sytuacji ktoś - tu Ewa znów spojrzała na mnie - nie powinien się poczuć do zadbania o przyszłość kobiety, którą on kochał nade wszystko...

- Och, nie dramatyzujmy, droga pani! - Olek przerwał jej tuż przed punktem szczytowym. - Sytuacja nie jest taka zła, na jaką wygląda!

- Naprawdę? - wyszeptała w uniesieniu.

- Naprawdę! Po pierwsze, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby pani trzymając ukochanego za pokrwawioną dłoń, mogła spędzać całe dni przy jego łóżku. Codziennie odwiedza go w szpitalu pani Gomorowa, mogłaby pani zatem zabierać się razem z nią. Po drugie...

- Ale ja, wie pan... - Ewa usiłowała coś powiedzieć, ale Olek nie dopuszczał jej do słowa.

- Wiem, nie spodziewała się pani takiej doskonałej wieści! Ale mam jeszcze lepszą: otóż, życiu Fryderyka nic nie zagraża, niedługo będzie go pani mogła zabrać do Krakowa i otoczyć czułą opieką. A co do studiów, to śmiało będzie pani mogła kontynuować naukę zaocznie, wynajmując na weekendy pielęgniarkę, choć pewnie sama by pani wolała wozić ukochanego na spacer, ale to tylko...

- Jak to? - Ewa wstała gwałtownie. - O czym pan mówi?

- Przekazuję pani dobrą wiadomość - powiedział Olek. - Tak się składa, że dysponuję samochodem. Mogę panią w tej chwili zawieźć do szpitala, domyślam się, że nie może się pani doczekać, żeby móc go zobaczyć ukochanego.

- Dziękuję panu - powiedziała Ewa, już teraz swoim zwyczajnym głosem. - Dam sobie radę sama.

Wyszła, nie czekając, aż ktoś odprowadzi ją do drzwi. Spojrzałam na Olka z podziwem i wdzięcznością.

- A teraz mów! - zażądałam niecierpliwie. - Rozkopałeś? I co?

- Cudowna kobieta - mruknął do siebie pod nosem Olek, patrząc na drzwi. - Ewa, w każdym ca-
lu!

- Co? Co ty mówisz?

- A, nic, rozkopaliśmy - zreflektował się szybko.

- Ale co mówiłeś o Ewie? - spytałam groźnie.

- Mogłaby stanowić alegorię kobiecości. Prawdziwa, biblijna Ewa! A swoją drogą ten twój mąż
musiał znacznie wcześniej uderzyć się w głowę!

- Olek! Jak możesz! Nie czepiaj się teraz Fryderyka! A jeśli chodzi o kobiety, to tak nas wi-
dzisz?

- Tak was widzę. W każdym razie widziałem wiele takich Ew w moim życiu. Są oczywiście
wyjątki - dotknął czubka mojego nosa. - Ale w ogólnej perspektywie niewiele to zmienia.

- Powinam się na ciebie obrazić - stanęłam pobieżnie po stronie mojej płci - ale nie mogę, bo
musisz mi opowiedzieć, jak było z tym grobem.

- Rozkopaliśmy go, razem z moimi dwoma osiłkami z Rapłowianki. Potem ich odesłałem i
otworzyłem trumnę.

- I co? No mówże! - nagliłam.

- Była... - Olek patrzył na mnie spod zmarszczonych brwi - wypełniona gliną, Ani śladu nie-
boszczyka. Ani kosteczki! Nic!

- Wiedziałam - szepnęłam do siebie. - Jak to zrobiłeś? Tak przy ludziach? W biały dzień?

- Owszem, w biały. Wykupiłem tę kwaterę od księdza. Co jeszcze mówiła ci wróżka? - zapytał
po chwili. Oczywiście, jak nie chcesz, to nie mów, ale może gdybyśmy razem się z tym borykali, było-
by łatwiej? Mnie też byłoby ci łatwiej pomagać, gdybym rozumiał, o co chodzi...

- Te wszystkie sny i wizje to wskazówki - powiedziałam z niejakim oporem. - Bo ja... Według
Sabiny mam tu pewne zadanie do wykonania. Muszę odnaleźć swoją córkę. To jest ta... dziewczynka z
moich snów. Wcześniej myślałam, że chodzi o ciebie...

- Wiem - powiedział spokojnie Olek. - Próbowałeś to ze mnie wyciągnąć, na tej ławce przy pa-
łacu, prawda?

- Właśnie - mieszałam się. - Czemu nie powiedziałaś, że się domyślasz?

- A dlaczego ty nie powiedziałaś, o co ci chodzi? - odpowiedział całkiem sensownym pytaniem.

- Nie wiem, może się bałam, że mnie wyśmiejesz... Nie wiem, nie byłam pewna, chciałam to
sprawdzić.

- Powiedziałbym ci, że to nie ja.

- A skąd mogłeś to wiedzieć?

- Bo chyba musiałbym to jakoś czuć, coś musiałoby mi chyba podszeptać, że ten Gawo to ja, skoro aż tak się pofatygowało, żeby nas razem usadzić na tej ławce.

- No tak - przyznałam - a teraz muszę poszukać mojej córeczki. Ona mnie potrzebuje, tak powiedziała wróżka - westchnęłam.

- I? Masz już jakiś pomysł?

- Żadnego, niestety. W dodatku nie mam nawet kiedy się nad tym zastanowić, ciągle dzieje się coś takiego, co zajmuje mój umysł.

- To całkiem proste, Magdaleno. Chodzi o Matyldę!

- stwierdził ot, tak sobie Olek.

- Co ty powiedziałeś??? Oszalałeś chyba! O Matyldę?

O stryjnę Matyldę? - pomyślałam, że żartuje sobie ze mnie.

- No, tak - stwierdził ze spokojem. - Sama odkryłaś, że ciotka jest ruda. Tak samo jak dziewczynka z twojego snu i Rossi, czyli ty. Akcja dramatu rozgrywa się w Rapałkach i najprawdopodobniej, jak wynika z twoich snów, w tym domu. Tutaj dręczył cię twój mąż, stąd wybiegłaś owej pamiętnej nocy i rzuciłaś się do studni, zostawiając małe dziecko. Kiedyś podobno Matylda wspomniała ci, że Ernestyna nie była jej prawdziwą matką. Kto więc nią był? Ja stawiam na Rossi. Popatrz, jak układają się fakty!

Spojrzałam na Olka zdumiona. Rzeczywiście, jak po sznurku, wszystko się zgadzało. Nawet to, że matka Matyldy pila. W moich snach widziałam się przecież zawsze z nieodłączną butelką w dłoni... No i ojciec, też wspominał, że ciotka nie jest jego rodzoną siostrą!

- No tak - zawahałam się mimo wszystko - brzmi to bardzo logicznie, ale czy w takim razie stryjna nie rozpoznałaby grobu własnej matki? Powiedziała przecież, że nie ma pojęcia, kto jest w nim pochowany.

- Ten twój dziadek to był zdaje się niezły mistrz kamuflażu. Skoro Rossi utopiła się w studni i on zdołał wmówić całej wsi jakąś inną wersję jej śmierci, a potem urządzić pochówek pustej trumnie, to nie wiadomo, jak przekazał to wszystko swojej córce. Skąd wiesz, jaką wiedzą na ten temat dysponuje Matylda?

- No, niby racja, ale nawet jeśli tak było, to co ja mogę? Mam zapytać ciotkę, czy nie wydaje się jej czasem, że jestem jej matką? I czego ode mnie potrzebuje, bo przyszłam właśnie z za świata, żeby spełnić jej trzy życzenia?

- To nie tak, Magdaleno - zaśmiał się Olek. - To wszystko jest proste, ale nie aż tak proste...

W ferworze rozmowy nie zauważyliśmy podjeżdżającej pod okno taksówki.

- To my już jesteśmy - z głośnym przytupem weszły do kuchni Matylda i teściowa. - Śniegu padało, co niemiara! Ledwo połowa listopada! - pokrzykiwała mamcia Gomorowa.

- Chyba jakieś dobre wieści macie, co? - spytałam, spoglądając na ożywioną teściową.

- Ano, dobre! Fryderyk się trochę przecknął. Doktor mówił, że może niedługo całkiem się wybudzi!

- No widzi ciocia? - poderwałam się z krzesła. - A nie mówiłam? Mnie przeczucie rzadko myli!

- Stawiaj no w takim razie wodę na herbatę - zakomenderowała ciotka - zagrać się trzeba i zjeść coś. A może i winka swojskiego ociupinkę, co? - trąciła łokciem teściową.

- Ano ja nie powiem, że nie - rozpromieniła się mamcia - pod te dobre słowo!

- O kurcze, Magda, zupełnie o tym nie pomyśleliśmy! Zaraz zadzwonię do Rapłowianki, to przywiozą coś na ciepło - zaoferował się Olek.

Trąciłam niezauważalnie ciotkę w łokieć, wskazując ruchem głowy na przyglądającą mu się teściową.

- A! Wy się przecież nie znacie - zorientowała się błyskawicznie Matylda - to jest nasz sąsiad, Jadziu, pan Latoszek. Pomaga mi w gospodarstwie i w ogóle...

- W czym się da - podłapał Olek. Nasze rodziny zawsze się przyjaźniły.

- Ja jestem Jadwiga Gomorowa, adwokatowa - skłoniła się godnie.

- To na co miałyby panie ochotę? - zwrócił się do niej Olek. - A zresztą, sam pojedę i wybiorę. Ja, niestety, nie będę paniom towarzyszył, obowiązki mnie wzywają - wycofał się zrezygnowanie.

Jedzenie było wyśmienite. Danie główne stanowił pstrąg z grilla w skórce miodowo-migdałowej, który zachwyił teściową do tego stopnia, że postanowiła od jutra stołować się w Rapłowiance. Nawet ciotka uznała, że jest „nienajgorszy”. Do tego przystawki, desery, napoje... Jedynym mankamentem tej królewskiej uczyty była pozostała po niej, cała góra brudnych naczyń.

- Wiesz ty co, Magduś - odezwała się stryjna po wyjściu teściowej - może poszłabyś ze mną jutro do sklepu?

- Jasne, chce ciocia jakieś większe zakupy zrobić?

- Nie... Ino do tego odzieżowego chciałam iść, co byłaś z Olkiem przed Wszystkimi Świętymi. Tam, gdzie sobie płaszcz kupiłaś.

- Dobrze, ciociu, oczywiście, że pójdziemy. Mam pomóc cioci coś wybrać?

- A bo widzisz - tłumaczyła zażenowana - jak czasem do tego szpitala z Jadźką jechać potrzeba będzie, to w tej mojej jesionce aż wstyd! A i botki jakieś może bym kupiła...

- To może i mamcią Gomorową ze sobą weźmiemy? Ona lubi taki eskapady, trochę się rozerwie.

- Ja tam wolę, żeby do moich zakupów nie wtrącała się. Ona ma gust jak przekupka!

- Ma ciocia rację - szepnęłam, nachylając się do niej konspiracyjnie. - Pójdziemy same. To może i do fryzjera byśmy się wybrały? - spojrzałam wymownie na jej fryzurę.

- Do fryzjera nie. Nie chcę - odmówiła kategorycznie.

Przyjrzałam jej się teraz uważnie: okrągła twarz bez jakichkolwiek zmarszczek, błękitne oczy i pełne usta sprawiały, że Matylda wyglądała całkiem młodo. Szczupła i energiczna, mogła przy niewiele zabiegach stać się całkiem interesującą kobietą. Zamknęłam oczy i spróbowałam w wyobraźni nałożyć na tę twarz buzię dziewczynki z moich snów. Ale te włosy...

- Ciociu, po co ciocia robi sobie te płukanki? - zapytałam, nie otwierając oczu. - Nie było by ci lepiej w naturalnym kolorze?

Matylda nie odpowiedziała. Kiedy na nią spojrzałam, dostrzegłam w jej oczach zaskoczenie i zmieszanie.

- No przecież wiem - kontynuowałam bezlitośnie.

- Wszędzie pełno flaszek z gencjaną i plam na ręcznikach. Czy ciocia wie, ile kobiety wydają kasy na farby? Dziś co trzecia baba jest ruda!

- Może i tak - powiedziała cicho - ale kiedy ja byłam młoda, było inaczej. Dużo się wycierpiałam przez te włosy. Tyle lat je malowałam i jakże teraz, na stare lata miałabym przestać?

- Sama mi ciocia mówiła, że ludzkiego gadania nie trzeba słuchać. Ja bym tam zmyła to pa-skudztwo i zrobiła jakąś uczciwą fryzurę.

Już dawno kusiło mnie, żeby zaproponować stryjnie zmianę wizerunku, teraz jednak sama stworzyła ku temu dogodną okazję. Kułam więc żelazo, póki gorące.

- No to jak? Idziemy do fryzjera? - kusiłam.

- Nie. Nie wiem... zastanowię się. Ale nie jutro - Matylda wahała się, a to już był dobry znak. Czyżby wizyta mojej teściowej tak na nią wpłynęła?

- A co tam u Fryderyka? Nic jakoś ciocia nie opowiada

- zmieniłam temat, widząc na jej szyi szkarłatny, gwałtownie postępujący ku górze rumieniec.

- Dobrze będzie, tak jak mówiłaś. I tak powiedział Jadźce lekarz. Ja tu teraz sprzątnę, jak chcesz, to idź ty się połóż - ciotka zaczęła zbierać ze stołu talerze, starając się cały czas ustawiać do mnie tyłem.

- Przecież pomogę cioci!

- Nie trzeba. Idź Magduś, odpocznij. Ja tu sobie pomalutku, po swojemu wszystko zrobię.

Nie nalegałam, widząc, że stryjna chce zostać sama. Ochlapałam się szybko w zimnej wodzie i zajęłam się zaczęta do południa lekturą. Teraz skojarzyłam, że nie powiedziałam teściowej o wizycie Ewy. Chociaż... może to i dobrze? Jeszcze polazłaby do Fryderyka i by mu zaszkodziło. - A! Pewnie, że dobrze - stwierdziłam w końcu.

- Niech go sobie dręczy, jak już będzie całkiem zdrowy.

Ciekawe, jak spodobał się ciotce? Przyszło mi do głowy, że przecież widziała go dzisiaj po raz pierwszy. - Nie, no o czymże ja myślę? - skarciłam się prędko. - Przecież on leży w szpitalu! Nieprzytomny, wymizerowany, niemal niepodobny do siebie! Dlaczego ja nie potrafię się tym nawet porządnie

zmartwić? - próbowałam zrozumieć swój bezemocjonalny stosunek do stanu zdrowia mojego męża. - Przecież nie dlatego, że jestem jakaś nieczuła żoła! Wy tłumaczyłam sobie, że to z powodu dziwnego przekonania, że Fryderyk wkrótce wróci do zdrowia...

Matylda... - pomyślałam teraz o ciotce, starając się wyobrazić sobie jutrzejsze zakupy. Patrzyłam bezmyślnie w książkę, zaczynając po raz kolejny to samo zdanie.

- A niech to! - rzuciłam ją w końcu na półkę i przestałam się oszukiwać, że czytam. Podałam się całkowicie bezładnym myślom. Spróbowałam poczuć się matką Matyldy, zobrazować to sobie jakoś... Owszem, znajdowałam w sobie od czasu do czasu nowe uczucia dla niej, jakich nigdy wcześniej nie miałam: czułość, troskę, poczucie odpowiedzialności i chyba... miłość! - ale czy to były przejawy instynktu macierzyńskiego? Bawiłam się całą tą sytuacją na zasadzie: co by było gdyby... Nie! To jakaś bzdura - doszłam w końcu do wniosku. Co z tego, że wszystko się układa? Z Cyganem też mi się układało. I co? I nic! Zresztą, gdyby to tak właśnie miało być, znalazłabym jakiś znak, dowód. Jak ten łańcuszek w pałacu... Wróżka mówiła, że jak już znajdę tę córkę, to będę wiedziała. No to poczekam... - ziewnęłam szeroko - na jakiś znak...

* * *

Prask! Prask! Prask! - usłyszałam niecierpliwe stukanie w okno. - Kto tam znowu? - spytałam sennie. - Nigdzie nie pójde! Spać mi się chce - uprzedziłam wołanie mojej nocnej mary. Prask! Prask! - zastukało znowu. - Nie słucham! - krzyknęłam w stronę okna i narzuciłam pierzynę na głowę.

- To ja, Magdaleno - usłyszałam stłumiony głos Fryderyka.

- Jeśli to sen - wymamrotałam leniwie - to odejdz, proszę i pozwól mi spać. A jeśli nie, to wejdz jak człowiek i nie hałasuj.

- Nie mogę. To dom twojej ciotki.

- A ja ci mówię, że możesz. Dom jest ciotki, a ciotka jest moja.

- Nie. Ona musi wyrazić zgodę. A wtedy zaprosz mnie do stołu...

Odkryłam głowę i usiadłam na łóżku.

- Fryderyku! - zawołałam w stronę okna. - Hej, jesteś tam?

- To niemożliwe przecież - szepnęłam do siebie. - To musiał być jeden z moich durnych snów. Jest środek nocy, Fryderyk leży w szpitalu, nie mógł tu być. Ułożyłam się z powrotem na łóżku z zamiarem przespania reszty nocy bez żadnych zakłóceń. Moje życzenie spełniło się do tego stopnia, że kiedy otworzyłam oko, dochodziła jedenasta.

O w mordę! - zarwałam się na równe nogi. Obiecałam ciotce zakupy!

- No niechże ciocia przymierzy, co to cioci szkodzi! - nalegałam, zdejmując z wieszaka eleganckie, beżowe spodnie.

- Gdzież ja, stara baba w spodniach chodziła będę! - protestowała słabo.

- Boże mój - traciłam powoli cierpliwość - jaka znowu stara? Ciociu! Widzi ciocią tę ekspedientkę? - wskazałam dyskretnie na stojącą przy drzwiach kobietę. - Założę się, że ma co najmniej tyle lat co ciocia i że dwa razy tyle kilogramów. Widzi ciocia? Wbiła się w dzinsy i zadowolona.

Jakby na potwierdzenie moich słów ekspedientka uśmiechnęła się do nas promieniście.

- No dobra, przymierzyć mogę - podreptała z ociąganiem do przymierzalni.

- Mogę? - spytałam po chwili przez kotarę. Ciotka odsłoniła ją bez słowa.

- Bomba! - wymknęło mi się nieco zbyt głośno. - Niejedna nastolatka chciałaby mieć taką figurę! No i co? Niech ciocia tylko powie, że nieładnie!

- Właściwie... nienajgorzej - przyznała bez entuzjazmu. - No, ale przecież...

- Jeszcze to - przerwałam jej, wsuwając do kabiny rękę z kaszmirowym sweterkiem.

Stryjna spojrzała na mnie z niechęcią, ale przymierzyła. Wyglądała rewelacyjnie. Jakby nie ta archaiczna fryzura, byłaby z niej naprawdę całkiem apetyczna babka. Gdybym nie widziała na własne oczy tej metamorfozy, nie byłabym w stanie nawet wyobrazić sobie takiej Matyldy.

- Bierzemy! - zdecydowałam. Ciotka nawet nie usiłowała protestować. W duchu pewnie poprzysięgła sobie, że nigdy tych rzeczy nie założy. Kiedy zdejmowała sweter, przez ułamek sekundy mignęła mi przed oczami podłużna, czerwona blizna poniżej prawej łopatki.

- O! Co się cioci stało? - odruchowo dotknęłam tego miejsca.

- To stara pamiątka - westchnęła. - Nie ma o czym mówić.

- Ja płacę - oznajmiłam przy kasie. - To prezent, ciociu! - dodałam z naciskiem. Już trzeci miesiąc siedzę ci na głowie, jeżeli mi odmówisz, to... się rozplacę! - zagroziłam.

Ciotka odsunęła się na bok i bez szczególnych emocji przyglądała się, jak ekspedientka pakuje zakupy do toreb.

- Jedną chwileczkę - coś przyszło mi do głowy, kiedy zaczęła nabijać na kasę należność.

Rzuciłam się między wieszaki i złapałam jeszcze kurtkę, którą ciotka uznała za zbyt młodzieżową, botki, które uznała za zbyt ekstrawaganckie i kostium, o którym się wyraziła, że jest zbyt elegancki. Położyłam to wszystko na ladzie, spoglądając na wszelki wypadek groźnie na Matyldę.

- Wiesz, Magduś? - powiedziała już w domu, kiedy jeszcze raz wszystko dokładnie przymierzyła. - Bardzo ładne są te wszystkie rzeczy, dobrze leżą i w ogóle, ale ja nie wiem, czy się w to kiedyś ubiorę... Bo i gdzie?

- Już ja ci powiem, kiedy i gdzie - od wczoraj zaczęłam zwracać się do ciotki w pierwszej osobie. - Jutro, do szpitala. Zresztą po to chyba chciałaś kupić nowy płaszcz, czyż nie?

- Płaszcz i owszem, ale nie takie... frajcymany!

- Co? - roześmiałam się.

- Mój ojciec tak mówił. Na różne takie... wyuzdane stroje.

- Te akurat nie są wyuzdane. Są eleganckie i liczę na to, że jutro włożysz coś z tych rzeczy.

- Nie, Magduś. Nie jutro!

Domyśliłam się, że Matyldzie chodziło o mamcię Gomorową. Rozumiałam ją, teściowa z pewnością opatrzyłaby odpowiednim komentarzem tę nagłą odmianę ciotki. Skoro więc nowe ciuchy miały sprawić Matyldzie przyjemność, a nie przykrość, przestałam się upierać.

Nazajutrz rano Matylda włożyła starą jesionkę w jodełkę, beret i spojrzała na mnie niepewnie.

- W porządku, na razie ci odpuszczę - mrugnęłam do niej - dla dobra mojej drogiej teściowej. Ległaby na twój widok rażona palpitacją z zazdrości, a póki co powinna opiekować się synem.

- Co też ty za herezje opowiadasz, dziecko! - sarknęła Matylda z udanym oburzeniem. - O! Jest, podjechała! - zerwała się na widok zajeżdżającej pod furtkę taksówki.

- Masz, ciociu - wsunęłam jej w rękę sto złotych - dzisiaj ty zapłać, ode mnie.

- Nie, Magduś... - zaprotestowała - a jak się tobie pieniądze skończą? Może ty musisz teraz oszczędzać?

- Jak się skończą, to sięgnę do innego źródelka. Ciągłe jeszcze mamy z Fryderykiem wspólne konto - szepnęłam jej do ucha, widząc, że teściowa wysiadła z samochodu i zmierza w stronę domu.

- Już idę, Jadzia! - krzyknęła ciotka, sądząc, że teściowa biegnie ją ponaglić.

- A, nie! Zaczekaj Matyldo! I ty Magdaleno! Muszę się was o coś zapytać - sapała, dobiegając do drzwi.

- Wczoraj wydawało się mnie, że widziałam Ewę. Nie widziałyście jej i wy czasem?

- A bo co? Pewnie mama powiadomiła ją o wypadku Fryderyka, to nic dziwnego, gdyby się zjawiała - odpowiedziałam podstępnie.

- A kiedyżesz właśnie, że nie! - wzburzyła się teściowa. - Po co miałbym ją powiadamiać, kiedy ona zerwała z Fredziem listownie. Tuż po jego wyjeździe!

- Tuż po wyjeździe? To znaczy, że on o tym jeszcze nie wie! Tak? A mama i owszem!

Wwierciłam się w nią jaszczurczym wzrokiem. Teściowa nigdy nie potrafiła pojąć, że czytanie korespondencji członków rodziny jest czymś równie niedopuszczalnym, jak czytanie listów adresowanych do obcych ludzi.

- Otworzyłam, to w końcu do mojego syna było! Myślałam, że coś się wyjaśni, gdzie on jest - dodała szybko, czując na sobie moje palące spojrzenie. - Masz, czytaj! - wyjęła z torebki wymiętą kartkę.

W tej sytuacji i ja się rozgrzeszyłam, prześlizgując się wzrokiem po tych kilku, pospiesznie skreślonych zdaniach.

- Wygląda na to, że to raczej on się jej pozbył - skomentowałam pod nosem. - Całkiem sprytnie, panie radco!

- Że co? - niedosłyszała moich słów teściowa.

- A, nic takiego! Mam nadzieję, że mu o tym nie powiecie. - Narzeczona z nim zerwała - wyjaśniłam ciotce.

- No pewnie, że nie - przytaknęła gorliwie teściowa.

- Przecie nic mu do tej pory nie mówiłam!

- No to już jedźmy Jadzia, taksówka stoi na próżno - zniecierpliwiła się Matylda.

Właściwie wcale nie odpowiedziałam na jej pytanie! - uzmysłowiłam sobie, kiedy samochód zniknął mi z oczu. - I dobrze, przynajmniej nie musiałam kłamać!

Weszłam do domu i zastanowiłam się, co też dziś będę robić? Miałam mnóstwo wolnego czasu i żadnego towarzystwa. Nad ranem przyszedł SMS od Olka, że wypadł mu niespodziewany wyjazd w interesach i że wróci dopiero za trzy dni. W tej sytuacji postanowiłam pójść na długi, samotny spacer. Zjadłam na stojąco kawałek chleba z serem, obmyślając w tym czasie trasę mojej wycieczki. Włożyłam ciepłą kurtkę, kozaczki na płaskim obcasie i udałam się na cmentarz. Na wszelki wypadek zabrałam ze sobą znicz.

Grób Rossi Kraft wyglądał jak nietknięty. Jedynym śladem jakichkolwiek zabiegów był wyjątkowy porządek dookoła i wyczyszczona płyta. Zapaliłam znicz i wpatrzyłam się w jego nikły płomyk.

- Ciotka nie mogłaby nie wiedzieć, gdyby tu leżała jej matka - doszłam do takiego wniosku. Gdyby wiedziała, nie przeszłaby koło niego tak obojętnie. Jej rodzinne zdolności do mataczenia miały swoje granice, nad „grobem” mojego ojca wymiękła i tu byłoby tak samo - dedukowałam. Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

- No to Magdaleno - powiedziałam do siebie, wstając - jeden punkt na minus, że jesteś matką swojej ciotki. Pacierze za dusze babci i dziadka odmówiłam zaocznie, w słusznym zapewne mniemaniu, że nie będę w stanie odnaleźć ich grobów. Wyszłam powoli z cmentarza i ruszyłam dalej, starając się w miarę możliwości poruszać po obrzeżach wsi - panował tu bowiem nieodmienny zwyczaj pytania każdego napotkanego człowieka, dokąd idzie i po co.

- Dzień dobry, Magdaleno - usłyszałam za sobą czyjeś kroki. - A gdzież to się wybierasz, tak sama? - to był Władek Meleszko, posterunkowy, który pomagał teściowej w zlokalizowaniu Fryderyka. Gdyby nie był w mundurze, miałabym pewne trudności z domyśleniem się, kim jest ten brzuchaty muminek.

- Spaceruję sobie - odpowiedziałam beztrosko - delektuję się wiejskim klimatem!

- Na cmentarzu? - zdziwił się Władek.

Teraz ja się zdziwiłam. Ani na cmentarzu, ani w najbliższej okolicy nie widziałam przecież nikogo.

- Owszem, też - odpowiedziałam pozornie beztrosko - tam oprócz klimatu jest jeszcze odpowiednia atmosfera.

- Ano, jest - przyznał Władek. - Ale jaka, jeśli można wiedzieć?

- Duchowa, oczywiście!

- A, tak. Duchowa, tak! - zgodził się.

- A ty? - zagałam uprzejmie. - Tak prywatnie, czy służbowo przechadzasz się?

- Tak, wiesz, ogólnie penetruję... czy ktoś gdzieś bójkę nie wszczyna, mienia nie niszczy, kradzieży nie dokonuje... Ażeby obywatel w Rapalkach bezpiecznie się czuł!

- Tak rano by już ktoś wszczynał? Nie za wcześnie?

- No nie, jeśli już, to pod osłoną nocy raczej. Ale jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg tuczy! - wypiął dumnie pozostającą kategorycznie na drugim planie pierś.

- To bardzo miłe, że tutejsza policja tak dba o bezpieczeństwo mieszkańców. Ja osobiście bardzo to doceniam - podałam mu rękę - teraz muszę się, niestety, pożegnać. Zajdę jeszcze do domu po czapkę i szalik przed dalszym spacerem. Jest chłodniej, niż przypuszczałam.

Władek wyprężył się w miarę swoich fizycznych możliwości i mocno uściśnął moją dłoń.

- Oczywiście. Jak najbardziej! W każdym razie, jakbyś miała jakikolwiek problem w zakresie przestępczości, służę interwencją.

Wbiegłam do domu i na wypadek, gdyby posterunkowy zapragnął monitorować z ukrycia moją prawdomówność, włożyłam na głowę zielony beret ciotki i okutałam się pasiastym szalem. Wolnym krokiem, rozglądając się na wszystkie strony, ruszyłam ścieżką w górę. Przy kapliczce ze świętym Antonim pomodliłam się za zdrowie Fryderyka, cały czas uważnie lustrując jego natchnioną twarz.

- Nic mi dziś nie powiesz? - szepnęłam rozczarowana.

- A ja tak bardzo potrzebuję twojej rady! Trudno! - westchnęłam.

- A ty? - zwróciłam się do studni. - Głos ci odebrało? Wrzeszczeć po nocach, budzić mnie i straszyc to jesteś pierwsza, ale jak człowiek po uczciwe słowo do ciebie przyjdzie, to ty nie!

Podeszłam bliżej. Nie bałam się już tak bardzo, mając świadomość, że jest wypełniona po brzeży ziemią. Mimo to, kiedy zbliżyłam się do studni na pół kroku, wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi zimny dreszcz. Pochyliłam się ostrożnie i zajrzałam do środka. Trawa! Tak jak przedtem, z tą różnicą, że teraz pokryta była cienką warstwą śniegu.

- Hej! - krzyknęłam. - Hej! I co ty na to wszystko? Gdzie jest moja córka?

Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Nic! najłżejszego szelestu.

- No więc, Magdaleno - wyciągnęłam kolejny wniosek - drugi punkt na minus. Ciotka to tylko ciotka!

Spojrzałam na zegarek: było piętnaście po jedenastej.

- No to ruszamy dalej - zarządziłam. Ten punkt mojego planu wymagał intensywniejszych zabiegów, a przede wszystkim znalezienia taksówki. W Rapalkach nie było regularnego postoju, taryfy plątały się tu jak chciały w poszukiwaniu klienta.

Była szansa, że trafię jakąś w pobliżu knajpy Olka albo w okolicy któregoś sklepu. Idąc przez ruchliwe o tej porze centrum wsi pochwaliłam siebie za skompletowanie tak oryginalnego stroju. Naciągnęłam beret na oczy, resztę twarzy owinęłam szalem i w takiej charakterystyce wyruszyłam na poszukiwanie taksówki. Miałam szczęście: pod Rapłowianką stały aż trzy. Wyciągnęłam rękę, aby otworzyć drzwi pierwszej z brzegu, kiedy naparła na mnie fala mdlących perfum skoncentrowanych na pstrokatym futrze.

- Przepraszam, dobra kobieto, ale my byliśmy pierwsi - usłyszałam jakby znajomy głos.

Uniosłam kciukiem beret znad prawego oka, by zobaczyć, z czego się wydobywa. To była... panna Ewa Pyrciówna! Uwieszona u ramienia Jędrka Jędrzejka merdała do niego rzęsami. Poznałam go natychmiast: wysoki, chudy, z dużym, garbatym nosem, niemal wcale się nie zmienił. W dzieciństwie nie miał tylko złotych zębów, reszta była dokładnie taka sama, tyle, że odpowiednio większa. Wkurzyłam się mocno.

- O, nie, paniusiu! Ja tu byłam pierwsza! - zaprotestowałam piskliwie.

- Jędrus! - pożaliła się swojemu towarzyszowi. - Ewuniek chce jechać audikiem! Niech ta baba jedzie sobie tym brzydkim oplem!

- Moja droga - odciągnął mnie na bok Jędrzejek - macie tu, o! - wsadził mi w rękaw całą stówę. - Macie i odstapcie. Co wam to szkodzi? Moja dama audikiem chce jechać.

Odsunęłam się od samochodu i przez dłuższą chwilę nie mogłam ochłonąć z wrażenia. - No, dobra! - chuchnęłam w wyjęty z rękawa pieniądz. - Ostatecznie mogę jechać oplem.

- Dzień dobry - przywitałam się z kierowcą. - Do pałacu Kraftów proszę. Wie pan, gdzie to jest? - spytałam, demontując moje przebranie.

- Robi się - odpowiedział, ruszając wolno. - Zimno dziś, nie? - rzucił okiem na potężny zwój materiału, który trzymałam teraz na kolanach.

- Zimno, ale niezły dzień na spacer.

- A pani turystka? Z daleka?

- W pewnym sensie - nie chciałam się dekonspirować.

- Z Krakowa.

- A! Ładne miasto, bardzo ładne. Od dawna pani w naszych Rapałkach?

- No, chyba raczej od dawna. Tak gdzieś od połowy września - pomyślałam, że jak na wizytę turystyczną dwa miesiące to jednak dość długo.

- O! - zdziwił się kierowca. - A ja ani razu pani nie widziałem! A przecież codziennie się po wsi kręcę - przyglądał mi się obcesowo.

- To całkiem możliwe, proszę pana, bo ja tak bardziej na obrzeżach stacjonuję, do centrum zachodzę rzadko - wytłumaczyłam.

- Na obrzeżach? - dociekał taksówkarz. - A u kogo, można wiedzieć?

- U... - zawahałam się przez chwilę, czy nie skłamać - u Matyldy Janiszowej.

- Coś podobnego? - spojrzał na mnie z niedowierzaniem. - Czyżby panna Matylda zdecydowała się wreszcie wejść w agroturystykę?

- Nie sędzę, proszę pana - nie chciałam konfabulować na temat ciotki - to raczej tak, w drodze wyjątku. A pan dobrze zna panią Janiszową? - postanowiłam teraz dla odmiany poodpytywać jego.

- W tej samej wsi przecież mieszkamy, proszę pani. Całe życie! - rzucił stwierdzeniem, które miało mi wystarczyć za odpowiedź. - Och, piękna to była kiedyś dziewczucha, bardzo piękna! A wie pani? - uśmiechnął się nieśmiało.

- Kochałem się w niej nawet. Ona, jak to mówią, panną na wydaniu wtedy była.

- To pan pewnie dobrze znał całą rodzinę Janiszów? - kusilo mnie, żeby wyciągnąć z taksówkarza jakieś informacje. - Rodziców pani Matyldy, rodzeństwo...

- Ano, więcej ze słyszenia, niż tak osobiście. Ten ojciec jej to był podobno ostry gość, wszystko w domu trzymał żelazną ręką. Ona, Matylda, kawalera jakiegoś miała, ale jemu nie przypasował, to go przepędzili z synem na cztery wiatry. Gdzieś tam potem zginął, czy się zabił, w każdym razie Janiszówna do dziś po nim żałobę nosi. Przyznam się pani, że mnie to nawet czasem kusi, żeby do niej z flaszeczką ruszyć. Ale ona tak się nosi, że jak to mówią, bez kija nie przystąpi! No to i została sama!

- A co na to jej matka? Nie mogła wziąć strony córki?

- Poczciwa Ernestyna? Widać nie mogła albo odwagi nie miała. Bo może by stary Janisz przepędził i ją!

- A wie pan? Mnie się gdzieś o ucho obilo, ale nie pamiętam gdzie - udałam głębokie zamyślenie - że ta Ernestyna nie była prawdziwą matką Matyldy. Że była drugą żoną pana Janisza.

- Tak pani mówi? - taksówkarz spojrzał na mnie z niedowierzaniem. - A wie pani - zastanowił się - i ja coś takiego słyszałem kiedyś, ale czy ja wiem? Raz tylko ktoś mnie to mówił, ale kto, już nie pamiętam. Po mojemu to równie dobrze może być plotka, jak i prawda. Ale jakby prawda była, to może by się więcej o tym we wsi słyszało.

- Bardzo sympatycznie się z panem rozmawia - uśmiechnęłam się przymilnie, szykując się do ostatniego pytania. Zastanawiałam się, jak daleko mój rozmówca będzie skłonny wejść na plotkarski grunt.

- A niech mi pan jeszcze powie, czy Ernestyna... no wie pan... - nie bardzo wiedziałam, jak to ująć - czy ona zaglądała do kieliszka?

Kierowca spojrzał na mnie i uśmiechnął się szeroko.

- Słyszała pani pewnie o słynnych nalewkach babci Ernesty, co? Szkoda, że Matylda nie przejęła rodzinnej tradycji. Mistrzostwo! - mlasnął z uznaniem. - Orzechówka, wiśniówka, miodówka! A jakie winka! Umm... - rozmarzył się. - Cały nasz przemysł nie umywa się do jej wyrobów.

- No tak, słyszałam - poczułam się w obowiązku potwierdzić jego słowa - podobno rzeczywiście, świetne były.

- Ale czy ona sama, że tak powiem, korzystała z tego dobrodziejstwa?

Taksówkarz rzucił mi zdziwione spojrzenie.

- No, a jak nie? Przecież musiała próbować tego wszystkiego. Ja nawet myślę, że ona na niezłym rauszu musiała chodzić codziennie.

- No to jesteśmy w domu - mruknęłam pod nosem. Stąd najwyraźniej stwierdzenie Matyldy, że jej matka była pijaczką.

- Słucham? - kierowca nachylił się w moją stronę. - Nie dosłyszałem. Chce pani do domu?

- A wie pan? Rzeczywiście. Możemy zawrócić, nie chce mi się już do tego pałacu.

- Klient, nasz pan! - skomentował krótko i wycofał samochód na pierwszej leśnej drodze.

- Ta rozmowa... rozumie pani - powiedział, kiedy dojechaliśmy z powrotem do Rapałek - to tak między nami była, no nie?

- To oczywiste - potwierdziłam skwapliwie. - I mam nadzieję, wzajemnie.

Taksówkarz położył palec na ustach i uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Ile się należy? - spytałam sięgając po torebkę.

- Pięćdziesiąt złotych - oszacował, nie patrząc na licznik.

- Proszę - podałam mu stówę, którą dostałam od Jędrzejka w charakterze łapówki. - Reszty nie trzeba.

- Nie trzeba? - upewnił się.

- Nie trzeba. Dziękuję za miłą przejażdżkę.

Wysiadłam szybko z samochodu i ślizgając się od czasu do czasu, zbiegłam w dół, zatrzymując się dopiero na drewnianej furtce.

- No więc - podsumowałam w myśli wynik dzisiejszego rekonesansu - trzeci punkt na trzy, że Matylda nie jest moją córką.

Otrzepałam w sieni buty ze śniegu i teraz dopiero poczułam, jaka jestem głodna. W kuchni, zastałam Matyldę i teściową. Obie miały jakieś nieszczęgólne miny.

- Co się stało? - spytałam, natychmiast zapominając o pustym żołądku. - No, mówcie, wyglądacie, jakby spadło na was jakieś nieszczęście.

- A bo i spadło - odezwała się teściowa - telefonogram ja u sołtysa miałam. Do Krakowa pilnie pojechać muszę. Coś mnie tam w kaloryferach pękło i mieszkanie zalało. Jak Kałdowa przysłała kwiatki podlać, to dywan z przedpokoju na klatkę wypłynął. Stróż coś tam niby zabezpieczył, Malwina uprzątnęła, jak mogła, ale przecie zima idzie, nie mogę bez centralnego zostać!

- No to niech mama jedzie, my się tu będziemy codziennie dowiadywać o Fryderyka i dzwonić do mamy. Prawda, ciociu? - zwróciłam się do Matyldy.

- I ja tak mówię - poparła mnie nieśmiało ciotka. - Przecież my się tu wszystkim zajmiemy.

- Ale teraz? Teraz akurat muszę jechać, jak Fryderyk przytomność odzyskał? - pytała teściowa z goryczą w głosie.

- Fryderyk odzyskał przytomność? - usiadłam z wrażenia. - To czemu nic nie mówicie?

- No przecież ci mówię! Gadałyśmy z nim, tak jak teraz z tobą. Słaby tylko bardzo jest - westchnęła - i teraz, kiedy bym go odkarmić trochę mogła, smakołyków mu jakich zawieźć, to muszę jechać. A obiecałam mu jutro mandarynek kupić...

- To ja mu kupię i zawiozę - zaoferowałam.

- Lepiej może nie... - teściowa spojrzała na mnie niepewnie.

- No przecież nie może mama być równocześnie tu i tam - próbowałam ją przekonać. - Uwinie się mama z tymi kaloryferami raz-dwa, albo zleci komuś i za trzy dni będzie mama z powrotem. - Aha! - przypomniało mi się teraz. - Rozumiem. Jako skonfliktowana małżonka nie powinnam go odwiedzać.

- Spotkałam dzisiaj Ewę - zoczyła z tematu teściowa. - To jednak wtedy ona była, przyjechała tu szukać Fryderyka. No i widzisz? - spojrzała na mnie z satysfakcją. - Jak się dowiedziała o jego wypadku, to taki szmat drogi przyjechała!

- Powiedziała jej mama, że wraca do zdrowia?

- A jak! Taić chyba nie będę!

- Jak ona się do niego wybierze, to zaszkodzi mu bardziej, niż ja. Zobaczy mama! - zdenerwowałam się. - To już lepiej niech jedzie ciotka.

- Pojechałabyś, Matyllda? Co? - spytała teściowa z prośbą w głosie.

- Ano, pojedę - zgodziła się. - Pewnie, że pojedę.

Teściowa spojrzała na zegarek i zaczęła szukać czegoś gwałtownie w torebce.

- Masz tu - położyła na stole trzysta złotych - na przejazd, no i zawieź mu jakich owoców, szyneczki, ciastek... Ja bym w takim razie jeszcze dziś pojechała, pociąg mam o dziewiętnastej, w sam raz zdążę się spakować.

- Mama to zabierze - wcisnęłam jej z powrotem banknoty do torebki - ja mam pieniądze.

- Dziękuję wam. I tobie... Matylldo... za wszystko! - wydusiła z siebie z trudem. - To ja będę się zbierać, dzwońcie co dzień.

- Spokojnie mamó - uściśnęłam mocno jej dłoń - może mama jechać, bez obawy. Zadzwońię jutro zaraz po wizycie.

XI.

Dziecko z pudełka z bombkami

No i? - spytał Olek, podsuwając mi krzesło. - Opowiadaj, jak było, jak mnie nie było. Tak jak sobie obiecałam, zaraz po jego powrocie zasugerowałam, żeby zaprosił mnie na obiad do „Rapłowianki”.

- Kiepsko - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. - Matyldy też nie było po całych dniach, ponieważ z upoważnienia mamci Gomorowej odwiedzała codziennie mojego męża. Bo on odzyskał przytomność, wiesz?

Olek spojrział na mnie pytająco.

- A, bo jej coś tam pękło i musiała pilnie wyjechać. Dostała telegram od koleżanki - wyjaśniałam.

- Co jej pękło?

- Czy ja wiem? Jakaś rura, czy coś... Czy to takie ważne? - niecierpliwiłam się. - Pękło i zalało mieszkanie. Istotniejsze chyba jest to, że Fryderyk wraca do zdrowia. Mnie, jako czynnikowi szkodliwemu nie wolno na razie się z nim widywać, więc teściowa poprosiła Matyldę. Ach! - złapałam gwałtownie Olka za rękę. - Mówię ci, nie uwierzysz, jak nie zobaczysz! Ciotka zmieniła image!

- Znaczy się co, zlikwidowała z głowy ten hełm strażacki?

Właśnie miałam się rozwieść nad przemianą Matyldy, kiedy usłyszałam znajome podzwanie, zwiastujące zbliżanie się kelnerki. Zabrałam Olkowi z ręki kartę menu.

- To! - stuknęłam palcem w zestaw, który ostatnio jadłam u ciotki.

- Nie chcesz tym razem spróbować czegoś innego? - spytał Olek, zaglądając mi przez ramię.

- Nie. Coś innego może jest i dobre, ale to jest dobre na pewno.

- I? - spytał Olek po odejściu kelnerki. - Co z tą ciotką? Opowiedz, jak wygląda, bo może jej teraz nie poznam?

- Fryzurę ma nadal tę samą, jeśli ci o to chodziło. I w ogóle jest taka sama, bo ona zmieniła image, że tak powiem, w zawieszeniu.

- To znaczy?

- To znaczy nakupiła różnych wystrzałowych ciuchów, które tymczasem leżą w szafie.

- Aha - powiedział z lekkim rozczarowaniem w głosie.

- No, a ty? Co porabiałaś?

- A ja... włóczyłam się trochę i rozmyślałam.

Wspomniałam mu o mojej eskapadzie na cmentarz, do studni i niedokończonych przejażdżce do pałacu. Opowiedziałam do jakich doszłam wniosków i jaką drogą. Olek słuchał uważnie, od czasu do czasu marszcząc brwi.

- Tak więc - podsumowałam w jednym zdaniu - ciotka to tylko ciotka.

- I jak? Ulżyło ci teraz? - zapytał w końcu.

- A żebyś wiedział! Odczułam sporą ulgę.

- Wiesz czemu? Bo znalazłaś takie wytłumaczenie, jakie ci najbardziej odpowiada - powiedział, bawiąc się kartą.

- No wiesz? - oburzyłam się. - To były całkiem... obiektywne refleksje! Oparte na logicznej dedukcji! Nie widzisz, jak mi się to wszystko gładko ułożyło?

- Ułożyło! - stwierdził sarkastycznie. - Tak samo, jak ci się ułożyło z Cyganem.

Olek użył dokładnie tego samego argumentu przeciw moim wywodom, jakiego ja użyłam przeciwko jego teorii.

- W takim razie - oznajmiłam, robiąc przed sobą miejsce dla nadchodzącej kelnerki - ja już w ogóle nie będę się tym zajmować. Zawsze, kiedy próbuję jakoś wziąć sprawy w swoje ręce, milkną wszelkie głosy, kończą się wizje i prorocze sny. Kiedy nie robię nic, a nawet unikam tych wszystkich... znaków, pojawiają się jeden za drugim.

- Może masz rację - zastanowił się Olek. - W takim razie zrób teraz unik i chodź ze mną do kina. Chyba nic już nie stoi na przeszkodzie?

- Do kina? Dzisiaj? Czy ja wiem... - jakoś nie wzbudziło to mojego entuzjazmu.

- Sama chciałaś przecież, żebym zaczął przejawiać inicjatywę. Pragnę zaznaczyć, że właśnie przejawilem.

- No cóż, w takim razie nie możemy nie jechać - uśmiechnęłam się do niego - to byłoby... niewychowawcze!

* * *

- Dobre kino nie jest złe - oznajmiłam, kiedy Olek podwiózł mnie wieczorem pod dom. - Było fajnie, naprawdę. Jeszcze całkiem niedawno wkurzały mnie filmy o miłości, wiesz? - spojrzałam na niego spod przymkniętych powiek.

- A teraz? - zapytał z dziwnym półuśmiechem.

- A teraz... przerzuciłam je z działu „fantasy”, do działu „reality”...

- Magda... - Olek ostrożnie ujął w dłonie moją twarz.

- Wejdiesz na chwilę? - złapałam gwałtownie za klamkę. - Dawno nie widzieliście się z Matyldą.

- Raczej nie, ciotka chyba ma gości - zapanował szybko nad swoim głosem.

Spojrzałam w stronę poruszających się na tle firanki cieni.

- A któż to może być? - myślałam głośno. - Wygląda na to, że teściowa wróciła. - No to pa! - cmoknęłam Olka w policzek i popędziłam ku domowi.

Rzeczywiście, ktoś był u ciotki i to nie tylko sama teściowa. Już w sieni zdołałam rozróżnić trzy głosy, a ściślej mówiąc... wrzaski! To, co rozgrywało się za drzwiami kuchni było niewątpliwie potężną awanturą. Postanowiłam, że zanim tam wejdę, rozeznam się nieco w temacie.

- Już ty raz nieszczęście na moją rodzinę sprowadziłaś! - krzyczała moja teściowa. - Przez ciebie zabił się mój brat, jakby nie ty, żyłby do dzisiaj!

- Całym życiem swoim to odpokutowałam, Jadzia - mówiła cichym głosem ciotka. - Całym życiem! A ty, nigdy nie uderzyłaś się w pierś? Co?

- Ja? Ja? - zaperzała się teściowa. - A czemuż to niby? Ja sobie parobka dla zabawy uwiodłam? Włóścianka jedna, pani na całą wieś, co jej wszystko wolno!

- A pomyślałaś ty kiedyś Jadzia - teraz ciotka podniosła głos - że jakbyś nas nie szpiegowała i nie donosiła mojemu ojcu, to też by może żył? Co?

- Ja... zrobiłam, co do mnie należało! Wedle mojego sumienia!

- I co? Nic ci to twoje sumienie nie powiedziało, kiedy Stasiu zginął? Całkiem nic? Jaka ty zakłamana Jadzka jesteś, przewrotna do cna! - powiedziała ciotka z goryczą w głosie.

- Tak? Jakaś taka prawa, to ty się teraz od mojego synka odczep! - warknęła teściowa.

- No właśnie - usłyszałam teraz trzeci głos - wstydu pani nie ma, czy co? Mówię mamusi, jak go za rączkę trzymała, a jak w oczki patrzyła! Dobrze, że weszłam, bo nie wiadomo, do czego by to doszło!

Ze zdumieniem odkryłam, że ten głos należy do Ewy! Jak to możliwe? Widać jednak pojechała do szpitala, zastała tam Matyldę i teraz przysłała siał zamęt.

- Mówię mamusi - wywodziła dalej - ckliwiła się do niego, aż obrzydliwość brała! Jego też ma zamiar uwieść, zobaczy mamusia! Dla pieniędzy, oczywiście, żeby wyrwać się z tej... lepianki!

To, co usłyszałam, w zupełności mi wystarczyło. Pchnęłam z impetem drzwi i wkroczyłam do środka.

- Dobry wieczór paniom - przywitałam się kulturalnie - a w szczególności pani, panno Ewo! Można wiedzieć, w jakiej sprawie nachodzi pani dom mojej ciotki?

- W sprawie mojego Fryderyka! Byłam dziś u niego w szpitalu i dowiedziałam się, że jest już prawie zdrowy. Niedługo zabieram go do Krakowa!

- A można wiedzieć, co sprawiło tak nagłą zmianę decyzji? Nie dalej jak miesiąc temu przecież pani z nim zerwała.

- To bzdury jakies! - Ewa zaczęła kręcić się na krześle.

- Plotek się pani nasłuchiwała, ktoś mnie tu chyba nieźle szkaluje - spojrzała wymownie na Matyldę.

- Aha... - powiedziałam, kładąc na stole jej własny list.

- Czyli nie pani to pisała?

Ewa zamilkła na chwilę, przyglądając się w zdumieniu zmiętemu świstkowi.

- Zakończyła pani znajomość, jak się tylko okazało, że Fryderyk zrujnował się na to futerko - tknęłam palcem cętkowane włosie. - Wydał na panią ostatnie pieniądze!

- Nieprawda! - Ewa poderwała się na nogi. - Wcale nie ostatnie! Pani Kałdowa powiedziała, że on ją jeszcze z całą kamienicę mógłby kupić!

- To właśnie chciałam usłyszeć - zwróciłam się do teściowej - teraz już mama rozumie, skąd ten nawrót uczuć?

Mamcia Gomorowa milczała, przemyślając coś intensywnie.

- Jeszcze jedno pytanie, panno Pyrć - spojrzałam jej przenikliwie w oczy. - Dobrze mówię? Jeszcze Pyrć, czy już Jędrzejek? - tu zrobiłam krótką pauzę.

Twarz Ewy rozkwitła dorodną piwonią. Rzuciła szybkie spojrzenie na teściową, a potem znów na mnie.

- Bo w zasadzie interesuje mnie jedna rzecz - kontynuowałam - jak pani godzi miłość, którą darzy pani mojego męża, z miłością, jaką żywi pani do Jędrka Jędrzejka? Ja nigdy nie byłam tak... pojemna uczuciowo. Co? Nie powie mi pani? - napierałam na wciąż milczącą Ewę. - No to on mi powie na pewno - ostentacyjnie wyjęłam z kieszeni komórkę - to mój stary kumpel! - udawałam, że wybieram numer.

- Jest pani podła! - załkała, rzucając się w stronę wyjścia.

- Nie, to pani jest podła! - odrzyknęłam, zatraskując za nią drzwi. - Coś jeszcze? - spytałam, stając między dwoma milczącymi kobietami.

- Tak - wysyczała teściowa, wstając - trzymaj ty swoją ciotuchnę z dala od mojego syna!

Po jej wyjściu stryjna rozplakała się w głos. I tak długo trzymała się dzielnie. Objęłam ją mocno i tuląc do siebie próbowałam uspokoić.

- Nie płacz, ciociu, sama widzisz, że mamci Gomorowej padło na mózg. Nie przejmuj się nią - pocieszałam.

- Ale... ale może... ona... ma rację! - szlochała Matylda. - On tak bardzo... tak bardzo... przypomina mi Stasia! Ja nie powinnam...

- I nic dziwnego! Jest przecież jego bratankiem. Czym ty się właściwie martwisz? Urojeniami mojej teściowej? Przecież znasz ją nie od dziś!

- Ja... ja już nigdy do niego nie pojedę - stryjna zwiesiła głowę i otarła wyjętą z rękawa chustką coraz mniej obfite łzy. - Już nigdy nie pojedę - powtórzyła prawie spokojnym głosem.

- Nie martw się, jutro ja pojedę - obiecałam.

- Ale tobie nie wolno, lekarz przecież...

- A ja to chromo! - przerwałam jej. - Żaden zresztą lekarz, tylko wymysł teściowej! Idę spać! - ucałowałam Matyldę w czoło i bez wieczornej toalety wpakowałam się do łóżka. Miałam głowę tak nabrzmią, jakby za chwilę miało się w niej zagotować. Ułożyłam się na brzuchu i przycisnęłam do potylicy chłodny jasek. Wrzało we mnie święte oburzenie. Jakim prawem? Jak mogły? Takie dwie, przewrotne i interesowne baby, zarzucać cokolwiek prawej, prostolinijnej Matyldzie. Jutro pojedę do Fryderyka - postanowiłam sobie. - Jeżeli jego stan zdrowia pozwoli, to już ja sobie z nim pogadam!

* * *

- I co? I jak on się czuje? - dopytywała się ciotka, wybiegając mi naprzeciw. - Lepiej? A nie spotkałaś tam Jadźki?

- Dobrze się czuje, ciociu. Całkiem dobrze, wygląda na to, że już mu zupełnie nic nie jest. Teściowej nie było, na szczęście musiałyśmy się minąć - odpowiadałam kolejno, wchodząc do swojego pokoju.

Chyba żałowałam teraz, że w ogóle wybrałam się do tego szpitala. Rozbierałam się wolno, nie spiesząc się z wejściem do kuchni. Matylda z pewnością będzie chciała wiedzieć, co u niego słyhać, o czym rozmawialiśmy, a co ja jej powiem? Że wyłącznie o niej?

Fryderyk każdy temat sprowadzał do ciotki, wypytywał o nią szczegółowo, a przede wszystkim był mocno rozczarowany, że sama nie przyjechała. Może mu się rzeczywiście coś z głową porobiło od tego wypadku? - zastanawiałam się, bo to jego zainteresowanie Matyldą nie wyglądało zgoła na wyłącznie... rodzinne. Na każde wspomnienie jej imienia lśniły mu oczy i zmieniały się rysy twarzy.

- Wiesz co? - spytałam, stając w końcu na progu kuchni. - Ty rzeczywiście nie powinnaś odwiedzać Fryderyka. Zresztą, teściowa już wróciła, a i ja mogę do niego zaglądać. Dopóki tu będzie, oczywiście, bo na Boże Narodzenie go przecież chyba wypuszczą.

Ciotka spojrzała na mnie jakoś tak bezradnie.

- Dlaczego tak mówisz, Magduś? - spytała.

- No, jak to dlaczego? Sama wczoraj stwierdziłaś, że nie powinnaś, to ja ci dziś przyznaję rację.

- No ale dlaczego tak nagle? Stało się coś? - dopytywała się.

- Nic się nie stało - tłumaczyłam wpatrzona w kraciasty obrus - po prostu, Fryderyk już jest całkiem zdrowy, sytuacja kryzysowa minęła i nie ma potrzeby, żebyśmy wszyscy w koło niego skakali. W końcu to on mnie porzucił, pamiętasz? - chciałam uświadomić ciotce, że mowa tu o moim, jakby nie było, nieaktualnym mężu.

- To mówisz, że go niedługo wypiszą? - spytała od niechcienia.

- Tak sędzę. Przypuszczam, że jeszcze przed świętami.

- Aha. To ja pójde do kur - Matylda złapała garnek z drobno pokrojonym, czerstwym chlebem i truchtem wybiegła z kuchni. Kiedy wróciła, miała mocno zaczerwienione oczy. Nie sądziłam, że tak bardzo przeżyje sprzeczkę z teściową, w końcu radziła sobie nawet całkiem nieźle.

- Może pójdziemy na spacer? - zaproponowałam, żeby ją jakoś rozerwać. - Albo wprosimy się do Olka na kolację?

- Nie, dziecko - westchnęła ciężko - idź sama. Ja się przejdę do kościoła na szóstą. Ale ty idź, nie siedź tak w domu.

Wyjrzałam oknem za wdrapującą się po ścieżce Matyldą. Z nieba leciały grube płaty śniegu. Nie chciało mi się dzisiaj spotykać z Olkiem. Nie miałam ani ochoty, ani siły, by relacjonować mu ostatnie wydarzenia. Wyjęłam z kurnika łopatę do odśnieżania i zajęłam się odkopywaniem ścieżek. Miałam nadzieję, że ciężki, fizyczny wysiłek pozwoli mi uporać się z plątaniną uporczywych myśli. Szybko rozprawiłam się z niewielkim ogródkiem ciotki i postanowiłam do jej powrotu odśnieżyć jeszcze dróżkę aż do świętego Antoniego. Mniej więcej w połowie drogi zastała mnie przy tej robocie Matylda.

- A cóż ty wyprawiasz? - spytała, podchodząc bliżej. - Myślałam, że to jaki robotnik sołtysa za porządku się zabrał, a tu proszę! Moja bratanica własna! - ciotka sprawiała wrażenie rozbawionej moim widokiem. - Toż już ciemno zrobiło się, może starczy na dziś!

- Myślałam - wysapałam, ocierając mokre czoło - że zdążę przed cioci powrotem całą drogę oczyścić!

- Oj, dziecko, dziecko - roześmiała się - toż ty jeszcze rozchorować się możesz. Zabieraj mi się z tą łopatą do domu! Herbatkę gorącą wypijesz, a może i aspiryna by się przydała.

Wykorzystując sytuację oraz panujący półmrok, zjechałam na łopacie na sam dół, jak w dzieciństwie. Byłam zadowolona, że udało mi się już po raz trzeci wywołać uśmiech na twarzy Matyldy. Przez cały wieczór starałam się zająć ją czymkolwiek: a to zażądałam szczegółowego przepisu na antyprzeziębieniową miksturę, to znowu poprosiłam, żeby ciotka nauczyła mnie jakiegoś prostego, szydełkowego ściegu, na koniec poopowiadałam jej o wybrykach z dzieciństwa moich i Olka, których dotychczas mogła się jedynie domyślać.

Nazajutrz rano po moich ścieżkach nie było już śladu. Zaraz po śniadaniu, mimo protestów ciotki wzięłam łopatę i zaczęłam całą robotę od nowa. Dzisiaj udało mi się doprowadzić plan do końca: równa, biała dróżka prowadziła aż do samej studni i kończyła się zawijającą się wokół niej fantazyjną pętlą. Zmordowana do ostatnich granic, ale z zadowoleniem nieproporcjonalnie dużym do jego przedmiotu, wkroczyłam do domu. Zrzuciłam w sieni mokrą kurtkę i postawiłam wodę na herbatę.

- Ciociu! - zawołałam, nie znajdując jej w kuchni.

- Jestem w łazience - padła przytłumiona odpowiedź.

- Zobaczysz, jaki kawał dobrej roboty odwaliałam! - pochwaliłam się przez niedomknięte drzwi.

- Sześćset procent normy! Jakaś premia mi się... - urwałam w pół zdania. Drzwi do łazienki otworzyły się, kiedy oparłam się o nie ramieniem i ujrzałam stojącą przed lustrem ciotkę. W białej, batystowej koszuli stała na terakotowej posadzce i czesała swoje długie, rude włosy. Odwróciła się do mnie wol-

no. W jej oczach malowało się tyle uczuć, że nie umiałam ich wszystkich oddzielić i nazwać: żal i nadzieja, gorycz i lęk - te z pewnością górowały nad innymi. Matylda wyglądała dokładnie tak, jaką ją ujrzałam, kiedy przekraczałam próg tego domu we wrześniu. Tylko że tamto było złudzeniem, teraz miałam przed sobą rzeczywistość.

- Ciociu... - powiedziałam tak jak wtedy - jak pięknie wyglądasz! Nie papraj już tych włosów! Zostań tak!

Matylda patrzyła na mnie przez chwilę w milczeniu.

- Nigdy! - powiedziała w końcu z jakąś niewytłumaczalną determinacją i chlusnęła do miski całą flachę gencjany.

Polewała swoje rude loki metalowym kubkiem, szarpiąc je niemiłosiernie i bryzgając na wszystkie strony. Wyszłam, nie mogąc patrzeć na te zbrodnicze działania.

Kiedy weszła do kuchni, miała nawet fiolet na twarzy. Piękne koronki batystowej koszuli zwiślały teraz smętnie, ociekając szarosiwą cieczą.

- Ciociu! Co tobie jest? - podbiegłam do niej i przytuliłam mocno do siebie. - Martwię się o ciebie!

- Nie wiem, Magduś, sama nie wiem - wtuliła mokrą głowę w moje ramiona.

- Chcesz? Zrobię ci miksturę. Już umiem! - próbowałam znowu jakoś ją rozbawić.

- Nie, zostaw mnie teraz samą, chcę się pomodlić.

Weszłam do swojego pokoju i spacerowałam od drzwi do okna i powrotem. Czułam niejasno, że dzieje się coś... dziwnego. Nie umiałam tego objąć umysłem, a nawet w przybliżeniu określić, jednak żołądek subtelną wibracją rozlewał na całe moje ciało cierpki niepokój. Miałam jakieś mętne wrażenie, że powinnam coś zrobić, ale co? W tym momencie zadzwonił Olek.

- Nie, nie mogę się dzisiaj z tobą spotkać - tłumaczyłam mu ściszym głosem - muszę zająć się ciotką. Coś kiepsko z nią ostatnio.

- Może mógłbym w czymś pomóc? - zaoferował się. - Chora jest? Coś jej się stało?

- Nie, nie chora. Nie wiem jeszcze. Zadzwońię do ciebie... może jutro.

- Dobrze Magdaleno - westchnął w słuchawkę - martwię się o ciebie...

- No to się nie martw. Pa! - pożegnałam go szybko, kiedy spostrzegłam przez szybę w drzwiach, że Matylda krząta się po kuchni.

Weszłam ostrożnie i rzuciłam szybkie spojrzenie na jej twarz. Wydawała się jakby spokojniejsza.

- A może ubierzmy już sobie choinkę, co? - zaproponowałam. - Zrobi się świątecznie, sympatycznie i zaraz będzie ci lepiej. Choinka na wszystko pomaga - wymyśliłam na poczekaniu - sprzyja zgodzie i odstrasza kłopoty.

- Co ty znowu kombinujesz, Magdaleno? - ciotka spojrzała na mnie krytycznie. - Do świąt jeszcze dwa tygodnie. Nikt o tej porze nie ubiera choinki, chyba że w tych... hipermarkietach! Ludzie nawet jeszcze okien nie myją.

- Ludzie! Ludzie! Widać ty jeszcze z głowy całkiem tych „ludzi” nie wypleniłaś. A jakbyś chciała teraz postawić sobie choinkę, to co? Gdzie jest taki przepis, że ci nie wolno? To ja może okna umyję - dodałam szybko, widząc zniesmaczoną minę Matyldy.

- Śnieg pada - zauważyła przytomnie.

- No to w takim razie pójde do lasu po świerczynę i zrobię ze dwa stroiki - rzuciłam kolejnym absurdalnym pomysłem. - Tego też nie wolno? - spytałam zaczepnie.

- A idź! - zgodziła się ciotka z rezygnacją. - Pisanki nawet możesz zacząć malować, skoro masz takie życzenie. Ja nie będę się do ciebie wtrącać.

- No to idę - oznajmiłam niepewnie, spoglądając na wirujące za oknem olbrzymie płaty śniegu. - A masz takie małe bombki? Jakies włosie anielskie i takie tam, ozdóbki? Bo jak nie, to nie mam po co iść...

- A, są! - orzekła przekornie Matylda. - Na strychu, przy okienku stoją, w pudle po telewizorze.

- Mogę zobaczyć?

- A oglądaj sobie. Ja nastawię obiad.

Wdrapałam się ostrożnie po trzeszczącej drabinie prowadzącej z sieni na strych. Bez trudu odnalazłam wielkie pudło z napisem „Beryl 102”. U Matyldy na strychu panował lepszy porządek niż w moim krakowskim mieszkaniu. Odłożyłam na bok dwa pudełka z najmniejszymi bombkami i zanurzyłam ręce głębiej w poszukiwaniu jakichś innych ozdób. Trafiłam na zawiniątko z grubego, szarego papieru i wyjęłam je na wierzch. W środku były stare fotografie, przedstawiające małą dziewczynkę w różnych konfiguracjach: w ogrodzie, w wiklinowym fotelu, w atelier u fotografa, z wielkim, szarym kotem na kolanach, w komunijnej sukience. Podeszłam z nimi do okienka. Nie miałam teraz absolutnie żadnych wątpliwości, że... przedstawiają dziewczynkę z moich snów! W miarę możliwości jak najszybciej zgramoliłam się na dół.

- Kto to jest? - zapytałam, układając zdjęcia kolejno na stole.

- No, ja - powiedziała ciotka, ledwie rzucając na nie okiem. - Co się tak dziwisz? Nie bardzo teraz podobna jestem?

- Trochę jesteś - bąkałam zdenerwowana - do siebie i owszem, tylko, że... zupełnie nie przypominasz babci Ernestyny.

Postanowiłam, że wyciągnę z Matyldy wszystko, do ostatniego detalu.

- Nie przypominam - powiedziała chłodno - bo ona nie była moją matką. Już ci chyba kiedyś mówiłam.

- Nie. Powiedziałaś tylko, że twoja matka piła.

- Piła? - ciotka na chwilę przestała zagniatą ciasto. - Nigdy nie widziałam jej trzeźwej. Jak ino ją pamiętam, to zawsze z takimi... szklanymi oczami. Kiedy siadałam u niej na kolanach, chuchała mi w twarz kwaśnym oddechem...

- I gdzie ona teraz jest? Ta twoja matka?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami i zabrała się za rozplaszczanie na stolnicy wielkiej, białej kluchy.

- Jak to nie wiesz? - jeśli umarła, to musi być gdzieś pochowana, a jeśli żyje, to też przecież gdzieś musi być!

- Ja tam nie wiem, czy umarła, czy żyje - powiedziała Matylda przez zaciśnięte usta. Zostawiła mnie, jak miałam cztery lata. Odeszła... Uciekła z kochankiem.

- Co ty opowiadasz za bzdury??? Kto ci coś takiego powiedział?

Ciotka spojrzała na mnie, zdziwiona tym nagłym protestem.

- A ty co? Co ty możesz o tym wiedzieć? Ojciec mi nieraz opowiadał, jak pakowała swoje rzeczy do tobołka, jak płakałam i prosiłam, żeby mnie nie zostawiała, ale ona nawet nie spojrzała. Trzasnęła drzwiami i wyszła, a po drugiej stronie już glancuś jakiś czekał.

- Gówno prawda! - złapałam się oburącz za pulsującą nagłym bólem czaszkę. - Gówno! - wrzeszczałam wściekle, z trudem hamując napływające do oczu łzy. - Twój ojciec to był tyran i zwyrodnialec! Nigdy nie widziałas, jak katował twoją matkę? Jak bił albo według fantazji - odmawiał jedzenia? Za co? A wiesz ty, za co? - pochyliłam się nad przełkniętą Matyldą - bo nie wniosła mu spodziewanego posagu! Tyle, ciociu. Sprowadził ją tu, młodziutką, wątłą, z dala od jakiegokolwiek przychylnej duszy i robił z nią w tych czterech ścianach, co chciał. Tego nie pamiętasz? Ciebie nigdy nie uderzył? Pokaż! - szarpnęłam ją tak mocno za kretonową podomkę, że oberwały się guziki, odsłaniając pąsową szramę pod łopatką.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - spytała kredowo blada na twarzy ciotka. - Tu - dotknęła łopatki oblepioną ciastem dłonią - dostałam od ojca pogrzebaczem. Byłby mi złamał rękę, ale ona zasłoniła mnie sobą... Magdaleno? - spojrzała na mnie pytająco.

- Po prostu wiem i lepiej nie pytaj skąd. Ale powiem ci teraz wszystko. Twoja matka nie uciekła z żadnym kochankiem. Ona się zabiła. Tej nocy, kiedy widziałas ją ostatni raz, wyszła z domu i... - uznałam, że lepiej nie przywoływać zbyt drastycznych szczegółów - zabiła się.

- Magdaleno! - Matylda spojrzała na mnie błagalnie. Na jej twarzy drgał każdy, najmniejszy nawet mięsień. - Na miłość boską, na wszystkie świętości, na świętego Antoniego, błagam cię, powiedz mi, skąd wiesz o tym wszystkim! Tu chodzi... tu chodzi o... - w oczach ciotki zaszklily się łzy.

Chodziło o całe jej dotychczasowe życie, o wszystkie przekonania, jakie przez lata wyrobiła sobie o matce i które nagle miały się okazać fałszywe. Nie mogłam przecież powiedzieć, że to ja nią jestem, to byłaby już dla Matyldy całkiem niepotrzebna trauma. Kiedy zaczęłam opowiadać, zdarzenia, o

których mówiłam, przebiegały mi przed oczami. Jak krótkie błyski flesza, scena po scenie, rozgrywały się przede mną na nowo. To byłam ja, a ta mała dziewczynka, to Matylda, moja córka. Już nie miałam najmniejszych nawet wątpliwości.

- Magdaleno? Proszę cię... - ciotka wzięła widać moje zamyślenie za odmowę.

- Z moich snów, ciociu. Cała ta wiedza pochodzi z moich snów. To nie potwory mnie tutaj straszły, tylko piękna, rudowłosa kobieta wyżalała mi się na swoje życie. Noc w noc snuła swoją historię. Była także w tym śnie maleńka, bardzo smutna dziewczynka. Do dzisiaj nie wiedziałam, o co w tym wszystkim chodzi, ale teraz już rozumiem - wskazałam na fotografie - bo już wiem, kim ona jest.

- Ale jak? Przecież...

Domyśliłam się, jaka nasunęła się teraz ciotce wątpliwość.

- Jak nazywała się twoja matka? - spytałam.

- Nazywała się Róża Krawczyk.

- Nie, ciociu. Tak widać jej nazwisko brzmiało w spolszczonej wersji. Naprawdę nazywała się Rossi Kraft.

- To... ona? Boże mój! Ona leży tu, na naszym cmentarzu!

- Tak jest! - potwierdziłam skwapliwie. - Na cmentarzu dla samobójców - dodałam, by jeszcze bardziej uprawdopodobnić całą tę historię. Uznałam, że powinnam zataić przed ciotką jeszcze jedną rzecz: to, w jaki sposób zginęła jej matka.

- Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? O tych snach i w ogóle - spytała z wyrzutem.

- A co ci miałam mówić, do dziś sama ich nie rozumiałam. Do tej pory myślałam, że po prostu miesza mi się w umyśle, po ojcu... - Zostaw to ciasto - wyjęłam jej z dłoni dręczoną bezwiednie bułkę. - Jak raz nie zjemy obiadu, to nic nam nie będzie. Nie wiem, czy dobrze, że ci o tym wszystkim powiedziałam - spojrzałam niepewnie na zastygłą w bezruchu Matyldę.

- Dobrze - szepnęła, patrząc nieruchomo gdzieś przed siebie. - Bardzo dobrze! Ja... muszę teraz wyjść - wstała od stołu jak automat, umyła ręce i zaczęła się ubierać.

- Ale dokąd? - zapytałam niespokojnie. - Pójdę z tobą - zapalam wiszącą w sieni kurtkę.

- Nie - powstrzymała mnie - ja sama. Nie bój się, niedługo wrócę. Pójdę tylko na cmentarz.

Jak dobrze, że Olek doprowadził po tych naszych wykopkach grób do porządku - pomyślałam. - Muszę mu o wszystkim powiedzieć, przecież on teraz do niego należy!

Złapałam za telefon, ale po chwili namysłu odłożyłam go z powrotem. Zanim się z nim skontaktuję, postanowiłam wszystko porządnie przemyśleć. - Pójdę jednak po te gałęzie - zdecydowałam. - Spacer dobrze mi zrobi, a może uda mi się wciągnąć Matyldę w robienie stroików?

Brodziłam w świeżym, puszystym śniegu. Po moich ścieżkach znów nie było śladu. Zaraz za domem Wasylków natknęłam się na teściową.

- Dzień dobry mamie - pozdrowiłam ją z udawaną serdecznością. - Co tam słyhać? Jak Fryderyk?

- Dobrze - spojrzała na mnie chmurnie - zdrowy już jest. Pojutrze wywożę go do domu.

- Już pojutrze? - zaskoczyła mnie trochę tą wiadomością. - Nie za prędko?

- Za prędko? - wyszczała. - Toż on już miesiąc w obcym miejscu, między obcymi ludźmi! A to mało? Nie dam mu już ani dnia tu pozostać! Nie oddam jedynaka na zarnowanie! - zmierzyła mnie z niechęcią i odeszła. Przez chwilę miałam wrażenie, że ma ochotę napluć mi pod nogi.

A rób sobie, co chcesz - pomyślałam. Cieszyłam się, że Fryderyk wrócił do sił, życzyłam mu z całego serca jak najlepiej, ale już bez związku z moją osobą. Wolno dotarłam do niewielkiego lasu i bez zapalu ścięłam kilka wyliniałych, świerkowych gałązek. W gruncie rzeczy wcale mi się nie chciało robić tych stroików. Zebrałam w jedną rękę moje mizerne trofeum i niespiesznie ruszyłam z powrotem. Miałam poczucie, że zrobiłam dokładnie to, co do mnie należało: przywróciłam Matyldzie matkę i oczyściłam jej (swoją?) pamięć z bluźnierczych oszczerstw. Ale co dalej? Wróżka wyraźnie powiedziała: „Możesz jeszcze wszystko naprawić”. Dobra - westchnęłam - na dzisiaj wystarczy. Będę dalej czekała, może znowu mi się coś znowu samo przytrafi...

Przywlokłam się do domu w takim stanie ducha, jakby to nie był mój duch, nie moje myśli i nie moje ciało. Matylda, jakby nic się nie stało, krzątała się rażno po kuchni.

- Skończyłam te pierogi - oznajmiła, kładąc przede mną talerz z kopsiastą porcją ruskich. Jedz, Magduś - pogładziła mnie po włosach. - Wiesz - powiedziała, patrząc na mnie promiennie - chyba sam Pan Bóg mi cię zesłał.

- Nie Pan Bóg, tylko kura - powiedziałam z pełnymi ustami. - A powiedz mi ciociu, bo już nie raz się nad tym zastanawiałam, skąd ty się dowiedziałaś, że Fryderyk mnie porzucił? Wiesz, wtedy co mi tę kurę przywiozłaś.

- Nic ja nie wiedziałam. Przyjechałam ot tak, żeby cię odwiedzić, nie widziałam ciebie przecież tyle lat! Dowiedziałam się przed twoimi drzwiami, od sąsiadki.

- A! Od Kałdowej, to wszystko tłumaczy. W takim razie to ciebie Bóg mi sprowadził. Co ja bym teraz robiła...

- No jedz, jedz, Magduś - podsuwając mi kolejną porcję, Matylda próbowała ukryć wzruszenie.

XII.

Skazani na miłość

Przepraszam, że ściągnęłam cię tak wcześnie - sumitowałam się, wsiadając do samochodu - ale bardzo cię dziś potrzebuję. Dużo się wczoraj wydarzyło.

- Nie jest tak znowu wcześnie, dochodzi jedenasta - roześmiał się Olek. - A tak w ogóle - powiedział, zapalając samochód - cieszę się, że bywam ci potrzebny. Więc? Dokąd, madame?

- Do wróżki. Muszę się czegoś dowiedzieć. Nie spałam przez to prawie całą noc!

- To nie jest takie proste... Z nią się trzeba umówić, ona wyznacza termin, czasem nawet bardzo odległy. Nie wiem, Magdaleno, czy dzisiaj coś z tego wyjdzie - zafrasował się. - Ona bywa... bardzo humorzasta!

- Trudno - upierałam się przy swoim zamiarze. - To dla mnie bardzo ważne, ustąpię dopiero wtedy, jak mną własnoręcznie walnie o bruk!

- Powiesz mi, co się stało?

- Dużo się stało, nie wiem od czego zacząć. Przede wszystkim odnalazłam swoje dziecko. Miałaś rację - przyznałam honorowo - to Matylda. Kiedy już wszystko sobie wyjaśniłyśmy... No coś ty! - sprostowałam szybko, napotykając lekko zde gustowany wzrok Olka. - Nie powiedziałam jej tego! No więc, kiedy wyjaśniłyśmy sobie prawie wszystko, spędziłyśmy bardzo sympatyczny wieczór. Aha! - uznałam za konieczne uprzedzić Olka. - Ona teraz będzie chodziła na twój grób. To znaczy... na mój, ale on teraz jest twój, bo go kupiłeś. No i potem długo się jeszcze zastanawiałam, co teraz powinnam dla niej zrobić.

- I co? - ponaglił Olek, kiedy zrobiłam sobie chwilę przerwy na zaczerpnięcie oddechu.

- Wtedy przypomniało mi się, że Sabina przy tej kabale często powtarzała, że najważniejsza w życiu jest miłość. Nawet jak już wychodziłam, upomniała mnie, że mam o tym pamiętać. I rzeczywiście, ty wiesz? - zrobiłam kolejną pauzę, tym razem dla podkreślenia mojego odkrycia.

- No?

- To jest właśnie to! Bo właściwie, to tej miłości Matylda nie zaznała nigdy. Kochała w życiu tylko dwie osoby: matkę, no i tego Stasia. Obie odeszły przedwcześnie i tragicznie. Myślę, że o to chodzi. To właśnie mam jej zwrócić...

- To znaczy? - spytał Olek, unosząc wysoko brwi.

- Ojej, no wiesz... - nie umiałam teraz jakoś zgrabnie tego ująć - chodzi o miłość. Moją i... tę drugą. Jakąś rekompensatę za Stasia.

- Chyba słusznie rozumiesz - stwierdził z powagą. - Tylko jak to dalej widzisz?

- No właśnie, rzecz w tym, że wcale nie widzę, no bo co? Dlatego chcę się dostać do tej wróżki.

- A nie lepiej się było z nią normalnie umówić? Przyjechalibyśmy później, ale za to mając pewność, że nas przyjmie.

- Nie mogę tak! Bo widzisz, coś mi się znowu śniło. Zupełnie nie pamiętam co, ale pozostał mi jakiś posmak, jakieś wrażenie tego snu... Jakby coś mnie nagliło, popędzało. Obudziłam się z uczuciem jakiejś absurdalnej potrzeby pośpiechu.

Spojrzałam na Olka, żeby wyczytać z jego twarzy, co myśli o tym wszystkim. Obawiałam się, że mnie skrytykuje albo co najmniej wyśmieje.

- No cóż, spróbujemy - powiedział tylko. - Naprawdę nic nie pamiętasz?

- Śnił mi się też Fryderyk, ale to w tym kontekście mało ważne.

Spojrzałam na drogę i zauważyłam, że wjeżdżamy właśnie do Świętorogów. Bezwiednie zaciśnęłam kciuki w intencji dobrego nastroju wróżki.

- No, nie wiem - zastanowił się Olek. - Mnie się wydaje, że żaden z twoich snów nie jest tu bez znaczenia. A może właśnie on przekazał ci coś ważnego?

- On? - zdziwiłam się. - A cóż on może mieć z tym wspólnego? - nagle przypomniał mi się mój pierwszy sen z Fryderykiem. - Właśnie! Właśnie o to go zapytałam!

- I co powiedział?

- Że dużo! I że kręcę się w kółko! Ja nic już z tego nie wiem - jęknęłam bezradnie. - Pewnie właśnie dlatego, że kręcisz się w kółko - stwierdził spokojnie. - A może by tak... poszerzyć krąg podejrzanych?

- Co?

- Dojeżdżamy - oznajmił.

- Stój! No, hamuj! - krzyknęłam zniecierpliwiona, widząc znajomą, drobną sylwetkę w drzwiach sklepu warzywnego. - Nasza Pytia! O! Tam weszła! - wymachiwałam gorączkowo palcem.

Olek zaparkował na poboczu samochód, wysiadł i otworzył mi drzwi.

- Nie sądzisz, że to nie najlepszy pomysł, tak napadać na nią w sklepie? - zapytał spokojnie.

- Może i nie najlepszy - przyznałam - ale w miarę pewny. Sam mówiłeś, że do domu mogłaby nas nie wpuścić.

Energicznym krokiem weszłam do warzywniaka i ustawiłam się w kolejce. Rozglądałam się dookoła, co by tu najmniej niepotrzebnego nabyć, kiedy wróżka sama podeszła do mnie.

- Witam Magdalenę - powiedziała z dziwnym wyrazem twarzy. - Pani u nas turystycznie, czy w innych celach? Bo chyba nie po kwaszone ogórki? - spytała, kiedy właśnie miałam poprosić o słoik ogórków.

- Szczerze mówiąc, to do pani - w jednej chwili odeszła mi ochota na zmyślenie innej odpowiedzi.

- A, bo jeśli w tamtej sprawie - oznajmiła, poprawiając w siatce zakupy - to ja już powiedziałam wszystko. I nic już nie mam do powiedzenia - dodała, kierując się do wyjścia.

- Pani Sabino! - pobiegłam za nią, opuszczając swoje miejsce w kolejce. - Mam tylko jeden mały, maluteńki problemik! - nalegałam błagalnie.

- A ja nie mam już nic do dodania - powtórzyła kategorycznie.

Stałam bezradnie na środku jezdni i przez jedną, krótką chwilę miałam zamiar dać sobie spokój, tchnięta jednak nagle nową dawką zapachu ruszyłam w pogoń za oddalającą się wróżką. Kątem oka spostrzegłam, że Olek odpalił samochód i zamykając cały ten korowód jechał wolno za nami.

- Pani Sabino! - dyszałam, dogoniwszy ją wreszcie.

- Pięć minut! Proszę poświęcić mi jedyne pięć minut! Nie będę o nic pytała. Przysięgam, nie zadam pani ani jednego pytania!

Wróżka zatrzymała się i spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Nie będziesz o nic pytała?

- Nie będę.

- Po co więc przyszłaś? I jak w takim chcesz rozwiązać swój „malutki problemik”?

- Nie wiem - wyznałam szczerze - ale skoro już tu jestem, chciałabym opowiedzieć pani, do jakich doszłam wniosków. Jeśli pani nie chce lub nie może mi pomóc, uszanuję to. Widać tak musi być - westchnęłam ciężko.

- Dobrze - niespodziewanie uśmiechnęła się do mnie - usiądźmy na chwilę - wskazała na wąską, drewnianą ławeczkę. - Słowo się rzekło, masz pięć minut - strząsnęła rękawiczką śnieg i usadowiła się w pozycji świadczącej o gotowości do słuchania.

Szybko i w miarę możliwości szczegółowo streściłam jej wszystkie swoje przemyślenia.

- No i doszłam do wniosku - wyłuszczyłam na zakończenie - że kiedy wszyscy wkoło uparli się, żeby rozdzielić ją z ukochanym, nie było mnie przy niej, nie było nikogo, kto by pomógł obronić tę miłość... I to mam właśnie naprawić, to mam zwrócić mojej Matyldzie.

Spojrzałam na zegarek, miałam jeszcze półtorej minuty.

- I tu rodzi się mój problem: jak to zrobić? - dodałam, wstając z ławki, by dać Sabinie do zrozumienia, że sama uważam tę rozmowę za skończoną. - Bo chyba wygląda na to, że powinnam teraz poszukać kogoś... nie wiem... Kogoś, kto choć w niewielkim stopniu zrekompensowałby jej tamto niespełnione uczucie? - pytałam siebie na głos, nie patrząc na wróżkę.

- No cóż - westchnęłam - będę musiała teraz uważnie się rozglądać, bo chyba rzeczywiście kręcę się w kółko...

- Dziękuję, że zechciała mnie pani chociaż wysłuchać - podałam Sabinie rękę na pożegnanie - może nie odchodzę stąd mądrzejsza, ale przynajmniej trochę lżejsza - uśmiechnęłam się smutno. - Do widzenia pani.

Sabina wstała wolno, ciągle trzymając moją dłoń. Milczała przez dłuższą chwilę.

- Nie musisz nikogo szukać - powiedziała wreszcie. - On już tu jest... Od dnia twoich narodzin prowadzisz go za sobą, a teraz musisz doprowadzić go do niej. Reszta już nie należy do ciebie... nie staraj się wyręczać losu, pamiętaj! - wróżka truchtem oddaliła się od ławki.

- Mam mało czasu! - wykrzyczałam jeszcze za nią swoje uporczywe odczucie.

- Idź już! - powiedziała, jakby na potwierdzenie moich słów.

Nic z tego nie rozumiałam. Wsiadłam powoli do samochodu z uczuciem, że rozwiązanie tego ostatniego rebusu jest zdecydowanie ponad moje siły.

- Masz jakiś pomysł? - zapytałam Olka.

- Ja? - spojrzał na mnie zdziwiony. - Przecież to ty rozmawiałaś z wróżką.

- Tak - przyznałam - ale w dalszym ciągu nic nie wiem. Jak do tej pory to twoje koncepcje się potwierdzały, więc może i teraz masz jakąś?

- A co powiedziała ci ona? - Olek skinął głową za siebie.

- Że ten... ktoś tam, już tu jest i nie muszę go szukać.

- Skoro tak, to w grę wchodzi jedynie... - Olek spojrzał na mnie z nagłym błyskiem w oku, po czym urwał w pół zdania. - Tak, to przecież oczywiste!

- Co jest dla ciebie takie oczywiste? - wypytywałam, widząc, że zaciął się na amen.

- Wiem, o kogo chodzi. Powiesz na pewno, że to absurd - mówił wolno, ważąc każde słowo - ale nie ma innej, bardziej sensownej możliwości.

- No więc jak? Absurdalnej czy sensownej w końcu? - spytałam zniecierpliwiona.

- Absurdalna może ci się wydawać osoba, natomiast wszystkie wskazujące na nią okoliczności są niezwykle sensowne i jednoznaczne.

- No to mówże wreszcie!

- Dobrze, powiem - Olek nadal zaciemniał sedno sprawy - ale pod pewnymi warunkami.

Spojrzałam na niego pytająco.

- Nie skomentujesz tego w żaden sposób, dopóki wszystkiego solidnie nie przemyślisz. I to nie teraz, na chybicka, tylko w domu, w samotności.

- No! - warknęłam, ponaglając go i zarazem wyrażając zgodę.

- To twój mąż - stwierdził z całą powagą. - Chodzi o Fryderyka - dodał, widząc w moich oczach absolutną tępotę.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to miał być dowcip z gatunku czarnego humoru. Kiedy jednak dotarło do mnie, że mówił zupełnie serio, postanowiłam przynajmniej wzrokiem dać mu do zrozumienia, co o tym wszystkim myślę.

- W żaden sposób! - skarcił mnie, w lot odczytując mój zamiar. - Dopiero, jak przemyślisz - przypomniał mi warunki umowy.

- Powiedz mi chociaż - spytałam ponuro - skąd takie rzeczy przychodzą ci na myśl? Takie, jak ta, czy ten pomysł z Matyldą...

- Nie przychodzą mi na myśl, bo ja o nich nie myślę. Podsuwa mi je moja cygańska natura, o, tu gdzieś - Olek wskazał na okolice serca i uśmiechnął się tak jakoś, że nie wiedziałam w końcu czy żartuje, czy wręcz przeciwnie.

* * *

- Jesteś wreszcie - ucieszyła się na mój widok Matylda.

- Wiesz, zawsze się jakoś tak niepokoję, kiedy długo cię nie ma - wyznała z uśmiechem.

- I całkiem niepotrzebnie - odpowiedziałam strzepując śnieg z botków. - Przecież ja właściwie nigdzie nie chodzę, czasem z Olkiem się gdzieś powłóczymy, ale zaraz pędem wracam do ciebie - dodałam, całując ją w policzek.

- Głodna? - spytała radośnie. - Zupy nagotowałam, krupniku.

- A, chyba nie bardzo - odpowiedziałam z wahaniem.

- Ale wiesz co? Może kawy byśmy się napiły?

Matylda bez słowa postawiła czajnik na kuchni i przyszykowała dwa kubki.

- Ciociu... - zaczęłam niepewnie - chciałabym sobie z tobą pogadać. O starych czasach i w ogóle...

- No ale o czym tak właściwie?

- O tym... O tym twoim Stasiu - wydukałam, stawiając na stole kubki z kawą.

- A, tam! - Matylda westchnęła smutno. - Było, minęło...

- No bo z tego, co ja się orientuję - ciągnęłam, widząc, że ciotka nie miga się jakoś szczególnie od tego tematu - to dziadek nie pozwolił ci wyjść za niego, no i moja teściowa podobno też maczała w tym paluchy...

- Ano, nie pozwolił... A my mieliśmy swój plan... Staś pieniądze odkładał, domek chciał pobrać dla nas. I pewnie jakoś przekonałby ojca, bo ja już wtedy taka młodziutka nie byłam. Miałam dwadzieścia sześć lat i nieraz mi to w domu wypomnieli. Na wigilię ogłosilibyśmy zaręczyny i wszystko jakoś by się poukładało, ale Jadźka się pospieszyła. Wyśledziła nas i doniosła do ojca, jak to ja się niby po nocach z parobkami łachmycę. A wtedy to już nie było tłumaczenia nijakiego...

- Ach, Magduś! - Matylda podparła głowę rękami. - Jedno ino sobie wyrzucam, że nie przeciwstawiłam mu się wtedy i nie poszłam za Stasiem... Ale oni tak mnie zaskoczyli, że do rozumu przyjść nie umiałam. W chlewku mnie trzymali, poniewierali, jak najgorszą... I ojciec, i brat... I na co ja tu zostałam? W czym wygodziłam sobie albo komu? Kiedy Staś zginął, ciągle to na drzwiach, to na oknie, to na furtce takie napisy wisiały - Matylda sięgnęła do dolnej szuflady kredensu, wyjęła spod ścierek poźółkłą płachtę papieru i rozłożyła na stole.

- „Tu mieszka ruda kórwa i morderczyni” - przeczytałam z niejakim trudem. - No i po co ty to trzymasz? - spytałam zde gustowana.

- Nie wiem sama - odparła Matylda biorąc kartkę do rąk. - Ja wtenczas te włosy malować zaczęłam... Tak mnie one obrzydły!

- Daj! - wyszarpałam jej ten „afisz” z dłoni i wrzuciłam w piec. - Dosyć już tego!

Matylda nie zaprotestowała. Siedziała przygarbiona nad kraciastym obrusem i patrzyła nieruchomo w kubek z kawą.

- Ja znam ten styl literacki i głowę bym dała, że wiem, kto to pisał!

- Ja też wiem - stwierdziła ciotka - no i co z tego? Myślałam, że po tylu latach już jej ta zawziętość przeszła, że jak i ja, przemyślała wszystko... Ech! - odwróciła się w stronę okna. - Szkoda gadania, Magduś! Teraz już tylko tego jej chłopca żal...

- Mówisz o Fryderyku - domyśliłam się. - Ciociu... Czy on... - zaczęłam niepewnie - kiedyś mi powiedziałaś, że przypomina ci twojego Stasia? Czy dlatego tak chętnie go odwiedzałaś? Czy tak?

Matylda wolno odwróciła głowę w moją stronę. W jej oczach było coś takiego, że przez moment poczułam dreszcze na plecach: jakaś ogromna tęsknota, nadzieja, a przy tym wszystkim ogromna żalność. Właściwie nie musiała już odpowiadać na moje pytanie.

- Tak - przyznała po chwili. - Kiedy siedziałam przy nim, to zdawało mi się, jakbym przy Stasiu siedziała, że nie umarł wcale i teraz cudem jakimś się odnalazł. A on, jak jeszcze mówić nie potrafił, to tak mocno za rękę mnie ścisnął i tak patrzył... Jak Staś! I tak nas ta... Ewa zastała.

- No i dobrze! - Matylda spojrzała z jakąś nagłą zaciętością w oczach. - Bo teraz dopiero widzę, że zaczynałam tracić rozum!

Ciotka uznała widać rozmowę za skończoną, zebrała ze stołu puste kubki i szorowała teraz energicznie pod zlewem.

- Przepraszam ciociu, jeśli przywołałam złe wspomnienia - objęłam ją w pasie - może nie powinienam była...

- A co ty tam przywołałaś, Magduś! Toż ja i tak o niczym innym nie myślę.

Zaszyłam się w swoim pokoju pod pretekstem bólu głowy. Wcisnęłam się pomiędzy szafę, a łóżko i jak w dzieciństwie usiadłam tam w kucki.

- Fryderyk? - mamrotałam do siebie. - Ale na miłość boską! On jest o całe dwadzieścia siedem lat od niej młodszy, dokładnie tyle, co i ja! Fakt, ja go tu sprowadziłam, a ściślej: sam się sprowadził, tyle, że za mną. Ale przecież nie wlokę go za sobą od dnia narodzin! - analizowałam.

- Ale czyich narodzin? Och, w tym przypadku nie ma to żadnego znaczenia - roześmiałam się do siebie - przecież my z Fryderykiem...

- Chryste Panie! - zerwałam się na nogi jak rażona piorunem. - Przecież my z Fryderykiem urodziliśmy się tego samego dnia i roku! Więc to miała na myśli Sabina, mówiąc że prowadzę go za sobą

od dnia narodzin! W wigilię Matylda i Staś mieli się zaręczać - wyliczałam na palcach - w wigilię siedemdziesiątego trzeciego się urodziłam. Fredek też. Za parę dni... wigilia?! Fryderyk prosił mnie we śnie, żeby zaprosić go do stołu...

- Boże mój, Boże! - maszerowałam coraz szybciej, masując skronie. - To wszystko się układa jak jasna cholera! On przyszedł na świat w rodzinie Stasia, ja w rodzinie Matyldy! Wszystko pchało nas ku temu małżeństwu, po to tylko, żebyśmy oboje znaleźli się tu i teraz!

A co na to on sam? - teraz przyszło mi do głowy, że może należałoby zbadać sprawę i od tej strony: bo skoro Matylda odczuwała w jego obecności tę niezwykłą więź, to może i on...

- Pojadę do niego jutro! - zdecydowałam i równocześnie dotarło do mnie, że właśnie jutro mamcia zabiera go do Krakowa! Stąd ta potrzeba pośpiechu! Uznałam, że muszę być w szpitalu przed teściową i na siódmą zamówiłam taksówkę.

Nie przypominam sobie, żebym tej nocy choć na moment zmrużyła oko. Przewijały mi się pod powiekami rozmaite sceny z dzieciństwa, dialogi i obrazy: rzeczy, które dopiero w obecnym kontekście nabierały znaczenia. Sny uzupełniały rzeczywistość i wzajemnie. Nawet całe moje życie z Fryderykiem wyglądało teraz inaczej - a wszystko to składało się w klarowny, logiczny ciąg. Teraz już naprawdę wiedziałam, co mam robić, krok po kroku, do samego końca. I mimo poczucia przedsmaku całkowitego spełnienia, błakał się we mnie jakiś nieokreślony, pomieszany z lękiem smutek.

* * *

Kiedy weszłam do szpitalnej sali, Fryderyk sprawiał wrażenie śpiącego. Pochyliłam się nad nim.

- Fryderyku - zawołałam go szeptem. - Hej, to ja, Magdalena...

- Nie śpię - otworzył oczy. - Pewnie się zdziwisz, ale... modłę się.

- Modlisz się z kartki? - dostrzegłam w jego ręce niewielki skrawek papieru.

Wydało mi się to całkiem prawdopodobne, ponieważ mój mąż nie był do tej pory specjalnie praktykujący.

- Nie - uśmiechnął się blado - modłę się do obrazka. Teraz, kiedy odwrócił karteluszek zauważyłam, że w istocie, jest to obrazek, z... podobizną świętego Antoniego!

- Skąd... Skąd go masz? - zatchnęło mnie z wrażenia. - On należy do Matyldy!

- To jest obrazek Matyldy? - zdumiał się wyraźnie.

- Właśnie! To nie ona ci go dała?

- To jest obrazek Matyldy... - Fryderyk z trudem usiadł na łóżku.

- No przecież mówię! O, zobacz, tu jest nawet podpisany: M.J. Widzisz? Skąd go masz?

- Znalazłem.

- Gdzie? - dociekałam z pasją.

- Nie wiem dokładnie. Gdzieś na trasie... Jakaś procesja szła. Boże Ty mój... To ona go zgubiła wtedy!

- Dlaczego z tobą nie przyszła? - zapytał po chwili.

- Chcesz, żeby przyszła? - spytałam, wpatrując się w świętego Antoniego. - Powiedz, chcesz?

- Bardzo chcę - odpowiedział cicho.

- No to przyjdzie - obiecałam z pewnością w głosie - już moja w tym głowa. - Tylko - pochyliłam się jeszcze nad nim - nie pozwól się stąd teraz zabrać!

- Mowy nie ma! - uśmiechnął się z trudem. - Weź jego z sobą - wcisnął mi w rękę wizerunek świętego.

W drzwiach korytarza natknęłam się na teściową. Toczyła przed sobą dość okazałych rozmiarów toboły, najprawdopodobniej garderobę dla Fryderyka. Z niepokojem ogarnęłam je wzrokiem.

- A co ty tutaj robisz? - spytała zaskoczona. - Czego ty tu jeszcze Fredziowi płaczesz się po żywocie, co?

- Byłam z wizytą, podobnie, jak mamusia.

- No to i chwała Bogu, ostatni raz - stwierdziła z satysfakcją - bo właśnie go ze sobą zabieram! Już i tej rudej landrynie usunę go sprzed oczu!

- Chciałam zaznaczyć - stwierdziłam cierpko - że Fryderyk, jako dorosły mężczyzna sam zdecydował o sobie. Mama nie ma prawa robić niczego wbrew jego woli!

- Ja nie mam prawa, tak? Ja, matka? - Gomorowa z wrażenia gruchnęła tobołami o posadzkę. - No to jak nie ja, to kto ma?

- On, tylko i wyłącznie! - odpowiedziałam podniesionym głosem.

- Tylko on! I wyłącznie! - przedrzeźniała mnie teściowa. - Już ja tam lepiej wiem, co dla niego dobre!

- Aha! - rozkrzyczałam się bez opamiętania. - Tak samo, jak mama wiedziała co jest dobre dla Stasia, tak samo, jak dla dobra Fryderyka ryła mama pod naszym małżeństwem i tak samo, jak mama wiedziała, jaką cudowną kobietą będzie dla niego Ewa! Naprawdę mama uważa - pochyliłam się nad nią tak blisko, że mogłam policzyć jej włosy w nosie - że to mamy „dobre” wyszło komukolwiek na dobre? A teraz - rzuciłam jej jeszcze w twarz - Fryderyk życzy sobie zobaczyć Matyldę. Właśnie po nią jadę.

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam przed siebie.

- Po moim trupie - usłyszałam za plecami. Odwróciłam się raz jeszcze i wolnym krokiem podeszłam do stojącej ciągle w miejscu teściowej.

- Raczej po jego trupie. Wybór należy do mamy! Zbiegłam ze schodów, nie czekając na windę i odnalazłam na parkingu moją taksówkę.

- Wygląda na to, że jeszcze trochę pan ze mną dzisiaj pojeździ - uśmiechnęłam się do kierowcy.
- O ile nie ma pan lepszego zajęcia.
- Jasne, że nie - ucieszył się żywo - a na jakiej trasie, jeśli można?
- Ełk - Rapałki, Rapałki - Ełk i tak w kółko. Może być?
- A co tylko sobie pani życzy! - zgodził się z zapalem i uruchomił samochód.
- Boże, żeby tylko Matylda była w domu, żeby tylko była! - szeptałam przez całą drogę. - Święty Antoni, spraw, żeby była!

Zastałam ją w łazience nad balią z praniem.

- Ludzie kochani - załamała ręce na mój widok. - A gdzieżeś ty tak rano przepadła? Nawet Olek nie wiedział, gdzie się podziewasz! Magduś... Przecież ja martwiłam się o ciebie!

- Przykro mi ciociu - wyjęłam jej z ręki namydloną spódnicę - nie mam teraz czasu, żeby się tłumaczyć, a ty nie masz czasu, żeby tego słuchać. Musimy pojechać do szpitala! Ubierz się jakoś ładnie, samochód czeka.

- Jak to? Po co? Czy coś... z Fryderykiem? - Matylda zasypała mnie serią pytań.

- Nie, wszystko dobrze! A będzie jeszcze lepiej - odpowiedziałam na skróty - tylko się pośpiesz! Ciotka bez większych protestów podreptała do szafy, a ja za nią.

- O nie, nie! Nic z tych rzeczy - wyjęłam jej z ręki nieśmiertelną, pepitkową garsonkę - dzisiaj to założysz! - wepchnęłam jej w objęcia brudnoróżowy kostium, który kupiłyśmy razem. - Ale póki co - zabrałam go jej z powrotem i rzuciłam na krzesło - idziemy do łazienki.

Siłą prawie przepchnęłam Matyldę przez drzwi, a następnie przechyliłam ją nad balią.

- Stój grzecznie, kochana moja, moja śliczna, zaufaj mi, proszę! - uspakajałam pieśczośliwie, chlustając jej na głowę obfitym strumieniem. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze!

Po tych gwałtownych ablucjach wysuszyłam piękne włosy Matyldy i ułożyłam z nich zgrabny koczek. Kostium włożyła na siebie sama.

- Fryderyk chce się z tobą zobaczyć - tłumaczyłam już w taksówce. - Ciociu, on w tym szpitalu myśli wyłącznie o tobie...

- Co też ty mówisz - speszyła się. - To śmieszne jakieś... To... nienormalne! Nie, ja nie powinienam tam jechać!

Matylda przez chwilę tłamsiła w sobie jakieś neodgadnione myśli.

- Magduś... to nie jest dobry pomysł - wyszeptała zrezygnowana. - Zresztą Jadźka...

- Jadźka tu nie ma nic do gadania - przerwałam jej. - Popatrz - wyjęłam z kieszeni obrazek ze świętym Antonim - zgubiłaś go, prawda?

Matylda wzięła obrazek do ręki i oglądała w zdumieniu na wszystkie strony.

- Fryderyk go znalazł. Najprawdopodobniej wypadł ci gdzieś, jak byłeś w Świętej Lipce. Nie wiem, o co się tam pojechałeś modlić, ale to mi wygląda na jakiś znak... - spojrzałam na nią uważnie. - Ciociu! Nie pozwól Jadźce decydować za siebie! Nie tym razem!

- Ja wiem - westchnęła żałośnie - że ty chcesz dobrze, ale jakby to teraz mogło być? Jak? Głową muru nie przebijesz!

- Ja nie przebiję? - zaperzyłam się. - To się jeszcze okaże!

Cały czas poruszałam się po okolicy. Nie mogłam przecież oznajmić Matyldzie, że doprowadzenie do jej spotkania z Fryderykiem jest moją nadprzyrodzoną misją. Posiłkując się więc tym, co sama wielokrotnie mi powtarzała, starałam się zabełtać w jej najgłębszych uczuciach.

- Ciociu! - huknęłam jej w ucho. - Ile razy mówiłaś, że twoim największym pragnieniem jest, by wrócił się tamten czas? A gdyby się wrócił, to co? To ja ci powiem, co! To byś dokładnie zrobiła to samo: pozwoliłabyś, żeby inni zniszczyli twoje życie! Ale już ja przypilnuję, żeby było inaczej! Bo właśnie - objęłam ją tak mocno, że mogło nawet zabość - właśnie zamierzasz zmarnować drugą szansę. I proszę mi tu nie deliberować - uprzedziłam ewentualne wątpliwości. - Po prostu, poddaj się swojemu losowi!

Kiedy dotarliśmy na miejsce, na korytarzu oddziału, gdzie leżał Fryderyk, dał się zauważyć niepokojący tumult.

Teściowa stała oparta o ścianę i pochlipywała z cicha w chusteczkę.

- Mamo! Co się stało? - dopadłam do niej pierwsza, Matylda ustawiła się o krok za mną.

- Fry... Fry... deryk... - łkała. - Przecież miałam go zaa...aabrać... I wtedy coś mu się stało! Nagle takie wielkie zęby mu wyszły... - teściowa rozcapierzyła palce prawej dłoni - i przyleciały siostry i doktorzy...

- Słucham? - spytałam domyślając się, że nie interpretuję słów teściowej we właściwy sposób. - Jakie zęby?

- W tele...wizorze! - chlipnęła żałośnie.

- Rozumiem - zwróciłam się do Matyldy - chodzi jej chyba o te... takie fale na monitorze, które kontrolują pracę serca.

Dopiero teraz teściowa zauważyła obecność Matyldy. Zamierzała chyba coś powiedzieć, ale w końcu zacisnęła tylko usta i zawiesiła na niej nienawistne spojrzenie.

- A wie mama, dlaczego tak się stało? - odciągnęłam ją na bok. - Wie mama? Bo - mówiłam, nie czekając na odpowiedź - on nie chce z mamą wyjeżdżać. Fryderyk pragnie zostać tutaj, w Rapałkach! A, tak! - rzuciłam jej w pobladłą twarz.

- W życiu do tego nie dopuszczę! - wyszczała.

- W którym życiu? Jego? - wskazałam ręką na drzwi.

Teściowa oparła się ciężko o ścianę i błędziła niewidzącym wzrokiem po sterylnej podłodze. Kiedy otworzyły się drzwi do sali Fryderyka i wyszedł z niej lekarz, spojrzała na mnie i przez moment zobaczyłam w jej oczach panikę. Wsunęłam się naprzód, oczekując na informacje.

- Już lepiej - lekarz uśmiechnął się ciepło.

Te dwa słowa obudziły w każdej z nas odmienne nadzieje, rozwiały inne obawy, przyniosły inny rodzaj ulgi...

- Czy można do niego wejść? - spytałam.

- Tylko jedna z pań. I na jedną minutkę - zastrzegł.

Złapałam dyskretnie za dragon płaszcza rwącą się naprzód teściową. W tej jednej chwili Matylda zdążyła uczynić kilka zdumiewających czynności: zrzuciła z siebie kurtkę, uwolniła z koka swoje kasztanowe włosy, uniosła dumnie głowę i pewnym krokiem weszła do pokoju Fryderyka. Obie z teściową w milczeniu czekałyśmy na ławce.

Dwa dni później lekarz wypisujący go ze szpitala żartował, że Matylda poradziła sobie z nim lepiej, niż cały zespół specjalistów. Kiedy zobaczyłam go na korytarzu w „cywilnym” ubraniu, odniosłam wrażenie, że patrzę na zupełnie obcego faceta. Poza tym, że był teraz o wiele szczuplejszy i mniej pewny siebie, emitował wręcz jakąś nieznaną mi do tej pory aurę: jakby pojaśniał cały od środka. Nie widziałam go takiego nigdy dotąd, nawet w szczytowym okresie romansu z Ewą.

- A mama? Nie przyjdzie? - spytałam, rozglądając się dookoła.

- Mama wyjechała wieczorem. Chyba będzie musiała jakoś oswoić się z tym wszystkim. A ja...

- Fryderyk przebiegł wzrokiem po twarzy Matyldy - zamieszkałam tymczasem u państwa Wasylków, skoro zwolnił się pokój...

Obie z Matyldą spojrzałyśmy na siebie z niedowierzaniem. W zasadzie miałyśmy już opracowaną strategię postępowania, w żadnej z wersji nie brałyśmy jednak pod uwagę kapitulacji adwokatowej Gomorowej.

- I... Jak to widzisz?

- Po swojemu - Fryderyk puścił do mnie oko i roześmiał się pogodnie.

* * *

Idąc przed nimi do taksówki kątem oka spostrzegłam, że Fryderyk trzyma dyskretnie Matyldę za rękę.

- Wiecie co? - przystanąłam na chwilę. - Jedźcie sami, mam ochotę pokręcić się trochę po Ełku.

Matylda spojrzała na mnie ze swoim zwykłym, ciotczanym niepokojem w oczach.

- Bez obawy! Trafię przecież z powrotem, zrobię tylko jakieś małe zakupy - zmyśliłam i na wszelki wypadek oddaliłam się szybko.

Kiedy taksówka Matyldy zniknęła mi z oczu wróciłam na postój i wsiadłam do następnej.

- Do Rapalek proszę - zadysponowałam. - Ale proszę się nie spieszyć, chcę się rozejrzeć po okolicy. Aha, jeszcze zrobimy sobie mały postój w Gliniankach, dobrze?

Kiedy podjechaliśmy pod knajpę Olka, zaczynało już zmierzchać. Zwolniłam taksówkę i stanęłam na wprost rozjarzonego świątecznymi lampkami okna. Śmiesznie ubrana kelnerka uwijała się z tacą, nieliczni goście siedzieli pochyleni ku sobie, prowadząc zwyczajne, knajpiane rozmowy. Przy stoliku w rogu sali dostrzegłam Olka - ślęczał nad jakimiś papierami z długopisem w ręku. Na krótką chwilę uniósł głowę i odwrócił się w moją stronę. Świadoma tego, że nie może mnie zobaczyć, chłonełam każdy szczegół jego twarzy.

Nagle poczułam dokładnie to samo, co już kiedyś... w tym innym życiu... Jakby cały świat osunął mi się do stóp. Pulsująca gorycz wcisnęła mi się pod powieki, dławiała gardło, rozrywała serce...

- Wszystkiego najlepszego z okazji Świąt - wyszeptałam. - Mam nadzieję, że zrozumiesz, ukochany...

Z trudem odwróciłam się od okna i ruszyłam biegiem w kierunku domu. Brnąc w marznącym śniegu zmuszałam nogi do każdego kolejnego kroku.

Nie zdejmując kurtki, nastawiłam czajnik i objęłam go zziębniętymi dłońmi. Zanim woda zdążyła się zagotować, usłyszałam odgłosy otrzepywanego ze śniegu obuwia. Po chwili w drzwiach kuchni stanęła zarumieniona Matylda.

- Trochę długo mnie nie było, ale połaziliśmy jeszcze tu i tam. Fryderyk mnie odprowadził, ale już poszedł - tłumaczyła się lekko zdyszana - zapraszałam go, ale jakoś tak niezręcznie mu było...

- Rozumiem - ucałowałam ją w chłodny policzek - rozbierz się, siadaj! Właśnie robię herbatę.

Siedząc nad parującym kubkiem, obserwowałam kręcącą się po kuchni Matyldę. Wydawało mi się wręcz nieprawdopodobne, że ta atrakcyjna, rudowłosa kobieta i tamta zrzędliva niewiasta w odwiecznej pasiastej podomce to jedna i ta sama osoba.

- Usiądźże wreszcie, chcę się napatrzeć na ciebie do syta - ponagliłam.

- Już, już - Matylda uśmiechnęła się promiennie - tylko uszykuję coś do tej herbatki.

Kiedy stawiała na stole talerzyk z ciastkami, spostrzegłam, że ma na palcu „rodowy” pierścienek Gomorów. Ten sam, który kiedyś już nosiła, ten sam, który wyszarpała mi z palca pewnego wrześniowego poranka moja teściowa. Drugą rzeczą, która zwróciła moją uwagę było to, że ciasteczka były „sklepowe”.

- Nie miałam czasu dziś nic upiec - powiedziała podążając za moim wzrokiem. - Spróbuj, nawet dobre są...

- Aha, całkiem dobre. Takie... krusze. Siedziałyśmy naprzeciw siebie w milczeniu, każda zapatrzona we własne myśli.

- Wiesz co? - teraz dostrzegłam w jej twarzy zmęczenie. - Kładź się spać, miałaś dziś ciężki dzień. Ja pozmywam.

- Zmywanie nie zajęć - spojrzała krytycznie na brudne naczynia.

- Jesteś pewna? - spytałam z niedowierzaniem. Matylda obiegła truchtem stół i przylgnęła do mnie w mocnym uścisku.

- Jak niczego we świecie - odpowiedziała.

Położyłam się w ubraniu na łóżku i zamknęłam oczy. Przez chwilę słyszałam jeszcze dreptanie ciotki po jej sypialni. Wąska strużka światła sącząca się spod drzwi zgasła jednak szybciej, niż kiedykolwiek dotąd. Doskonałą ciszę kalało teraz jedynie miarowe tykanie kuchennego zegara. Starłam się oddychać stosownie do jego tempa, żeby jakimś niekontrolowanym westchnieniem nie zakłócić pracy organizmu śpiącego domu. Moje ciało ogarnęło dziwne odrętwienie, coś jakby półsen podszyty niejasnym lękiem...

- Pójdiesz? - usłyszałam w końcu śpiewny pogłos zza okna. - Pójdiesz? Pójdiesz?

- Pójdę - wyszeptałam sennie. - Już, już... Zaczekaj, zaraz pójdę.

Włożyłam naszykowane przy łóżku buty i kurtkę, okręciłam głowę szalem. Bez najmniejszego szelestu dotarłam do sieni i wyszłam naprzeciw mroźnej, gwiazdzistej nocy. Dokoła było nieracjonalnie cicho, nawet śnieg nie skrzypiał, kiedy wolno wdrapywałam się pod górę.

Ciemny kontur kamiennej cembrowiny już z daleka rysował się na tle otaczającej go bieli.

- Jesteś... - usłyszałam za plecami.

- Jestem.

Podeszłam wolno do starej wierzby i przysiadłam na śniegu, opierając plecy o chropawy pień. Tuż obok moich stóp zakolysał się cień masywnej, przygarbionej postaci.

- Daj mi jeszcze chwilę. Jedną chwilę, proszę...

Pod półprzymkniętymi powiekami majaczyła sylwetka mojej studni. Widziałam wyraźnie błędzące po kamieniach refleksy... Wewnątrz znowu była woda! Wstałam powoli, zdecydowana nie przedłużać tego, co nieuchronne.

Nagle poczułam, że coś oplata moje ramiona żelaznym uściskiem i unosi mnie w górę.

- Nie! Zostaw! Ja sama! Sama!!! - wierzgałam rozpaczliwie. Wszystkie tłumione do tej chwili emocje wydarły się ze mnie spazmatycznym szlochem.

- Puść!!! To nie tak miało być! Nie tak...

- Oczywiście, że nie tak, głupiątko moje!

- O... Olek?!

Nie miałam odwagi otworzyć oczu. Uścisk silnych ramion ani na moment nie zelżał. Zamęt w mojej głowie stopniowo zanikał, ustępując miejsca jakiemś drętwemu ubezwłasnowolnieniu. - To Olek - pomyślałam. Bo inaczej, jakim prawem jest mi tak dobrze, tak spokojnie i tak bezpiecznie?

- Skąd się tu wzięłeś? Skąd... wiedziałeś?

- Magda! - Olek ujął w dłonie moją twarz i zmusił, żebym na niego spojrzała. - Prosiłaś, żebym czekał na ciebie. Czekałem. Chciałaś, żebym był przy tobie, słuchał, rozumiał. Byłem. I nie ma takiej możliwości, żebyś mi teraz zniknęła. Choćbym miał wydać walkę wszystkim studniom na świecie! Rozumiesz? Zrobiłaś już wszystko, co do ciebie należało. Koniec. Kropka.

- Ale ja musiałam...a...am...

- Cicho bądź - szepnął Olek - wybijesz mi zęby.

Całował mnie zachłannie i niecierpliwie. Poddawałam mu się, z każdą sekundą z coraz większym przekonaniem i całą sobą. Wszystko inne stało się w tej jednej chwili nieważne: był tylko on, jego ramiona, usta, oczy... Słyszałam bicie jego serca i szybki, ciepły oddech. Czułam, jego drżącą dłoń na moim wilgotnym policzku... Wczepiłam się paznokciami w jego puchową kurtkę, gotowa trwać tak do skończenia świata.

- Chodź - Olek pociągnął mnie za rękę, burząc gwałtownie mój pochopny plan.

- Dokąd? Dokąd ja teraz pójdę? - spytałam, choć było mi dokładnie wszystko jedno...

W pokoju Olka, mieszczącym się na poddaszu jego knajpy panował przytulny nieład.

Siedziałam na podłodze, oparta o stylowy, kafłowy piec i nuciłam pod nosem „Białą Armię”.

- Nie wiem, czy jesteś świadoma - zapytał Olek, podając mi z uśmiechem szklaneczkę grzanego wina - ale według cygańskiego prawa właśnie zostałam moją żoną. Porwałam cię i uwiodłam.

- Chyba przypisujesz sobie zbyt wielkie zasługi - zbiesiłam się na ten ewidentny przejaw męskiej pychy. - Bo ja osobiście nie zauważyłam choćby cienia sprzeciwu ze swojej strony.

- Tym lepiej - szepnął mi do ucha - bo to takie... symboliczne porwanie.

Olek delikatnie wgryzł się w moją małżowinę.

- Aha! A odgryzienie ucha to takie... symboliczne oznakowanie małżonki?

- No właśnie - spoważniał nagle. - Daj rękę. Wyłuskał coś z kieszeni koszuli i ukrył za plecami.

- Zamknij oczy!

Poczułam w swojej dłoni jakiś misterny, chłodny przedmiot.

- Moje serduszko! - wykrzyknęłam w najwyższym zdumieniu. - Moje rubinowe serduszko! Olek?! Skąd ty... - rzuciłam się do kieszeni swojej kurtki.

Wpatrywałam się teraz oszołomiona w dwa, identyczne naszyjniki.

- Olek... - spytałam słabym głosem - skąd ty je masz?

- Nie wiem dokładnie - Olek z uwagą zaglądał mi w oczy. - Zawsze było w naszej rodzinie. Najprawdopodobniej należało do mojego dziadka. Tego ze strony taty... Z pewnością pokazałbym ci je wcześniej, gdybym wiedział, że znalazłaś takie samo w pałacu...

Poczułam, że się rumienię.

- Przepraszam. Nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Ukryłam je jakoś tak... odruchowo. Sabina ci powiedziała?

- Może...

- To... W takim razie ty jesteś... Jesteś...

- Czy to ważne? - Olek przyciągnął mnie do siebie i wtulił twarz w moje włosy. - Magda, Magdalenka, Magduchna... - mruzczał - obiecaj mi, że nie będziesz się już nigdy w to zagłębiać: co, kto, od kogo, dla kogo i po co... Obiecaj! O... bie... caj!!!

- No dobrze - skapitulowałam w końcu pod gradem pocałunków.

- Obiecałaś?

- O... bie... ca... łam!

Epilog

Olek! Czy ty wiesz, czego ja się domyślam? - pokrzykiwałam, wtaszcżając do mieszkania całe sterty pakunków. - No, wiesz, czy nie wiesz? Normalnie mnie olśniło! Dokładnie w momencie, kiedy wybierałam prezent dla ciotki!

- No, mów, bo aż się boję - roześmiał się Olek, odbierając ode mnie kolejno paczki i paczuszki.

- Wiesz czemu Matyldzie i Bronkowi tak zależało, żebyśmy w tym roku spędzili z nimi wigilię? - zawiesiłam głos dla większego wrażenia. - Bo oni mają zamiar się pobrać. I dziś chcą to ogłosić! - spojrzałam triumfalnie na mojego męża.

- A to się nieborakowi dostało - Olek przybrał tragiczny wyraz twarzy. - Tyle lat brykał sobie luzem po świecie, no i masz!

- A żebyś wiedział, że się dostało - rzuciłam w niego góralskim kapciem, przeznaczonym na prezent dla mojego ojca. - Bo on przez te wszystkie lata kochał się w niej! Sam mi to kiedyś wyznał, a jego taksówka mi świadkiem. No, może nie aż tak długo, jak ty we mnie...

- No to zobaczymy, kto kogo pobije na rewelacje - Olek puścił mimo uszu moją zaczepkę. - Hej! - przemówił tkliwie do mojego pępka. - Idziemy w gości do poczciwej Matyldy! A ty, póki co, musisz nam towarzyszyć. Przykro mi, stary! Ale za rok, obiecuję, będziesz miał prawo wyboru!

- Olek! Co ty za androny wygadujesz! Po pierwsze: nie wiesz, czy to on, czy ona, a po drugie... sam się zastanów!

- Zastanowiłem się! I pozwalam mu zostać. Będzie tu czekał na mnie grzecznie.

Mój zwariowany facet porwał mnie na ręce i wpakował do łóżka.

- Puszczaj!

- Wcale cię nie trzymam.

- Trzymasz. Zniewalasz mnie i tłamsisz.

- Wcale, że nie ciebie!

- Wcale, że mnie właśnie! Ugryzę!

- Nie ugryziesz, nie masz jeszcze zębów!
- Olek! Telefon! Złaż ze mnie natychmiast!
- No, dobrze, pod warunkiem, że to nie do ciebie!
- Chryste! Jak ja cię trzepnę! Złaż, słyszysz?

Korzystając z chwili, w której Olek zajął się telefonem, umknęłam do kuchni.

- Przeczytać?

- No chyba!

- Najserdeczniejsze serdeczności z okazji świąt Bożego Narodzenia i na cały Nowy Rok przesyłają Bożena i Fryderyk Gomorowie wraz z Jadwigą. Pozdrowienia z ośnieżonej Austrii. PS Serdeczne życzenia dla Matyldy, Bronka i pana Edwarda.

- Magda, co ci jest? - Olek przeraził się nie na żarty. - Magda???

- No bo - chlupałam w ozdobny papier w święte Mikołaje - popatrz, jak to się wszystko porobiło! Jak to się cudnie... wszystko poukładało! A ja o mały włos się nie utopiłam w zarośniętej chwastami studni!

- Chodź tu do mnie moja bekso - Olek zabrał mi z rąk przemoczony papier. - Poukładało się Magdaleno i to całkiem bez twojego udziału! A ty chciałaś wyręczać los i zrobić z Fryderyka i Matyldy parę - szeptał, kołysząc mnie w ramionach.

- Bo przecież miałam im zwrócić...

- I zwróciłaś! Każde z nich kocha i jest kochane. Popatrz, jaką masz teraz wielką, szczęśliwą rodzinę!

- No! I to się tak... wszystko samo...

- Prawie samo, Magdaleno. Prawie samo!